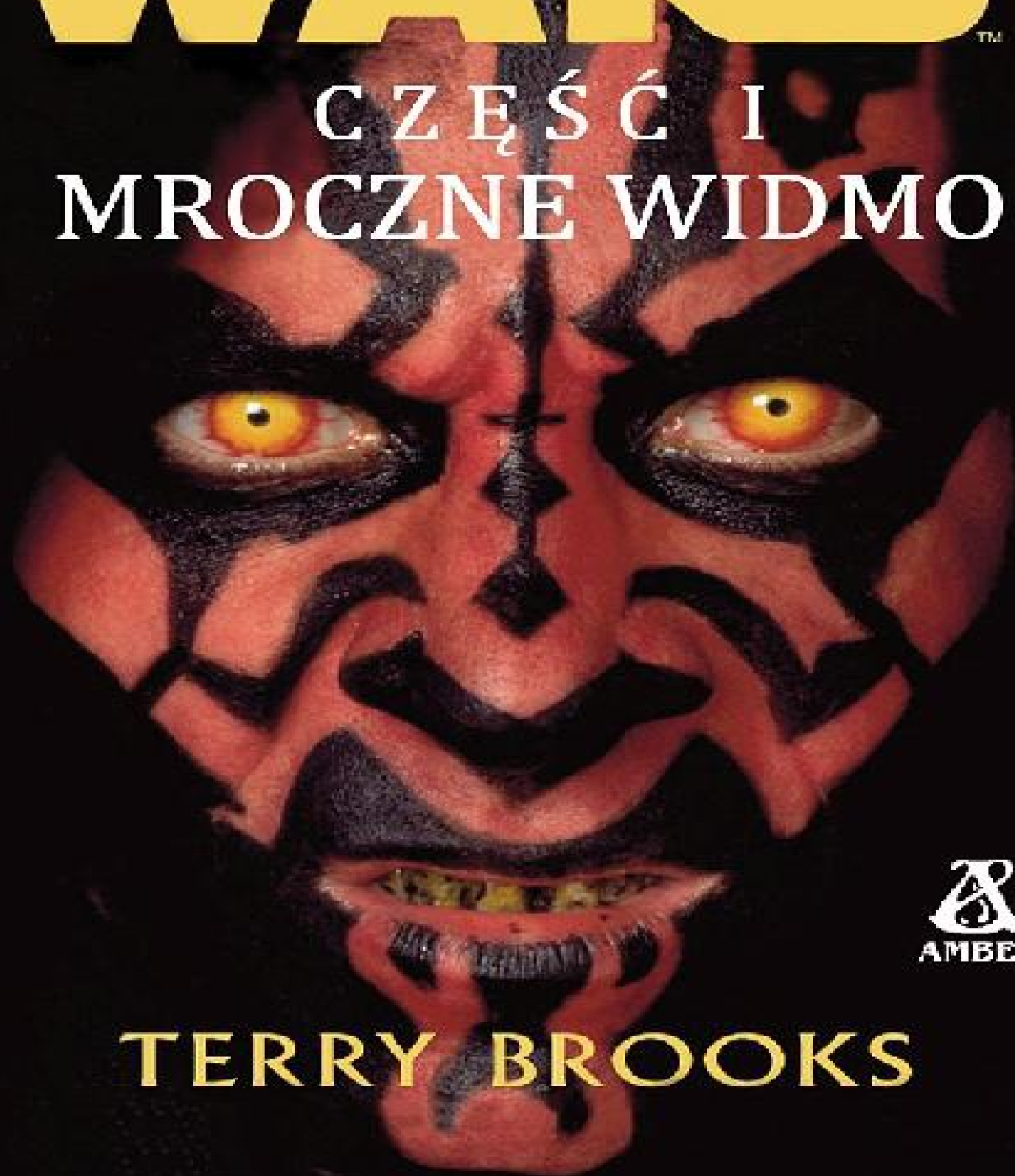


STAR WARS™

CZĘŚĆ I MROCZNE WIDMO




AMBER

TERRY BROOKS

STAR WARS®

CZĘŚĆ I MROCZNE WIDMO

TERRY BROOKS

Oparte na opowiadaniu i scenariuszu George'a Lucasa



Tytuł oryginału
Star Wars: Episode I: The Phantom Menace

Copyright © 1999 by Lucasfilm, Ltd. & ™.
All Rights Reserved. Used Under Authorization.
For the Polish translation
Copyright © 1999 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Przekład
Wojciech Szypuła

Konsultant
Andrzej Syrzycki

Redakcja techniczna
Andrzej Witkowski

Korekta
Maria Gładyszewska

Skład
Wydawnictwo Amber

ISBN 83-7245-084-6

Warszawa 1999. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 22 620 40 13, 22 620 81 62
www.wydawnictwoamber.pl



*Dla Lisy, Jill, Amandy i Alexa,
dzieciaków, które dorastały razem z tą opowieścią
&
dla Huntera,
pierwszego z nowego pokolenia*

Dawno, dawno temu w odległej galaktyce...

ROZDZIAŁ

1

Tatooine.

Żar bliźniaczych słońc lał się z bezchmurnego, błękitnego nieba. Rozległa pustynia pławiła się w oślepiającym blasku, a rozpalone powietrze drżało ponad płaską jak stół, piaszczystą powierzchnią, wznosząc się następnie wyżej, pomiędzy ściany olbrzymich urwisk i samotne góry, tak charakterystyczne dla całej planety. Kamienne monolity rysowały się wyraźnie w pustynnym krajobrazie, niczym milczący wartownicy, skąpani w delikatnej, migotliwej mgiele.

Ścigacze przemknęły pomiędzy nimi. Ogłuszający ryk silników rozdarł znieruchomiałe w upale i świetle przestworza, a góry odpowiedziały mu drzeniem.

Na pierwszym okrążeniu Anakin Skywalker, wszedł w zakręt toru i w pełnym pędzie śmignął w stronę kamiennego przesła, znaczącego wlot do Kanionu Żebraków. Delikatnie pchnął dźwignie w przód i do silników trafiła dodatkowa porcja paliwa. Dysze raket plunęły ogniem, – prawa minimalnie silniej – i kapsuła przechyliła się ostro w lewo. Ścigacz wyszedł na prostą. Anakin natychmiast wyrównał lot, dodał gazu i przeleciał pod łukiem. Za jego plecami tumany drobnego piasku, poderwane z ziemi podmuchem maszyny, skłębiły się i wzbity w powietrze na kształt migotliwej zasłony. Wpadł w wąwóz, pewnie trzymając stery. Przebiegł palcami po przyrządach. Wszystko działało się tak szybko, tak błyskawicznie, że wystarczyłby jeden drobny błąd, jedna niewłaściwa decyzja, a dla Anakina wyścig skończyłby się nieodwołalnie; ba, mógłby mówić o szczęściu, gdyby udało mu się

przeżyć... Ale te właśnie emocje cenił sobie najbardziej: moc silników, niewiarygodna prędkość, wszystko pod kontrolą – i to bez najmniejszego choćby marginesu bezpieczeństwa. Dwie olbrzymie turbiny niosły delikatną kapsułę załogową ponad piaszczystą równiną, pomiędzy zębatymi ścianami skalnymi, środkiem cienistych wąwozów; chwilami ścigacz nurkował w przepaście, z których wychodził seria przyprawiających o zawrót głowy skrętów i skoków. Z kapsuły wybiegały przewody sterujące silnikami, połączonymi dodatkowo energozłączem. Gdyby którykolwiek z elementów zahaczył o jakąś twardą powierzchnię, pojazd zmieniłby się w chmurę ognia i stalowych odłamków; gdyby, choć jedna część oderwała się od kadłuba, byłoby po wszystkim.

Mały Anakin wyszczerzył zęby w uśmiechu i dodał jeszcze trochę gazu. Kanion przed nim zwężał się, a trasa ginęła teraz w głębokim cieniu. Oślepiająco jasna szczelina na jego końcu prowadziła z powrotem ponad pustynię. Chłopiec zniżył lot, celując w jej najszersze miejsce. Jeśli utrzymałby dotychczasową wysokość, otarłby się z pewnością o skalne ściany po bokach, tak jak miesiąc temu Regga. Wciąż szukali jego szczątków. Ale jemu coś takiego się nie zdarzy.

Pchnął dźwignie do przodu i z grzmotem silników wystrzelił z wąwozu nad równinę. Trzymając dłonie na przyrządach czuł, jak vibracje turbin przenoszą się po łącznikach i wypełniają go niby muzyka. Okutany w kombinezon, w kasku, goglach i rękawicach siedział wciśnięty w fotel tak mocno, że niemal czuł pęd powietrza, przemykającego pod nim, pod powłoką kapsuły. Pędząc tak nigdy nie czuł się po prostu pilotem ścigacza, dodatkiem do silników: stapał się w jedno z turbinami, przyrządami i kapsułą, w sposób, którego nie umiałby wyjaśnić. Odczuwał wszystkie drgania kadłuba, wszystkie, nawet najdelikatniejsze wstrząsy i naprężenia wręg i w każdej chwili potrafiłby powiedzieć, co dzieje się w dowolnym zakamarku ścigacza. Maszyna przemawiała doń własnym językiem, mieszaniną dźwięków i odczuć, i mimo, że brakowało w jej mowie słów, Anakin rozumiał ją doskonale.

Czasem nawet wiedział, co powie, zanim jeszcze się odezwała. Z

prawej mignął mu błysk pomarańczowego metalu, a po chwili miał już przed sobą łatwo rozpoznawalne, układające się w literę „X” silniki ścigacza Sebulby, który właśnie odebrał mu prowadzenie, zyskane dzięki niezwykle szybkiemu startowi. Anakin zmarszczył z niesmakiem brwi, karcąc się w myślach za chwilową utratę koncentracji. Nie lubił Sebulby, wysokiego, krzywonogiego niezdary, który umysł miał równie pokręcony, jak ciało, a przy tym był groźnym rywalem: często wygrywał, a szczególnie uwielbiał zwyciężać kosztem innych. Przez ostatni rok Dug przyczynił się do wypadków kilkunastu zawodników. Kiedy opowiadał o nich na ulicach Mos Espy, w oczach migotały mu ogniki złośliwej satysfakcji. Anakin dobrze znał Sebulbę i wiedział, że z nim nie ma żartów. Przesunął drażki w przód i ruszył w pogoń.

Obserwując zbliżającą się maszynę rywala, Anakin zastanawiał się, że jego sytuacji nie poprawia zapewne fakt, iż jest człowiekiem; gorzej – jedynym człowiekiem startującym na ścigaczu. Wyścigi, ulubiony sport kibiców z Mos Espy, na całej Tatooine uważany za sprawdzian najwyższych umiejętności i odwagi, z założenia miały być niedostępne dla przeciętnych ludzi. Zwielokrotnione kończyny, większa liczba stawów, oczy na szypułkach, głowy o kącie obrotu sto osiemdziesiąt stopni i ciała, które skręcały się dowolnie, jakby pozbawione szkieletu, dawały innym istotom przewagę, o jakiej człowiek nie miał nawet, co marzyć. Najsłynniejsi zawodnicy, najlepsi z najlepszych, byli dziwacznie ukształtowanymi stworzeniami, obdarzonymi w dodatku graniczącą z szaleństwem skłonnością do podejmowania ryzyka.

Anakin Skywalker ani trochę ich nie przypominał, ale intuicyjne zrozumienie zasad i wymogów tego sportu przychodziło mu z taką łatwością, że brak dodatkowych atrybutów zupełnie mu nie przeszkadzał. Wszyscy po trochu się temu dziwili, Sebulbę zaś talent młodzika szczególnie irytował. W ubiegłym miesiącu przebiegły Dug usiłował już zepchnąć chłopca na ścianę urwiska. Usadowił się na ogonie Skywalkera, nieco niżej od niego, i szykował do odcięcia mu brzytwopilą prawego przewodu sterującego. Nie udało mu się tylko, dlatego, że Anakin wyczuł zbliżanie się przeciwnika i w samą porę

poderwał maszynę – za ten manewr zapłacił utratą zwycięstwa w wyścigu, ale uszedł z życiem. Wciąż był wściekły, że zmuszono go do dokonania takiego wyboru.

Zawodnicy przelecieli pomiędzy szeregami antycznych posągów i wypadli nad wybudowaną na obrzeżach Mos Espy arenę. Przemknęli pod łukiem dla zwycięzców, wzbili się nad oklaskującą ich widownię, boksy naprawcze i loże, z których Huttowie obserwowali wyścig, z dala od tłumu pospółstwa. Zasiadający w wieży widokowej na szczycie łuku dwugłowy Troig, pełniący funkcję komentatora, wykrzykiwał ich nazwiska i zajmowane pozycje. Anakin pozwolił sobie na szybkie zerknięcie w dół: rozmazane postaci widzów mignęły mu i zniknęły tak szybko, że równie dobrze mogłyby być tylko złudzeniem. Wiedział, że jest wśród nich Shmi, jego matka, która jak zwykle martwi się o niego. Nie lubiła, kiedy się ścigał, ale nie umiała się oprzeć pokusie i zawsze przychodziła na stadion. Nigdy mu tego nie powiedziała, przypuszczał jednak, że uważa, iż sama jej obecność wystarczy, by był bezpieczny. Poza tym lubił, kiedy była na widowni; zyskiwał dzięki niej dziwną wiarę we własne siły, której wolał zbyt dokładnie nie analizować.

Zresztą, jaki niby mieli wybór? Latał na ścigaczach, bo był w tym dobry, Watto wiedział, że jest dobry, Anakin zaś robił wszystko, czego Watto sobie tylko zażyczył. Taka jest niestety cena życia w niewoli, a Anakin Skywalker od urodzenia był niewolnikiem.

Zbliżali się do szerokiego masywu Łukowatego Kanionu, który przechodził dalej w kręty i niebezpieczny Zębaty Wąwóz. Należało go pokonać w drodze ku leżącemu za nim płaskowyżowi. Sebulba leciał nisko, tuż nad ziemią, ze wszystkich sił starając się oddalić od Anakina. Z tyłu, całkiem blisko, na tle nieba rysowały się sylwetki trzech kolejnych maszyn. Skywalker zerknął pośpiesznie przez ramię i rozpoznał Mawhonica, Gasgano i siedzącego w dziwacznej, bąblowatej kapsule Rimkara. Zbliżali się. Anakin zamierzał właśnie przyspieszyć, ale zrezygnował z tego zamiaru: znajdowali się już zbyt blisko wlotu wąwozu, gdzie nadmierna szybkość mogłaby okazać się zabójcza. Wąwóz skracał czas reakcji niemal do zera. Lepiej poczekać.

Mawhonic i Gasgano chyba doszli do podobnych wniosków, bo

zwolnili i ustawili się za nim, w jednej linii. Rimkar jednak nie zamierzał czekać i z rykiem turbin wyprzedził Anakina na ułamek sekundy przed tym, jak wpadł w skalną szczelinę i zniknął w ciemności.

Anakin wyrównał lot, wzbił się nieco wyżej nad usłane głazami dno i dał się prowadzić pamięci i instyngtom. Miał wrażenie, że gdy pędzi wijącą się rozpadliną, wszystko wokół niego zamiera raczej, niż przyspiesza, zupełnie przeciwnie, niż można by oczekiwać. Kamień, piasek i cienie przemykały po obu stronach w zwariowanej mieszance kolorów i kształtów, on zaś widział wyraźnie wszystkie szczegóły toru, jakby zamiast zniknąć w chaosie ulegały podświetleniu i wyodrębnieniu z tła. Miał wrażenie, że mógłby prowadzić z zamkniętymi oczyma, tak scalał się z otoczeniem, tak mocno je odczuwał. Pokonywał łagodnie kolejne zakręty; od czasu do czasu migąły mu szkarłatne płomienie dysz maszyny Rimkara, a wysoko nad głową widniała jasnoniebieska smużka nieba. Wcinała się w skałę głęboko, śląc w dół mizerny strumień światła, który słabł z każdym metrem, tak, że sięgnąwszy Skywalkera i jego konkurentów ledwie rozpraszał mrok. Anakin spokojnie prowadził ścigacz. Skupiony na, własnych odczuciach, złączony w jedno z silnikami, podatny na drgania i pomruk turbin dał się bez reszty ogarnąć aksamitnej ciemności.

Kiedy wynurzyli się z mroku, pchnął drażki do przodu i ruszył za Sebulbą. Mawhonic i Gasgano siedzieli mu na ogonie, Rimkar tymczasem dogonił Sebulbę i właśnie usiłował wyrwać się na prowadzenie. Chudy jak szczapa Dug szarpnął ścigacz lekko w górę, żeby przejechać płomieniem z dysz po maszynie Rimkara, ale na kulistej kapsule nie zrobiło to żadnego wrażenia. Lecieli bok w bok ponad równiną, kierując się wprost na Uskok Metta. Anakin zbliżył się do nich, zostawiając Mawhonica i Gasgano nieco w tyle. Ludzie mogli sobie mówić o Watto co chcieli – a nie wszystkie opinie były korzystne – ale nie ulegało wątpliwości, że umie wyszukiwać zawodników. Potężne silniki zagrzmiały posłusznie, gdy Anakin otworzył szerzej dopływ paliwa. W kilka sekund zrównał się ze ścigaczem Sebulby.

Razem znaleźli się na krawędzi uskoku i równocześnie runęli pionowo w dół.

Każdy zawodnik wie, że sztuka pokonywania uskoków polega na tym, żeby lecąc w dół rozpędzić się i zyskać maksymalną przewagę, a zarazem nie przesadzić i nie wryć się dziobem w skaliste podłoże. Dlatego też Anakin nie krył zdumienia, kiedy Sebulba dość szybko wyrównał lot. Natychmiast jednak poczuł uderzenie ciągu układających się w kształt „X” silników o grzbiet własnego ścigacza. Podstępny Dug nie zamierzał zwolnić, a tylko odchylił maszynę na tyle, by ogniem z dysz pchnąć ścigacze Anakina i Rimkara wprost na skalną ścianę.

Całkowicie zaskoczony Rimkar odruchowo pchnął oba drążki i wbił się w urwisko. Kapsuła i silniki wybuchły i rozbryznięły się na kamieniu, po czym opadły niczym ognisty deszcz, zostawiając po sobie długi, czarny ślad na skale.

Anakin wyłącznie instynktowi zawdzięczał ocalenie. Ledwie poczuł pchnięcie, zanim jeszcze dobrze zdał sobie sprawę z tego, co robi, wyrównał lot i zaczął oddalać się od skał, przez co niemal zderzył się z zaskoczonym Sebulbą, który musiał się ratować niekontrolowanym skretem. Stery szarpnęły się w rękach Anakina i ścigacz wpadł w korkociąg. Chłopak odzyskał częściowo panowanie nad maszyną, odciął dopływ paliwa do silników i patrzył, jak lśniąca odbitym światłem pustynia pędzi mu na spotkanie.

Uderzył w ziemię. Wstrząs omal nie pogruchotał mu kości, kiedy oba mocowania i przewody sterujące pękły, a oderwane silniki poleciały w przeciwne strony. Kapsuła zaryła się w grunt lewą burta, potem prawą, a jeszcze później zaczęła się toczyć po piasku. Anakinowi pozostało tylko zaprzeć się rękami o ściany i modlić, żeby dzikie harce i podskoki pojazdu nie skończyły się na jakimś sterczącym z ziemi głazie. Metal zaprotestował ogłuszającym zgrzytem i do środka zaczął przedostawać się piach. Gdzieś daleko z prawej strony silnik eksplodował, a ziemia zatrzęsała się od wybuchu. Anakin nie poddawał się i trwał na miejscu, czekając aż kapsuła znieruchomieje.

Potoczyła się jeszcze trochę i rzeczywiście stanęła. Odczekał

chwilę, a potem odpiął pas i wypelzł na zewnątrz. Powitał go żar pustyni i oślepiający blask słońca, zdolny przebić się przez ochronne gogle. Ostatni z uczestników wyścigu znikął właśnie za horyzontem przy wtórze skowytu i ryku turbin, a potem nastąpiła głęboka cisza.

Anakin rozejrzał się dookoła, żeby sprawdzić, co zostało z silników; oceniał uszkodzenia, zastanawiał się, ile pracy będzie wymagało przywrócenie im dawnej sprawności. Na koniec wrócił spojrzeniem do kapsuły i uśmiechnął się szeroko. Watto nie będzie zadowolony. Ale przecież Watto rzadko bywał zadowolony.

Usiadł i oparł się plecami o rozbitą kapsułę, żeby, choć trochę skryć się przed palącymi słońcami Tatooine. Za chwilę pojawi się śmigacz, żeby go stąd zabrać, Watto będzie już czekał, żeby zrobić mu awanturę, a matka przytuli go i zabierze do domu. Nie cieszył się z obrotu spraw, ale i nie zniechęcał wypadkiem: przecież wygrałby wyścig, gdyby Sebulba grał uczciwie. Z łatwością. Westchnął ciężko i zdjął kask.

Niedługo zacznie zwyciężać i wygra całe mnóstwo wyścigów. Całkiem niedługo. Może już w przyszłym roku... Będzie miał przecież dziesięć lat.

ROZDZIAŁ

2

– Możesz sobie wyobrazić, ile mnie to będzie kosztowało, chłopcze? Możesz sobie to wyobrazić?! Oba chee kar!

Watto, unosząc się w powietrzu przed Anakinem, nieświadomie przeszedł na huttański, co pozwalało mu swobodnie korzystać z niewyczerpanych zasobów obelg. Chłopiec nie odrywał wzroku od jego pulchnej, niebieskoskórej postaci, ze stoickim spokojem słuchając tej litanii. Watto tak gwałtownie machał skrzydełkami, że zdawało się, iż lada chwila oderwą się od jego kluchowatego ciała i odfruną w dal. Anakin powstrzymał się od parsknięcia śmiechem, gdy ta wizja przemknęła mu przez głowę; nie wypadało się teraz śmiać.

Kiedy Watto przerwał dla nabrania tchu, chłopiec wtrącił cicho:

– To nie była moja wina. Sebulba osmalił mnie ogniem z dysz i prawie zepchnął na ścianę Metty. Oszukiwał.

Watto poruszył bezgłośnie ustami, jakby coś przeżuwał, a wydłużony pysk zmarszczył mu się i odsłonił sterczące zęby.

– Ależ oczywiście, że oszukiwał! Zawsze tak robi! I dlatego wygrywa! Może i tobie by się to od czasu do czasu przydało, może wtedy nie rozbijałbyś ciągle ścigacza i nie zmuszał mnie do takich wydatków!

Znajdowali się w kupieckiej dzielnicy Mos Espy, w należącym do Watto sklepie – ponurej budowli z gliny i błota. Drzwi wychodziły na zamknięte podwórko, zasłane częściami rakiet i silników z rozbitych i oddanych na złom maszyn. Wewnątrz panował miły chłód; grube ściany stanowiły nieprzeniknioną przeszkodę dla upału, ale nawet

tutaj drobny pył unosił się w powietrzu i migotał w blasku lamp. Wyścig dawno się już skończył, a słońca Tatooine opadły nisko ponad horyzont. Zbliżał się wieczór. Automaty przeniosły pokiereshowaną kapsułę i silniki na zaplecze sklepu, a przy okazji przyprowadziły Anakina, choć bez szczególnego entuzjazmu.

– Rassa dwee cuppa, peedunkel! – wykrzyknął Watto, racząc Anakina świeżą wiązką huttańskich przekleństw.

Z każdym epitetem jego pulchne ciało podskakiwało o parę centymetrów do przodu, zmuszając Anakina do cofnięcia się. Watto gestykulował nie tylko kościstymi rękoma i nogami, lecz również głową i tułowiem, co dawało iście komiczny efekt. Owszem, wściekł się, ale ponieważ często mu się to zdarzało, Anakin wiedział, czego może się spodziewać. Nie kulił się więc, nie pochylał głowy w poddańczym ukłonie – po prostu stał wyprostowany i ze stoickim spokojem znosił burę: był niewolnikiem i należał do Watto. Awantury stanowiły nieodłączną część jego życia; poza tym Watto zaraz zacznie się uspokajać – wystarczy, że da upust swej wściekłości w sposób, który pozwoli mu winić innych za własne niepowodzenia, i wszystko wróci do normy.

Watto wyciągnął w jego stronę prawą rękę z wyprostowanymi wszystkimi trzema palcami.

– Powiniennem zabronić ci dalszych wyścigów. Tak właśnie należałoby zrobić! Znajdę sobie innego pilota!

– Uważam, że to znakomity pomysł – wtrąciła Shmi. Matka Anakina trzymała się dotąd z boku i podczas całej przemowy Watto nie odezwała się ani słowem. Teraz jednak natychmiast zareagowała, dostrzegając okazję wyrażenia własnej opinii.

Watto błyskawicznie odwrócił się i zatrzepotał skrzydłami, by znaleźć się z nią twarzą w twarz. Jej spokojne spojrzenie osadziło go w miejscu, mniej więcej w pół drogi między nią i synem.

– To i tak zbyt niebezpieczne – mówiła dalej spokojnie Shmi. – Anakin to jeszcze dziecko.

– Ale należy do mnie! – Watto natychmiast przeszedł do obrony. – I robi, co mu każe!

– Zgadza się – przytaknęła Shmi. Miała zmęczoną, pomarszczoną

twarz, ale spojrzenie ciemnych oczu pozostało nieugięte.

– Wobec tego nie będzie się już dla ciebie ścigał, skoro tego nie chcesz. Czy nie to właśnie przed chwilą powiedziałaś?

Watto zmieszał się, słysząc jej słowa. Poruszał niespokojnie ustami i podobnym do trąby nosem, ale nie wydobył z siebie głosu. Anakin patrzył z wdzięcznością na matkę: jej proste, ciemne włosy pozoczyła już siwizna, a wdzięczne niegdyś ruchy z wolna traciły dawną swobodę, uważał jednak, że wciąż jest piękna i odważna. Idealna.

Watto zbliżył się jeszcze kilkanaście centymetrów do Shmi i znów zamarł. Kobieta stała na wprost niego wyprostowana i dumna, tak samo, jak przed chwilą Anakin, jak gdyby odmawiała uznania jego praw. Watto obrzucił ją niechętnym spojrzeniem, po czym odwrócił się i poleciał do chłopca. – Naprawisz wszystko, co zniszczyłeś, szczeniaku! – warknął i pogroził Anakinowi palcem. – Wyreperujesz silniki i kapsułę! Mają być jak nowe. Co tam, lepsze niż nowe! Bierz się do pracy, ale już! Wynoś się stąd i do roboty! Do wieczora jeszcze sporo czasu, chłopak zdąży popracować! – rzucił ostro pod adresem Shmi. – Czas to pieniądz! – Pogroził matce, a potem jeszcze raz synowi. – Nie lenić się! Do was mówię, natychmiast bierzcie się do pracy! Shmi posłała synowi łagodny uśmiech.

– Chodź, Anakinie – rzekła cicho. – Obiad czeka. Odwróciła się i wyszła ze sklepu, Watto zaś spiorunował po raz ostatni wzrokiem Ariakina i podążył za nią. Chłopiec jeszcze przez chwilę stał nieporuszony w chłodnym pokoju, zapatrzony w dal. Wiedział, że nie powinien być przegrać; następnym razem – a znał Watto na tyle, żeby mieć pewność, że następny raz nadejdzie – nie przegra.

Westchnął ciężko i wyszedł na podwórze. Krępy, niewysoki chłopak na pierwszy rzut oka nie wyróżniał się spośród rówieśników; miał niebieskie oczy, potarganą szopę blond włosów, zadarty nos i przenikliwe spojrzenie. Był nad wiek szybki i silny, a w dodatku odznaczał się umiejętnościami, które nieustannie zadziwiały wszystkich otaczających go ludzi. Uchodził za znakomitego pilota – ścigacza, czego nie mógłby osobie powiedzieć żaden człowiek, nawet znacznie starszy od niego. Miał smykałkę do majsterkowania, umiał

złożyć czy naprawić prawie dowolne urządzenie. Był więc podwójnie użyteczny dla Watto, ten zaś nie zaliczał się do panów, którzy pozwoliliby zmarnować talent niewolnika.

Istniało jednak coś, o czym wiedziała tylko jego matka: sposób, w jaki odczuwał wydarzenia, nierzadko przewidując je na długo przed tym, jak inni wiedzieli, że do nich dojdzie. Odbierał je jako rodzaj zawirowania w powietrzu, ostrzegawczy szept czy też intuicyjną podpowiedź, przeznaczoną tylko dla jego uszu. Umiejętność ta przydawała mu się podczas wyścigów, ale nie tylko: potrafił rozpoznać, jak różne rzeczy wyglądały dawniej albo jak po winny wyglądać. Miał dopiero dziewięć lat, a już postrzegał świat w sposób niedostępny dla większości dorosłych.

Aczkolwiek w tej chwili umiejętność ta nie na wiele mu się zdała.

Kopnął w ziemię wzbijając fontannę piasku i podszedł do rozbitej maszyny, którą roboty zrzuciły w kącie podwórka. Jego umysł już zaprzętały rozważania na temat tego, co należałoby zrobić, by przywrócić ścigaczowi dawną sprawność. Prawy silnik był prawie nie drażniony, jeśli nie liczyć rys i pęknięć metalowej powłoki, lewy zaś, niestety, przedstawiał opłakany widok. Sama kapsuła również poobijała się i wgniotła w kilku miejscach, a panel sterowniczy zmienił się w kupę złomu.

– Nerwy – mruknął Anakin pod nosem. – Wszystko nerwy!

Dał znak robotom, które natychmiast przystąpiły do pracy i zaczęły usuwać uszkodzone elementy pojazdu. Już po kilku minutach sortowania złomu Anakin zorientował się, że będą mu potrzebne części, których z pewnością nie ma pod ręką – przede wszystkim termostaty i przekaźniki ciągu; musi zdobyć je w drodze wymiany z innymi warsztatami, zanim przystąpi do naprawy. Watto nie będzie tym zachwycony; nie znosił wypytywać o części zamienne w innych sklepach, twierdził bowiem, że ma u siebie wszystko, co warte jest posiadania – oprócz, rzecz jasna, artykułów spoza planety. Fakt, że zdobywał je w drodze uczciwej wymiany, nijak nie umniejszał jego niechęci do kontaktów handlowych z tubylcami. Wolałby w wyścigach wygrać wszystko, czego potrzebował. Albo po prostu ukraść.

Anakin podniósł wzrok i zapatrzył się w niebo, gdzie bladły właśnie resztki dziennego światła. Pojawiły się pierwsze gwiazdy, niczym wyklute szpilkami otworki w pogłębiającej się czerni: to tam czekały na niego wszystkie planety, których nigdy nie widział i które mógł sobie wymarzyć. Ale pewnego dnia polecą tam i zobaczy je wszystkie; nie spędzi całego życia na Tatooine – nie on. – Anakinie! Hej, tutaj!

Z głębokiego cienia po drugiej stronie podwórka dobiegł go stłumiony szept i przez wąską szparę w drucianym ogrodzeniu wśliznęły się dwie ciemne, drobne sylwetki: Kitster, najlepszy przyjaciel Anakina i Wald, drugi z jego kolegów. Kitster był niski, miał ciemną skórę i krótko przycięte włosy; nosił luźne, zwyczajne ubranie, zaprojektowane tak, by odbijało ciepło pustyni, nie przepuszczało piasku i zatrzymywało wilgoć przy ciele. Wald niepewnie szedł za nim krok w krok. Rodianin całkiem niedawno trafił na Tatooine; był nieco młodszy od Anakina i Kitstera, ale na tyle dzielny i dorosły, że wszędzie zabierali go ze sobą.

– Annie, co ty tam robisz? – zapytał Kitster rozglądając się z lękiem dookoła, gotów natychmiast skoczyć w cień; gdyby Watto pojawił się w zasięgu wzroku.

Anakin wzruszył ramionami.

– Watto kazał mi naprawić ścigacz. Ma wyglądać jak nowy.

– Pewnie, pewnie. Ale nie dzisiaj – sprzeciwił się Kitster. – Dzień się kończy. Wystarczy jak jutro się tym zajmiesz. Chodź, napijemy się rubinowego *bliela*.

Bliel należał do ich ulubionych napojów i Anakinowi na myśl o nim pociekła ślinka.

– Nie mogę – odparł. – Muszę tu zostać i pracować, aż... Nie skończył zdania. Zamierzał powiedzieć „Aż do zmroku”, ale przecież zmrok już zapadał, więc... – A za co go kupimy? – zapytał z powątpiewaniem. Kitster skinął dłonią na Walda.

– Mówi, że wytrzasnął skądś pięć druggatów. – Popatrzył groźnie na Rodianina. – Tak mówi – powtórzył.

– Mam je, mam – uspokoił go Wald i pokiwał łuskowatą głową. Zamrugał wyłupiastymi oczami i nerwowo szarpnął zielone ucho. –

Nie wierzycie mi? – zapytał po huttańsku.

– Dobra, dobra, wierzymy. – Kitster mrugnął porozumiewawczo do Anakina. – Chodźcie już, zanim wróci ten skrzydlaty staruch.

Wymknęli się przez dziurę w siatce i ruszyli biegnącą zaraz za ogrodzeniem drogą. Skręcili w lewo i pośpiesznie przemierzali zatłoczony plac, zmierzając ku pobliskim sklepom spożywczym. Po ulicach wciąż jeszcze kręciło się mnóstwo ludzi i pojazdów, ale większość z nich udawała się albo do domów, albo do prowadzonych przez Huttów lokali. Chłopcy prześlizgiwali się przez ciżbę, mijali liczne wozy, uskakiwali przed unoszącymi się tuż nad ziemią ścigaczem, maszerowali deptakiem pod zwijanymi właśnie markizami sklepów, przechodzili obok stert chowanych na noc towarów.

W parę minut dotarli do sklepu z *blielem* i przepchnęli się do lady. Wald okazał się słownym kumplem, zapłacił wymaganą sumę za trzy napoje i wręczył po jednym kolegom. Wyszli na dwór pociągając gęstą ciecz przez słomki i wolnym krokiem ruszyli przed siebie. Bez ustanku trajkotali o ścigaczach, śmigaczach, cywilnych statkach kosmicznych, krążownikach, myśliwcach i ich kapitanach. Obiecali sobie nawzajem, że w przyszłości wszyscy zostaną pilotami, a przysięgę przypieczętowali rytualnym splunięciem i przybiciem „piątki”.

Rozgorzała właśnie dyskusja nad zaletami poszczególnych myśliwców, gdy z bliska dobiegł ich obcy głos:

– Gdybym miał wybierać, nic nie pobije Łowcy Główny Z-95. Chłopcy jak na komendę odwrócili się i ujrzeni starego pilota, który stał na parkingu śmigaczy i przyglądał im się uważnie. Od razu poznali, kim jest: zdradzał go strój, broń i niewielkie, wytarte naszywki korpusu myśliwców na tunice: insygnia Republiki. Na Tatooine rzadko widywano takie mundury. – Widziałem dziś, jak się ścigasz – rzekł mężczyzna do Anakina. Był wysoki, szczupły i żyłasty, miał ogorzałą od słońca twarz, oczy o dziwnym odcieniu szarości i włosy przycięte krótko niczym kilkudniowy zarost na twarzy. Uśmiechał się ironicznie, choć ciepło. – Jak się nazywasz?

– Anakin Skywalker – odrzekł niepewnie chłopiec. – A to moi przyjaciele, Kitster i Wald – dorzucił.

Stary żołnierz skinął bez słowa głową pozostałej dwójce, ale nie spuszczał wzroku z Anakina.

– Latasz tak, jak zobowiązuje cię do tego nazwisko, Anakinie. Przechadzasz się po niebie, jakby było twoją własnością. Jesteś obiecującym pilotem. – Mężczyzna wyprostował się i oparł o poręcz z niewymuszoną lekkością w ruchach. Przyjrzał się Kitsterowi i Waidowi. – A więc wszyscy chcielibyście latać na dużych statkach, co?

Chłopcy jak jeden mąż pokiwali z zapalem głowami. Pilot się uśmiechnął. – Mówię wam, tego uczucia z niczym nie da się porównać. Kiedyś, za młodu, pilotowałem każdą dużą maszynę; zasiadałem za sterami wszystkiego, czym tylko dało się latać; w wojsku i w cywilu. Poznacie te insygnia, chłopcy?

Znów skinęli głowami, coraz bardziej zaciekawieni; dali się porwać urokowi spotkania z prawdziwym pilotem, nie takim, co to startuje na ścigaczach, ale żołnierzem, który służył na myśliwcach, krążownikach i innych prawdziwych statkach kosmicznych.

– To było dawno – ciągnął zamyślony mężczyzna. – Sześć lat temu odszedłem ze służby. Jestem za stary. Czas przepływa obok nas i każe człowiekowi szukać innych zajęć na resztę życia. – Odął wargi. – Jak tam *bliele*? Dalej są takie dobre? Od lat ich już nie piłem, ale może to dobry moment, żeby spróbować... Przyłączycie się? Napijecie się ze starym pilotem Republiki? Nie musiał im dwa razy powtarzać takiej propozycji, wrócili więc do sklepu, z którego przed chwilą wyszli i mężczyzna kupił wszystkim po *blielu*. Wyszli i, odeszli z placu, znalazłszy zaciszny kąt, żeby popijać ze szklanek i patrzeć w niebo. Światło dnia zniknęło i cały mroczny firmament usłały srebrzyste punkciki gwiazd...

– Całe życie latałem – rzekł pilot, zapatrzony w gwiazdy. Wszędzie, gdzie się dało. I wiecie co? Nie zobaczyłem nawet jednej setnej, jednej milionowej tych wszystkich miejsc. Ale świetnie się bawiłem, naprawdę świetnie. – Znów popatrzył po chłopcach. – Pilotowałem krążownik wiozący żołnierzy Republiki na Makem Te, kiedy wybuchło tam powstanie. Trochę się bałem. A raz zdarzyło mi się nawet przewieźć rycerzy Jedi. – Jedi! – wykrzyknął Kitster. – To

fantastyczne!

– Poważnie? Naprawdę leciał pan z Jedi? – dopytywał się Anakin z wytrzeszczonymi oczyma. Na widok ich zdumienia pilot wybuchnął śmiechem.

– Niech mnie banthy zeżrą, jeśli kłamię. Minęło już wiele lat, ale czterech z nich leciało na moim statku do miejsca o którym do dziś nie wolno mi mówić. Tak jak mówiłem: dotarłem wszędzie, gdzie może się znaleźć człowiek, mając do dyspozycji tylko jedno życie. Wszędzie.

– Chcę tam kiedyś polecieć – powiedział cicho Anakin. Wald parsknął z powątpiewaniem.

– Przecież jesteś niewolnikiem, Annie. Nigdzie nie możesz się ruszyć.

Stary pilot popatrzył z uwagą na Anakina, który nie potrafił podnieść nań wzroku.

– Często bywa tak, że rodzimy się kim innym, niż umieramy – stwierdził. – Nie musimy godzić się na to, żeby pod koniec gry mieć tyle samo, co kiedy siadaliśmy do stołu. – Roześmiał się. No właśnie, coś sobie przypomniałem. Pewnego razu przeleciałem nawet trasę na Kessel, a niewielu przeżyło, żeby móc się tym pochwalić. Mówili mi, że nie dam rady, że nie warto próbować, że lepiej się poddać i poszukać sobie innego zajęcia. Ja jednak chciałem tego doświadczyć na własnej skórze, więc po prostu udowodniłem im, że się mylą. Spoważniał i znów spojrzał na Anakina.

– Kto wie, czy nie to właśnie będziesz musiał zrobić, młody Skywalkerze. Widziałem, jak radzisz sobie ze ścigaczem: masz do tego dryg, czujesz maszynę; jesteś lepszy niż ja, kiedy byłem dwa razy starszy od ciebie – Pokiwał głową. – Chcesz latać? Coś mi się widzi, że tak się stanie.

Nie odrywał oczu od chłopca, aż wreszcie Anakin podniósł wzrok. Pilot uśmiechnął się i znów pokiwał głową.

– Tak jest, Anakinie, naprawdę sędzę, że jeszcze będziesz latał.

Anakin spóźnił się do domu na obiad i spokojnie zniósł drugą tego

dnia burę. Mógł coś wymyślić, zełgać, że Watto kazał mu zostać dłużej, ale nigdy, w żadnej sprawie nie okłamywał matki. Tym razem także powiedział jej prawdę – o tym, jak wymknęli się z Kitsterem i Waldem, poszli na *bliela* i spotkali starego pilota. Shmi nie była zachwycona; nie podobało jej się, że syn spędza czas z obcymi, chociaż zdawała sobie sprawę z tego, jacy są chłopcy w jego wieku i że Anakin umie sam o siebie zadbać.

– Jeśli jeszcze kiedyś będziesz miał ochotę wykipić się ze zleconej ci przez Watto pracy, porozmawiaj ze mną. W domu jest mnóstwo rzeczy do zrobienia – pouczyła go poważnie.

Anakin nie sprzeczał się z nią, wiedząc z doświadczenia, że kłótnia donikąd by nie doprowadziła. Siedział więc cicho, spuścił głowę i jadł; potakiwał, kiedy tego od niego oczekiwano i rozmyślał o tym, że matka go kocha i martwi się o niego, więc jej złość jest jak najbardziej na miejscu.

Po obiedzie usiedli na taboretach przed domem, żeby popatrzeć w gwiazdy. Anakin lubił spędzać na dworze ostatnie chwile przed pójściem do łóżka; nie miał wtedy wrażenia ograniczenia i ciasnoty, towarzyszącego mu w zamkniętych pomieszczeniach, mógł swobodnie oddychać. Dom, w którym mieszkał, był maleńki, niezgrabny i wciśnięty w zbiorowisko kilkudziesięciu podobnych budynczków o ścianach z wyschniętego błota i gliny. W tym rejonie Mos Espy wszyscy niewolnicy mieszkali tak samo: mały dom, a w środku pojedyncza izba z jedną lub dwoma maleńkimi sypialniami. Matka dbała, żeby zawsze było w nim czysto i schludnie. Anakin miał nawet własny, całkiem spory pokój, gdzie trzymał wszystkie swoje skarby – większość miejsca zajmowały narzędzia i stół do pracy. Chłopiec naprawiał właśnie androida protokolarnego, który miałby pomagać matce w domu. Po kawałku uzupełniał konstrukcję o kolejne, zdobyte tu i ówdzie części, i z wolna odtwarzał automat, który mógł już mówić, poruszać się swobodnie i wykonywać kilka prostych czynności. Niedługo będzie w pełni sprawny.

– Jesteś zmęczony, Annie? – zagadnęła matka po długiej chwili ciszy.

Pokręcił głową.

- Raczej nie.
- Ciągłe myślisz o wyścigu?
- Tak.

I rzeczywiście, myślał, przede wszystkim jednak umysł zaprzętała mu rozmowa ze starym pilotem i jego opowieści o statkach, o lotach ku odległym planetom, o bitwach stoczonych w szrankach Republiki, o spotkaniu twarzą w twarz z rycerzami Jedi.

– Nie chcę już, żebyś się ścigał, Annie – powiedziała cicho Shmi. – Nie prosź Watto, żeby ci pozwolił, dobrze? Obiecay mi, że go nie poprosisz.

Anakin pokiwał niechętnie głową.

– Obiecuję – rzekł. – A jeśli mi każe? – zapytał po chwili namysłu. – Co wtedy, mamó? Muszę przecież robić to, co zechce, więc jeśli mi każe, wrócę do wyścigów.

Matka poklepała go lekko po ramieniu.

– Może po dzisiejszym dniu już nie będzie o tym z tobą rozmawiał – rzekła. – Poszuka kogoś innego.

Anakin wiedział, że matka się myli, ale nie powiedział tego na głos. Był najlepszym pilotem ścigacza; nawet Sebulba mu nie dorównywał i musiał oszukiwać. A poza tym Watto nie będzie płacił komuś innemu, jeśli ma do dyspozycji niewolnika, który będzie się dla niego ścigał za darmo. Pozłóści się jeszcze dzień czy dwa, a potem znów zacznie myśleć o wygrywaniu. Jeszcze przed końcem miesiąca Anakin stanie na starcie.

Spojrzał w niebo. Czuł na ramieniu matczyną dłoń i rozmyślał o tym, jakie to uczucie: podróżować pomiędzy gwiazdami, latać na krążownikach i myśliwcach, odwiedzać nowe planety i inne dziwne miejsca. Nie obchodziło go co mówił Wald: nie będzie całe życie niewolnikiem, tak jak i nie będzie wiecznie chłopcem. Znajdzie sposób, żeby opuścić Tatooine i zabrać ze sobą matkę. Patrzył w gwiazdy, a marzenia kłębiły mu się w głowie jak zmieniające się w kalejdoskopie obrazy. Wyobrażał sobie przyszłość, widział ją wyraźnie i cieszyła go myśl o niej.

Ujrzał przed sobą uśmiechniętą ironicznie twarz starego pilota o niezwykłych, szarych oczach. Pewnego dnia, obiecał sobie, dokonam

wszystkiego tego, co ty. Wszystkiego.

Wziął głęboki wdech.

I będę pilotem rycerzy Jedi.

Wolno wypuścił powietrze z płuc, by przypieczętować obietnicę.

ROZDZIAŁ

3

Niepozorny stateczek ciął gwiazdzistą czerń kosmosu niby nóż, zmierzając ku szmaragdowej Naboo i otaczającemu ją wianuszkowi okrętów Federacji Handlowej. Czerwona barwa kadłuba sygnalizowała, że na jego pokładzie znajduje się ambasador Republiki. Okręty Federacji przypominały olbrzymie, masywne fortece o kształcie walca, rozszczepionego z jednego końca. Tam właśnie znajdował się kulisty moduł mieszczący mostek, centrum łączności i hipernapęd, cały kadłub zaś jeżył się dziesiątkami dział i wyrzutni rakiet; rój myśliwców na podobieństwo żarłocznych gzów uwijał się wokół zgrupowania okrętów. Maszyna Republiki, bardziej tradycyjna w formie – z potrójnym silnikiem, płaskim korpusem i kanciastą kabiną – ginęła w cieniu statków Federacji, lecz śmiało kierowała się wprost na spotkanie z nimi. Kapitan i drugi pilot siedzieli obok siebie przy głównym pulpicie sterowniczym. Szybkimi ruchami wprowadzali ostatnie korekty kursu, kierując się ku okrętowi, którego mostek zdobyły insygnia wicekróla Federacji Handlowej. W ich gestach dawało się wyczuć zdenerwowanie, tym bardziej że co chwila zerkali na siebie, a od czasu do czasu także na stojącą za nimi w cieniu postać.

Na ekranie widniało oblicze wicekróla Federacji Nute'a Gunraya, znajdującego się na mostku okrętu, do którego lada chwila mieli cumować. Twarz Neimoidianina miała normalny, jak gdyby wiecznie niezadowolony wyraz – opuszczone kąciki ust, wydatne łuki brwiowe – i tylko pomarańczowe oczy wyczekująco śledziły ruchy przybyszów.

Na jego zielonkawoszarej skórze migotały odblaski lamp oświetlających wnętrze statku, podkreślając jej chłodną, bladą barwę, przez co silnie kontrastowała z ciemną szatą i trójgraniastym nakryciem głowy. – Pani kapitan.

Kobieta dowodząca jachtem Republiki obróciła się lekko w fotelu, zwracając ku ukrytej w cieniu postaci:

– Słucham?

– Proszę im przekazać, że chcemy bezzwłocznie cumować i wejść na pokład – odpowiedział jej głęboki, łagodny, choć zarazem przywykły do wydawania rozkazów głos.

– Tak jest – odparła pani kapitan. Posłała drugiemu pilotowi ukradkowe, porozumiewawcze spojrzenie – on odpowiedział jej tym samym – po czym spojrzała Nute’owi Gunrayowi w oczy. – Z całym należnym szacunkiem, wicekrólu, melduję, że ambasadorowie Wielkiego Kanclerza proszą o pozwolenie na natychmiastowe lądowanie. Neimoidianin pokiwał pośpiesznie głową.

– Ależ oczywiście, pani kapitan, oczywiście. Z przyjemnością przyjmiemy panów ambasadorów w dogodnym dla nich momencie. Z prawdziwą przyjemnością.

Ekran pociemniał, kobieta zaś zawahała się i zerknęła szybko za siebie. – Wasza Ekscelencjo?

– Proszę kontynuować podejście – polecił Qui-Gon Jinn.

Mistrz Jedi patrzył bez słowa, jak zbliżają się do złowieszczego olbrzyma Federacji, którego lśniący kadłub z wolna wypełniał iluminatory. Qui-Gon był wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną o wyrazistej, drapieżnej twarzy. Nosił krótko przyciętą brodę i wąsy, włosów zaś nie ścinał, lecz tylko wiązał tak, by mu nie przeszkadzały. Miał typową, luźną tunikę i spodnie oraz Wygodny płaszcz z kapturem, przewiązany w pasie szarfą. Przy pasie nosił miecz świetlny, dyskretnie ukryty, by nie rzucał się od razu w oczy, a zarazem łatwo było po niego sięgnąć.

Nie odrywał spojrzenia lodowatych, niebieskich oczu od okrętu, do którego się zbliżali, jakby chciał przewiercić go wzrokiem i dostrzec co znajduje się wewnątrz. Opodatkowanie przez Republikę międzygwiazdnych szlaków handlowych od początku budziło ostre

protesty, dotychczas jednak Federacja Handlowa ograniczała się do głośnego wyrażania swego niezadowolenia i skarg. Blokada Naboo stanowiła pierwszy akt czynnego oporu, a choć Federacja miała własną flotę bojową i armię robotów, jej zachowanie było niewytłumaczalne; zawsze brakowało jej charakteru, by otwarcie wystąpić przeciwko Republice, ale tym razem chyba znalazła w sobie dość siły. Qui-Gon martwił się, że nie wie, skąd owa siła pochodzi.

Rozstawił szerzej nogi, gdy stateczek wleciał w kolistą obręcz zewnętrzną okrętu flagowego Federacji i skierował się do hangaru. Wiązki naprowadzające przejęły sterowanie i wprowadziły jacht do środka, wprost w łapy magnetycznych uchwytów.

Blokada trwała już blisko miesiąc i Senat Republiki nie ustawał w wysiłkach, by znaleźć pokojowy sposób wyjścia z impasu. Na razie jednak nie poczyniono znaczących postępów i Wielki Kanclerz zawiadomił potajemnie Radę Jedi, że wysła dwóch rycerzy bezpośrednio do prawdopodobnych inicjatorów blokady, Neimoidian, w nadziei na zażegnanie kryzysu. Było to odważne posunięcie; teoretycznie rzecz biorąc, rycerze Jedi służyli kanclerzowi i w jego imieniu reagowali na sytuacje krytyczne. Jednakże ingerencja w politykę wewnętrzną zrzeszonych planet, zwłaszcza w sytuacji, gdy istniało ryzyko wybuchu zbrojnego konfliktu, wymagała zgody Senatu. Wielki Kanclerz działał więc na granicy przysługujących mu uprawnień – w najlepszym razie tego rodzaju tajna operacja musiała wywołać ożywioną dyskusję. Mistrz Jedi westchnął ciężko. Nie miał takich zmartwień, jak kanclerz, ale nie mógł zignorować konsekwencji ewentualnego niepowodzenia własnej misji. Rycerze Jedi zawsze dążyli do zachowania pokoju – taka była natura ich zakonu i credo wszelkiej działalności. Przez całe tysiąclecia służyli Republice, stanowiąc niewzruszone źródło stabilności i porządku w wiecznie zmiennym wszechświecie. Zakon Jedi założono tak dawno, że o jego narodzinach krążyły wyłącznie legendy. Z początku zrzeszał uczonych teologów i filozofów, którzy dopiero z czasem zdali sobie sprawę z istnienia Mocy, a później długie lata poświęcili na zgłębianie jej tajników, kontemplację jej znaczenia i wreszcie jej opanowanie. Zakon z wolna ewoluował i Jedi porzucali stopniowo wiarę we

wszechmoc samotnych medytacji, na rzecz odpowiedzialności społecznej i zaangażowania w sprawy świata zewnętrznego. Zrozumienie istoty Mocy w stopniu wystarczającym do jej należytego wykorzystania wymagało czegoś więcej, niż samotnych studiów – wymagało służby społeczeństwu oraz wprowadzenia systemu, który gwarantowałby wszystkim równe prawa. Tej walki na razie nie udało się wygrać – i zapewne nigdy się nie uda, nie ulegało jednak wątpliwości, iż nikt nie będzie mógł rycerzom Jedi zarzucić, że nie próbowali tego dokonać.

W czasach Qui-Gon Jinn'a dziesięć tysięcy rycerzy w służbie Republiki każdego dnia toczyło ten sam bój, na setkach tysięcy planet, rozproszonych po galaktyce tak rozległej, że ludzki rozum z trudem ogarniał jej rozmiary. Mistrz Jedi odwrócił się w stronę wchodzącego na mostek rycerza towarzyszącego mu w tej misji.

– Schodzimy na pokład? – zapytał cicho Obi-Wan Kenobi.

– Wicekról spotka się z nami. – Qui-Gon skinął głową i baczny spojrzeniem ocenił podwładnego. Obi-Wan miał niewiele ponad dwadzieścia lat – o trzydzieści mniej niż on – i wciąż uczył się rzemiosła Jedi. Nie został jeszcze pasowany na rycerza, lecz niewiele mu brakowało. Był niższy od Qui-Gona, mocno zbudowany i bardzo żwawy. Gładka, chłopięca twarz sugerowała niedojrzałość, której próżno by szukać w młodym Jedi. Ubierał się podobnie, jak jego mistrz, tylko włosy nosił przycięte na padawańską modłę – krótkie i równe, jeśli nie liczyć opadającego na prawe ramię cieniutkiego warkoczyka. Qui-Gon wyjrzał przez iluminator, za którym rozpościerało się wnętrze hangaru na okręcie Federacji.

– Jak sądzisz, mój uczniu, dlaczego zdecydowali się na Naboo? – zagadnął. – Po co blokować akurat tę planetę, skoro można znaleźć setkę innych, większych, które bardziej odczują skutki takich działań?

Obi-Wan nie odpowiedział. Jego również dziwił wybór Naboo, planetki leżącej na skraju galaktyki i nie odgrywającej większej roli w układach politycznych. Rządząca nią królowa Amidala również stanowiła zagadkę. Zasiadła na tronie całkiem niedawno, dosłownie parę miesięcy przed rozpoczęciem blokady. Była młoda, ale chodziły słuchy, że jest niewiarygodnie utalentowana i znakomicie

przygotowana do roli władczyni; podobno na arenie politycznej nikomu nie musiałaby ustępować pola. Zależnie od okoliczności miała ponoć być czujna i skryta bądź odważna i bezpośrednia, a przy tym nad wiek mądra.

Przed odlotem z Coruscant obu rycerzom pokazano jej hologram. Lubowała się w teatralnym makijażu i ozdobnych strojach, co pozwalało jej zarazem ukryć rzeczywisty wygląd, jak i otoczyć się aurą splendoru i urody. Była jak kameleon, który maskuje się przed światem. Liczne dworki, które nie odstępowały jej ani na krok, stanowiły jej jedyne towarzyszeki. Qui-Gon zastanawiał się jeszcze przez chwilę, rozmyślał, aż wreszcie rzekł do Obi-Wana: – Chodź, wysiadamy.

Przeszli korytarzami na dół, do głównego wjazdu, odczekali, aż zapali się nad nim zielona lampka, a potem odblokowali dźwignię i opuścili trap. Zrzucili kaptury, żeby skryć twarze i zeszli do zalanego blaskiem lamp hangaru. Android protokolarny TC-14 czekał już, żeby zaprowadzić ich na spotkanie. Zabrał ich z hangaru i powiódł korytarzami do pustej sali konferencyjnej. Gestem dał im do zrozumienia, że mają zaczekać w środku.

– Mam nadzieję, że szlachetni panowie miło spędzą tu czas oznajmił rezonującym w metalowej skorupie głosem. – Mój pan niebawem do was dołączy. Android odwrócił się i wyszedł, zamykając cicho drzwi za sobą. Qui-Gon odprowadził go wzrokiem, przeniósł spojrzenie na stadko egzotycznych ptakopodobnych stworzonek w klatce przy drzwiach, po czym stanął obok Obi-Wana przy oknie. Gromada okrętów Federacji częściowo przesłaniała zieloną Naboo, lśniącą niczym klejnot na ciemnym tle nieba.

– Mam złe przeczucia – rzekł po chwili Obi-Wan. Qui-Gon pokręcił głową. – Nic nie wyczuwam.

– Nie chodzi mi o to miejsce, mistrzu. I nie o naszą misję.

To... gdzieś indziej, wymyka mi się...

Starszy Jedi położył mu dłoń na ramieniu.

– Nie koncentruj się na własnym lęku, Obi-Wanie. Skup się na chwili obecnej, gdzie uwaga bardziej ci się przyda.

– Mistrz Yoda twierdzi, że nie wolno zapominać o przyszłości... –

Ale nie kosztem teraźniejszości – wtrącił Qui-Gon i odczekał, aż młody uczeń popatrzy mu w oczy. – Pamiętaj o żywej Mocy, młody padawanie. Obi-Wan zdołał się lekko uśmiechnąć.

– Oczywiście – powiedział i ponownie wyjrzał przez okno.

Zapatrzył się w dal. – Jak uważasz, mistrzu, jak wicekról odniesie się do żądań kanclerza?

Qui-Gon wzruszył niebale ramionami.

– To tchórz, z łatwością da się przekonać. Negocjacje będą krótkie.

Na mostku okrętu Federacji wicekról Nute Gunray i porucznik Daultay Dofine z niedowierzaniem patrzyli na androida protokolarnego, którego wysłali, by powitał ambasadorów Republiki.

– Co takiego? – wysyczał wściekły Gunray.

TC-14 pozostał niewzruszony na mrożące, krew w żyłach spojrzenie, jakie posłał mu Neimoidianin.

– Ambasadorowie są rycerzami Jedi – odrzekł. – Jeden z nich jest mistrzem. Jestem tego całkowicie pewien.

– Wiedziałem, że tak będzie! – zaniepokojony Dofine z przerażeniem odwrócił się do wicekróla. – Przysłano ich, żeby zmusili nas do ugody. Zabawa skończona. Już po nas!

Gunray uspokoił go gestem ręki.

– Opanuj się! Założę się, że Senat nie ma zielonego pojęcia o tym posunięciu kanclerza. Idź, zajmij ich czymś, a ja skontaktuję się z lordem Sidousem. Porucznikowi opadła szczęka.

– Czyś ty oszalał? Nigdzie nie pójde! To są rycerze Jedi. Poślij androida!

Skinął pośpiesznie na TC-14, który uklonił się, zaskrzeczał coś w odpowiedzi i wyszedł.

Gunray wezwał Rune'a Haako, trzeciego członka neimoidiańskiej delegacji i zaprowadził obu towarzyszy do wydzielonego sektora mostku, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć ani podsłuchać, po czym uruchomił łącze holograficzne. Obraz uformował się po kilku sekundach: przedstawiał przygarbioną postać w ciemnym płaszczu z kapturem. Nie sposób było dostrzec jej twarzy. – O co chodzi? – z

głośników dobiegł zniecierpliwiony głos. Nute Gunray stwierdził nagle, że zaschło mu w gardle i nie jest w stanie wykrztusić ani słowa. Dopiero po chwili przemówił: – Ambasadorami Republiki są rycerze Jedi.

– Jedi? – powtórzył Darth Sidious wolno, z namaszczeniem.

Wyglądało na to, że spokojnie przyjął tę nowinę. – Jesteś tego pewien? Resztki odwagi, jakie zebrał Gunray specjalnie na tę chwilę, ulotniły się bezpowrotnie. Wlepił w Sitha przerażony wzrok i trwał tak niczym zahipnotyzowany. – Zostali rozpoznani, panie.

– Pański plan się nie powiódł, lordzie Sidious! – wybuchnął Daultay Dofine, jak gdyby nie mógł znieść przedłużającej się ciszy, jaka zapadła po słowach wicekróla. – To koniec blokady! Nie wystąpimy przeciw rycerzom Jedi!

Ciemna postać na hologramie przekreśliła lekko głowę:

– Czy to znaczy, że wolałbyś wystąpić przeciwko mnie, Dofine? To doprawdy zabawne. – Wrócił spojrzeniem do Gunraya. – Wicekrólu! Nute postąpił krok naprzód. – Słucham, mój panie? Głos Dartha Sidiousa przeszedł w złowrogi syk:

– Nie życzę sobie więcej oglądać tej ohydnej kupy śluzu. Czy to jasne?

Gunray złożył dłonie, żeby powstrzymać ich drżenie. – Tak jest, mój panie.

Odwrócił się do Dofine’a, który właśnie uciekał z mostku.

Twarz porucznika zdradzała najwyższe przerażenie, a płaszcz spowijał go niby żałobny całun.

Kiedy zniknął z pola widzenia, Darth Sidious odezwał się ponownie:

– Rozwój wydarzeń jest dla nas niezbyt szczęśliwy, ale nie ma tragedii. Musimy tylko przyspieszyć realizację naszych planów, wicekrólu. Proszę wydać żołnierzom rozkaz lądowania. Bezzwłocznie.

Nute zerknął pospiesznie na Haako, który najchętniej rozplątałby się w powietrzu.

– Oczywiście, panie, natychmiast, ale... Czy taki krok jest zgodny z prawem?

– Zadbam o to, żeby był, wicekrólu.

– Naturalnie. – Nute wziął szybki wdech. – A co z Jedi?

Darth Sidious jakby zapadł się głębiej w cień; jego twarz do reszty skryła się pod kapturem.

– Wielki Kanclerz nie powinien był ich w to mieszać. Zabijcie ich. Natychmiast.

– Tak jest, mój panie – przytaknął Gunray, ale hologram już rozmył się bez śladu. Nute przez chwilę jeszcze patrzył w miejsce, w którym wyświetlał się obraz, a potem rzekł do Haako:

– Wysadzić statek Jedi. Wyśle oddział robotów bojowych, który ich wykończy.

Qui-Gon i Obi-Wan spojrzeli na siebie z przeciwnych krańców długiego stołu.

– Czy Neimoidianie zawsze każą gościom tak długo czekać? – zapytał młodszy Jedi.

Zanim jednak jego mistrz zdążył mu odpowiedzieć, drzwi otworzyły się i stanął w nich android protokolarny z tacą zastawioną przekąskami i drinkami. Podszedł do stołu, postawił na nim tacę i podał każdemu z mężczyzn po szklance, po czym cofnął się i zastygł w oczekiwaniu. Qui-Gon dał znak ręką Obi-Wanowi i obaj pociągnęli po łyku napoju.

Mistrz skinął głową na robota, po czym podniósł wzrok na Obi-Wana.

– Wyczuwam niezwykle poruszenie, jak na zwyczajną dysputę o traktacie handlowym. Czuję również strach.

Obi-Wan odstawił szklanke na blat. – Może...

Ściany sali konferencyjnej zadrżały pod wpływem eksplozji; taca ześliznęła się na skraj stołu. Obaj Jedi zerwali się na równe nogi, wyszarpnęli zza pasa miecze świetlne i włączyli je. Android odsunął się pospiesznie, unosząc ręce, mamrocząc przeprosiny i rozglądając się na wszystkie strony. – Co się stało? – zapytał Obi-Wan nerwowo.

Qui-Gon zawahał się, zamknął oczy i wsłuchał się w siebie.

Nagle podniósł powieki.

– Zniszczyli nasz statek.

Rozejrzał się dookoła i w tej samej chwili usłyszał cichy syk, dobiegający z wywietrzników przy drzwiach.

– Gaz – ostrzegł Obi-Wana.

Przy wejściu podobne do ptaków stworzenia spadały jak kamienie na dno klatki.

Stojąc na mostku Nute Gunray i Rune Haako obserwowali na ekranie oddział robotów bojowych na krzywych, metalowych odnóżach, który właśnie pojawił się w korytarzu przed salą konferencyjną. Z miotaczami gotowymi do strzału podbiegły do drzwi; kierował nimi trzymająca się z tyłu holograficzna podobizna Gunraya.

– Z pewnością już zginęli, ale musimy się upewnić – powiedział wicekról i wyłączył hologram.

Neimoidianie nie odrywali wzroku od ekranu, gdy pierwszy z robotów otworzył drzwi i odskoczył. Obłok trującego, zielonkawego gazu wypłynął na korytarz i w pole widzenia automatów weszła, potykając się, wysoka sylwetka. – Przepraszam, panowie, tak mi przykro – bełkotał TC-14, przemykając wśród stłoczonych maszyn. W rękach trzymał tacę z rozlanymi drinkami i rozrzuconym jedzeniem.

W następnej chwili zza drzwi wyskoczyli Jedi z mieczami świetlnymi w dłoniach i natychmiast zaszarżowali na przeciwników. Dwa trafione przez Qui-Gona roboty rozprysnęły się chmurą metalowych odłamków, Obi-Wan zaś odbił ładunki miotaczy i uszkodził kilka innych maszyn. Wyciągnął przed siebie ramię z otwartą dłonią i następny robot rozbił się o ścianę. Dym i snujący się wszędzie gaz przesłoniły obraz na ekranie.

Na całym okręcie rozległy się sygnały alarmowe, wprawiając stalowe wnętrza w drżenie.

– Co się tam, do pioruna, dzieje? – pieklił się Nute Gunray.

Spojrzał pytająco na Haako, ten jednak pokręcił tylko głową. Jego oczy zdradzały lęk, kiedy się odezwał:

– Nie spotkał pan dotąd rycerzy Jedi, prawda?

– No... Nie, niezupełnie, ale nie rozumiem... – Syreny nie milkły i

nagle Nute Gunray poczuł zalewającą go falę paniki. Odciąć mostek! – wykrzyknął na cały głos.

Rune Haako cofnął się od drzwi, które zaczęły się zamykać. – To nie wystarczy – szepnął sam do siebie. Nikt go nie słyszał.

W chwilę później Jedi znaleźli się w korytarzu pod drzwiami na mostek, pozbywając się ostatnich droidów, które jeszcze zagradzały im drogę. Walczyli jak jeden sprawny wojownik, którego nie sposób powstrzymać i który w dodatku potrafi przewidzieć chyba wszystkie formy ataku. Miecze świetlne śmigały i cięły wroga w kolorowych rozbłyskach; roboty i miotacze rozpadały się na kawałki.

– Sprowadzić roboty niszczyciele! – wrzasnął Nute Gunray, kiedy jeden z rycerzy zaczął rozcinać drzwi mieczem. Ciarki przebiegły mu po plecach, a w gardle ścisnęło go tak, że z trudem mówił. – Zamknąć grodzie! Jedna po drugiej pancerne grodzie zaczęły się z sykiem zatraskiwać. Załoga bez ruchu wpatrywała się w ekran, na którym rycerze Jedi kontynuowali atak, cięli mieczami grodzie i wypalali stalobeton niczym masło. Zewsząd dobiegały pełne niedowierzania pomruki, które Nute usiłował uciszać wściekłym rykiem. Z przecinanej grodzi trysnęły strugi iskier i pośrodku, w miejscu, w którym starszy rycerz zatopił miecz prawie po rękojeść, pojawił się czerwony punkcik.

Nagle ekran poczerniał. Metal na środku grodzi stopił się i zaczął skapywać na ziemię.

– Przebijają się – wyszeptał Rune Haako. Zgarnął powłóczyście szaty i odsunął się jeszcze dalej od drzwi.

Wicekról Nute Gunray nie zareagował. To niemożliwe! – myślał. – Niemożliwe!

Qui-Gon walił z całej siły w gródź, zdecydowany przebić się do neimoidiańskich zdrajców, gdy wtem instynkt ostrzegł go, że niebezpieczeństwo zagraża mu z innej strony.

– Obi-Wanie! – krzyknął. Jego uczeń natychmiast odwrócił się w jego stronę. – Roboty niszczyciele!

Młody Jedi uśmiechnął się i skinął głową.

– Można chyba nieoficjalnie stwierdzić, że fazę negocjacji mamy już za sobą – rzekł.

Za zakrętem korytarza pojawiły się roboty niszczyciele, przypominające olbrzymie metalowe koła. Zbliżały się bezszelestnie, rozkładały pajęczne nogi i powykrzywiane ramiona, w które wbudowano lasery. Zgięte kręgosłupy rozprostowały się i roboty stanęły w pozycji pionowej. Opancerzone łby pochyliły się w przód. Roboty wyglądały złowrogo, śmiercionośnie, jak maszyny zbudowane w jednym, jedynym celu.

Wyłoniły się zza ostatniego zakrętu i natychmiast otworzyły ogień z karabinów laserowych. W otwartej przestrzeni skrzyżowały się dziesiątki zabójczych promieni. Kiedy lasery zgasły, roboty ruszyły naprzód w poszukiwaniu ofiar.

Przed grodzią było pusto. Rycerze Jedi zniknęli bez śladu.

Nute Gunray i Rune Haako patrzyli, jak obraz wraca na ekran.

Roboty niszczyciele wróciły do postaci spoczynkowej, na powrót upodabniając się do stalowych kół i pomknęły korytarzem w poszukiwaniu zbiegów. – Uciekają – wysapał Haako, wciąż nie mogąc uwierzyć we własne szczęście.

Gunray nic nie powiedział – tak niewiele brakowało... Zresztą to bez sensu, żeby musieli walczyć z Jedi; cała sprawa miała wymiar wyłącznie handlowy, nie polityczny. Federacja Handlowa miała absolutną słuszość sprzeciwiając się idiotycznej decyzji Senatu o opodatkowaniu szlaków handlowych, skoro nie istniały ku temu żadne prawne powody. Z faktu, że Neimoidianie znaleźli sprzymierzeńca, który był gotów stanąć u ich boku, doradził blokadę i wymuszenie cofnięcia sankcji, nie wynikało jeszcze, że należy wezwać rycerzy Jedi.

Wicekról przygarbił się i całą uwagę poświęcił porządkowaniu szat, by ukryć drżenie rąk, gdy przeszkodziło mu w tym wywołanie ze znajdującego się za nim centrum łączności:

– Wicekrólu, mamy transmisję z miasta Theed na Naboo. Ekran przekazujący obraz z planety zamrugał i pojawiła się na nim twarz

kobiety: była młoda, blada, piękna i spokojna. Ciemno-karminowa smużka zdobiła jej dolną wargę, na głowie zaś pysznił się złoty diadem. Kobieta przyglądała się Neimoidiaiom jakby z wielkiej wysokości, całkowicie dla nich niedostępna i nieosiągalna.

– Królowa Amidala we własnej osobie – wyszeptał Rune Haako, stojący tuż poza polem widzenia holokamery.

Nute Gunray skinął głową i podszedł bliżej.

– Czyli nareszcie doczekaliśmy się konkretnych wyników odparł również szeptem i stanął tak, by królowa mogła go widzieć.

Amidala w odświętnych szatach siedziała na ozdobnym tronie, ustawionym na podwyższeniu, w otoczeniu pięciu dam dworu odzianych w szkarłatne płaszcze z kapturami. Patrzyła wicekrólowi prosto w oczy, studiując wyraz jego twarzy.

– To prawdziwa przyjemność dla całej Federacji Handlowej, że Wasza Wysokość zechciała się z nami porozumieć – zaczął gładko Gunray. – Będzie panu mniej przyjemnie, gdy usłyszysz pan to, co mam do powiedzenia – osadziła go w miejscu królowa. – Bojkot handlowy Naboo dobiegł końca.

Nute nie dał po sobie poznać zaskoczenia, uspokoił się i uśmiechnął się półgębkiem do Rune'a. – Czyżby, Wasza Wysokość? Nie miałem pojęcia...

– Słyszałam, że Senat będzie nad tym wreszcie głosował – mówiła dalej Amidala, ignorując słowa wicekróla.

– Chyba Wasza Wysokość zna już wynik głosowania, prawda? – Nute poczuł ogarniającą go falę z wątpienia. – Zastanawiam się tylko, po co w ogóle się w to bawią.

Królowa pochyliła się lekko, a w jej piwnych oczach mignął złowrogi błysk. – Mam już dość tego udawania, wicekrólu. Wiem, że na po – kładzie pańskiego statku znajdują się ambasadorowie Wielkiego Kanclerza i że przykazano panu zażegnać kryzys. Jakie więc będą warunki?

Pewność siebie opuszczała Gunraya z sekundy na sekundę – Nic minie wiadomo o żadnych ambasadorach – odrzekł. Wasza Wysokość się myli. Na obliczu królowej na moment pojawił się wyraz zaskoczenia. – Proszę uważać, wicekrólu – powiedziała cicho. – Tym

razem Federacja posunęła się za daleko.

Nute pokręcił gwałtownie głową i przeszedł do defensywy: – Ależ, Wasza Wysokość, nigdy nie zrobilibyśmy nic wbrew woli Senatu. To tylko zbyt odważne domysły.

Amidala nawet nie drgnęła; nie spuszczała z niego wzroku, jak gdyby umiała przeniknąć go i poznać prawdę, którą przed nią ukrywał. Nute czuł się jakby był ze szkła.

– Przekonamy się – powiedziała.

Obraz zniknął. Nute Gunray odetchnął głęboko; wolał nie zastanawiać się nad tym, jak czuł się w obecności tej kobiety. – Ona ma rację – zauważył stojący u jego boku Rune Haako.

– Senat nigdy się nie zgodzi...

Wicekról przerwał mu unosząc dłoń.

– Za późno – powiedział. – Inwazja już się rozpoczęła. Rune Haako zamilkł na dłuższą chwilę, po czym zapytał: – Sądzi pan, że królowa spodziewa się ataku?

– Nie wiem, ale wolę nie ryzykować. – Wicekról odsunął się od niego. – Musimy działać szybko i zacząć od odcięcia łączności na planecie, dopóki nie zakończymy operacji!

W głównym hangarze Qui-Gon Jinn i Obi-Wan Kenobi przycupnęli przy wylocie okrągłego szybu wentylacyjnego. Przed nimi stało sześć olbrzymich, opatrzonych podwójnymi skrzydłami okrętów desantowych, wokół których rozstawiono mrowie transporterów, podobnych do trzewików z pękatymi noskami. Umieszczone z przodu maszyn szerokie wrota stały otworem i tysiące srebrzystych obiektów równym szykiem wtaczało się do środka, wprost w przygotowane uchwyty.

– Roboty niszczyciele – rzucił szeptem Qui-Gon Jinn; w jego głosie brzmiało autentyczne zdumienie i przerażenie. – Wojsko gotowe do inwazji – stwierdził Obi-Wan.

Czas jakiś obserwowali załadunek automatów, liczyli statki i roboty, znikające z wolna w trzewiach desantowców, szacowali wielkość armii. – Federacja stosuje dziwną zagrywkę – zauważył Qui-

Gon.

– Musimy ostrzec mieszkańców Naboo i skontaktować się z kanclerzem Valoremem.

– Lepiej będzie stąd zniknąć – dodał Obi-Wan i pokiwał głową.

– Może moglibyśmy zabrać się z nimi na dół. – Mistrz spojrzał badawczo na ucznia.

– Po tym, jak nas tu przyjęli, przynajmniej tyle mogliby dla nas zrobić – zgodził się Obi-Wan i prychnął. – W jednej kwestii się nie myliłeś, mistrzu. Negocjacje nie trwały długo.

Qui-Gon Jinn uśmiechnął się i dał mu znak, żeby szedł przodem.

ROZDZIAŁ

4

Mglisty zmierzch, kładący się srebrzysto-szarymi smugami na zielonej Naboo, zdawał się, trwać bez końca. Okręty desantowe Federacji spłynęły z czerni kosmosu i zaczęły wolno opadać na powierzchnię planety. Trzy maszyny oddzieliły się od reszty i bezgłośnie wynurzyły z chmur, przesłaniających szmaragdowy glob. Przebijając mgłę przypominały statki-widma, chwilę później jednak zaczęły jeden po drugim materializować się na skraju rozległego, mętnego bagniska. Osiadły na brzegu czarnych wód, a wówczas w metalowych kadłubach otworzyły się wrota, przez które wyjechały pękatonose transportery.

W pewnej odległości od miejsca ich lądowania Obi-Wan Kenobi wynurzył głowę z wody, wziął głęboki wdech i ponownie zniknął. Za chwilę pojawił się znowu, dalej, i tym razem obrzucił flotę inwazyjną baczynym spojrzeniem: dziesiątki transporterów, pełnych robotów niszczycieli i czołgów, formowały szyk; niektóre unosiły się nisko nad mokradłami, inne siadały bezpiecznie na stałym lądzie.

Daleko z lewej, w oparach mgły, Obi-Wan dostrzegł wśród drzew szybko poruszającą się sylwetkę Qui-Gona. Jeszcze raz nabrał powietrza w płuca, zanurzył się i ruszył pod wodą na spotkanie mistrza.

Qui-Gon Jinn przemykał wśród zarośli niczym duch, wsłuchany w chrzęst metalu i trzask łamanych gałęzi za plecami, gdzie transportery Federacji ru szyły przez gąszcz. Głębokiemu, ciężkiemu skowytowi silników towarzyszyło wysokie bzyczenie STAP-ów – czyli ruchomych

stanowisk ogniowych, sterowanych przez roboty bojowe i wykorzystywanych w charakterze zwiadowców. STAP-y śmigały nad wodną powierzchnią Naboo jak cienie, umykające przed masywnymi pojazdami.

Wokół Qui-Gona zaroilo się od rozmaitych zwierząt, które, wypłoszone z kryjówek, rzuciły się do ucieczki: ikopi, fulumpasety, motty, peko peko – mistrz Jedi automatycznie przypominał sobie właściwe nazwy, poznane podczas przygotowań do podróży. Unikając stratowania przez pędzące na oślep, wystraszone stworzenia, rozejrzał się w poszukiwaniu Obi-Wana i znów ruszył szybkim krokiem, gdy za jego plecami z mgły wynurzył się transporter. Zaczynało mu brakować stałego lądu pod stopami i zaczął szukać sposobu obejścia rozciągającego się przed nim jeziora, gdy nagle, tuż przed sobą, dostrzegł dziwną, zabiokształną istotę. Przykucnęła w płytkiej wodzie, skulona nad świeżo otwartą muszlą, trzymaną w przednich łapach. Szybkimi mlaśnięciami wydłużonego jezora wylizwała wnętrze skorupy, odrzuciła ją i wstała na spotkanie Qui-Gona. Długie, płaskie uszy zwieszały się z oślizłego łba, a kaczki dziób poruszał się jeszcze z rozkoszą, smakując resztki posiłku. W wyłupiastych, umieszczonych u szczytu głowy oczach błysnęło zdumienie, kiedy stwór dostrzegł Jedi i towarzyszące mu zwierzęta, a następnie zrozumienie, gdy cień, przed którym uciekały, stał się dobrze widoczny. – O jejku, jejku – wymruczał stwór niezbyt wyraźnie, ale bez wątpienia w zrozumiałym języku.

Qui-Gon zagłębił się w gąszcz po lewej stronie dziwnej istoty, chcąc jak najszybciej zejść z drogi transportera. Stwór wytrzeszczył oczy i złapał go za połę płaszcz.

– Pomóc moja, pomóc! – krzyknął smutno, a jego gumowata twarz wykrzywiła się w grymasie strachu i rozpacz.

– Puszczaj! – warknął Qui-Gon, próbując uwolnić się z uchwytu. Bez skutku.

Transporter z grzmotem silników jechał wprost na nich, ślizgając się tuż nad bagnem, tłamsząc zielsko i burząc powierzchnię wody. Skierował się w stronę mistrza Jedi, który wciąż szamotał się ze stworem trzymającym się kurczowo jego płaszcz. Qui-Gon szarpnął

się w bok, ale niewiele mu to pomogło. W końcu, gdy znaleźli się dosłownie kilka metrów od podobnej teraz do olbrzymiego, walącego się budynku maszyny, mistrz Jedi pchnął przeciwnika w płytką wodę i całym ciężarem zwałił się na niego twarzą w dół. Transporter Federacji prześliznął się ponad nimi z ogłuszającym hałasem, a wywołane jego przejazdem wibracje niemal wgniotły ich w muł. Kiedy niebezpieczeństwo minęło, Qui-Gon wynurzył się z błota i z przyjemnością głęboko odetchnął. Uczepiony wciąż jego ręki stwór wstał wraz z nim; strużki wody ściekały mu z kaczego pyska. Obejrzał się przez ramię na transporter, a potem rzucił się na Qui-Gona i uścisnął go z całej siły. – O rety, o rety! – wykrzyknął wysokim, śpiewnym głosem. – Kocham cię, kocham cię na zawsze! – I zaczął całować Jedi po twarzy.

– Przestań! – ofuknął go Qui-Gon. – Co ty, mózgu nie masz?

Przez ciebie omal nie zginęliśmy!

Obcy sprawiał wrażenie urażonego.

– Nie ma mózgu? Przecież moja mówić!

– Z tego, że umiesz mówić, nie wynika wcale, że jesteś inteligentny – stwierdził Qui-Gon. – A teraz puść mnie wreszcie i zabieraj się stąd! Uwolnił się od stwora i ruszył przed siebie, rozglądając się czujnie. Z daleka wciąż dolatywało bzyczenie STAP-ów. Istota zawahała się, a potem ruszyła w ślad za nim.

– Nie, nie, moja zostać z tobą! Jar Jar wierny, pokorny gungański sługa. Twój przyjaciel, ja.

Mistrz Jedi zaszczyił go zaledwie przelotnym spojrzeniem, zajęty wypatrywaniem Obi-Wana.

– Dziękuję, ale to nie będzie konieczne – rzekł. – Lepiej zmykaj.

Gunganin imieniem Jar Jar z pluskiem rzucił się za nim; machał łapami i bezustannie kłapał dziobem.

– To konieczne! Bogi tego chcieć! Dług życia! Jar Jar Binks wiedzieć, bardzo na pewno.

Powietrze nad bagnem zawibrowało świstem STAP-ów i z mgły wynurzyły się dwie latające platformy ogniowe. Zniżyły lot, kierując się wprost ku uciekającemu przed nimi Obi-Wanowi. Roboty zrobiły ostry zwrot i szykowały się do ataku.

Qui-Gon wyszarpnął z za pasa miecz i machnięciem dał znak Jar Jarowi, żeby się nie zbliżał.

– Nie mam teraz czasu...

– Musieć moja zabrać... – Jar Jar urwał w pół zdania na dźwięk silników, a kiedy obejrzał się i zobaczył jak maszyny nurkują na Kenobiego, oczy znów rozszerzyły mu się ze strachu. Ojej, zaraz...

Qui-Gon złapał Gunganina i ponownie wrzucił twarzą w dół w błoto. – Siedź cicho – powiedział i włączył miecz świetlny. Stanął na szeroko rozstawionych, nogach, szykując się na spotkanie goniących Obi-Wana STAP-ów.

Jar Jar wystawił głowę nad wodę, – Zaraz zginać! – Wrzasnął.

Automaty otworzyły ogień z dział laserowych w tej samej chwili, gdy Obi-Wan dobiegł do stanowiska Qui-Gona. Mistrz Jedi odbił strzały ostrzem miecza, kierując je wprost w atakujące pojazdy. STAP-y eksplodowały deszczem rozpalonych, metalowych odłamków, które natychmiast utonęły, w moczarach.

Wyczerpany pościgiem Obi-Wan, otarł błoto z twarzy.

– Przepraszam, mistrzu. – Nie mógł jeszcze złapać tchu. Usmażyłem miecz w bagnie.

Sięgnął po miecz, którego ostrze było przypalone i poczerniałe. Qui-Gon wyjął mu go z ręki i bacznie obejrzał. Za jego plecami Jar Jar Binks wynurzył się z mętnej wody i ciekawie przyglądał się nowemu przybyszowi. – Znów zapomniałeś go wyłączyć, prawda? – zapytał łagodnie Qui-Gon. – Na to wygląda, mistrzu. – Obi-Wan pokiwał z zakłopotaniem głową. – Szybko się naładuje, ale trzeba go będzie wyczyścić. Sądzę, że to dobra nauczka, padawanie.

– Tak, mistrzu – odparł Obi-Wan pokornie i przyjął z powrotem miecz. Jar Jar przesunął się do przodu z pluskiem błoniastych stóp, Płaskie uszy majtały mu się bezładnie, a długie łapy podrygiwały, jakby mogły go ponieść w dowolnym kierunku.

– Znów moja ratować, co? – zapytał retorycznie Qui-Gon. Obi-Wan z niedowierzaniem wlepił w niego wzrok.

– A co to jest?

– Gunganin, tubylec. – wyjaśnił Qui-Gon, nie patrząc na żadnego z nich. – Nazywa się Jar Jar Binks. Zbierajmy się stąd, zanim nadleci

więcej STAP-ów.

– Więcej? – sapnął zmartwiony Jar Jar. – Jeszcze więcej? Qui-Gon ruszył już przed siebie równym truchtem; Obi-Wan podążał krok w krok za nim i dogonienie ich zajęło Jar Jarowi chwilę. Cały czas przewracał oczami i chlapał rozpaczliwie.

– Moja przepraszają, ale najbardziej najbezpieczniejsze miejsce to Otoh Gunga – rzucił z wysiłkiem, starając się zwrócić na siebie uwagę. Spoza otaczającej ich ściany mgły zewsząd dobiegało teraz jednostajne buczenie STAP-ów. – Otoh Gunga – powtórzył Jar Jar. – Tam się wychować. Bezpieczne miasto!

Qui-Gon zatrzymał się i spojrzał uważnie na Gunganina.

– Coś ty powiedział? Miasto? Jar Jar pokiwał z zapalem głową.

– Możesz nas tam zaprowadzić? Gunganin zmieszał się nagle.

– Och... ojej... Może moja nie brać was tam... Naprawdę, lepiej nie. Qui-Gon nachylił się nad nim z groźnym, wyrazem twarzy. – Nie? Jar Jar wyglądał, jakby wolał całkiem skryć się w bagnie.

Przełknął z wysiłkiem ślinę, otworzył pysk i zaraz go, zamknął, niczym łapiąca powietrze ryba.

– Wstyd, strasznie wstyd, ale... Chyba moja wygnali. Wyrzucili. Zapomnieć, że Boss Nass zrobić moja krzywda, jeśli moja wrócić. Okropna krzywda.

Basowy, pulsujący dźwięk przebił się przez bzyk STAP-ów i nasilał się we mgle coraz bardziej. Jar Jar rozejrzał się zaniepokojony. – Ojej, ojej...

– Słyszałeś? – zapytał cicho Qui-Gon i przytknął wyprostowany palec do kościstej piersi Gunganina. Jar Jar niechętnie skinął głową. – Mój przyjacielu, setki nieprzyjemnych maszyn zmierzają właśnie w naszym kierunku... – A kiedy cię znajdą, zmiażdżą cię, pokawałkują, a potem jednym strzałem unicestwią – dodał Obi-Wan z niekłamaną satysfakcją Jar Jar przewrócił oczami i przełknął z wysiłkiem.

– O jejkę, o jejkę. Wasza racja. – Zamachał rękoma. – Tutaj! Tędy. Pospieszcie się bardzo!

Ruszyli biegiem i natychmiast zniknęli we mgle.

Jakiś czas później obaj Jedi w towarzystwie Gunganina wynurzyli się z gęstej kępy bagiennych zarośli. Stanęli na skraju jeziora o wodzie tak mętnej, że prawie nie odbijała słabego światła zmierzchu. Jar Jar zgiął się wpół i oparł trójpalczaste dłonie na kolanach, usiłując złapać oddech. Jego podobne do gumy ciało wyginało się niewiarygodnie, gdy zerkał za drogę, którą przebyli; długie uszy plaskały donośnie. Obi-Wan pokręcił lekko głową, dając Qui-Gonowi do zrozumienia, co myśli o ich nowym znajomym; nie był zachwycony, że mistrz Jedi postanowił posłuchać tego głupawego stworzonka. W oddali wciąż rozbrzmiewał jednostajny grzmot silników transporterów. – Jak daleko jeszcze? – zagadnął Qui-Gon z naciskiem.

– Zejść pod wodę, dobrze? – Gunganin wyciągniętą ręką wskazał na jezioro.

Jedi spojrzeli po sobie i bez słowa dobyli z fałd ubrania miniaturowe aparaty tlenowe wielkości dłoni.

– Moja uprzedzać – zaznaczył Jar Jar, przynosząc wzrok z jednego rycerza na drugiego i z powrotem. – Gunganie nie lubić przybyszów. Nie będzie miłego powitania.

– Nie przejmuj się. – Obi-Wan wzruszył ramionami. – To i tak nie jest dla nas dzień miłych powitań.

– Chodźmy. – Qui-Gon skinął dłonią i wsunął do ust końcówkę aparatu. Gunganin wzruszył ramionami, jakby na znak, że nie bierze odpowiedzialności za to, co się może wydarzyć i skoczył: zrobił wariackie, podwójne salto w powietrzu i zniknął w odmętach. Jedi ruszyli za nim.

Popłynęli w głąb w ślad za smukłym Gunganinem; wyglądało na to, że znacznie swobodniej czuje się w wodzie, niż na lądzie: płynął z gracją, machał rytmicznie ramionami i wyginał całe ciało z wynikającą z doświadczenia wprawą. Schodzili coraz głębiej i głębiej pod powierzchnię, a towarzyszący im z początku blask zmierzchu gasł wolno za ich plecami. Wkrótce całe dostępne światło pochodziło z podwodnych źródeł, z których nie wszystkie byli w stanie dostrzec.

Mijała minuta za minutą, aż Obi-Wan zaczął się zastanawiać, czy na pewno podjęli właściwą decyzję, gdy nagle w oddali pojawiło się

nowe światło, które wkrótce okazało się być Otoh Gungą. Miasto było w istocie skupiskiem połączonych ze sobą bąbli, podobnych do olbrzymich balonów zacumowanych do skał. Im bardziej się zbliżali, tym wyraźniej rozróżniali poszczególne bańki, a także szczegóły znajdujących się w ich wnętrzu budowli oraz rysy twarzy Gungan, zajętych swoimi sprawami.

Jar Jar kierował się prosto ku jednemu z największych bąbli. Jedi płynęli tuż za nim. Kiedy dotarł do przezroczystego balonu, nacisnął jego powierzchnię dłońmi, aż ustąpiła i stopniowo – najpierw ręce, potem głowa, tułów, a na końcu nogi – przepuściła go do środka, po czym zamknęła się za nim bez śladu. Zdumieni rycerze poszli w jego ślady i przebili się przez dziwną membranę bez szczególnego oporu z jej strony.

Znaleźli się na wyniesionej w górę platformie, z której zejście prowadziło wprost na otoczony budynkami plac. Ściany bąbla emanowały równą, bladą poświatą, a powietrze nadawało się do oddychania. Kiedy ruszyli w dół, pierwsi Gunganie zwrócili na nich uwagę i rozbiegli się w panice, wszczynając alarm.

Wkrótce pojawił się oddział umundurowanych mieszkańców miasta, dosiadających dwunogich wierzchowców o ptasich pyskach, nieco nawet podobnych do samych Gungan. Były to, jak natychmiast skojarzył Qui-Gon, kaadu, biegacze bagienne o potężnych odnóżach, wyróżniające się wytrzymałością i wyczulonymi zmysłami. Żołnierze dzierżyli w dłoniach długie, nieprzyjemnie wyglądające elektryczne pałki, którymi rozpędzali zdezorientowany tłumek. – Hej tam, kapitan Tarpals! – Jar Jar wesoło pozdrowił dowódcę. – Moja wrócić.

– To znowu ty, Jar Jar Binks! – odparł poirytowany kapitan.

– Iść do Boss Nassa. Zobaczyć co on powie. Tym razem twoja mieć duża kłopoty.

Nie zwracając zupełnie uwagi na Jedi szturchnął pałką Jar Jara, który pod wpływem wstrząsu elektrycznego wyskoczył na pół metra w górę, po czym, mamrocząc coś pod nosem, roztarł obolałe miejsce.

Gungańska eskorta poprowadziła przybyszów przez miasto.

Pokonali kilka bąbli i łączących je przejść, aż dotarli do miejsca, które, jak oznajmił szeptem Jar Jar, nosiło nazwę „Wielkiej Wieży

Rady". Sala była okrągła, a na zewnątrz, po drugiej stronie membrany, pływały ławice drobniutkich rybek, błyszczących jak gwiazdy na nocnym niebie. W końcu pomieszczenia znajdowała się długa, półokrągła ława, której jeden fragment znajdował się nieco wyżej, niż reszta. Wszystkie miejsca zajmowali gungańscy urzędnicy w oficjalnych szatach. Przybyszów sprawnie przepchnięto przez tłum mieszkańców Otoh Gungi, którzy załatwiali tu własne sprawy. Najwyższe miejsce zajmował przysadzisty Gunganin, tak bardzo przytłoczony ciężarem własnego ciała i wieku, że trudno było sobie wyobrazić, iż kiedyś mógł wyglądać równie smukło, jak Jar Jar. Fałdy skóry spływały z jego cielska jak za luźne ubranie, szyję miał całkiem wciśniętą w ramiona, jego twarz miała zaś tak skwaszony wyraz, że Jar Jar skulił się i skurczył w sobie, gdy dano im znak, żeby podeszli.

Gunganie przyglądali się Jedi i mamrotali coś między sobą: – Czego wy chceć, przybysze? – zagrzemiał Boss Nass, przedstawivszy się uprzednio. Qui-Gon Jinn opowiedział mu całą historię – o tym, co przywiodło rycerzy na Naboo i o rozgrywającej się na powierzchni planety inwazji – po czym poprosił Gungan o pomoc. Rada starszych słuchała go cierpliwie i w milczeniu.

Boss Nass pokręcił głową, aż zatrzęsły się obwisłe fałdy skóry. – Wy się wynosić. Maszyny na górze to nie nasza sprawa.

– Armia robotów niszczycieli lada chwila zaatakuję Naboo – nie ustępował Qui-Gon. – Musimy ich ostrzec.

– Nie lubić Naboo! – zabułgotał rozdrażniony Boss Nass. Oni nie lubić Gungan, myśleć, że mądrzejsi niż my, że mieć takie wielkie mózgi. Nie mieć z nami nic wspólnego, bo my mieszkać w bagnie, a oni na górze. Od dawna.

To się nie zmienić przez jakieś maszyny.

– Kiedy wojsko opanuje już całą Naboo, żołnierze zejda tutaj i podbiją Gungan – ostrzegł cicho Obi-Wan.

Boss Nass zachichotał tylko.

– Nie, raczej nie. Rozmawiać z Naboo raz, może dwa w życiu; nigdy nie gadać z maszyną. Maszyny tu nie przyjsć. Nie wiedzieć, że Gunganie tu być! Reszta zgromadzonych zawtórowała mu pełnymi

aprobaty pomrukami, wychwalając jego mądrość. – Jesteście połączeni z Naboo – nalegał Obi-Wan z napięciem, nie rezygnując. – To, co stanie się z nimi, przydarzy się i wam. Musicie to zrozumieć. Boss Nass uciszył go skinieniem pulchnej dłoni.

– My nic nie wiemy o tobie, obcy, a Naboo nas nie obchodzić.

Zanim Obi-Wan zdążył zareagować, Qui-Gon wystąpił naprzód.

– Pomóżcie nam zatem szybko opuścić to miejsce – rzekł i uczynił dłonią niedbały ruch, wprost na wysokości oczu gungańskiego wodza, przywołując moc umysłu Jedi.

Boss Nass wlepił w niego wzrok i skinął głową.

– My pomóc wam stąd odejść. Qui-Gon wytrzymał jego spojrzenie. – Musimy się dostać do Theed.

– Nie ma sprawy. – Boss Nass pokiwał jeszcze parę razy łbem. – Dać wam bongo. Najszybsza droga do Naboo – przez środek. Iść już.

– Dziękuję za pomoc. – Qui-Gon się cofnął. – Odejdziemy w pokoju.

Jedi odwrócili się i skierowali ku wyjściu. Obi-Wan zapytał szeptem. – Co to jest bongo, mistrzu?

Qui-Gon popatrzył na niego i uniósł w zamyśleniu brwi. – Mam nadzieję, że to jakiś rodzaj statku.

Mieli właśnie opuścić Wieżę Rady, gdy przypadkiem wzrok ich spoczął na Jar Jarze Binksie, który stał smutno z boku i zakuty w kajdany oczekiwał wyroku. Qui-Gon zwolnił i spojrzał mu w oczy.

– Mistrzu... – zaniepokoił się Obi-Wan; zbyt dobrze znał Qui-Gona, żeby nie wiedzieć co się święci. Jedi podszedł do Jar Jara i spojrzał nań z bliska.

– Oni was wysłać do wielkiej dziury! – oznajmił złowrogo Gunganin i rozejrzał się, jakby w obawie, że ktoś niepowołany może usłyszeć jego słowa.

– Przez środek to straszne niebezpieczeństwo.

Qui-Gon pokiwał głową.

– Dziękuję, przyjacielu.

Jar Jar Binks smutno wzruszył ramionami.

– E tam, nie ma za co. – Posłał mistrzowi Jedi niepewny, pełen nadziei uśmiech. – Wy może mi pomóc.

Qui-Gon zawahał się.

– Mistrzu, czas ucieka – ponaglił go półgłosem Obi-Wan. Qui-Gon odwrócił się do swego ucznia, ale nie patrzył na niego, lecz gdzieś w dal. – Czas, który tu stracimy, może zaowocować później – powiedział. – Kto wie, czy Jar Jar jeszcze się nam nie przyda.

Zaniepokojony Obi-Wan pokręcił głową: zdawał sobie sprawę, że mistrz szybko wplątuje się w sprawy, które wcale nie wymagają jego interwencji, zbyt łatwo angażuje się w kłopoty innych. Nie raz i nie dwa zapłacił za to w Radzie Jedi. Pewnego dnia ta cecha przywiedzie go do zguby. Pochylił się do ucha Qui-Gona i szepnął: – Nie wolno się rozdrabniać.

Tym razem spojrzenie starszego rycerza spoczęło na nim. – Uważaj, młody Obi-Wanie – zbeszał go delikatnie Qui-Gon.

– Wrażliwość na żywą Moc nie jest twoją najmocniejszą stroną.

Młody Jedi tylko przez chwilę wytrzymał jego wzrok, a potem spuścił oczy. Bolesnie odczuł krytyczną uwagę. Qui-Gon odwrócił się tymczasem do niego plecami i wrócił przed oblicze Boss Nassa. – Co się stanie z Jar Jarem Binksem? – zapytał.

Boss Nass, który wdał się tymczasem w ożywioną dyskusję z urzędnikami, spojrzał na niego ze złością.

– Binks złamać prawo niewracania. Wygnanie. Być ukarany.

– Mam nadzieję, że kara nie będzie nazbyt surowa? – upewnił się Jedi. – Bardzo nam pomógł.

Z piersi Boss Nassa dobył się basowy, bulgoczący chichot. – My zatłuc go na śmierć i tyle.

Gdzieś z tyłu dobiegł żalostny skowyt Jar Jara; w całej sali rozległ się pomruk podekscytowanych głosów. Nawet Obi-Wan, który stanął już u boku mistrza, był wstrząśnięty.

Ale umysł Qui-Gona pracował na najwyższych obrotach.

– Będzie nam potrzebny pilot, żebyśmy dostali się przez środek do Theed – rzekł. – Uratowałem Jar Jara przed śmiercią, jest mi więc coś winien: ma wobec mnie dług życia.

Boss Nass umilkł i spojrzał Jedi w twarz. Zmarszczył czoło i wykrzywił usta w paskudnym grymasie. Głowa zapadła mu się jeszcze głębiej między ramiona, w fałdy cielska skrywające szyję. Wreszcie

odszukał wzrokiem nieszczęsnego Jar Jara i dał mu znak ręką.

– Binks?

Jar Jar posłusznie podszedł bliżej.

– Czy ten obcy naprawdę uratować ci życie?

Jar Jar pokiwał potakująco głową. Zwiesił smętnie uszy, ale w jego oczach zapłonęła iskierka nadziei.

– Wasi bogowie żądają, by spłacił ten dług – nalegał Qui-Gon, ponownie przesuwając dłonią przed oczyma Boss Nassa i odwołując się do Mocy. – Jego życie należy do mnie.

Wódz Gungan jeszcze tylko przez moment rozważał problem, a potem skinął głową na znak zgody.

– Jego życie – twoje. I tak nic niewarte. Puścić go.

Strażnik zdjął Jar Jarowi kajdany.

– Chodź, Jar Jar – powiedział Qui-Gon i odwrócił Gunganina przodem do wyjścia.

– Przez środek? – wysapał Jar Jar, nagle rozumiejąc, co się naprawdę wydarzyło. – Nie ma mowy. Woleć umrzeć tutaj, niż tam! Moja nie pójść... Ale Jedi wywlekli go już z sali i zniknęli Boss Nassowi z oczu.

Na mostku okrętu flagowego Federacji Handlowej Nute Gunray i Rune Haako stali pokornie przed hologramem Dartha Sidiousa. Nie spoglądali na siebie nawzajem i mieli szczerą nadzieję, że Sith nie wie, co myślą. – Inwazja przebiega zgodnie z planem, panie – oznajmił wicekról. Cieszył się, że obszerna szata i nakrycie głowy pomagają ukryć nerwowe drżenie mięśni, o jakie przyprawiał go widok zakapturzonej postaci. – Armia zbliża się do Theed.

– To dobrze, bardzo dobrze – odparł Darth Sidious spokojnie. – Za moją sprawą Senat grzebie się właśnie w procedurach prawnych. Zanim sprawa zostanie poddana pod głosowanie, nie pozostanie im nic innego, jak uznać fakt, iż nasza blokada przyniosła spodziewany efekt. Nute Gunray posłał Haako szybkie spojrzenie.

– Królowa szczerze wierzy w to, że Senat ją poprze – powiedział.

– Królowa Amidala jest młoda i naiwna. Z łatwością zdołamy ją

kontrolować. – Hologram zamigotał. – Świetnie się pan spisał, wicekrólu. – Dziękuję, mój panie. – Neimoidianin skłonił się i obraz jego rozmówcy zniknął.

Zapadła cisza. Gunray i Haako popatrzyli po sobie znacząco. – Nie powiedziałaś mu – rzucił oskarżycielsko Rune.

– O Jedi? – Gunray machnął niedbale ręką. – Nie było potrzeby mówić mu czegokolwiek, dopóki nie dowiemy się co się stało.

Rune Haako przyglądał mu się bacznie przez długą chwilę. – Nie, rzeczywiście nie ma potrzeby – przyznał i wyszedł z mostku.

ROZDZIAŁ

5

Obi-Wan Kenobi zgarbił się za sterami bongo, starając się rozszyfrować ich funkcje. Siedzący obok niego Jar Jar Binks bez przerwy bełkotał sam do siebie, a Qui-Gon siedział z tyłu i w ciszy obserwował ich poczynania. – Szaleństwo! – jęknął Jar Jar, gdy bongo zaczęło systematycznie oddalać się od migoczących słabym blaskiem kopuł Otoh Gungi i schodzić na większą głębokość.

Bongo okazało się małym, niezgrabnym pojazdem podwodnym, wyposażonym w silnik elektryczny, system nawigacji i fotele dla pasażerów. Przypominało rodzaj kałamarnicy o płaskich, odchylnych do tyłu płetwach pełniących rolę stateczników i umieszczonych przy rufie mackach, które, wprawione w ruch obrotowy, napędzały stateczek. Trzy opatrzone bąblowatymi kopułami przedziały pasażerskie rozmieszczono symetrycznie na powierzchni maszyny: dwa znalazły się na skrzydłach, trzecie zaś z przodu, na dziobie. Jedi i Gunganin znajdowali się w przedziale dziobowym. Obi-Wan Kenobi z własnej woli zaopiekował się sterami, a Jar Jarowi polecono kierować go w rejsie przez środek planety. Wyglądało na to, że cała Naboo jest podziurawiona podwodnymi tunelami, które, jeśli ktoś dobrze się w nich orientował, pozwalały znacznie skrócić czas podróży.

Alternatywą, jak pomyślał niewesoło Obi-Wan, mogło być równie dobrze skrócenie podrózników... o głowę.

– Zgubieni – wyjęczał ponuro Jar Jar i podniósł głowę znad ekranu systemu naprowadzającego. Spojrzał na Jedi, a uszy zafalowały mu niczym niezdarne skrzydełka. – Hej no, dokąd płynąć,

kapitan Quiggon?

– To ty jesteś naszym nawigatorem – zauważył starszy z rycerzy. Gunganin pokręcił głową.

– Moja? Twoja chyba śnić, bo moja nic, ale to nic zupełnie się na tym nie znać.

Qui-Gon położył mu rękę na ramieniu.

– Spokojnie, przyjacielu – powiedział. – Moc nas poprowadzi.

– Moc? Co to Moc? – słowa mistrza Jedi nie zrobiły chyba na Jar Jarze szczególnego wrażenia. – Strasznie wielka coś, ta Moc. Uratuje nas, co? Moja też?

Przerażony Obi-Wan zamknął oczy; dopraszali się o katastrofę, ale to Qui-Gon będzie musiał sobie z nią poradzić. Dla Kenobiego nie było tu miejsca: w końcu to stary Jedi postanowił zabrać Jar Jara ze sobą, i to bynajmniej nie dlatego, że Gunganin był doświadczonym nawigatorem – prawdę mówiąc, nie wykazywał szczególnych uzdolnień także w żadnej innej dziedzinie lecz dlatego, iż, tradycyjnie już lekceważąc zalecenia Rady, uznał znajomość z nim za pożyteczną.

Decyzja ta zarazem zadziwiła Obi-Wana i napełniła go lękiem.

Jego mistrz, zapewne największy z żyjących rycerzy Jedi, wiele znaczył na forum Rady, był znakomitym, dzielnym wojownikiem – a przy tym człowiekiem wielkiej łagodności i dobroci. Może właśnie ta ostatnia cecha przysparzała mu tylu kłopotów. Uparcie sprzeciwiał się decyzjom Rady w kwestiach, które Obi-Wan czasem uważał wręcz za niewarte zachodu; Qui-Gon miał własną wizję działania Jedi, natury ich służby i charakteru misji, które rycerz powinien podejmować – i nigdy nie wahał się postępować zgodnie ze swoimi wyobrażeniami.

Kenobi był młody, niecierpliwy i uparty i z pewnością nie osiągnął jeszcze takiego stopnia zespolenia z Mocą, jaki stał się udziałem Qui-Gona, ale wydawało mu się, że lepiej rozumie niebezpieczeństwo związane z wybujałymi ambicjami i wyznaczaniem sobie zadań ponad miarę. Qui-Gon był gotów porwać się na wszystko, jeśli tylko sprawę, której postanowił służyć, uznał za dostatecznie interesującą – mógł nawet położyć na szali własne życie. Tak stało się i tym razem. Obecność Jar Jara Binksa stanowiła ogromne ryzyko, a zarazem nie zanosilo się na to; by pogodzenie się z ryzykiem miało przynieść

choćby najmniejsze korzyści.

Gunganin pomruczał jeszcze trochę, zerkając bezustannie przez iluminator jak gdyby w poszukiwaniu znaku drogowego, który pozwoliłby mu przynajmniej udawać, że wie co robi. Obi-Wan zazgrzytał zębami. „Uspokój się”, nakazał sobie w myślach. „Nie wtrącaj się”.

– Masz, przejmij stery – polecił Jar Jarowi, wstał z fotela i przykucnął obok Qui-Gona.

– Mistrzu, – zaczął, nie mogąc się powstrzymać – dlaczego upierasz się przy zabieraniu z nami tego żalostnego stwora, kiedy do niczego nie będzie nam przydatny?

– Teraz rzeczywiście może tak wyglądać, Obi-Wanie. – Qui-Gon uśmiechnął się lekko. – Ale spójrz głębiej.

– Patrzyłem już wystarczająco głęboko! Nic tam nie ma! – Obi-Wan poczerwieniał ze złości. – Będzie nas tylko niepotrzebnie rozpraszał! – Na razie może i tak, lecz z czasem się to zmieni.

Obi-Wan zamierzał coś powiedzieć, ale mistrz uciszył go i mówił dalej: – Posłuchaj mnie, młodzieńcze. Moc skrywa tajemnice, które niełatwo jest odkryć. Jest wszechobecna, przenika wszystko, co nas otacza i wszystkie żyjące istoty są jej częścią. Nie zawsze jednak od razu widać, jakie są ich cele; zdarza się czasem, że najpierw trzeba wyczuć ów cel, by mógł on się później objawić. Obi-Wan nachmurzył się.

– Niektóre sekrety powinny pozostać sekretami, mistrzu rzekł i pokręcił głową. – A poza tym czy to zawsze ty musisz być tym, który je ujawnia? Wiesz co Rada sądzi na temat takiego... zbaczania z drogi. Być może ten jeden, jedyny raz ktoś inny powinien zająć się odkrywaniem tajemnic. Qui-Gon posmutniał nagle.

– Nie, Obi-Wanie: sekrety należy odsłaniać natychmiast, a drogą okreśną podążać, gdy tylko się na nią trafi. A jeśli zdarzy się tak, że to ty właśnie stoisz na skrzyżowaniu albo w sąsiedztwie kryjówki, nie wolno ci czekać, aż kto inny wykona za ciebie ruch.

Resztki poświaty Otoh Gungi zniknęły w mętnej toni i mroczne wody zamknęły się nad bongo niczym czarny obłok. Jar Jar Binks prowadził stateczek wolno naprzód; przestał już mamrotać i narzekać

i skupił się na sterowaniu. Włączył światła: szerokie, żółte snopy blasku wydobyły z ciemności falujące pasma wielobarwnych koralu.

– Cenię sobie twoje zdanie w tej materii, mistrzu – powiedział wreszcie Obi-Wan. – Nie mogę jednak przestać się martwić.

Jak w przypadku wszystkich rycerzy Jedi, talent Obi-Wana Kenobiego został szybko rozpoznany. Już w dzieciństwie odebrano chłopca rodzicom, więc zupełnie ich nie pamiętał – Jedi zastępowali mu rodzinę, a z nich Qui-Gon był mu najbliższy: Obi-Wan od kilkunastu lat uczył się pod jego kierunkiem i traktował go jak najbardziej zaufanego przyjaciela.

Qui-Gon rozumiał i podzielał Jego uczucia – dla niego Obi-Wan był jak syn, którego nigdy nie mógł mieć i który go przeżyje. Wiązał z chłopcem ogromne nadzieje, chociaż nie zawsze podzielał jego poglądy.

– Nie trać do mnie cierpliwości, Obi-Wanie – poprosił łagodnie. – Czasem nawet odrobina wiary czyni cuda.

Bongo płynęło koralowym tunelem – światło reflektorów padało czasem na zamykające się nad nimi szkarłatne i błękitne sklepienie. Ławice jaskrawo ubarwionych ryb przemykały wśród skał.

– Czy Gunganie prowadzą wojnę z Naboo? – zapytał Qui-Gon Jar Jara. Binks pokręcił głową.

– Nie ma wojny. Naboo i Gunganie nie walczyć. Może kiedyś, dawno temu. Teraz Naboo nie zbliżać się do bagno, Gunganie nie wychodzić na równina. Wcale się nie widzieć.

– Ale nie przepadają za sobą? – dopytywał się mistrz Jedi. Jar Jar prychnął w odpowiedzi.

– Naboo mieć takie wielkie głowy i myśleć, że lepsi niż Gunganie! Wielkie mi co!

Obi-Wan nachylił się do Jar Jara i spytał, wyglądając przez iluminator:

– Dlaczego cię wygnali.

Gunganin kilkakrotnie mlasnął.

– Długa historia, ale tak szybko... Moja... eee, no... niezdarna trochę. – Wygonili cię, bo jesteś niezdara? – wykrzyknął zdumiony Obi-Wan. Bongo skierowało się w dół między dwoma szerokimi

pólkami z koralu; ani Jedi, ani Gunganin nie zauważyli ciemnej sylwetki, która oderwała się od większego z występów i ruszyła ich śladem. Jar Jar zakreślił się niespokojnie na fotelu.

– Moja spowodować jeden czy dwa wypadek. Rozbić gasser, roztrzaskać bliber Bossa. Oni wtedy moja wygnać.

Obi-Wan nie bardzo wiedział, o czym mówi Jar Jar, zanim jednak zdążył dopytać się o co chodziło, rozległ się głuchy łomot, i coś uderzyło ciężko o kadłub bongo. Pojazdem rzuciło w bok. Olbrzymi skorupiak z mnóstwem nóg i rozdziawioną, zębatą paszczą zahaczył ich długim, giętkim jęzorem i ciągnął właśnie wprost do pyska.

– Opee! Morski zabójca! – wrzasnął Jar Jar. – Już po nas!

– Cała naprzód, Jar Jar – zakomenderował natychmiast Qui-Gon, patrząc jak masywne szczęki rozchylają się na ich przyjęcie.

Jar Jar spanikował i zamiast dodać gazu, wrzucił wsteczny bieg.

Bongo wleciało wprost do pyska olbrzymiego stwora i grzmotnęło o tylną ścianę gardzieli. Pojazdem zatrzęsło tak, że Jedi polecili na ścianę. Rzędy przerażających zębów zaczęły się zamykać. Lampki na pulpicie migają bezładnie.

– O jejku! – wysapał Jar Jar.

Obi-Wan wskoczył na fotel drugiego pilot.

– Dawaj stery! – krzyknął, złapał pokrętło przepustnicy i ster, i przestawił napęd na całą naprzód. Ku jego ogromnemu zdumieniu, pysk opee otworzył się w spazmatycznym szarpnięciu i bongo wystrzeliło przed siebie jak wystrzelone z działa.

– My wolni! Wolni! – Szalejący z radości Jar Jar podskakiwał na fotelu. Wystarczyło jednak spojrzeć przez ramię, by stwierdzić że ich szczęście miało zupełnie inną przyczynę, niż mogliby się tego spodziewać: opee znalazł się w pysku istoty, przy której wyglądał jak miniaturowa kraba: drapieżca o wydłużonym, uzbrojonym w pazurzaste łapy cielsku, zmiażdżył go w zębach i po kawałku z przyjemnością połknął.

– To potwór wodny! Sando! – jęknął Jar Jar i ukrył, twarz w dłoniach. Obi-Wan dodał gazu, starając się oddalić od nowego źródła zagrożenia. Sando zniknął w tyle, ale reflektory bongo migotały złowrogo. Stateczek zanurzył się głębiej, bliżej serca planety, gdy

nagle umieszczony w tylnej części kadłuba pulpit sterowniczy wybuchnął fontanną iskieł. Coś zgrzytnęło, w zewnętrznej powłoce pojawiły się rozdarcia i do środka zaczęła się sączyć woda. – Mistrzu – rzekł Obi-Wan, gdy wysoki gwizd silników gwałtownie przycichł. – Tracimy moc.

Qui-Gon pochylił się właśnie nad uszkodzonym pulpitem. – Spokojnie, jeszcze nic się nie stało.

– Nic się nie stało! – Jar Jar stracił panowanie nad sobą i zaczął dziko się miotać w fotelu, młóćąc ramionami na wszystkie strony. – Tam potwory! Tu cieknie, my tonąć bez silników! Wariat! Kiedy on uznać, że coś się stało? W tejże chwili wszystkie światła w bongo zgasły. Jar Jar Binks doczekał się odpowiedzi.

W sali konferencyjnej okrętu flagowego Federacji Handlowej hologram Dartha Sidiousa pochylił się złowieszczo nad Nutem Gumayem i Runem Haako. Wicekról i jego porucznik stali bez ruchu, nie odrywając wzroku od postaci lorda. Na gadzich twarzach i w pomarańczowych oczach nader wyraziście malował się paraliżujący ich lęk.

Odziany w czerń Darth Sidious patrzył wprost na nich spod kaptura. Skryta w cieniu twarz nie wyrażała żadnych emocji, ale jego sztywna sylwetka była aż nadto wymowna.

– Rozczarowujesz mnie, wicekrólu – wysyczał pod adresem Gunraya.

– Mój panie, jestem pewien, że wszystko... – obiekt jego złości próbował się bezskutecznie wytłumaczyć. – Co gorsza, sprzeciwiasz mi się! Twarz Neimoidianin przeszła makabryczną przemianę.

– Ależ nie, mój panie! Gdzież bym śmiał! Ci Jedi są bardzo... zaradni, to wszystko. Trudno ich zgładzić...

– Zatem żyją, wicekrólu?

– Nie, nie, panie, z pewnością zostali zabici. Z całą pewnością. Tylko...

Nie udało nam się tego potwierdzić... na razie.

Darth Sidious zignorował jego wyjaśnienia.

– Jeżeli żyją, pokażą się jeszcze, a wtedy, wicekrólu, masz mnie natychmiast o tym powiadomić. Osobiście się nimi zajmę. Nute Gunray wyglądał, jakby miał zapaść się pod ziemię pod ciężarem spojrzenia Sitha. – Oczywiście, mój panie – wykrztusił z trudem, gdy hologram już zniknął.

Obi-Wan walczył o utrzymanie kontroli nad uszkodzonym, dryfującym bongo, gdy nagle zniemacka obudziły się silniki i macki zaczęły się obracać. – Mamy zasilanie – westchnął z wdzięcznością Obi-Wan. Lampki na pulpicie zamrugały i po chwili rozbłysły równym światłem. W ślad za nimi zajaśniały reflektory, których blask, odbity od skalnych ścian i występów, niemal oślepił pasażerów. Jar Jar wrzasnął ze strachu: na wprost nich czaiła się kolejna bestia. Składała się głównie z kolców, łusek i zębów i wznosiła w obronnym geście koślawe, pazurzaste przednie łapy.

– Colo, szponiasta ryba! – zapiszczał Gunganin. – Wy, Jedi, lepiej coś zrobić! Gdzie Moc teraz?

– Spokojnie – rzekł łagodnie Qui-Gon i położył mu dłoń na ramieniu. Jar Jar podskoczył i zemdłał.

– Przedobrzyłeś – stwierdził Obi-Wan. Skreślił ostro i pomknął w mrok, byle dalej od stwora.

Nie musiał jednak nawet się oglądać, żeby wiedzieć, że Colo ruszyła w pościg za nimi. Znajdowali się w tunelu, który zapewne był jej kryjówką; mogli mówić o szczęściu, że dała się zaskoczyć. Obi-Wan wszedł w ostry zakręt, prowadzący do wylotu jaskini, pod licznymi zwieszającymi się z sufitu blokami skalnymi, które zapewniłyby im jaką taką osłonę. Coś uderzyło w kadłub, przytrzymało go, a po chwili wypuściło. Obi-Wan zwiększył moc. – No dalej, dalej! – szepnął.

Wyskoczyli z tunelu wprost w rozwartą pysk czekającego sando, który, kompletnie zaskoczony ich nagłym pojawieniem się, szarpnął łbem, dając Obi-Wanowi ułamek sekundy na ostry skręt w prawo. Szczęki sando nie zdążyły się zatrzasnąć, gdy przemknęli wśród wielkich jak wieżowce zębisk. Jar Jar zamrugał, jakby zaczynał

wracać do siebie, ale na widok kłów potwora natychmiast znów stracił przytomność.

Znalazłszy się poza zasięgiem zębów sando, bongo przyspieszyło i aż zadrżało, kiedy silniki zagrały z większą mocą. Tymczasem pędząca za nim colo nie skręciła w porę i trafiła wprost do paszczy większego drapieżnika. Zniknęła w czeluści, a szczęki natychmiast się zacisnęły.

Obi-Wan przyspieszył jeszcze bardziej, gdy w szczelinach między zębami sando przez moment mignęły mu resztki colo, które zresztą zaraz zniknęły bez śladu.

– Miejmy nadzieję, że nie jest bardzo głodny – zauważył Jedi, oglądając się przez ramię.

Chyba się nie mylił, bo bestia nie rzuciła się za nimi w pogoń. Ocućenie Jar Jara zajęło im dobrą chwilę, podwodna podróż zaś trwała jeszcze znacznie dłużej, jednakże przy pomocy – wątpliwej, bo wątpliwej, ale zawsze – Gunganina wynurzyli się wreszcie z mroku głębin ku powierzchni, którą prześwietlał słoneczny blask. Bongo wyskoczyło z lazururowej wody i otoczyły ich drzewa, zielone wzgórza i błękitne niebo. Obi-Wan skierował pojazd do najbliższego brzegu, zgasił silniki i zwolnił zaczep dziobowej kopuły. Qui-Gon wstał i powiódł wzrokiem dookoła.

– My bezpieczni – westchnął Jar Jar z ulgą i opadł wygodnie na fotel. – W porządku, co?

– To się jeszcze okaże – odrzekł mistrz Jedi. – Zabierajmy się stąd.

Wyskoczył z bongo na brzeg i ruszył przed siebie. Obi-Wan spojrzał znacząco na Jar Jara i podążył za Qui-Gonem.

Gunganin popatrzył z powątpiewaniem za oddalającymi się rycerzami. – Moja iść, iść z wami – wymruczał i popędził za nimi.

ROZDZIAŁ

6

Od wyścigu i spotkania ze starym pilotem upłynął niewiele ponad tydzień, gdy Watto wezwał Anakina do ciasnego, zakurzonego sklepiku i kazał mu udać się śmigaczem na Morze Wydm, żeby pohandlować co nieco z Jawami. Trudniący się zbieraniem wszelkich resztek na pustyni Jawowie oferowali kilka robotów na sprzedaż bądź na wymianę – i choć Watto nie zamierzał rozstawać się z twardą walutą, nie chciał też, by ewentualna okazja przeszła mu koło nosa. Anakin zaś nieraz już reprezentował go w interesach i Toydarianin zdawał sobie sprawę, że i w tej dziedzinie chłopak jest prawdziwym mistrzem. Niebieska twarz unosiła się w powietrzu na wprost twarzyczki młodego Skywalkera, a skrzydełka trzepotały bez ustanku.

– Przywieź mi to, czego potrzebuję, chłopcze! I nie zawieź mnie!

Powierzył Anakinowi rozliczne elementy silników i systemów naprowadzających, które mogły być atrakcyjne dla Jawów, a z którymi od biedy mógł się rozstać w zamian za sensowny komplet automatów. Chłopiec miał polecieć śmigaczem nad Morze Wydm, w południe spotkać się tam z mieszkańcami pustyni, załatwić co trzeba i przed wieczorem wrócić do domu. Watto kategorycznie zapowiedział mu, że ma się nie spóźniać; nie zapomniał mu jeszcze przegranego wyścigu i rozbitego ścigacza – i nie ukrywał tego.

– Roboty mogą przyjść pieszo, jeśli nie uda ci się wytargować sań grawitacyjnych. – Watto śmigał wokół Anakina i wydawał mu ostatnie polecenia. – Jeśli nie dadzą rady tyle przejść, i tak są dla mnie bezużyteczne! Peedunkel! I nie daj się oszukać, tu chodzi o moją

reputację!

Chłopiec wysłuchał go z uwagą, przytakując we właściwych momentach, tak jak przez lata nauczył się to czynić. Ranek jeszcze się na dobre nie rozpoczął i zostało mnóstwo czasu, żeby wykonać wyznaczone zadanie. Anakin nieraz już handlował z Jawami, wiedział więc jak postępować, żeby wyjść na swoje.

Kiedy wyszedł ze sklepu i udał się po śmigacz, przyszło mu na myśl, że Watto nie wie mnóstwa rzeczy na jego temat. Chcąc być zadowolonym z życia niewolnikiem należało wiedzieć więcej od swojego właściciela i wykorzystywać tę wiedzę przy każdej okazji, kiedy mogła być użyteczna. Fakt, Anakin umiał prowadzić ścigacz i rozbierać, a potem składać wszelkie urządzenia, które po takim zabiegu działały lepiej, niż dotychczas. Najlepiej jednak służyła mu zdolność przewidywania wydarzeń i reakcji ludzi na podstawie zmian ich nastroju, sposobu wysławiania się, temperamentu. Potrafił dostroić się do innych istot i wejść z nimi w kontakt tak bliski, że wiedział co myśli i co za chwilę uczynią. Umiejętność, ta świetnie sprawdzała się w kontaktach z Jawami – choć nie tylko – i dawała mu niewątpliwą przewagę. Anakin miał jeszcze kilka słodkich tajemnic, skrzętnie skrywanych przed Watto. Pierwszą z niespodzianek był android protokolarny, nad którego rekonstrukcją pracował w zaciszu własnej sypialni: wciąż brakowało mu powłoki i jednego oka, ale już teraz mógł wstać i chodzić, a procesory odpowiedzialne za intelekt i komunikację działały bez zarzutu. Z pewnością był gotów do wykonywania zajęć, które chłopiec dla niego przewidział a w szczególności mógł mu towarzyszyć podczas wycieczki na pustynię i podsłuchiwać rozmowy Jawów, których języka Anakin za dobrze nie znał. Dzięki temu chłopiec wiedziałby, czy nie próbują mu wcisnąć gorszego towaru. Watto nie miał pojęcia, jak bardzo zaawansowana jest praca nad androidem i nie istniało ryzyko, że dowie się, gdy razem udadzą się na Morze Wydm.

Drugi, znacznie ważniejszy sekret, dotyczył budowanego przez Anakina ścigacza. Zajmował się nim od blisko dwóch lat, zbierając tu i tam niezbędne części i składając z nich pojazd, na co dzień ukryty pod starą, brezentową płachtą na wysypisku śmieci, sąsiadującym z

dzielnicą niewolników. Matka przymykała na to oko, znając jego zapał do majsterkowania; nie widziała nic złego w tym, że w wolnym czasie zajmuje się ścigaczem, Watto zaś po prostu o nim nie wiedział.

Był to ze strony Anakina zaplanowany podstęp. Wiedział doskonale, iż gdyby okazało się, że ścigacz – tak samo jak i android – przedstawiają sobą jakąkolwiek realną wartość, Watto zaraz zażyczyłby sobie ich na własność. Dlatego też młody Skywalker stosował najróżniejsze przemyślnie wybiegi, by maszyna przypominała wyłącznie kupę złomu. Nikt by nie podejrzewał, że mogłaby się kiedyś wzbić w powietrze: ot, jeszcze jeden dziecinny projekt, jeszcze jedno chłopięce marzenie.

Ale dla Anakina Skywalkera ścigacz stanowił pierwszy etap w życiowym planie: chłopiec zamierzał zbudować najszybszą maszynę, jaka kiedykolwiek brała udział w wyścigach i wygrywać na niej za każdym razem, gdy stanie na starcie. Później planował skonstruować gwiazdny myśliwiec i polecieć nim na inne planety; zabierze ze sobą matkę, znajdą sobie nowy dom, a on zostanie najlepszym pilotem wszech czasów. Będzie dowodził wszystkimi rodzajami statków, a mama będzie z niego dumna.

A później, kiedy już tego wszystkiego dokona, oboje przestaną być niewolnikami.

Często o tym myślał – nie dlatego, że matka zachęcała go do podobnych refleksji ani żeby miał realny powód przypuszczać, iż faktycznie tak się stanie, lecz dlatego, że po prostu w to wierzył i w głębi duszy był święcie przekonany, że inaczej być nie może.

Teraz też się nad tym zastanawiał, lecąc śmigaczem ulicami Mos Espy. Android usadowił się na tylnym siedzeniu dla pasażera; wyglądał jak nieruchomy szkielet, gdyż nie miał zewnętrznej powłoki, a poza tym chłopiec wyłączył go na czas podróży. Anakin rozmyślał o wszystkim czego dokona, o miejscach, które odwiedzi, przygodach, które go czekają, sukcesach, z których będzie się cieszył i marzeniach, do których spełnienia sam doprowadzi. Wydostał się z miasta na pustynię, gdzie powietrze migotało z gorąca, a światło białym, oślepiającym płomieniem odbijało się od metalowych burt pojazdu.

Jakieś dwie standardowe godziny leciał prosto na północ, aż

dotarł na skraj Morza Wydm. Jawowie, z którymi Watto porozumiał się dzień wcześniej przez komunikator i ustalił szczegóły spotkania, powinni czekać na Anakina pod sterzącą pośrodku morza skalną Iglicą Mochota. Sprawdził gogle, rękawice i kask, po czym dodał gazu i ruszył przed siebie.

Jawowie istotnie już czekali; zaparkowali monstrualny piaskoczołg w cieniu Iglicy, a na skraju jego rampy zjazdowej ustawili w rzędzie wystawione na sprzedaż roboty. Anakin posadził śmigacz nie opodal drobnych, zakapturzonych postaci, które śledziły go bacznie wzrokiem: spod kapturów nieustannie zerkwały żółte oczy. Wysiadł, włączył androida i kazał mu iść za sobą, po czym razem przeszli wzdłuż szeregu robotów. Chłopiec przystawał przy każdym robocie i przyglądał mu się z udawanym zainteresowaniem. Doszedłszy do końca odciągnął androida na bok.

– Które są najlepsze, C-3PO? – zapytał. Poprzedniej nocy nadał automatowi numer: wybrał trójkę, gdyż android stał się trzecim – po matce i samym Anakinie – członkiem ich małej rodziny.

– Cóż, panie Anakinie, czuję się mile połączony, że w ogóle pyta mnie pan o zdanie, ale nigdy nie odważyłbym się podważać pańskiego opartego na wiedzy i doświadczeniu osądu. Moja opinia niewiele tu znaczy, aczkolwiek posiadam informacje o około pięciu tysiącach stu modelach robotów, z górami pięciu tysiącach procesorów wewnętrznych, dziesięciokrotnie większej liczbie obwodów pamięci oraz...

– Powiedz mi po prostu, które z nich są najlepsze! – syknął cicho Anakin. Zdążył już zapomnieć, że C-3PO jest przede wszystkim androidem protokolarnym i choć dysponuje ogromną wiedzą, woli pozostawiać decyzję ludziom, którym służy. – No więc, C-3PO? Od lewej, numerami.

Android podał mu swoje typy, po czym zagadnął niepewnie: – Czy życzy pan sobie, żebym przedstawił szczegóły ich konstrukcji i nominalne zastosowanie?

Na widok zbliżającego się wodza Jawów Anakin gestem uciszył robota. Targowali się przez jakiś czas; chłopiec starał się wyczuć, jak mocno może nacisnąć, na ile próbowano go oszukać i jak bardzo

zależy Jawom na towarze, który im proponuje. Okazało się, że najlepszych okazów nie wyprowadzono jeszcze z piaskoczołgu; C-3PO podsłuchał rzuconą mimochodem uwagę jednego z ludzików, którego zresztą wódz natychmiast wściekle zbeształ – ale stało się.

Pojawiły się więc dalsze trzy roboty. Anakin zabrał ze sobą androida i obejrzał je z bliska: prezentowały się całkiem nieźle i Jawowie nie mieli ochoty się z nimi rozstawać, dopóki w grę nie wchodziłaby choć częściowa zapłata w gotówce. Skywalker i wódz, obaj podobnej postury, długie chwile stali dosłownie nos w nos, spierając się na ten temat.

Po zakończeniu dyskusji Anakin oddał niespełną połowę przywiezionego towaru za dwa mechaniczne droidy w znakomitym stanie, trzy wielozadaniowe roboty, które z pewnością uda się naprawić i uszkodzony konwerter hipernapędu, którego wyremontowanie również nie powinno długo potrwać. Mógł kupić jeszcze dwie, może trzy maszyny, ale jakość tych, które pozostały do wyboru, nie uzasadniałaby pozbycia się większej ilości powierzonych mu towarów, a Watto od razu by to zauważył.

Jawowie nie mieli sań grawitacyjnych, więc Anakin ustawił nowe nabytki w rządku za śmigaczem, kazał C-3PO mieć na nie oko z tylnego fotela i ruszył w stronę Mos Espy. Dopiero minęło południe. Mała procesja przedstawiała dziwaczny widok: z przodu wolniutko podążał unoszący się tuż nad ziemią śmigacz, a za nim wlokły się roboty, miarowo przebierając kończynami. – Znakomita wymiana, panie Anakinie – zauważył uradowany C-3PO, nie spuszczać jedyne oko z automatów. – Należą się panu gratulacje! Myślę, że Jawowie dostali niezłą nauczkę; naprawdę pokazał im pan co to znaczy ostro się targować! Ten pierwszy android sam jeden jest wart więcej, niż... C-3PO trajkotał bez przerwy, ale Anakin słuchał go jednym uchem, a jego myśli po wykonaniu zadania szybowąły swobodnie. Mimo wolnego tempa marszu powinni po południu stanąć na skraju Morza Wydm, a przed zmierzchem dotrzeć do Mos Espy. Wystarczy mu czasu, żeby ukryć C-3PO w sypialni, a potem odstawić automaty i zwrócić Watto pozostały towar. Może w ten sposób ponownie wkupi się w łaski właściciela... Toydarianin z pewnością

ucieszy się z konwertera: trudno było zdobyć coś takiego w Mos Espie, a gdyby udało się go naprawić – co do czego Anakin nie miał nawet cienia wątpliwości – jego wartość przewyższyłaby wszystkie pozostałe zakupy razem wzięte.

Pokonali już centralną piaszczystą równinę i wspięli się na łagodne wzniesienie, stanowiące krawędź Parowu Xelric – szerokiego, płytkiego wąwozu, dzielącego na pół pasmo Mospic na skraju Morza Wydm. Śmigacz ześliznął się gładko nad dno parowu, a rozciągnięte w błyszczącą kolumnę roboty podążyły jego śladem i skryły się w cieniu. Temperatura od razu spadła o kilka stopni, a między skalnymi ścianami nawet cisza zdawała się mieć inne brzmienie. Anakin rozejrzał się czujnie; jak każdy mieszkaniec Mos Espy zdawał sobie sprawę z czyhających na wędrowców niebezpieczeństw, chociaż czasem zdarzało mu się, że pośrodku pustyni czuł się bezpieczniej niż w mieście. – Rodianie czterokrotnie przewyższali Huttów liczebnością w czasach, gdy osada zaczynała z wolna przeobrażać się w centrum handlowe z prawdziwego zdarzenia, ale nawet wówczas nie ulegało wątpliwości, że to ci ostatni są rasą dominującą. Rodianie równie dobrze mogli zostać w domu, zamiast ryzykować długi i raczej bezcelowy lot.

C-3PO mówił cały czas. Bez ingerencji Anakina zmieniał temat i nie wymagał od niego niczego, poza prawem do kontynuowania monologu. Chłopiec zaczął się nawet zastanawiać, czy android nie cierpi przypadkiem na syndrom depriwacji głosowej wskutek długiego okresu bezczynności. Androidy protokolarne słynęły ze zmienności nastrojów.

Nagle jego uwagę zwróciło coś po prawej stronie drogi: z początku tylko nieokreślona zmiana kolorystyki i niejasno rysujący się kształt, niemal ginący w cieniu. Kiedy jednak Anakin wyteżył wzrok, kształt nabrał znaczenia. Młody Skywalker skreślił ostro, a androidy posłusznie podążyły za nim. – Co pan robi? – C-3PO zdziwił się niepomiernie i przeniósł wzrok na Anakina. – Droga do Mos Espy prowadzi dnem wąwozu, nie zaś bokiem... O rety! Czy to rzeczywiście to, na co wygląda? Proszę pana, w najwyższym stopniu byłoby wskazane zawrócić i...

– Wiem – przerwał mu Anakin. – Chcę tylko zerknąć. C-3PO zamachał gwałtownie rękoma.

– Muszę stanowczo zaprotestować, panie Anakinie – stwierdził. – To w najwyższym stopniu nierozsądne. Jeśli mam rację, a muszę w tym miejscu nadmienić, iż prawdopodobieństwo takiego zdarzenia wynosi dziewięćdziesiąt dziewięć i siedem dziesiątych procenta, zmierzamy wprost ku... Chłopcu nie trzeba jednak było tłumaczyć, co ma przed sobą – już to wiedział: na ziemi w nienaturalnej pozie leżał tuskeński rozbójnik, na wpół zagrzebany pod stertą kamieni przy ścianie wąwozu. Nawet z tej odległości trudno byłoby nie rozpoznać stroju ludzi pustyni: luźne, burobrązowe odzienie, ciężkie rękawice i buty ze skóry, bandolier, pas, owinięta szmatami głowa, gogle, maska – i długi, dwuręczny miotacz, leżący o metr od wyciągniętej ręki. Świeży ślad wryty w osypisku świadczył o nieszczęśliwym upadku Tuskena z krawędzi kanionu; rozbójnik czatował zapewne w kryjówce na przypadkowych podróżnych, gdy grunt nagle usunął mu się spod stóp. Anakin zatrzymał pojazd i wyskoczył na piasek.

– Panie Anakinie, nie sądzę, by był to dobry pomysł! – skarcił go C-3PO. – Chcę tylko na niego zerknąć – powtórzył chłopiec.

Bał się trochę podejść bliżej: nigdy nie widział Tuskena z bliska, choć przez całe życie słyszał opowieści o ich wyczynach. Tuskenowie byli tajemniczym narodem zaciekle w boju koczowników; uznawali pustynię za swój dom i żyli z głupców, którzy nieprzygotowani wkraczali na ich terytorium. Przemierzali bezkresne piaski pieszo i na grzbietach oswojonych banthów, w sobie tylko znanym celu i kierunku; wedle uznania rabowali położone na odludziu domy, łupili nieostrożne karawany, kradli towary i terroryzowali wszystkich, którzy im się napatoczyli. Zdarzało się nawet, że i Huttowie padali ich ofiarą. Mieszkańcy Mos Espy, chociaż bynajmniej nie święci z natury, serdecznie nienawidzili Tuskenów.

Sam Anakin nie zdecydował się jeszcze, co powinien o nich sądzić. Opowieści o rabusiach brzmiały przerażająco, ale znał życie na tyle, by wiedzieć, że zawsze istnieje druga strona medalu, a zwykle słyszy się tylko o jednej. Fascynowała go dzika, nieposkromiona natura Tuskenów, życie bez granic i bez odpowiedzialności, w

społeczeństwie, w którym wszyscy są sobie równi. Wreszcie porzucił sąsiedztwo śmigacza i podszedł do leżącego. C-3PO nie ustawał w namawianiu go do odjazdu i nie szczędził mu ostrzeżeń. Ba, Ariakin wcale nie był przekonany, że android się myli, ale ciekawość zwyciężyła. Przecież jeden szybki rzut oka z pewnością nikomu nie zaszkodzi; zwyciężyła w nim chłopięca natura: będzie mógł powiedzieć kolegom, że na własne oczy widział jednego z ludzi pustyni i że wie już, jak wyglądają Tuskenowie. Mężczyzna leżał na brzuchu z rozrzuconymi ramionami i obróconą na bok głową. Skalne odłamki niemal całkowicie zasypały dolną część jego ciała, a jedną nogę miał przygniecioną solidnym głazem. Anakin podszedł do Tuskena od tej strony, gdzie leżał miotacz, po czym szybko sięgnął po broń: była ciężka i niezgrabna, a jej użycie musiało wymagać sporej siły. Uwagę chłopca zwróciły dziwne ryty na kolbie, które wziął za symbole plemienne – podobno Tuskenowie dzielili się na szczepy.

Nagle rozbójnik poruszył się, podciągnął pod siebie jedną rękę, zebrał siły i uniósł opatuloną zawojem głowę. Przez matowe gogle spojrzał wprost na Anakina. Chłopiec odruchowo się odsunął, ale Tusken oceniwszy sytuację odwrócił wzrok. Jego głowa znów opadła na piasek.

Młody Skywalker czekał, co będzie dalej, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Wiedział za to co powiedziałaby Watto:

„Uciekaj! Ale już!”. Odłożył miotacz; to nie była jego sprawa. Cofnął się o krok, potem jeszcze jeden.

Tusken ponownie z wysiłkiem poruszył głowę i popatrzył na chłopca; Anakin wytrzymał jego spojrzenie i zorientował się, że rabuś cierpi: czuł rozpacz i bezradność osoby uwięzionej pod ogromnym głazem, bezbronnej i zniewolonej. Zmarszczył brwi. Czy matka też kazałaby mu się stąd zabierać? A jeśli nie, to co by powiedziała?

– 3PO! – krzyknął do androida. – Przyrowadź tu resztę. Robot zrzędził nieustannie, ale posłusznie zebrał świeżo zakupione roboty i sprowadził je do miejsca, z którego Anakin obserwował Tuskena. Chłopiec rozkazał im usunąć pomniejszych kamienie, a następnie znalazł jakiś drąg i używając go w charakterze dźwigni, którą nacisnął całym ciężarem śmigacza, podważył największy głaz na tyle, żeby

automaty wyciągnęły rannego. Tusken na chwilę odzyskał przytomność, ale nie trwało to długo. Anakin kazał więc robotom przeszukać go czy nie ma broni i odsunął miotacz poza zasięg rąk mężczyzny. Roboty ułożyły go na plecach, Skywalker miał więc okazję przyjrzeć się jego ranom. Noga, na którą spadł najcięższy kamień, została zmiażdżona: kość pękła w kilku miejscach i wyzierała spod rozdartego ubrania. Anakin nie znał fizjologii Tuskenów i nie mógł stwierdzić, jak pomóc rannemu. Ograniczył się więc do założenia mu na nogę szybko schnących łubków z apteczki śmigacza.

Usiadł i zaczął się zastanawiać, co należałoby zrobić. Dzień zbliżał się ku końcowi; zbyt dużo czasu strawił ratując Tuskena i nie miał już szans zdążyć do Mos Espy przed nocą. Zdążyłby może dotrzeć na skraj morza, lecz tylko pod warunkiem że zostawiłby rannego na pastwę losu. Spochmurniał: biorąc pod uwagę to, jakie stwory włóczyły się po pustyni po zmroku, równie dobrze mógł od razu pogrzebać Tuskena i przestać się nim przejmować. Kazał więc robotom wyciągnąć z śmigacza mały oświetlacz.

Kiedy na dobre się ściemniło, uruchomił go i podłączył dodatkowy zbiornik paliwa, żeby do rana światło nie zgasło. Otworzył stary pakiet suszonego pożywienia i zaczął bez przekonania przeżuwać, nie odrywając oczu od nieprzytomnego Tuskena. Myślał o tym, że mama będzie się martwić, a Watto z pewnością się wścieknie. Oboje jednak wiedzieli, że da sobie radę i wstrzymają się do rana z rozpoczęciem poszukiwań. A miał nadzieję, że do tego czasu będzie już w drodze do domu. – Myślisz, że wydobrzeje? – zapytał androida.

Odstawił śmigacz i kupione roboty pod ścianę wawozu, za oświetlaczem, gdzie nie było ich widać, ale zostawił sobie C-3PO żeby dotrzymywał mu towarzystwa. Siedzieli skuleni blisko siebie naprzeciw Tuskena.

– Obawiam się, że brakuje mi zarówno odpowiedniego przeszkolenia medycznego, jak i informacji, by postawić diagnozę, proszę pana – rzekł C-3PO i przekreślił lekko głowę. – Z pewnością zrobił pan wszystko, co w pańskiej mocy. – Zamyślony chłopiec pokiwał tylko głową. – Panie Anakinie, naprawdę nie powinniśmy się tu zapuszczać po nocy – dodał po chwili android. – To raczej

niebezpieczna okolica. – Przecież nie możemy go tak zostawić, prawda?

- No cóż, doprawdy, trudno to jednoznacznie stwierdzić.
- I nie możemy go zabrać.
- Z całą pewnością!

Zapadła cisza. Anakin patrzył na śpiącego Tuskena z takim napięciem i tak długo, że właściwie zdziwił się, gdy tamten wreszcie się ocknął. Chłopiec kompletnie się tego nie spodziewał: rabuś niezdarnie, przetoczył się na bok, sapnął, podparł się ręką, popatrzył po sobie, a potem przeniósł wzrok na Anakina, który nawet nie drgnął. Tusken przyglądał mu się dobrą chwilę, a potem wolno podciągnął się do pozycji siedzącej. Złamaną nogę trzymał wyprostowaną przed sobą.

– Ehmmm... Cześć – rzekł Anakin i zmusił się do uśmiechu. Tusken nie zareagował.

- Chcesz pić? – zagadnął chłopiec. Bez odpowiedzi.
- Chyba nas nie lubi zauważył C-3PO.

Anakin jeszcze parokrotnie próbował zagaić, ale mężczyzna konsekwentnie go ignorował. Tylko raz oderwał wzrok od twarzy chłopca i zerknął na oparty o ścianę za jego plecami miotacz. – Powiedz do niego coś po tuskeńsku – rozkazał wreszcie Anakin androidowi.

C-3PO posłuchał go i wygłosił długą przemowę w języku nomadów, ale i on nie doczekał się odpowiedzi. Tusken tylko patrzył na Anakina, w pewnym momencie przerwał jednak androidowi i rzucił jedno krótkie słowo.

- Ojej! – wykrzyknął C-3PO.
- Co powiedział? – zainteresował się chłopiec.
- Ależ... Kazał mi się zamknąć!

Na tym właściwie skończyły się próby nawiązania rozmowy; Anakin i obcy przyglądali się sobie bez słowa. Siedzieli w kręgu jasności z oświetlacza, a zewsząd otaczała ich czerń nocnej pustyni. Skywalker złapał się na tym, że zastanawia się, co by zrobił, gdyby Tusken go zaatakował. Było to mało prawdopodobne, ale przecież był potężnie zbudowany i silny i gdyby tylko dosięgnął chłopca, z

łatwością by go pokonał i odzyskał miotacz, a wtedy Anakin byłby zdany na jego łaskę.

Nie mógł się jednak oprzeć wrażeniu, że Tusken nie ma takiego zamiaru: nie starał się poruszyć i nie zanosił się na to, żeby w najbliższym czasie chciał zmienić pozycję. Po prostu siedział zatopiony w myślach, otulony opończą, z twarzą osłoniętą zawojem.

Wreszcie przemówił. Anakin zerknął szybko na C-3PO.

– Chce wiedzieć, co pan z nim zrobi – przetłumaczył słowa mężczyzny android.

Zmieszany Anakin przeniósł wzrok z powrotem na obcego. – Powiedz mu, że nic – rzekł. – Pomagam mu tylko wrócić do zdrowia.

C-3PO przełożył jego słowa. Tusken wysłuchał go, ale nie powiedział już nic więcej.

I nagle Anakin zrozumiał, że mężczyzna się boi: wyczuwało się to w sposobie, w jaki przemawiał, w napięciu mięśni... Był bezbronny i okaleczony, a jego dalszy los zależał od Anakina. Chłopiec rozumiał to uczucie, ale fakt ten wcale nie umniejszał jego zdumienia: strach nie pasował do wizerunku ludzi pustyni, którzy niczego się przecież nie lękali. A poza tym on sam nie czuł strachu przed Tuskenem; może powinien być, ale nie czuł.

Anakin Skywalker niczego się nie bał.

Czy aby na pewno?

Zastanowił się nad tym, patrząc w matowe gogle Tuskena.

Rzeczywiście, zazwyczaj wydawało mu się, że nic go nie przestraszy, że nigdy nie znajdzie się w sytuacji, w której zawiodłaby go odwaga. Jednakże w najtajniejszym zakątku duszy, tam, gdzie skrywał wszystkie sekrety, których z nikim nie chciał dzielić, zdawał sobie sprawę, że sam się oszukuje. O siebie mógł się nie obawiać, ale czasem okropnie bał się o matkę. Co by zrobił, gdyby jej miało się coś stać? Coś okropnego, coś, czemu nie mógłby zapobiec?

Przebiegł go lodowaty dreszcz. A gdyby miał ją stracić?

Ile zostałoby z jego odwagi, gdyby zabrakło osoby najbliższej mu w całym bezkresnym wszechświecie? Oczywiście nigdy się tak nie stanie; to niemożliwe.

Ale gdyby jednak...

Patrzył tak na tuskeńskiego rabusia i czuł, jak jego pewne siebie „ja” zaczyna drżeć niby targany wiatrem listek.

W końcu zasnął – i śniły mu się rozmaite rzeczy. Sny przenikały się bez uprzedzenia, zmieniały fabułę i znaczenie. Najpierw Anakin był rycerzem Jedi i stawiał czoło zagrożeniu tak mrocznemu i nieokreślonymu, że nie potrafił powiedzieć czym w istocie jest; później przeobraził się w pilota międzygwiazdowego statku, podróżującego w nadprzestrzeni i w jednym rejsie pokonał odległość dzielącą całe układy planetarne; jeszcze później stał się wielkim dowódcą, którego wszyscy się bali: wrócił na Tatooine, a walczące pod jego komendą oddziały niosły wolność wszystkim niewolnikom. Matka czekała na niego z rozłożonymi ramionami, ale kiedy usiłował ją uściskać, zniknęła.

W snach nie zabrakło i ludzi pustyni: pojawili się pod koniec, niewielu, dosłownie garstka i stanęli przed nim, trzymając gotowe do użytku miotacze i gaffi. Przyglądali mu się w milczeniu, jak gdyby niepewni, co mają z nim zrobić.

Anakin obudził się, poruszony nagłą świadomością grożącego mu niebezpieczeństwa. Usiadł gwałtownie i wystraszony rozejrzał się dookoła. Oświetlacz wypalił się do końca. W słabym, srebrzystym blasku przedświtów dostrzegł ciemne, pozbawione twarzy sylwetki ludzi pustyni ze snu. Otaczali go ze wszystkich stron.

Z wysiłkiem przełknął ślinę. Nieruchome postaci Tuskenów rysowały się wyraźnie na tle jaśniejącego horyzontu. Przyszło mu do głowy, żeby zerwać się i uciekać, ale zaraz zrozumiał, że byłaby to głupia decyzja. Nie miał wyboru – pozostało mu tylko czekać, co zrobią.

Gdzieś ze środka grupy dobiegło gardłowe pomrukiwanie i wszyscy Tuskenowie zwrócili się w tamtą stronę. Rozstąpili się minimalnie, a przez utworzoną w ten sposób lukę Anakin dostrzegł, jak zabierają i przenoszą w inne miejsce rannego współplemieńca, który cały czas coś im tłumaczył. Zawahali się, ale potem odstąpili i w kilka chwil zniknęli bez śladu.

Światło dnia rozbłysło nad szczytami Mospic. C-3PO gadał coś pośpiesznie, jak zwykle używając mnóstwa słów i poruszając nerwowo rękoma. – Poszli sobie, panie Anakinie! Ach, mamy szczęście, że przeżyliśmy. Dobrze, że pana nie skrzywdzili!

Anakin wstał i rzucił okiem na pozostawione przez rozbójników odciski stóp. Rozejrzał się: śmigacz i kupione od Jawów roboty znajdowały się tam, gdzie je zostawił. Zniknął tylko tuskeński miotacz. – Co my teraz pocniemy? – lamentował C-3PO.

Chłopiec popatrzył po opustoszałym kanionie, kamienistych ścianach i wzniosł wzrok ku jaśniejącemu niebu, na którym z wolna bladły gwiazdy. Wsłuchał się w głuchą ciszę; poczuł się nagle niewiarygodnie samotny i bezbronny.

– Wrócimy do domu – odparł szeptem i wrócił do śmigacza.

ROZDZIAŁ

7

Nute Gunray stał pośrodku sali tronowej pałacu w Theed, stolicy Naboo, i bez słowa słuchał protestów gubernatora Sio Bibble'a, który sprzeciwiał się obecności oddziałów Federacji Handlowej na planecie. U boku Gunraya stał Haako, odziany, podobnie jak i wicekról, w oficjalne szaty Federacji i zachowujący równie nieprzenikniony wyraz twarzy. Ponad dwadzieścia robotów bojowych trzymało zgromadzonych VI sali Naboo na muszkach karabinów. Miasto padło tuż po wschodzie słońca; wojska Federacji nie napotkały szczególnego oporu, gdyż Naboo byli z natury pokojowo usposobieni. Inwazja całkowicie ich zaskoczyła i armia robotów znalazła się w Theed, zanim pomyślano o skoordynowaniu działań obronnych. Wrogie wojska natychmiast skonfiskowały nieliczne egzemplarze broni, a mieszkańców stolicy skierowano do obozów jenieckich. Także w tej chwili roboty przeczesywały miasto, likwidując ostatnie ogniska oporu.

Gunray powstrzymał wypływający mu na usta uśmiech.

Wszystko wskazywało na to, że królowa do końca wierzyła w potęgę negocjacji i opiekę Senatowi.

– Postąpił pan w najwyższym stopniu niewłaściwie, wicekrólu, przerywając łączność z Senatami, kiedy królowa zamierzała dyskutować z senatorem Palpatinem, który miał przedstawić naszą sprawę w senacie; źle, że udaje pan, iż blokada jest zgodna z prawem, ale na opisanie okrucieństwa desantu wojskowego i okupacji naszych miast wprost nie znajduję słów. Sio Bibble był wysokim, łysiejącym

mężczyzną Nosił przyciętą w szpic bródkę i sływał z ciętego języka. Na razie udawało mu się zachować twarz, ale jego wystąpienie zaczynało już Gunraya nużyć.

Nute spojrział na pozostałych jeńców. Kapitan Panaka, dowódca ochrony królowej, stał wraz z czwórką strażników z boku, bezradny i rozbrojony, z niewzruszoną twarzą obserwował Neimoidian. Wyróżniał się wzrostem i masywną budową ciała, miał śniadą cerę i bystre oczy. Gunrayowi wcale nie podobał się ich wyraz.

Królowa siedziała na tronie w otoczeniu dworek, spokojna i nieobecna duchem, jak gdyby to, co się wokół niej działo, zupełnie jej ni dotyczyło, jakby w żaden sposób nie mogło jej dotknąć. Była odziana w czerń, a jej blada twarz odcinała się ostro od czarnego, przybranego piórami nakrycia głowy. Dumne czoło zdobił złoty łańcuch, a na dolnej wardze widniało domalowane, czerwone znamię. Z tego, co sływał Gunray, uważano ją za piękną, ale Neimoidiartin nie znał się na ludzkiej urodzie – z jego punktu widzenia była zwyczajnie bezbarwna i miała płaską twarz.

Znacznie bardziej interesował go jej młody wiek: dopiero co wyrosła z czasów dziewczęcych i z pewnością nie była jeszcze dorosłą kobietą, tymczasem lud wybrał ją na swoją władczynię. A trzeba dodać, że na Naboo więzy krwi nie decydowały o dziedziczeniu tronu: mieszkańcy planety wybierali na króla osobę uważaną powszechnie, za najmądrzejszą i Amidala rządziła z nadania narodu. Dlaczego Naboo postanowili oddać władzę komuś tak młodemu i naiwnemu – to już stanowiło dla Gunraya zagadkę. Nie ulegało wątpliwości, że tym razem niewiele im z tego przyszło.

Głos gubernatora niósł się daleko w rozległej komnacie, wznosił pod kopulasto sklepiony sufit, odbijał echem od oświetlonych blaskiem słońca ścian. Theed było miastem zamożnym i pałacowa sala tronowa odzwierciedlała jego rozkwit.

– Pytam więc pana bez ogródek, wicekrólu – Sio Bibble kończył właśnie swą przemowę. – Jak zamierza pan na forum Senatu wyjaśnić inwazję? Przez płaską, gadzią twarz Neimoidianina przebiegł błysk rozbawienia. – Naboo i Federacja Handlowa wypracują treść traktatu, który zalegalizuje naszą obecność i zajęcie Theed – wyjaśnił. –

Zapewniono mnie, iż pakt taki zostanie po zawarciu bezzwłocznie ratyfikowany przez Senat. – Pakt? – wykrzyknął zdziwiony gubernator. – Mamy zawrzeć pakt w obliczu waszych bezprawnych działań?

Amidala wstała z tronu i zrobiła krok naprzód. Damy dworu nie odstępowały jej ani na krok, kiedy posłała Gunrayowi wściekłe spojrzenie. – Nie będziemy z wami współpracować! – oznajmiła. Nute Gunray zerknął szybko na Rune Haako.

– Chwileczkę, Wasza Wysokość – zamruczał. – Proszę się tak nie spieszyć z oficjalnymi oświadczeniami. Nie spodoba się Waszej Wysokości to, co przygotowaliśmy dla jej poddanych. Z biegiem czasu ich cierpienia przekonają Waszą Wysokość do naszego sposobu myślenia. Odwrócił się plecami do królowej.

– Dość tego gadania. – Skinął dłonią. – Panie dowódco? Robot bojowy OOM-9 wystąpił z szeregu i lekko pochylił wąski, metalowy pysk. – Proszę się nimi zająć.

OOM-9 dał znak jednemu z sierżantów, żeby przejął dowodzenie i metalicznym głosem rozkazał mu zabrać więźniów do obozu czwartego. Roboty posłusznie spędziły królową, dworki, gubernatora Bible'a, kapitana Panakę i strażników w stadko i wyprowadziły ich z sali.

Nute Gunray odprowadził ich wzrokiem, a potem przeniósł spojrzenie na Haako i opustoszałe pomieszczenie. W sercu wezbrała mu fala głębokiej satysfakcji: wszystko szło zgodnie z planem.

Sierżant w towarzystwie kilkunastu droidów przeprowadził więźniów błyszczącymi korytarzami pałacu, aż dotarli do ciągu tarasów, prowadzących wśród posągów i ozdób na rozległy plac. Nie było na nim ani jednego mieszkańca Theed, wszędzie natomiast stały niezliczone czołgi i roboty Federacji. Niskie, przysadziste roboczołgi miały płaski przód i działo zamontowane z tyłu, nad kabiną. Dodatkowe uzbrojenie stanowiły miotacze, doczepione nisko na obu burtach. Kręcąc się po obwodzie placu, czołgi przypominały żerujące żuki.

Zabudowania Theed ciągnęły się po horyzont, mozaiką kamiennych ścian, złożonych kopuł, strzelistych wież i ozdobnych łuków. Budowle pławiły się w słonecznym blasku, kontrastując ostro ze świeżą zielenią roślinności. Szum wodospadów i fontann tworzył dyskretne tło dźwiękowe dla niecodziennej ciszy, panującej w opustoszałym mieście.

Przeszli przez plac, mijając maszyny wojenne Federacji Handlowej. Nikt nic nie mówił, nawet gubernator Bibble umilkł i szedł z pochyloną głową, zatopiony w ponurych rozważaniach. Skręcili w szeroką aleję, prowadzącą za miasto, wprost do nowo wybudowanych obozów Federacji. Nad głowami buczały im STAP-y rzucając ruchliwe cienie i migocząc metalowymi skorupami. Właśnie weszli w opustoszałą boczną uliczkę, gdy prowadzący kolumnę robot stanął jak wryty.

Na drodze stało dwóch mężczyzn w luźnych płaszczach, narzuconych na spięte pasami tuniki. Wyższy z nich miał długie, włosy, niższy nosił cienki warkoczek. Ręce trzymali swobodnie zwieszane po bokach, ale nie sprawiali wrażenia nieprzygotowanych na to spotkanie.

Przez chwilę obie grupy mierzyły się wzrokiem, aż w końcu zza pleców mężczyzn wytrzeszczył oczy wystraszony Gunganin. Qui-Gon Jinn zrobił krok do przodu.

– Czy jesteś pani Amidalą, królową Naboo? – zwrócił się do młodej kobiety w czapce z piór.

Królowa się zawahała. – Kim jesteście?

– Ambasadorami Wielkiego Kanclerza. – Mistrz Jedi skłonił się lekko. – Prosimy o audiencję, Wasza Wysokość.

Dowodzący robotami droid – sierżant nagle chyba przypomniał sobie, gdzie się znajduje i co należy do jego obowiązków, bo skinął na żołnierzy. – Usunąć ich z drogi!

Cztery roboty posłusznie ruszyły, żeby wykonać rozkaz. Nie zdążyły jeszcze unieść broni do strzału, gdy Jedi włączyli miecze świetlne i pocięli droidy na kawałki. Nie czekając, aż do reszty się rozpadną, rycerze rzucili się na pozostałych członków eskorty: odbili kilka strzałów z laserów, wytrącili przeciwnikom broń i w krótkim

czasie roboty nadawały się tylko na złom. Sierżant próbował uciekać, lecz Qui-Gon uniósł dłoń i powstrzymał go, używając czystej Mocy. W sekundę później sierżant legł w częściach wśród swoich podwładnych.

Żołnierze Naboo natychmiast chwycili za broń, Jedi zaś wyłączyli miecze, wyprowadzili królową z orszakiem na ulicę i schronili się w zaułku między dwoma budynkami. Jar Jar Binks nie odstępował ich ani na krok, mamrocząc z podziwu na widok skuteczności rycerzy. Qui-Gon ponownie zwrócił się do Amidali:

– Wasza Wysokość, nazywam się Qui-Gon Jinn, a to jest mój towarzysz, Obi-Wan Kenobi. Jesteśmy rycerzami Jedi, ale pełnimy też funkcję wysłanników kanclerza.

– Negocjacje chyba się wam nie powiodły, ambasadorze zauważył z przekąsem Sio Bibble.

– Nie doszło do żadnych negocjacji. – Qui-Gon nie odrywał wzroku od oblicza królowej, które nie wyrażało żadnych uczuć. – Wasza Wysokość, musimy nawiązać kontakt z Republiką.

– To niemożliwe – wtrącił kapitan Panaka. – Zniszczyli nam cały sprzęt komunikacyjny.

Gdzieś niedaleko rozległy się krzyki zaalarmowanych żołnierzy, a w chwilę później dał się słyszeć tupot licznych nóg. Qui-Gon wyjrzał na ulicę, gdzie zostały szczątki pokonanych robotów.

– Macie transportowce?

Kapitan przytaknął, domyślając się zamiarów rycerza: – Są w hangarze. Tędy.

Poprowadził grupę do końca uliczki, a potem dalej zaułkami i wąskimi ścieżkami. Posuwali się szybko i cicho, wokół zaś narastał dźwięk syren i bzyczenie STAP-ów. Trzeba przyznać, że Naboo ani przez moment nie zakwestionowali autorytetu Qui-Gona; nie zdziwili się też zbyt jego obecnością. Zresztą odzyskawszy broń mieli wrażenie, że znów sami decydują o swoim losie i mogą zaryzykować konszachty z nieoczekiwanymi sprzymierzeńcami.

Wkrótce dotarli do celu. Ciąg połączonych budynków zamykał szeroką ulicę. Każdy z nich wieńczyła ogromna kopuła. Przed łukowatymi wejściami do największych, środkowych budowli, ciągnęły się liczne zabudowania pomocnicze. Wszędzie kręciły się

roboty bojowe z bronią gotową do strzału, ale Panace udało się znaleźć niestrzeżone przejście.

Przystanęli przy bocznym wejściu do głównego hangaru.

Kapitan zerknął szybko przez ramię, czy nikt nie zwrócił na nich uwagi, a następnie otworzył zamek i pchnął drzwi. Zajrzał do wnętrza. W środku pomieszczenia znajdowała się garstka statków Naboo – zgrabnych, lśniących transportowców, z nosami wycelowanymi w wielki otwór w przeciwległej ścianie. Każdego z nich pilnowały roboty, rozstawione w hangarze tak, by nawet mysz się nie prześliznęła nie zauważona.

Panaka wskazał Qui-Gonowi podłużną, niską maszynę pod ścianą, z odchylonymi w tył skrzydłami i potężnymi silnikami Headon-5. – To osobisty statek królowej – szepnął.

Jedi skinął głową: nubian typu J 327. Z daleka wciąż słychać było wycie syren.

– Wystarczy – odparł Qui-Gon.

– Co z robotami? – Panaka obserwował wnętrze hangaru. – Jest ich tu za dużo.

Rycerz odsunął się od drzwi.

– To żaden kłopot – rzekł i stanął przed królową. – Wasza Wysokość, w zaistniałych okolicznościach sugeruję, pani, byś udała się z nami na Coruscant.

Młoda kobieta pokręciła głową, aż zaszeleściły jej pióra na głowie. Na jej bladej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień, gdy spojrzała Qui-Gonowi w oczy.

– Dziękuję, ambasadorze, ale moje miejsce jest tutaj, wśród moich ludzi. – Nie wydaje mi się – odparł Qui-Gon. Nie spuścił wzroku. Federacja Handlowa ma inne plany i zabiją cię, pani, jeśli tu zostaniesz. Sio Bibble stanął u boku Amidali. – Nie odważą się!

– Królowa jest im potrzebna, żeby podpisać traktat, który zalegalizuje inwazję! – zauważył kapitan. – Nie mogą jej po prostu zabić.

Amidala przenosiła wzrok z jednego mówcy na drugiego; w jej oczach błysnęło coś na kształt zwątpienia.

– Sytuacja jest inna, niż się z pozoru wydaje – nalegał Qui-Gon. –

Dzieje się coś więcej, Wasza Wysokość; same działania Federacji nie mają sensu. Instykt podpowiada mi, że chcą twojej śmierci, pani.

Kiedy mistrz Jedi skończył, cień autentycznego lęku przemknął przez twarz Sio Bibble'a. Jego rysy złagodniały.

– Wasza Wysokość, to dobry moment, żeby przemyśleć tę decyzję. Jedyna nasza nadzieja w tym, że Senat stanie po naszej stronie. Senatorowi Palpatine'owi przyda się pomoc Waszej Wysokości. Kapitan Panaka nie dawał się jednak przekonać:

– Nie uda nam się przedrzeć przez blokadę, Wasza Wysokość... Nawet gdybyśmy zdołali odlecieć z powierzchni planety! Taka próba wiązałaby się z ogromnym niebezpieczeństwem...

– Ja zostanę, Wasza Wysokość, i zrobię co w mojej mocy wtrącił Bibble i pokręcił głową. – Muszą zachować Radę Gubernatorów, żeby istniały jakieś pozory porządku. Wasza Wysokość powinna jednak odlecieć... Amidala uciszyła go gestem i odwróciła się do Jedi i kapitana. Spojrzała smutno na tłoczące się wokół niej dworki.

– Każda decyzja będzie dla nas wszystkich ryzykowna... – rzekła patrząc po kolei na zebranych wokół niej ludzi.

Qui-Gon słuchał tej wymiany zdań, nie do końca rozumiejąc czego królowa szuka.

Damy dworu spojrzały po sobie. Z początku żadna się nie odzywała, aż wreszcie jedna, Padmé, przewyciężyła lęk: – Odwagi nam wystarczy, pani. Skowyt syren nie ustawał.

– Jeśli Wasza Wysokość zamierza opuścić Naboo, nie ma czasu do stracenia – ponaglił królową Qui-Gon.

Amidala wyprostowała się i skinęła głową.

– Niech więc tak się stanie – powiedziała. – Przedstawię naszą sprawę w Senacie. – Spojrzała na Sio Bibble'a. – Niech pan na siebie uważa, gubernatorze.

Ścisnęła krótko jego dłoń, po czym wskazała trzy z dworek.

Te, których nie wybrała, rozszlochały się cicho, Amidala przytuliła je więc i szepnęła im parę słów pocieszenia. Kapitan Panaka wybrał dwóch strażników, którzy mieli zostać z Bibblem i damami dworu.

Rycerze Jedi weszli do hangaru, prowadząc za sobą Jar Jara i wszystkich Naboo.

– Trzymajcie się blisko mnie – rozkazał szeptem Qui-Gon.

Panaka przesunął się do przodu. Jego twarz zdradzała napięcie.

– Potrzebny nam będzie pilot – rzekł i wskazał kąt hangaru, w którym oddział robotów bojowych trzymał pod bronią grupę tubylców. Oznaczenia na mundurach pozwalały rozpoznać w nich strażników, mechaników i pilotów. – Tam są.

– Ja się tym zajmę – zaproponował Obi-Wan i skręcił w tamtym kierunku. Pozostali pod wodzą Qui-Gona poszli dalej, nie kryjąc się wcale, wprost do statku królowej. Nie zwracali uwagi na usiłujące ich zatrzymać roboty. Starszy Jedi zauważył, że trap załadunkowy transportowca jest opuszczony, a tymczasem coraz więcej droidów zmierzało w ich stronę: były zaciekawione, ale jeszcze nie dostrzegały niebezpieczeństwa.

– Proszę pod żadnym pozorem się nie zatrzymywać – rzucił pod adresem królowej i sięgnął po ukryty pod płaszczem miecz.

Dotarli już na odległość niespełna dwudziestu metrów od statku, gdy najbliższy z robotów postanowił ich zatrzymać.

– Dokąd idziecie? – zapytał bezbarwnym, metalicznym głosem.

– Zejdź nam z drogi – rozkazał mu Qui-Gon. – Jestem ambasadorem Wielkiego Kanclerza i zabieram tych ludzi na Coruscant.

Strażnik błyskawicznie uniósł broń i stanął mistrzowi Jedi na drodze. – Aresztuję was! – oznajmił i w mgnieniu oka został zniszczony. Kolejne roboty rzuciły się na Qui-Gona, który sam stawiał im czoło, podczas gdy jego podopieczni wbiegli na pokład transportowca. Kapitan Panaka i jego gwardziści otoczyli królową i jej dworki ochronnym kręgiem, a Jar Jar gramolił się za nimi, ukrywając głowę w dłoniach. Błyski lasera przecinały hangar ze wszystkich stron; zawyły kolejne sygnały alarmowe.

Po przeciwnej stronie pomieszczenia Obi-Wan Kenobi rzucił się na grupę robotów pilnujących jeńców i ciął je jeden po drugim z zapiekłą determinacją. Qui-Gon śledził jego postępy jednym okiem, opierając się kolejnej fali napastników, które usiłowały przechwycić królową Naboo. Odbijał pociski miotaczy i bronił trapu, a jego długie włosy furkotały w powietrzu. Obi-Wan biegł już w jego stronę z

garstką Naboo. Promienie laserów cięły metal i ludzkie ciała, rozległ się grzmot pierwszej eksplozji i kilku tubylców upadło, ale strażnicy nie zdołali zatrzymać młodego Jedi.

Qui-Gon rozkazał mijającemu go Obi-Wanowi, by jak najszybciej poderwał statek. We wrotach hangaru pojawiły się kolejne zastępy robotów i otworzyły ogień. Rycerz cofnął się po trapie na: górę i wpadł do pogrążonego w półmroku wnętrza maszyny. Trap z cichym westchnieniem zamknął się za nim.

Silniki Headon-5 ryknęły zanim jeszcze mistrz Jedi dotarł do sterowni i wskoczył w fotel. Ogień laserowy zadudnił na smukłym kadłubie, ale statek już odrywał się od ziemi. Pilot siedział zgarbiony za sterami i w skupieniu, ze spoconym czołem kierował maszyną. – Trzymajcie się – powiedział.

Nubian wystrzelił przez drzwi hangaru, roztrącając roboty na boki i wyrwał w górę, wprost w błękitne, bezchmurne niebo. W parę sekund zostawili za sobą Naboo, wynurzyli się z atmosfery i znaleźli w czarnej pustce kosmosu, w której nagle pojawiło się dotychczas niewidoczne zgrupowanie okrętów Federacji. Qui-Gon wstał i podszedł do pulpitu.

– Jestem Ric Olie – rzucił pilot przez ramię. – Dziękujemy za pomoc. Jedi pokiwał głową.

– Zachowaj podziękowania do czasu, aż z tym sobie poradzimy. Pilot uśmiechnął się zawadiacko.

– Przyjąłem. Co zrobimy z tymi kolesiami? Nadal nie mamy łączności. – Czas rozmów minął. Proszę po prostu trzymać kurs. Qui-Gon zwrócił się do Obi-Wana: – Sprawdź, czy wszyscy są na miejscach. – Spojrzał na Jar Jara, który już zaczynał się ciekawie rozglądać po sterowni.

Młody Jedi złapał Gunganina za rękę i wypchnął z kabiny.

Ignorując jego protesty rozejrzał się w poszukiwaniu schowka dla uciążliwego pasażera, aż dostrzegł niskie drzwiczki z napisem „**ROBOTY ASTROMECHANICZNE**”. Przesunął zasuwkę i wcisnął Jar Jara do środka. – Siedź tu – rozkazał mu. – I nie szukaj guza.

Drzwi zamknęły się za Jar Jarem. Binks rozejrzał się po wnętrzu: pod ścianą stało w rzędzie pięć różnokolorowych robotów typu R2 – niskich, wie lozadaniowych droid astromechanicznych z półkulistym czerepem. Miały wyłączone silniki i resztę obwodów. Pięć identycznych maszyn, pięć korpusów zawieszonych na dwóch solidnych kończynach – i żaden nie zwracał na niego uwagi. Gunganin przespacerował się przed nimi, ale przyszło mu do głowy, że pewnie nie są włączone. Kto wie, może nawet nie żyją?

– Hej tam! – krzyknął i zamachał rękami. – Długa wycieczka, co?

Żadnej odpowiedzi. Jar Jar szturchnął najbliższego z robotów, czerwonego, w głowę. Metal brzęknął głucho i głowa odchyliła się leciutko do tyłu. – Ojej! – zdziwił się Gunganin. Jeszcze raz popatrzył dookoła, nie mogąc zrozumieć, dlaczego Jedi wsadzili go tutaj, skoro wszyscy pasażerowie znajdowali się gdzie indziej. Nudno tu pomyślał smętnie. – Nic się nie dzieje. Zaciekawiony złapał czerwonego R2 za kopułkę i delikatnie pociągnął. – To się otwierać? – szepnął i szarpnął jeszcze trochę. Metal stawiał opór, więc zaparł się i pociągnął z całej siły. – To się... O rety!

Kopułka robota odczepiła się od korpusu i z miejsca, gdzie się znajdowała, wyrzała płatnina przewodów i drutów. Jar Jar czym prędzej nasadził kopułkę z powrotem i ostrożnie cofnął rękę.

– Ojej, ojej, ojej – mruczał zerkając za siebie, czy nikt go nie widział. Objął się ramionami i przeszedł przed rzędem R2, wciąż szukając czegoś, co pozwoliłoby mu ciekawie spędzić czas. Nie chciał siedzieć w tym pomieszczeniu, ale wydawało mu się, że nie powinien go opuszczać. Młody Jedi, który go tu przyprowadził, chyba za Jar Jarem nie przepadał; pewnie lubiłby Jar Jara jeszcze mniej, gdyby ten wymknął się z kryjówki.

Rozległ się grzmot wybuchów i statkiem zakołysało, choć żaden pocisk nie trafił. Jar Jar toczył dokoła dzikim wzrokiem; coraz mniej podobał mu się ten schowek na roboty. Światła mrugnęły i maszyną szarpnęło gwałtownie. Gunganin zajęczał rozpaczliwie i skulił się w kątku, gdy nastąpiły dalsze eksplozje i transportowcem miotało na wszystkie strony. – My zgubieni – wybełkotał. – Straszna sprawa!

Nagle statek zaczął obracać się wokół własnej osi, jakby wpadł w

olbrzymi wir. Jar Jar krzyknął rozpaczliwie i zaparł się rękoma o ściany, żeby nie rzuciło nim o podłogę. Światła zapłonęły ponownie i wszystkie roboty jednocześnie się włączyły: z piskiem i zgrzytaniem wyturlały się z przytrzymujących je uchwytów i potoczyły do znajdującej się naprzeciwko śluzy – tylko czerwony robocik wjechał prosto w ścianę i przewrócił się, a z jego wnętrza wysypało się jeszcze więcej części.

Inny, pomalowany na niebiesko robot zwolnił, mijając leżącego kompana, a potem przemknął obok Jar Jara z piskiem, który sprawił, że Gunganin odskoczył przerażony:

Jeden po drugim cztery R2 wjechały do hermetycznej windy i zostały zassane na górny pokład.

Jar Jar Binks, zamknięty w magazynie z nierozważnie uszkodzonym automatem, jęknął żałośnie.

ROZDZIAŁ

8

Obi-Wan zdążył właśnie wejść do kabiny, gdy pierwsze eksplozje wstrząsnęły statkiem. Olbrzymi okręt Federacji rósł w iluminatorze i pruć do transportowca z dział laserowych. Stateczkiem królowej rzucało tak gwałtownie, że został zepchnięty z wytyczonej trajektorii. Ric Olie zaciskał dłonie na sterach i robił co mógł, żeby wrócić na kurs.

– Powinniśmy zawrócić! – powiedział do Qui-Gona, który oparł się o jego fotel i nie spuszczał wzroku z jednostki Federacji. – Nasze osłony nie wytrzymają zbyt długo takiego ognia.

– Trzymać kurs – rozkazał spokojnie mistrz Jedi i spojrzał na przyrządy. – Macie generator maskujący?

– To nie jest okręt wojenny! – krzyknął rozzłoszczony kapitan Panaka. – Nie mamy broni, ambasadorze! Naboo są narodem pokojowym i dlatego Federacja Handlowa w ogóle odważyła się nas zaatakować!

Seria wybuchów zatrzęsa transportowcem; lampki na pulpicie zamigotały słabiutko. Rozedrgany ryk syreny alarmowej przewiercał ciała pasażerów do szpiku kości. Maszyną szarpnęło, a silniki przez ułamek sekundy zawyły opętańczo.

– Nie ma broni – powtórzył szeptem Qui-Gon. Obi-Wan stał obok niego i poczuł cały ciężar niewzruszonego spojrzenia mistrza, gdy wreszcie na nim spoczęło. Starszy rycerz położył rękę na ramieniu pilota. – Federacja Handlowa namierza cel pulserami. Proszę wprowadzić statek w korkociąg. Zakłócimy im odczyt.

Pilot potwierdził przyjęcie rozkazu skinieniem głowy, przesunął kilka dźwigni i wprowadził statek w ruch wirowy. Wrogi okręt zniknął im z oczu i przyspieszyli; przemknęli obok niego, minęli liczne wieże, otwory strzelnicze, stateczniki i luki – lecieli aleją ognia i metalowych kształtów. Po trafieniu impulsem lasera z jednego pulpitu strzeliły iskry, kabina wypełniła się dymem i statkiem zarzuciło. Na chwilę wymknął się spod kontroli pilota, ale Olie zaraz szarpnął mocniej drążek i oddalił się poza pole ostrzału.

– Coś tu nie gra – oznajmił, walcząc z opornym statkiem i czując drżenie kadłuba. – Nie mamy tarcz!

Wciąż wirowali w bezpośrednim pobliżu giganta Federacji, tak blisko, że duże działa były bezużyteczne i nieprzyjaciel mógł ich ostrzeliwać tylko z broni mniejszego kalibru – tyle że bez ochronnych pól nawet przypadkowe trafienie z lekkiego działa mogło mieć opłakane skutki.

– Wysyłam zespół naprawczy! – krzyknął Olie i pstryknął przełącznikiem. Na ekranie widać było, jak otwiera się śluza i astromechaniczne roboty wyskakują z niej jeden za drugim, zajmując pozycje na kadłubie. Statek wyrównał lot, a automaty zaczęły uwijać się po powierzchni metalu w poszukiwaniu uszkodzeń. Ric przytulił się do olbrzyma, żeby zapewnić im osłonę przed ogniem.

Znów jednak znaleźli się w niebezpieczeństwie: nie mogąc skutecznie użyć broni stacjonarnej, dowództwo Federacji wysłało im na spotkanie oddział małych, zgrabnych, sterowanych przez roboty myśliwców. Stateczki te składały się z dwóch kapsuł, podczepionych do zaokrąglonej głowicy. Kiedy wypadły z hangaru, w kapsułach pokazały się wąskie szczeliny, z których wyrzały działka laserowe. Myśliwce pomknęły na spotkanie transportowca królowej. Były szybkie i zwrotne, toteż nie miały kłopotów z manewrowaniem blisko macierzystej jednostki, w kilka sekund dotarły do nubiana i otworzyły ogień. Olie starał się jednocześnie znaleźć osłonę i przyspieszyć, ale dwa R2 zostały zestrzelone: jeden bezpośrednią salwą, drugi po trafieniu w mocującą go do kadłuba kolumnę.

Pasażerowie śledzili na ekranie wysiłki niebieskiego R2, który pospiesznie lutował wiązki kabli, odsłoniętych po strzale w kadłub.

Promienie laserów błyskały dookoła niego, ale pracował bez przerwy. Czwararty robot, znajdujący się tuż obok niego, zniknął nagle w chmurze odłamków i ognia. Został tylko niebieski, który nic sobie nie robił z nasilającego się ostrzału myśliwców. Wskazania na ekranie zmieniły się i Olie krzyknął z aprobatą:.

– Są tarcze! Udało mu się!

Pchnął dźwignie sterowania silnikami do końca skali i transportowiec odskoczył od myśliwców i większego okrętu. Naboo i blokująca ją flota Federacji Handlowej zostały za ich plecami.

Osamotniony R2 odwrócił się, wjechał do śluzy i zniknął patrzącym z oczu.

Kiedy znaleźli się już daleko poza zasięgiem maszyn Federacji, Ric Olie dokładnie sprawdził stan jednostki, oszacował uszkodzenia i spróbował określić, czego najbardziej mu potrzeba. Obi-Wan przysiadł się do niego w fotelu drugiego pilota i pomagał w tej pracy, a Qui-Gon i Panaka stanęli za ich plecami i czekali na raport o zniszczeniach. Królową i pozostałych Naboo umieszczono bezpiecznie w innych kabinach. Olie pokręcił z powątpiewaniem głową.

– Daleko nie dolecimy. Mamy przeciek w systemie chłodzenia jednostki napędu nadświatlnego.

Qui-Gon Jinn pokiwał potakująco głową.

– Musimy gdzieś wylądować i wszystko naprawić. Co my tu mamy?

Pilot wyświetlił mapę najbliższego sektora nieba i wszyscy pochylili się nad monitorem.

– Tutaj, mistrzu – powiedział Obi-Wan, wypatrzywszy jedyną planetę, która dawała jakieś nadzieje. – Tatooine. Jest mała, biedna, leży na uboczu i nie zwraca uwagi. Federacja Handlowa nie ma na niej swojej placówki. – Skąd ta pewność? – zapytał od razu kapitan. Qui-Gon spojrział na niego. – Kontrolują ją Huttowie. – Huttowie?! – Panaka drgnął.

– To ryzykowne – zgodził się Obi-Wan – ale nie mamy wyboru. Kapitan Panaka nie był o tym przekonany:

– Nie możecie tam zabrać Jej Królewskiej Wysokości! Huttowie to bandyci i handlarze niewolników! Jeśli dowiedzą się kim jest...

– ... to będziemy w takiej samej sytuacji, jak gdybyśmy wylądowali na planecie Federacji – dokończył Qui-Gon. – Z tą jednak różnicą, że Huttowie nie szukają królowej, co daje nam pewną przewagę.

Szef ochrony Amidali chciał jeszcze coś powiedzieć, ale po namyśle zachował dalsze uwagi dla siebie. Odetchnął głęboko i odwrócił się zaniepokojony. Qui-Gon poklepał pilota po ramieniu. – Kurs na Tatooine – rozkazał.

W sali konferencyjnej na pokładzie okrętu flagowego Federacji Nute Gunray i Rune Haako siedzieli obok siebie przy podłużnym blacie i podenerwowa ni patrzyli na hologram Dartha Sidiousa u szczytu stołu. Obraz migotał przy każdym drgnieniu odzianej w czerń sylwetki, Neimoidianie zaś po raz kolejny dochodzili do wniosku, że nie są w stanie nic wyczytać z tych poruszeń. To nie oni nawiązali połączenie; ba, woleliby w ogóle przez cały dzień nie rozmawiać z lordem Sithów, ale ten zgodnie ze zwyczajem pojawiał się wówczas, gdy zdarzenia nie biegły właściwym torem, jakby wyczuwał, że coś się nie układa. Zażądał raportu z postępów inwazji i w milczeniu słuchał relacji Gunraya.

– Kontrolujemy wszystkie miasta w północnej i zachodniej części terytorium Naboo – mówił właśnie wicekról. – Wciąż szukamy dalszych osiedli, w których opór...

– Tak, tak, oczywiście – przerwał mu Darth Sidious cicho, z nutą zniecierpliwienia w głosie. – Spisaliście się znakomicie. Oto, co macie robić dalej: zlikwidujcie wszystkich wysoko postawionych urzędników, po cichu, ale skutecznie. – Zastanowił się. – Co z królową Amidalą? Podpisała już traktat? Nute Gunray nabrał powietrza głęboko do płuc i powoli je wypuścił. – Zniknęła, panie. Zdarzył się przypadek ucieczki... – Ucieczki? – wysyczał Sith.

– Jeden ze statków Naboo przedostał się przez blokadę... – Jak udało jej się uciec, wicekrólu?

Nute spojrział na Haako w poszukiwaniu pomocy, ale strach dosłownie sparaliżował Rune'a.

– To przez rycerzy Jedi, panie. Znaleźli ją, pokonali strażników...

Spowity w płaszcz Darth Sidious poruszył się miętko niczym kot; cienie przemieściły się pod skrywającym jego twarz kapturem.

– Znajdźcie ją, wicekrólu! Chcę, żeby podpisała traktat!

– Mój panie, nie zdołaliśmy odszukać statku, którym uciekła – wyznał Neimoidianin, żałując, że nie może zwyczajnie zapaść się pod ziemię. – Ależ wicekrólu!

– Wyminął nas i ruszyliśmy w pościg, ale zdołał się nam wymknąć. Teraz jest już poza zasięgiem...

Darth Sidious uciszył go gestem.

– Nie dla Sitha – wyszeptał.

Za jego plecami powietrze zamgliło się i z ciemności wynurzyła się inna postać, której widok zmroził Gunrayowi krew w żyłach: drugi lord Sithów. O ile jednak Darth Sidious zdawał się składać z mroku i cieni, o tyle jego współplemieniec był istotą iście piekielną: jego twarz przypominała maskę pokrytą zygzakowatym, czerwono-czarnym wzorem, wytrawionym w skórze; miał całkowicie bezwłosą czaszkę, zwieńczoną krótkimi, haczykowatymi rogam. Wlepił w Neimoidian spojrzenie błyszczących żółcią oczu, a oni poczuli się, jakby przełamывał wszelką ich obronę, odzierał ich z ochronnej skorupy i odrzucał – jako mało znaczących głupców.

– Wicekrólu – zabrzmiał głos Dartha Sidiousa. – Oto mój uczeń, lord Maul. Znajdzie dla was zaginiony statek.

Nute Gunray uklonił się lekko i z ulgą spuścił wzrok. – Tak jest, panie. Hologram zamglił się i zniknął, a w sali konferencyjnej zaległa całkowita cisza. Nute i Rune siedzieli bez ruchu, nie patrząc na siebie – wciąż nie odrywali wzroku od miejsca, z którego zniknął obraz Sidiousa.

– Sytuacja wymyka się nam spod kontroli – rzekł wreszcie Gunray, mając na myśli fakt, że pomysł z podważeniem praw Republiki do nakładania podatku na szlaki handlowe nie zakładał ryzykowania własnym życiem. Rune Haako zdobył się na krótkie skinienie głową.

– Nie powinniśmy byli w to wchodzić – przyznał. – Co się z nami stanie, kiedy Jedi dowiedzą się, że mamy konszachty z Sithami?

Nute Gunray zacisnął tylko dłonie; wolał nie zastanawiać się nad

odpowiedzią.

Jedi towarzyszyli Panace i jedynemu ocalałemu robotowi, kiedy kapitan składał królowej raport z wydarzeń, które towarzyszyły przedarciu się przez blokadę Naboo. Amidala siedziała w otoczeniu dworek i przyglądała mu się nieporuszona. Kapitan właśnie kończył:

– Mamy prawdziwe szczęście, że ten R2 pracuje na statku Waszej Wysokości. – Panaka popatrzył na niebieską kopułkę automatu. – To znakomita jednostka. Nie ulega wątpliwości, iż uratował statek, że o naszym życiu już nie wspomnę.

Amidaza pokiwała głową i przeniosła wzrok na robota. – Doceniam to. Jaki ma numer?

Mały robot, który śledząc przebieg konwersacji migał rytmicznie lampkami, wydał z siebie serię pisków i świergotów. Kapitan Panaka starł dłonią warstwę brudu z metalowego korpusu i wyprostował się: – R2-D2, Wasza Wysokość.

Królowa Amidala pochyliła się i smukłą dłonią pogłaskała metalowy czerep robota.

– Dziękujemy ci, R2-D2. Okazałeś się wiernym i dzielnym poddanym. – Zerknęła przez ramię. – Padmé.

Jedna z usługujących jej dziewcząt podeszła bliżej. Qui-Gon, zajęty rozważaniem kłopotów, jakie mogą napotkać na Tatooine, jednym uchem przysłuchiwał się tej wymianie zdań. Teraz jednak zwrócił uwagę, iż była to ta sama dworka, która namawiała królową do opuszczenia Naboo. Zmarszczył brwi. No nie, niezupełnie tak to się odbyło...

– Dopilnuj, żeby został wyczyszczony – przykazała jej Amidala. – R2-D2 zasłużył sobie na naszą wdzięczność. – Odwróciła się do Panaki. – Proszę mówić dalej, kapitanie.

Panaka zerknął niepewnie na rycerzy Jedi.

– Wasza Wysokość, w tej chwili zmierzamy na odległą planetę zwaną Tatooine. – Po tych słowach przerwał, jakby wolał nie rozwijać tego tematu. – Jest to układ, który znajduje się z dala od placówek Federacji Handlowej – Qui-Gon gładko włączył się do rozmowy. –

Dotarłszy na miejsce dokonamy niezbędnych napraw, po czym udamy się na Coruscant, który stanowi właściwy cel naszej podróży.

– Wasza Wysokość – wtrącił pospiesznie Panaka, zebrawszy myśli.
– Tatooine jest bardzo niebezpieczna. Rządzą na niej Huttowie, rabusie i łowcy niewolników. Nie zgadzam się z opinią Jedi, że tam właśnie powinniśmy się udać.

Królowa spojrzała na Qui-Gona, ale ten nie spuścił wzroku. – Musisz zaufać mojemu osądowi, pani.

– Czyżby? – spytała cicho Amidala, a następnie popatrzyła po swoich dworakach, kończąc na Padmé. Dziewczyna do tej pory nie ruszyła się z miejsca u boku królowej, teraz jednak najwyraźniej przypomniała sobie, że wyznaczono jej zadanie do wykonania. Skinęła swej władczyni głową i podeszła do R2-D2. Amidala wróciła spojrzeniem do rycerza. – Nasz los jest w twoich rękach – rzekła, kończąc dyskusję.

Jar Jar Binks przesiedział w schowku dla robotów do czasu, gdy samotny R2 wrócił przez służbę i wkrótce potem został zabrany przez ludzi kapitana. Nie mieli żadnych rozkazów, które dotyczyłyby Gunganina, więc po prostu zostawili go własnemu losowi. Z początku Binks bał się wychylić nos ze schowka, pomny słów młodego Jedi, który przykazał mu siedzieć cicho i nie pakować się w kłopoty – na razie udało mu się połowicznie spełnić te wymagania i nie chciał kusić losu.

W końcu jednak ciekawość i nerwy zwyciężyły. Statek wyszedł z korkociągu, ostrzał ze strony maszyn Federacji ustał, sygnał alarmowy ucichł; wszędzie panował spokój, więc Gunganin nie widział powodu, dla którego miałby dalej tkwić w zamknięciu.

Uchylił drzwiczki i wystawił dziób na korytarz, żeby się rozejrzeć. Oczy na szypułkach przez chwilę ostrożnie badały otoczenie, aż wreszcie Jar Jar podjął decyzję: porzucił schowek i ruszył przed siebie, starając się tak wybierać drogę, żeby nie znaleźć się zbyt blisko kabiny, gdzie zapewne napatoczyłyby się na Jedi. W każdej chwili spodziewał się, że ktoś każe mu wracać tam, skąd przyszedł, ale nic

takiego się nie stało, więc zaczął ciekawie się rozglądać i obstukiwać napotkane przedmioty – ostrożny, ale niezdolny pohamować ciekawość.

Szedł właśnie wąskim korytarzykiem, prowadzącym z dolnych pokładów do głównej kabiny, gdy zerknąwszy przez służę ujrzał jedną ze służących królowej, z zapalem pucującą astromechanicznego robota. – Hej tam! – zakrzyknął.

Dworka Amidali pisnęła i podskoczyła na dźwięk jego głosu, a i R2 zareagował podobnie. W odpowiedzi Binks stanął jak wryty, a potem wolniutko wśliznął się przez otwór, zakłopotany, że przestraszył oboje.

– Moja przepraszać – powiedział. – Nie chcę was straszyć. Dobrze?

Dziewczyna uśmiechnęła się w odpowiedzi. – Nic się nie stało. Chodź no tu bliżej.

Jar Jar zrobił kilka kroków naprzód i spojrzał na robota. – Moja znaleźć tam bańkę z olejem. Potrzebna?

– Przydałaby się. – Dziewczyna kiwnęła głową. – Ten maluch strasznie się zapaprał.

Jar Jar wylazł z powrotem na zewnątrz, pomacał chwilę na oślep, znalazł bańkę oleju i podał ją Padmé.

– Przydać się?

– Dziękuję – odparła dworka. Podważyła wieczko, zwilżyła olejem szmatkę i zaczęła polerować kopułkę R2.

– Moja Jar Jar Binks – oznajmił po chwili Gunganin, starając się podtrzymać rozmowę; polubił tę Naboo.

– Ja jestem Padmé. Służę Jej Wysokości królowej Amidali.

A to jest R2-D2. – Wytarła czarną plamę z jednej z podpór robota. – Jesteś Gunganinem, prawda?

Jar Jar pokiwał głową, aż uszy plasnęły mu o kark. – Skąd się tu wzięłeś? Jar Jar zamyślił się.

– Moja dokładnie nie wiedzieć. Dzień zacząć się dobrze, jak słońce wstać. Moja chrupać małże, a tu bum! I wszędzie bardzo mnóstwo maszyn, latać, jechać... Moja strasznie się bać. Wtedy przybiec Jedi i moja złapać Quiggon, maszyny przejechać po nas, a potem my pod

wodą do Otoh Gunga, do Boss Nassa... – urwał, nie wiedząc co ma mówić dalej. Padmé kiwała głową z zainteresowaniem; R2 zapiszczał zachęcająco. – To chyba wszystko. Potem zanim moja wiedzieć, puf i być tutaj! – Przysiadł i dodał: – Bardzo, strasznie się bać.

Przeniósł wzrok z dziewczyny na robota. Padmé znów się uśmiechnęła, a R2-D2 zaświergotał. Jar Jarowi zrobiło się miło.

Ric Olie prowadził statek wprost na olbrzymią, żółtawą planetę, której obraz z wolna wypełniał iluminator. Obaj Jedi i kapitan Panaka stali za jego plecami i zerkali na mapy powierzchni, które wyświetlił na monitorach. – To Tatooine – potwierdził Obi-Wan Kenobi, nie kierując tych, słów do nikogo konkretnego. Olie wskazał jedną z map.

– Jest tu osiedle, w którym powinniśmy znaleźć to, czego nam potrzeba – zauważył. – To chyba port kosmiczny... Nazywa się Mos Espa. Spojrzał na Jedi.

– Wyląduj na skraju miasta – polecił mu Qui-Gon. – Lepiej, żebyśmy nie zwracali na siebie uwagi.

Pilot kiwnął głową i zniżył lot. Bardzo szybko przebyli warstwę atmosfery i znaleźli skrawek pustynnego gruntu, mając miasto w zasięgu wzroku. Transportowiec opadł na ziemię w chmurze piasku i siadł miękko na podporach. Było koło południa; w oddali, w rozpalonym powietrzu migotała Mos Espa.

Qui-Gon kazał Obi-Wanowi odłączyć hipernapęd, a kapitana poprosił, żeby zameldował królowej o udanym lądowaniu. Zamierzał w pojedynkę udać się do portu. Opuścił właśnie kabinę i wybierał się na poszukiwanie stosownego stroju, gdy wpadł na Jar Jara Binksa, Padmé i znajomego R2. Przystanął, doszedłszy do wniosku, że samotny przybysz może wzbudzić w mieście podejrzenia.

– Przygotuj się, Jar Jar – rzekł wreszcie. – Idziecie ze mną, ty i robot. I poszedł dalej korytarzem. Gunganin odprowadził go wzrokiem, w którym najpierw odbiło się niedowierzanie, a zaraz potem przerażenie. Zanim jednak doszedł do siebie, Jedi zniknął mu z oczu. Jar Jar jęknął i zawodząc smętnie pobiegł za nim. W głównej kabinie spotkał Obi-Wana, który wydobył właśnie z trzewi statku

moduł hipernapędu.

– Obi-Oan panie! – wysapał i padł przed młodym Jedi na kolana. – Moja prosić, tak prosić, nie iść z Quiggonem!

Obi-Wan gotów był właściwie przychylić do jego prośby, ale wiedział dobrze, że nie powinien o tym wspominać.

– Przykro mi, ale Qui-Gon ma rację. Mos Espa to centrum handlowe odwiedzane przez przedstawicieli różnych ras. Jeśli się do niego przyłączysz, nie ściągnie na siebie niepotrzebnego zainteresowania. – Obi-Wan zmarszczył brwi i odwrócił się z powrotem do uszkodzonego modułu. – Mam nadzieję – mruknął jeszcze pod nosem.

Jar Jar wstał z klęczek i ponuro, z wyrazem zniechęcenia na twarzy, podreptał do stojącego nie opodal R2-D2. Robot pisnął współczująco, a potem piknął kilka razy na pocieszenie.

Wrócił Qui-Gon, przebrany już za farmera – w luźnej tunice, spodniach i poncho. Minał Jar Jara i robota i podszedł do Obi-Wana. – Wiesz już, co się stało? Obi-Wan posłał mu niewesołe, spojrzenie. – Trafili w generator. Będzie nam potrzebny nowy.

– Tak podejrzewałem. – Mistrz Jedi uklęknął obok swego młodego towarzysza. – Nie wolno nam ryzykować prób łączności z Coruscant, dopóki znajdujemy się tak daleko od niego, na skraju galaktyki. Ktoś mógłby przechwycić transmisję i nas znaleźć. Jesteśmy zdani tylko na siebie. – Zniżył głos do szeptu. Nie pozwól, by ktokolwiek nadał jakiś meldunek, kiedy mnie nie będzie. I uważaj, Obi-Wanie; wyczuwam zakłócenia Mocy.

– Ja też je odczułem, mistrzu. – Obi-Wan popatrzył mu w oczy. – Będę czujny.

Qui-Gon wstał, zabrał Jar Jara i R2 i zszedł na powierzchnię planety. We wszystkich kierunkach aż po horyzont ciągnęły się puste piaski, poznaczone tu i ówdzie skałami oraz rysującą się w oddali linią zabudowań Mos Espy. Dwa słońca, które słały na Tatooine życiodajne promienie, paliły z taką siłą, jakby zamierzały mieszkańcom tego świata odebrać ów dar życia. Rozgrzane powietrze unosiło się nad pustynią drżącymi falami, a powietrze było tak suche, że człowiekowi natychmiast zasychało w gardle.

Jar Jar podniósł wzrok. Jego żabia twarz wykrzywiła się w grymasie przerażenia.

– Słońce mordować skórę Gungana – mruknął.

Na dany przez Qui-Gona znak ruszyli przez piaski Tatooine.

Dziwna karawana, złożona ze zwierząt z jeźdźcami, wozów i sań pojawiła się na horyzoncie niczym zniekształcony miraż, gotów zniknąć w mgnieniu oka. Binks pomamrotał jeszcze sobie trochę pod nosem, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

Nie odeszli daleko, gdy zatrzymał ich krzyk od strony statku: dwie postaci biegły w ich stronę. Kiedy zbliżyły się nieco, Qui-Gon rozpoznał kapitana Panakę i odzianą w ubogie, chłopskie szaty dziewczynę. Zatrzymał się i z chmurnym czołem czekał, aż do niego dołączą. Panaka cały się spocił.

– Jego Wysokość rozkazuje ci zabrać jej dworke – wyrzucił z siebie. – Chce, żeby Padmé osobiście zdała jej relację ze wszystkiego, co moglibyście... – Wystarczy już dziś tych rozkazów królowej, kapitanie przerwał mu Qui-Gon kręcąc głową. – Mos Espa nie będzie miejscem odpowiednim dla... – Taka jest wola królowej! – Tym razem to Panaka przerwał rycerzowi. Na jego twarzy malowała się złość i determinacja. Nalega, byś zabrał jej służącą; chce się dowiedzieć czegoś więcej o tej planecie.

Dziewczyna podeszła bliżej i spojrzała Qui-Gonowi w oczy. – Szkolono mnie w samoobronie – powiedziała. – Znam kilka języków i umiem o siebie zadbać. Nie boję się Kapitan westchnął i zerknął przez ramię na stojący w oddali statek.

– Nie każ mi tam wracać i mówić, że się nie zgadzasz. Qui-Gon zawahał się – zamierzał właśnie powiedzieć coś takiego, ale wrócił spojrzeniem do Padmé, docenił siłę drżącą w jej oczach i zmienił zdanie: mogła mu się przydać. Podróżując z dziewczyną mogliby uchodzić za rodzinę, która tylko w przelocie zahaczyła o Mos Espę. Będą też wyglądali mniej agresywnie. Skinął głową.

– Nie mam czasu, żeby się teraz sprzeczać, kapitanie – rzekł.

– Nie podoba mi się to, ale wezmę ją – Posłał Padmé ostrzegawcze spojrzenie. – Tylko trzymaj się blisko mnie.

Ruszył dalej, pozostała trójka poszła w jego ślady. Kapitan z

niekłamana ulgą obserwował dziwny pochód: na czele mistrz Jedi, za nim dworka królowej, Gunganin i na końcu, robot astromechaniczny. Zmierzali do Mos Espy.

ROZDZIAŁ

9

Wczesnym popołudniem dotarli do Mos Espy i skierowali się do centrum portu. Miasto było rozległe i z lotu ptaka przypominało węża, który zwinął się w ciasny kłębek i na wpół zagrzebał w piasku, by skryć się przed palącymi słońcami. Budynki miały kopulaste zwieńczenia i grube, zakrzywione ściany, stragany ocieniano markizami i werandami, a szerokimi ulicami przeciągały istoty wszelkich możliwych kształtów i kolorów, w większości przybysze z innych planet. Niektórzy podróżowali na grzbiecie nawykłych do życia na pustyni eopie; olbrzymie, rogate, oswojone banthy i kolebiące się roso grzbiety ciągnęły ogromne wozy i sanie, zaopatrzone w koła bądź gąsienice; podróżnicy i wędrowni handlarze kursowali nieustannie między głównym miastem Tatooine i jej mniejszymi osiedlami.

Qui-Gon cały czas czujnie wypatrywał niebezpieczeństwa.

W Mos Espie nie brakowało Rodian, Dugów i innych stworzeń, które mogły mieć nieprzyjazne zamiary. Większość przechodniów nie zwracała na grupę Qui-Gona uwagi; jeden czy dwóch zerknęli przelotnie na Jar Jara, ale przyjrząwszy mu się bliżej przestawali się nim interesować. Wyglądało na to, że prowadzona przez Jedi grupa gładko wtapia się w miejscowy krajobraz; spotykało się tu taką mnogość najróżniejszych stworzeń, że jedno czy dwa nowe nie robiło różnicy.

– Na Tatooine rządzi Hutt imieniem Jabba. Nadzoruje niemal cały obrót zakazanymi towarami, piractwo, przemyt i handel

niewolnikami, któremu zresztą planeta zawdzięcza swój dobrobyt wyjaśniał Qui-Gon słuchającej go Padmé. Kiedyś odwiedził już Tatooine, choć teraz od dawna się na niej nie pokazywał. – Jabba kontroluje porty kosmiczne i inne zamieszkane osady, natomiast Jawowie i Tuskenowie podzielili się pustynią. Pierwsi żyją z tego, co uda im się znaleźć, drudzy zaś pędzą żywot koczowników i bez skrępowań okradają wszystkich, którzy im się trafią.

Jedi utrzymywał spokojny, niezobowiązujący ton głosu.

Dziewczyna szła z nim ramię w ramię i chłonęła wzrokiem otaczający ich widok. Mijały ich najróżniejsze pojazdy i roboty najróżniejszych kształtów i rozmiarów.

– Jest tu również sporo farm, położonych na pustyni i wykorzystujących gorący klimat. Zwykle prowadzą je przybysze spoza planety, którzy nie mają nic wspólnego ani z koczownikami, ani z Huttami. Uprawy w większości czerpią wilgoć z powietrza, dzięki skraplaczom. – Jedi popatrzył w głąb ciągnącej się przed nimi ulicy. – To niebezpieczne miejsce. Większość mieszkańców galaktyki go unika. Te kilka portów kosmicznych, jakie istnieją na Tatooine, stało się znakomitymi kryjówkami dla tych, którzy nie chcą się rzucać w oczy. – Tak jak my – stwierdziła Padmé.

Szeroką ulicą sunęła wolno para udomowionych banthów, zaprzężonych do spiętych w pociąg wozów, załadowanych kamiennymi blokami i metalowymi podporami. Potężne stopy zwierząt przy każdym niezgrabnym kroku wzbijały w powietrze chmury kurzu. Na pierwszym wozie drzemał woźnica, malutki i niemal nie zauważalny przy ogromnych bestiach.

Jar Jar Binks starał się zaledwie nie oddalać od rycerza i dziewczyny. Strzelał tylko oczami na wszystkie strony, kręcąc przy tym głową tak, jakby chciał ją sobie koniecznie ukreślić. Wszystko, co widział, było obce i straszne: obcy przyglądali mu się z niechęcią, w najlepszym wypadku wyzywająco, w najgorszym zaś – po prostu z wrogością. Wolał się nie zastanawiać, o czym myślą osoby, które tak na niego patrzą. Nie podobała mu się Mos Espa; miał wrażenie, że czułby się lepiej w każdym innym miejscu.

– Złe, bardzo złe – mruknął i z trudem przełknął ślinę. Zaschło mu

w gardle i wiedział, że suche powietrze nie jest jedyną tego przyczyną. – Nic dobrego, to miejsce. – Wystarczył jeden nieostrożny krok i Jar Jar wdepnął po kostki w kałużę cuchnącego śluzu. – O jejku! To paskudne!

R2-D2 toczył się u jego boku, popiskując i świergoląc radośnie w bezskutecznych próbach zapewnienia go, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Przemierzyli całą główną ulicę portu i skręcili w zaułek, który doprowadził ich na niewielki plac, ze wszystkich stron otoczony sklepami i warsztatami. Qui-Gon zmierzył wzrokiem sterty części silników, paneli sterujących i modułów komunikacyjnych, wydobytych ze śmigaczy i większych maszyn. – Zaczniemy od jednego z tych mniejszych sklepików stwierdził i skinął głową ku stoisku, przy którym w przybudówce piętrzyła się góra złomu. Kiedy przez nisko sklepione drzwi weszli do środka, przywitała ich pulchna, niebieska istota, która śmignęła w ich stronę niczym jakaś zepsuta sonda kosmiczna. Jej skrzydełka poruszały się z taką szybkością, że rozmazywały się w mgiełkę.

– Hi chubba da nago? – warknął sprzedawca gardłowo, chcąc się dowiedzieć czego szukają.

Toydarianin – pomyślał Qui-Gon. Rozpoznał rasę, ale na tym jego wiedza się kończyła.

– Potrzebne mi jest parę części do nubiana typu J 327 powiedział.

Toydarianin rozpromienił się i wydał z siebie serię dziwacznych mlaśnieć. – Nubian! Ach, tak. Mam mnóstwo takiego sprzętu. – Przeniósł spojrzenie wyłupiastych oczu na Padmé, potem na robota, aż skończył na Gunganinie. – A cóż to takiego?

Przestraszony Jar Jar przykucnął za plecami Qui-Gona. – To nieistotne – odpowiedział Jedi. – Masz coś dla nas?

– A macie pieniądze? Oto jest pytanie! – Toydarianin skrzyżował ręce na piersi i przyglądał się gościom z nieskrywaną pogardą. – Czego ci potrzeba, farmerze?

– Mój robot dysponuje pełną listą – rzekł Qui-Gon i skinieniem głowy wskazał stojącego obok R2.

Toydarianin, wciąż jeszcze unosząc się w powietrzu na wysokości

twarży Qui-Gona, obejrzał się przez ramię.

– Peedunkel! Naba dee unko!

Od strony podwórka do sklepu wpadł mały chłopiec w rozchełstanej, poplamionej smarem tunice. Na widok klientów stanął jak wryty. Wyglądał, jakby oczekiwał, że właściciel sklepu zrobi mu awanturę: uchylił się odruchowo, kiedy Toydarianin odwrócił się w jego stronę i podniósł rękę jak do ciosu. – Gdzie byłś tyle czasu?!

– Mel tass chopas kee – odpowiedział pośpiesznie dzieciak i posłał szybkie spojrzenie gościom. – Czyściłem beczkę, tak jak pan...

– Chut-chut! – Toydarianin machnął ze złością rękoma. – Co mnie obchodzi jakaś beczka! Pilnuj sklepu, ja muszę coś sprzedać! Odwrócił się plecami do chłopca.

– Chodźmy na podwórko. Tam znajdziecie wszystko, czego wam potrzeba. Toydarianin pomknął ku tylnemu wyjściu, dając Qui-Gonowi znak, żeby poszedł za nim. Jedi ruszył więc jego śladem, a R2-D2 potoczył się za nimi. Jar Jar zdjął z półki dziwnie uformowany kawałek metalu i obracał go z ciekawością w rękach.

– Niczego nie dotykaj – upomniął go ostro Qui-Gon, obejrzwawszy się przez ramię.

Binks odłożył metalowy przedmiot na miejsce, wykrzywił się paskudnie i pokazał Qui-Gonowi język, kiedy rycerz odwrócił się już do niego plecami. Kiedy tylko Jedi zniknął mu z oczu, Jar Jar ponownie złapał zabawkę w rękę.

Anakin Skywalker nie mógł oderwać oczu od dziewczyny. Od razu, gdy tylko wpadł do sklepu, zwrócił na nią uwagę i od tego czasu nieustannie wodził za nią wzrokiem. Jednym uchem słuchał Watto, który kazał mu pilnować towaru; prawie nie zauważył dziwnego stwora, który przyszedł wraz z nią, a teraz ciekawie wtykał nos we wszystkie pojemniki i zaglądał na półki. Nawet kiedy już zorientowała się, że chłopiec ją obserwuje, nie umiał się powstrzymać.

Przesunął się i podskoczywszy lekko usiadł na pustym kawałku lady, udając, że czyści ogniwo komunikatora. Dziewczyna patrzyła wprost na niego, a zażenowanie z wolna ustępowało na jej twarzy

miejsca ciekawości. Była drobna, zgrabna, miała kasztanowe warkocze, brązowe oczy i twarz, której urody Anakin nie umiał z niczym porównać. Przywdziała strój zwykłej wieśniaczki, ale i tak wyglądała na osobę niezwykle pewną siebie.

Odpowiedziała mu rozbawionym uśmiechem. Anakin się zmieszał i odetchnął głęboko.

– Czy jesteś aniołem? – zapytał cicho.

– Słucham? – zdziwiła się.

– Aniołem – powtórzył Anakin i usiadł prosto. – Anioły mieszkają zdaje się na księżycach Iego i są najpiękniejszymi istotami we wszechświecie. Są poza tym dobre i łagodne, a ich uroda z najbardziej zatwardziałyh kosmicznych piratów robi łagodne owieczki.

Padmé patrzyła na niego z powątpiewaniem. – Nigdy o nich nie słyszałam – odparła.

– Musisz być jednym, z nich – upierał się chłopiec. – Może po prostu o tym nie wiesz.

– Zabawny z ciebie dzieciak. – Padmé znów uśmiechnęła się weselej. – Skąd to wszystko wiesz? Anakin też się uśmiechnął. Wzruszył ramionami.

– Słucham, co mówią piloci i kupcy, którzy tu przybywają wyjaśnił i ruchem głowy wskazał zagracone podwórze. – Bo ja, wiesz, jestem pilotem. I pewnego dnia stąd odlecę.

Dziewczyna podeszła do końca kontuaru, spuściła wzrok, a potem znów spojrzała Anakinowi w oczy.

– Od dawna tu jesteś?

– Byłem bardzo mały, jak tu trafiłem. Miałem chyba ze trzy lata. Mamę i mnie sprzedano Gardulli, ale w zakładach na wyścigach wygrał nas od niej Watto. Jest lepszym panem od niej.

– Jesteś niewolnikiem?! – Padmé nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

Sposób, w jaki o to zapytała, zarazem zawstydził i rozgniewał chłopca, który spojrzał na nią buńczucznie.

– Jestem człowiekiem!

– Przepraszam – odparła wystraszona i zakłopotana Padmé.

– Chyba po prostu nie bardzo to rozumiem. To dziwny świat.

Anakin przyglądał się jej badawczo, rozważając w duchu inne

sprawy, o których chciałby jej powiedzieć.

– Tak jak i ty jesteś dla mnie dziwna – przyznał. Spuścił nogi z lady. – Nazywam się Anakin Skywalker.

Dziewczyna odruchowo przejechała dłonią po włosach. – Padmé Nabberrie. Stwór, z którym przyszła, przeszedł bliżej wejścia do sklepu i pochylił się nad krępym, niskim automatem o pękatym nosie. Podniósł ciekawie rękę i jednym palcem nacisnął nochal robota. Z korpusu maszyny wysunęły się metalowe kończyny, silniki bzyknęły i zazgrzytały, aż w końcu robocik z szarpnięciem ruszył przed siebie. Towarzysz Padmé wydał z siebie przerażony jęk i potruchtał za robotem, próbując go złapać i zatrzymać, ten jednak nie zwracał na niego uwagi i maszerował dziarsko przez sklep, przewracając wszystko po drodze.

– Naciśnij mu nos! – krzyknął Anakin, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

Stworek zrobił co mu kazano: niemal na oślep pacnął robota w nos – i automat stanął w miejscu, wciągnął ręce i nogi do wnętrza korpusu i wyłączył silniki. Teraz śmiali się już oboje Anakin i Padmé – a gdy ujrzeli wyraz twarzy nieszczęsnego Jar Jara, ich wesołość jeszcze wzrosła.

Anakin popatrzył na dziewczynę. Odpowiedziała mu spojrzeniem i oboje przestali się śmiać. Padmé znowu na wpół świadomie poprawiła włosy, ale nie spuściła wzroku.

– Ożenię się z tobą – oznajmił nagle Anakin.

Na moment zapadła cisza, po czym dziewczyna prychnęła kpiąco. Wcale mu to nie przeszkadzało: miała miły, melodyjny śmiech. Towarzyszący jej stworek przewrócił oczami.

– Mówię serio.

– Zabawny jesteś – powiedziała Padmé przestając się śmiać.

– Dlaczego tak mówisz?

Anakin zawahał się.

– Chyba dlatego, że tak myślę.

Miała naprawdę olśniewający uśmiech.

– Wiesz... Obawiam się, że nie mogę za ciebie wyjść... – nie skończyła zdania, nie mogąc sobie przypomnieć jego imienia. –

Anakinie – podpowiedział.

– Anakinie. – Odchyliła głowę. – Jesteś jeszcze chłopcem.

– Ale kiedyś dorosnę – powiedział cicho, przyglądając się jej uważnie.



Watto patrzył na ekran trzymanego w ręce przenośnego banku pamięci i przeglądał spis zmagazynowanych na podwórzu części. Qui-Gon skrzyżował ręce, ukrył dłonie w poncho i cierpliwie czekał na wynik oględzin. R2 stał u jego boku.

– Ach, tu jest: generator hipernapędu T-14! – wykrzyknął Watto unosząc się przed twarzą Jedi. Postukał zakrzywionym palcem w ekran. – Masz szczęście: jestem w okolicy jedynym, który go ma. Chociaż chyba taniej by ci wyszło kupić nowy statek. A skoro już przy tym jesteśmy: ile zamierzasz mi za wszystko zapłacić, farmerze? Qui-Gon się zamyślił. – Mam dwadzieścia tysięcy kredytów Republiki...

– Kredyty republikańskie?! – powtórzył zdegustowany Watto. – Nie mają tu żadnej wartości! Potrzebuję czegoś lepszego? czegoś w cenie... Rycerz pokręcił głową.

– Nie mam nic innego. – Uniósł dłoń i niby przypadkiem przesunął ją przed obliczem niebieskiej istoty. – Wystarczą kredyty. – Nie wystarczą! – warknął Watto.

Qui-Gon zmarszczył brwi i powtórzył gest, tym razem wkładając weń całą siłę sugestii, jaką zdołał. – Wystarczą kredyty – powiedział. Watto uśmiechnął się pogardliwie.

– Nie wystarczą! – powtórzył. – A w ogóle to co ty sobie myślisz? Machasz mi tu łapą przed oczami... Co ty, niby jakiś Jedi jesteś? Też coś! Toydarianina na takie sztuczki nie weźmiesz! Liczy się forsa! Nie ma forsy, nie ma części! A zapewniam cię, że drugiego T-14 nie znajdziesz!

Rozczarowany Qui-Gon Jinn wrócił do sklepu. R2 potoczył się za nim, Watto zaś krzyknął im na odchodnym, żeby wrócili, kiedy będą mieli coś na handel; cały czas pomstował na farmera, który usiłował mu wcisnąć bezwartościowe pieniądze. Jedi wszedł do sklepu w chwili, gdy Jar Jar wyciągnął jeden element z ułożonej na podłodze

sterty i cała pieczołowicie zbudowana konstrukcja z łoskotem runęła na ziemię. Kiedy Binks usiłował naprawić szkody, udało mu się przewrócić kolejny stos.

Dworka królowej dyskutowała zawzięcie z chłopcem; zatopieni w rozmowie nie zwracali na Gunganina najmniejszej uwagi. – Idziemy – oznajmił rycerz i w towarzystwie robota ruszył ku wyjściu.

Jar Jar natychmiast podbiegł do niego, szczęśliwy, że może oddalić się z miejsca, w którym tyle narozrabiał. Padmé uśmiechnęła się przyjaźnie. – Miło było cię poznać, Anakinie – powiedziała i poszła za Qui-Gonem. – Mnie również było miło – zawołał Anakin z żalem. Watto wpadł do sklepu kręcąc z niesmakiem głową.

– Ci przybysze! Wydaje im się, że jak mieszkamy tak daleko, to się na niczym: nie znamy!

Anakin siedział ze wzrokiem wlepionym w zamknięte już drzwi. – Mnie wydali się całkiem sympatyczni – stwierdził.

Watto z prychnięciem podfrunął do niego i zafurkotał mu przed oczami. – Posprzątaj ten bałagan, a potem zmiataj do domu!, Chłopiec uśmiechnął się i zabrał do pracy.

Qui-Gon z towarzyszami przeszli przez plac i skręcili w uliczkę wiodącą do głównej alei. Jedi wypatrzył zacienioną wnękę między dwoma budynkami, kazał wszystkim się w niej ukryć i wyjął komunikator. Padmé i R2 czekali cierpliwie, natomiast Jar Jar chodził w tę i z powrotem jak zwierzę w klatce, cały czas nerwowo zerkając na ulicę.

Kiedy zgłosił się Obi-Wan, mistrz Jedi szybko opisał mu sytuację.

– Czy na pokładzie nie mamy nic wartościowego? – zapytał. Na moment zapadła cisza, po czym z głośnika dobiegł znów głos Kenobiego: – Parę pojemników z zapasami, szaty królowej, może Jakaś biżuteria; nic, czym można by naprawdę pohandlować – w każdym razie nie w ilości, jaką dysponujemy.

– W porządku – odrzekł Qui-Gon i nachmurzył się. – Poczekamy, aż pojawi się inna okazja. Odezwe się.

Wetknął komunikator z powrotem pod poncho i dał znak

pozostałym. Chciał właśnie wyjść na ulicę, gdy Jar Jar chwycił się kurczowo jego rękawa.

– Nie! Nie znowu! – wyjącał. – Te stwory wariować. Obrabować nas i zjeść!

– Raczej nie – uspokoił go Jedi z westchnieniem i uwolnił się z uścisku. – Nie mamy nic wartościowego. I w tym sęk.

Ruszyli w drogę powrotną. Qui-Gon rozmyślał nad następnym posunięciem; Padmé i R2-D2 trzymali się blisko niego, żeby nie zgubić się w tłumie, ale Gunganin zaczął z wolna zostawać w tyle. Rozpraszało go tyle nowych widoków i woni... Mijali właśnie kawiarenkę pod gołym niebem. Przy stolikach zasiadały najróżniejsze groźnie wyglądające obce istoty – między innymi Dug, który właśnie robił komuś wykład o zaletach rajdów ścigaczy. Jar Jar chciał już przyspieszyć i dogonić resztę grupy, ale w tymże momencie wpadły mu w oko świeże żaby, wiszące na drucie przy sąsiednim stoisku. Zwolnił kroku. Pocięła mu ślinka; tak dawno już nie jadł... Rozejrzał się czy nikt nie patrzy, a potem jednym strzałem języka ściągnął żabę z drutu. W mgnieniu oka zniknęła w dziobie Gunganina.

Niestety, żaba wciąż była umocowana do drutu i Jar Jar nie bardzo mógł się ruszyć nie pozbywając się zdobyczy.

Właściciel straganu rzucił się w jego stronę. – Zaraz, to kosztuje siedem trugutów!

Spanikowany Binks rozejrzał się w poszukiwaniu swoich towarzyszy, ale na dobre zniknęli mu z oczu. Zdesperowany wypuścił z pyska żabę, która odskoczyła na napiętym drucie, a po dwóch czy trzech szarpnięciach zerwała się i wpadła Dugowi do talerza. Zupa chlapnęła prosto na gościa:. Niezgrabny Dug poderwał się na równe nogi i dostrzegł uciekającego przed handlarzem Jar Jara. Przemknął po stole na czworaka i w ułamku sekundy spadł na Gunganina. Chwycił go za gardło.

– Chubba! Ty! – warknął wściekle, czemu towarzyszyły gwałtowne ruchy szczęki i falowanie czułek. – To twoje? zapytał i pchnął Gunganinowi w twarz wyłowioną z zupy żabę.

Jar Jar nie mógł wyjąkać ani słowa – starał się za wszelką cenę złapać oddech i uwolnić z uchwytu. Strzelał oczami na wszystkie

strony, rozpaczliwie wypatrując pomocy, która znikąd nie nadchodziła. Otaczało go coraz więcej obcych istot, między innymi Rodian, Dug tymczasem pchnął go na ziemię, przykucnął nad nim i nie przestawał wrzeszczeć. Gunganin niepewnie próbował się odczołgać.

– Nie, nie! – jęczał żałośnie.

– Dlaczego zawsze ja?

– Bo się boisz – odpowiedział mu spokojny głos.

Anakin Skywalker przepchnął się przez tłum i stanął obok Duga. Nie wyglądał na wystraszonego ani obecnością obcego, ani rozeźlonym tłumem. – Chess ko, Sebulba – powiedział spokojnie. – Uważaj. On ma niezłe powiązania.

Sebulba odwrócił się do chłopca i wykrzywił pogardliwie twarz.

– Tooney rana dunko, shag? – warknął, chcąc się dowiedzieć, co Anakin ma na myśli.

– No wiesz... Wśród Huttów. – Młody Skywalker wzruszył ramionami. Spojrzał Dugowi w oczy i dostrzegł w nich iskierkę lęku.

– Ma naprawdę niezłe plecy, Sebulbo. Nie chciałbym, żeby ci się coś przytrafiło, zanim znów uda nam się pościgać. Wściekły Dug splunął mu pod nogi.

– Neek me chawa! Następny wyścig, wermo, będzie twoim ostatnim!

Uto notu wo shag! – Zamachał łapami. – Gdybyś nie był niewolnikiem, zgniótlbym cię jak robaka!

To mówiąc Sebulba posłał ostatnie spojrzenie skulonemu Jar Jarowi, zebrał swoich kompanów i wrócił do stolika. Anakin odprowadził go wzrokiem. – Za niewolnika musiałbyś niestety zapłacić – dodał cicho. Pomagał Jar Jarowi pozbierać się z ziemi, gdy zjawili się Qui-Gon, Padmé i R2-D2, którzy w końcu zauważyli nieobecność Gunganina.

– Cześć! – rzucił uśmiechnięty Anakin, ciesząc się, że tak szybko udało mu się znów spotkać dziewczynę. – Waszego kolegi omal nie przerobiono tu na marmoladę: wdał się w bójkę z Dugiem. Bardzo groźnym Dugiem. – Nie, panie! Nie, panie! – Binks otrzepywał się z kurzu. Moja nie lubić bijatyk. To ostatnia rzecz, żeby moja chcieć.

Qui-Gon obrzucił go uważnym spojrzeniem, popatrzył po tłumie przechodniów, a potem złapał Gunganina za łokieć.

– Mniejsza z tym; w każdym razie ten chłopiec ocalił ci tyłek. Masz niezwykły dar pakowania się w kłopoty, Jar Jarze. Jedi skinął Anakinowi głową. – Dziękuję, przyjacielu.

Padmé również się do niego uśmiechnęła i Anakin pokraśniał z dumy. – Moja nic nie zrobić! – upierał się Jar Jar, podkreślając swą niewinność gwałtowną gestykulacją.

– Bałeś się – rzekł chłopiec poważnie. – Strach przyciąga tych, co sami się boją. Sebulba chciał zdusić własny lęk wyzywając się na tobie. Możesz sobie pomóc: naucz się mniej bać.

– A tobie to pomaga? – zapytała sceptycznie Padmé, uśmiechając się półgębkiem.

Anakin odpowiedział jej uśmiechem i wzruszeniem ramion. – No wiesz... Do pewnego momentu tak.

Zależało mu na tym, by jak najdłużej cieszyć się towarzystwem dziewczyny, toteż przekonał Qui-Gona, by poszli z nim do stoiska z owocami przy tej samej ulicy. Zdawało się, że stragan ledwie stoi: ot, kawał poszarpanego płótna, rozpięty na rusztowaniu z krzywych pałaków. Na zwróconym w stronę ulicy stojaku pyszniły się różnobarwne owoce. Starsza, siwowłosa, przygarbiona i pomarszczona kobieta w połatanej, znoszonej tunice wstała ze stołeczka, żeby ich przywitać.

– Jak się czujesz, Jiro? – zagadnął Anakin i uściskał ją mocno. Kobieta się uśmiechnęła.

– Wiesz przecież, Annie, że upał mi nie służy.

– A wiesz co? – rozpromienił się chłopak. – Znalazłem wreszcie klimatyzator, którego tak szukałem. Jest trochę zdezelowany, ale szybko go naprawię. Obiecuję. Na pewno ci się przyda.

Jira pogłaskała go po policzku i uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Dobry z ciebie chłopiec, Annie.

Anakin wzruszył ramionami i zerknął na wystawione na sprzedaż owoce. – Wezmę cztery miłki – powiedział i spojrział zachęcająco na Padmé. – Będą wam smakowały.

Sięgnął do kieszeni po zaoszczędzone truguty, ale kiedy chciał

zapłacić, jedna z monet wypadła mu z ręki. Stojący obok Qui-Gon schylił się i podał mu ją, a wtedy jego farmerska tunika rozchyliła się i chłopiec dostrzegł zatknięty za pas miecz świetlny. Oczy rozszerzyły się Anakinowi ze zdziwienia, ale zamaskował zaskoczenie, skupiając się na pieniądzach: okazało się, że ma tylko trzy truguty.

– Oj, myślałem, że mam jeszcze jednego – powiedział, bojąc się podnieść wzrok. – Niech będą trzy miłki, Jiro. Nie jestem znowu taki głodny. Starowina podała Qui-Gonowi, Padmé i Jar Jarowi owoce i odebrała zapłatę. Nagły podmuch wiatru wprowadził rusztowanie straganu w drzenie; płótno wydeło się jak żagiel. Drugi podmuch wzbił tumany kurzu. Jira objęła się za ramiona.

– Rety, ależ mnie rwie w kościach – powiedziała. – Idzie burza, Annie. Lepiej zmykaj do domu.

Wiatr uderzył mocniej, krótkimi, zdecydowanymi szarpnięciami, po których piasek i drobne śmieci wzbiły się w powietrze. Anakin popatrzył w niebo, a potem spojrzał pytająco na Qui-Gona.

– Macie gdzie się schować?

Jedi skinął potakująco głową.

– Wrócimy na statek. Jeszcze raz dziękuję ci, przyjacielu, za...

– Daleko macie do statku? – przerwał mu pośpiesznie chłopiec. Wszyscy kupcy w zasięgu wzroku wnosili towary do domów, zamykali drzwi i okna, zatrzaskiwali okiennice i okrywali wystawione dobra płachtami materiału. – Czeka na nas na skraju miasta – odparła Padmé i odwróciła się tyłem do wiatru. Anakin złapał ją za rękę i pociągnął.

– Nie dotrzecie tam na czas! Burze piaskowe są tu bardzo, ale to bardzo groźne. Chodźcie, przeczekacie ją u mnie w domu. To niedaleko, a mama z pewnością nie będzie miała nic przeciwko temu. Tylko się pośpieszcie! Wiatr zawodził żałośnie, przesłaniając niebo tumanami piachu, gdy Anakin pożegnał się z Jirą szybkim „Do widzenia!” i czym prędzej powiódł swoich nowych znajomych w bezpieczne miejsce.

Obi-Wan Kenobi stał przed dziobem statku, na obrzeżach Mos

Espy i patrzył, jak wiatr się nasila, targa jego szatą i rozpędza się coraz bardziej na rozległej pustyni Tatooine. Zatroskany spoglądał w stronę odległego miasta, które z wolna niknęło za zasłoną piasku. Kapitan Panaka zszedł po trapie i stanął obok niego. – Burza ich opóźni – zmartwił się Jedi.

– Nie wygląda to dobrze – zgodził się z nim Panaka. – Lepiej będzie zahermetyzować statek, zanim rozhula się na dobre.

Z komunikatora kapitana dobiegł cichy pisk. – Co się stało? – zgłosił się Panaka.

– Mamy wiadomość z domu – oznajmił Ric Olie.

Panaka i Obi-Wan spojrzeli po sobie.

– Już idziemy – rzucił kapitan i wbiegli po trapie na górę. Ric Olie kazał im przejść do kabiny królowej, gdzie znaleźli Amidalę w towarzystwie dwóch służących, Eirtae i Rabe. Przed nimi, w kącie pomieszczenia, migotał słabo hologram Sio Bibble'a. Głos gubernatora rwał się i mieszał z trzaskami: – ... odcięli nam całe zaopatrzenie... coraz więcej Naboo umiera... katastrofa... Musimy spełnić ich żądania, Wasza Wysokość – Obraz zbladł, by po chwili znów pojawić się wyraźniej. Głos nadal docierał zniekształcony. – Proszę, błagam cię, pani, powiedz, co mamy robić! Jeśli Wasza Wysokość mnie słyszy, proszę się odezwać...

Obraz mignął jeszcze raz i rozwiął się w powietrzu. Głos gubernatora ucichł. Zatroskana, pogrążona w myślach królowa nie odrywała wzroku od miejsca, w którym pojawił się hologram. Nerwowo splatała i rozplatała palce, zdradzając niepokój, który ze wszystkich sił starała się ukryć.

Spojrzała Obi-Wanowi w oczy, Jedi zaś natychmiast pokręcił głową.

– To podstęp, Wasza Wysokość. Proszę nie odpowiadać. Proszę nie wysyłać żadnych sygnałów.

Królowa przez chwilę jeszcze wahała się, ale w końcu skinęła głową na znak zgody. Obi-Wan wyszedł z kabiny bez słowa, mając szczerą nadzieję, że podjął właściwą decyzję.

ROZDZIAŁ

10

Burza przewalała się ulicami Mos Espy niczym oślepiający, duszący wir piaskowy, z niewiarygodną siłą wgryzając się pod ubrania i atakując odsłoniętą skórę. Anakin trzymał Padmé za rękę, żeby się nie zgubiła, a farmer, wodny stwór i R2 szli za nimi, starając się dotrzeć do dzielnicy niewolników zanim będzie za późno. Inni mieszkańcy Mos Espy z wysiłkiem podążali ulicą: pochylone głowy, osłonięte twarze, zgarbione jakby pod brzemieniem lat ciała. Z oddali dobiegało zawodzenie wystraszonego eopie. Sączące się przez obłok kurzu i piasku światło słońc nabrało dziwnego, żółtawoszarego odcienia; zabudowania zniknęły w nieprzeniknionej szarości.

Brnąc z trudem do domu, Anakin myślami wędrował zupełnie gdzie indziej. Rozmyślał o Padmé, o tym, że będzie mógł przedstawić ją matce, że opowie jej o swoich projektach, że jeszcze trochę potrzyzyma ją za rękę... Zrobiło mu się przyjemnie ciepło – i straszno zarazem, ale dobrze się z tym czuł. Myślał też o farmerze – o ile mężczyzna rzeczywiście nim był, a w to Anakin mocno powątpiewał: miał przecież miecz świetlny, a tylko rycerze Jedi posługiwali się taką bronią. To już byłby nadmiar szczęścia: prawdziwy Jedi, który odwiedza Anakina, ale instynkt podpowiadał chłopcu, że się nie myli i że wraz z gośćmi w progi jego domu zawitają jakieś niezwykle tajemnice. Przypomniał sobie też swoje marzenia i nadzieje, jakie żywił na temat dalszych losów matki i własnych: może z tego niespodziewanego spotkania wyniknie coś wspaniałego, co na zawsze odmieni jego życie...

Dotarli do dzielnicy niewolników, gdzie ubogie baraki stały jeden na drugim, upodabniając okolice do grupy mrowisk połączonych wspólnymi ścianami i kręconymi schodami. Plac pomiędzy nimi opustoszał, gdy burza zagnała wszystkich pod dach. Anakin pchnął drzwi wejściowe swojego domu i wprowadził nowych znajomych do środka.

– Mamo! – krzyknął. – Wróciłem, mammo! Gliniane pobielone ściany błyszcząły delikatnie, oświetlane po części burzowym słońcem, po części zaś rozproszonym światłem elektrycznych lamp na suficie. Weszli do salonu, w którym najczęściej miejsca zajmował stół z kilkoma krzesłami. Pod jedną ścianą urządzono kuchnię, naprzeciwko zaś – warsztat. Otwór drzwiowy prowadził do sypialni i paru mniejszych pomieszczeń.

Za oknem wiatr skowyczał dziko, a ostry piasek zdierał ze ścian świeżą warstwę farby.

Jar Jar Binks rozejrzał się po wnętrzu z mieszaniną ciekawości i ulgi na twarzy. – Przytulnie – mruknął sam do siebie. Matka Anakina wynurzyła się z otworu prowadzącego do dalszej części domostwa i wytarła ręce w zgrzebną sukienkę. Miała: około czterdziestki, długie włosy zaczesywała do tyłu, odsłaniając zmęczoną twarz. Kiedyś musiała być piękna – Anakin powiedziałaby, że nadal jest – ale czas i warunki życia z wolna odciskały na niej swe piętno. Uśmiechnęła się ciepło do syna, ale zaraz spoważniała, ujrawszy gości, których przyprowadził.

– O rety! – wykrzyknęła, spoglądając kolejno na przybyszów. – Annie, co to ma znaczyć?

Anakin rozpromienił się w uśmiechu, – To moi przyjaciele, mammo. Padmé Naberrie i... Ojej, chyba nie wiem, jak się nazywacie – przyznał. – Jestem Qui-Gon Jinn – rzekł Jedi. – A to Jar Jar Binks. – Wskazał na Gunganina, który w odpowiedzi zatrzepotał ramionami.

R2 pisnął cicho. – Jest jeszcze robot, R2-D2 – uzupełniła Padmé.

– Ja też buduję robota! – oznajmił Anakin, chcąc jak najszybciej pochwalić się Padmé swoim projektem. – Chcesz zobaczyć? – Anakinie! – głos matki osadził go w miejscu. – Dlaczego ich przyprowadziłeś? – spytała ostro. – Jest burza, mammo – odparł

zmieszany. – Nie słyszysz? Matka chłopca spojrzała na drzwi, przeniosła wzrok ku oknu: wiatr miótł obłoki piasku. – Pani syn był tak miły, że zaproponował nam schronienie wyjaśnił Qui-Gon. – Spotkaliśmy się w sklepie, w którym pracuje.

– No chodź! – Anakin pociągnął Padmé za rękę. – Pokażę ci mojego androida.

Już prowadząc Padmé do swojego pokoju zaczął ze szczegółami objaśniać jej, nad czym pracuje. Dziewczyna poszła za nim bez słowa, słuchając go uważnie, a R2-D2 potoczył się za nimi, popiskując w odpowiedzi na jego wywody.

Jar Jar nie ruszył się z miejsca; rozglądał się bezradnie po pokoju, jakby czekał, aż ktoś powie mu, co ma robić. Qui-Gon i matka Anakina stali twarzą w twarz w niezręcznym milczeniu. Ziarenka piasku stuknęły donośnie w szyby. – Jestem Shmi Skywalker – powiedziała kobieta i wyciągnęła rękę do powitania. – Cieszę się wraz z Anakinem, że możemy was gościć. Qui-Gon tymczasem zdążył należycie ocenić sytuację i od zapiętego pod poncho pasa odczepił pięć małych kapsułek:

– Wiem, że się nas pani nie spodziewała. Proszę je wziąć: żywności wystarczy na solidny posiłek.

Shmi przyjęła kapsułki.

– Dziękuję. – Podniosła na moment wzrok, lecz zaraz spuściła oczy. – Bardzo dziękuję i przepraszam, że byłam taka nieprzyjemna. Anakin chyba nigdy nie przestanie mnie zaskakiwać.

– To bardzo szczególny chłopiec – stwierdził Qui-Gon.

Shmi znów spojrzała na niego i coś w jej oczach zdawało się sugerować, że dzieli z Qui-Gonem jakąś ważną tajemnicę.

– Wiem – przyznała. – Wiem o tym.

Anakin zapoznawał Padmé z C-3PO. Wyłączony android leżał na warsztacie; chłopiec rozpoczął niedawno pracę nad instalacją metalowej powłoki, udającej skórę. Wszystkie połączenia były gotowe, ale tułów, ramiona i nogi pozostały nagie i przewody sterczały na zewnątrz. Jedno oko również czekało dopiero na

zamontowanie: leżało w tym samym miejscu, gdzie Anakin zostawił je ubiegłego wieczoru po zestrojeniu refraktora. Padmé zajrzała mu przez ramię.

– Czy nie jest wspaniały? – dopytywał się Anakin, chcąc zobaczyć jej reakcję. – Nie skończyłem go jeszcze, ale niewiele mi już brakuje. – Jest śliczny – odrzekła dziewczyna z niekłamany podziwem. Chłopiec się zarumienił.

– Podoba ci się? To android protokolarny... Będzie pomagał mamie. Patrz!

Pstryknięciem przełącznika włączył zasilanie C-3PO. Robot natychmiast usiadł, Anakin zaś w pośpiechu odszukał brakujące oko i wetknął je w pusty oczodół.

C-3PO popatrzył na chłopca i Padmé.

– Witam, miło mi państwa poznać. Jestem robotem protokolarnym. Moja specjalność to zwyczajne i ludzkie cyborgów...

– Ojej! – przerwał mu szybko Anakin. – Trochę mu się pomieszało.

Porwał jakieś narzędzie z długą rączką i elektroniczną końcówką i przytknął je do gniazdka w głowie androida. Coś przekreślił, obserwując wskazania miernika, a potem wcisnął umieszczony na rękojeści guzik. C-3PO szarpnął się kilkakrotnie, a kiedy Anakin zabrał przyrząd, robot wstał i spojrzał na Padmé.

– Witam, miło mi panią poznać. Nazywam się See Three pio, specjalizuję się w kontaktach między ludźmi i cyborgami. Czym mogę służyć? Anakin wzruszył ramionami.

– Niedawno nadałem mu imię, ale zapomniałem wpisać je do pamięci, więc nie mógł się przedstawić.

Zachwycona Padmé uśmiechnęła się szeroko. – Jest doskonały.

R2-D2 podjechał bliżej i przytaknął jej serią gwizdów i pisków. C-3PO spojrzał ciekawie w dół.

– Przepraszam bardzo... Co to znaczy, że jestem nagi? R2-D2 zapiszczał coś w odpowiedzi.

– Rety! Co za wstyd! – C-3PO przyjrzał się swoim kościstym kończynom.

– Widać mi części? Ojej!

Anakin odął wargi.

– Trochę tak, ale nie przejmuj się. Niedługo się tym zajmę. Zaprowadził androida z powrotem do stołu roboczego i zerknął przez ramię na Padmé. – Jak skończy się burza, pokażę ci mój ścigacz. Sam go buduję, ale Watto nic o nim nie wie. To tajemnica.

– Nie ma sprawy. – Padmé się uśmiechnęła. – Umiem dotrzymać tajemnicy.

Burza pochłonęła Mos Espę na dobre i do wieczora wcale nie zelżała. Naniesiony z pustyni piasek piętrzył się w wydmy pod ścianami domów, tworząc sięgające dachów zaspę. Panował półmrok. Shmi Skywalker zużyła kapsułki z pożywieniem i przygotowała kolację dla wszystkich. Korzystając z tego, że gospodyni jest zajęta przy kuchni, a Padmé z Anakinem wyszli, Qui-Gon usunął się w kąt i po cichu nawiązał kontakt z Obi-Wanem. Wskutek zakłóceń słabo go słyszał, ale wystarczyło, żeby dowiedzieć się o meldunku z Naboo.

– Podjąłeś słuszną decyzję, Obi-Wanie – uspokoił swego ucznia półgłosem.

– Królowa bardzo się martwi – odpowiedział mu Kenobi wśród trzasków. Qui-Gon zerknął za siebie, na stojącą do niego plecami Shmi. – To była przynęta – powiedział. – Z całą pewnością chcieli nas namierzyć. – A jeśli gubernator Bibble mówił prawdę i Naboo umierają z głodu? Qui-Gon westchnął ciężko.

– Tak czy inaczej zostało nam niewiele czasu – odrzekł i wyłączył nadajnik.

Niedługo potem zasiedli do kolacji. Wicher szalał na dworze, tworząc dziwny podkład dla panującej w domu Skywalkerów ciszy. Rycerz i Padmé zajęli miejsca na przeciwległych końcach podłużnego stołu, natomiast Anakin, Jar Jar i Shmi usiedli po bokach. Anakin, jak to zwykle bywa z chłopcami, zaczął bez skrupowania rozprawiać o żywocie niewolnika. Traktował to jako nieunikniony fakt w swoim życiu i chciał się nim jak najprędzej podzielić z nowymi przyjaciółmi. Shmi, bardziej chyba dbając o dobro syna, próbowała ich przekonać, że życie niewolników potrafi być naprawdę ciężkie. – Wszyscy niewolnicy mają wszczepione komunikatory powiedziała.

– Pracuję nad skanerem, który pozwoliłby je lokalizować, ale na razie mi się nie udało – dodał Anakin.

Shmi się uśmiechnęła.

– Przy próbie ucieczki...

– ... wylatujesz w powietrze! – dokończył chłopiec. – Bum! I koniec.

Jar Jar z zadowoleniem siorbał smaczny rosół z talerza i tylko jednym uchem przysłuchiwał się rozmowie. W tym jednak momencie przesadził: głośne mlaśnięcie przerwało konwersację i wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę. Zażenowany Binks spuścił głowę i udawał, że nic nie widzi. Padmé wróciła spojrzeniem do Shmi.

– To nie do wiary, że w galaktyce wciąż dopuszcza się istnienie niewolnictwa – powiedziała. – Obowiązujące w Republice prawo powinno... – Tutaj nie ma Republiki – przerwała jej ostro Shmi. – Sami musimy o siebie zadbać.

Nie wiedząc co powiedzieć Padmé spuściła wzrok i zapadła niezręczna cisza.

– Widziałaś kiedyś wyścigi ścigaczy? – zagadnął Anakin, chcąc rozwiać niemiły nastrój.

Padmé pokręciła przecząco głową; a zerknąwszy przelotnie na Shmi, ujrzała wyraz zatroskania na jej twarzy. Jar Jar strzelił językiem i wylizał resztkę jedzenia z półmiska, stojącego po drugiej stronie stołu. Mlasnął, przełknął głośno i oblizał się z zadowoleniem; Qui-Gon zgromił go wzrokiem.

– Na Malastare też urząda się takie wyścigi – zauważył. Pojazdy są szybkie, a zawody niebezpieczne.

Anakin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Jestem jedynym człowiekiem, który potrafi latać ścigaczem! – Zauważywszy spojrzenie matki natychmiast przestał się uśmiechać. – O co chodzi, mamó? Przecież się nie chwale: to prawda. Nawet Watto mówi, że nigdy nie słyszał o człowieku, który by się ścigał. Qui-Gon przyjrzał mu się bacznie.

– Musisz mieć refleks jak Jedi, skoro startujesz w wyścigach. Anakin uśmiechnął się szeroko, słysząc ten komplement.

Jar Jar zapuścił język w kierunku półmiska, planując porwanie

kolejnego kąska, ale tym razem Qui-Gon był na to przygotowany: błyskawicznym ruchem złapał Binksa za jeźor. Gunganin zamarł bez ruchu z rozdziawionym dziobem i wytrzeszczonymi oczami. – Nie rób tego więcej – ostrzegł go rycerz.

Jar Jar usiłował coś powiedzieć, ale udało mu się tylko wykrztusić jakiś nieartykułowany bełkot. Qui-Gon puścił jego język, a Binks wciągnął go do pyska i rozmasował sobie obolały dziób.

Anakin podniósł wzrok na mężczyznę.

– Ja... – zaczął i zawahał się. – Zastanawiałem się nad czymś. Qui-Gon kiwnął głową, czekając na dalszy ciąg jego wypowiedzi.

Chłopiec odchrząknął i zebrał się na odwagę:

– Jesteś rycerzem Jedi, prawda?

Zapadła cisza, którą dopiero po dłuższej chwili przerwał Qui-Gon:

– Dlaczego tak uważasz?

Anakin przełknął z wysiłkiem.

– Widziałem twój miecz świetlny; tylko rycerze Jedi mają taką broń.

Qui-Gon popatrzył na niego z napięciem, a potem odchylił się wygodnie na oparcie krzesła i uśmiechnął.

– A może zabiłem Jedi i zabrałem mu miecz?

– Raczej nie. – Anakin pokręcił głową. – Jedi nie można zabić.

Rycerz spoważniał, a w jego oczach pojawił się cień smutku. – Chciałbym, żeby to była prawda...

– Śniło mi się, że jestem Jedi – oznajmił chłopiec, nie chcąc zmieniać tematu. – Wróciłem tu i wyzwoliłem wszystkich niewolników. Miałem ten sen przedwczoraj, na pustyni. – Przerwał z wyrazem wyczekiwania na twarzy. – Przybyłeś tu, żeby nas wyzwolić?

– Nie – Qui-Gon pokręcił przecząco głową. – Obawiam się, że nie...

– A ja myślę, że tak – upierał się Anakin. – Bo inaczej czego miałbyś tu szukać?

Shmi chciała właśnie coś wtrącić, być może zwrócić synowi uwagę, że zachowuje się niegrzecznie, ale Qui-Gon ją uprzedził:

– Widzę, że cię nie oszukam, Anakinie – rzekł i pochylił się konspiracyjnie nad stołem. – Nie wolno ci jednak nikomu zdradzić, że

o nas wiesz. Jesteśmy w drodze na Coruscant, do centralnego systemu Republiki. Zostaliśmy wysłani z misją niezwyklej wagi, która musi pozostać tajna. Oczy Anakina rozszerzyły się z podziwu.

– Coruscant? O rety! Skąd się wzięliście u nas, na Odległych Rubieżach? – Nasz statek został uszkodzony – odpowiedziała Padmé. Ugrzęźliśmy tu, dopóki nie uda się nam go zreperować.

– Pomogę wam! – wykrzyknął chłopiec. – Umiem wszystko naprawić! Qui-Gon uśmiechnął się, widząc jego entuzjazm.

– Nie wątpię w to, ale najpierw, jak mogłeś się przekonać, kiedy odwiedziliśmy sklep Watto, musimy zdobyć potrzebne części.

– I nie mieć nic na handel – wtrącił smutno Jar Jar. Padmé spojrzała z namysłem na Qui-Gona. – Ci handlarze muszą mieć przecież jakiś słaby punkt.

– Hazard – rzuciła bez zastanowienia Shmi. Wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. – W Mos Espie wszystko kręci się wokół zakładów na wyścigach tych okropnych ścigaczy.

Qui-Gon również wstał i wyjrzał przez okno: za grubą, zmatowiałą szybą wciąż szalała burza piaskowa.

– Ścigacze – powtórzył. – Chciwość potrafi być znakomitym sprzymierzeńcem, jeśli umie się ją wykorzystać.

Anakin zerwał się na równe nogi.

– Ja sam zbudowałem ścigacz! – oznajmił triumfalnie. Twarz promieniała mu dumą. – Najszybszy jaki istnieje! Pojutrze, w święto Boonta, są wyścigi. Mógłbyś zgłosić do nich mój ścigacz, jest prawie gotowy...

– Uspokój się, Anakinie – przerwała mu matka. Jej oczy wyrażały teraz przede wszystkim troskę. – Watto nie pozwoli ci lecieć.

– Watto nie musi wiedzieć, że to mój ścigacz! – odparł bez zastanowienia chłopiec, błyskawicznie rozstrzygając w głowie wątpliwości. Odwrócił się do Qui-Gona. – Mógłbyś go przekonać, że to twoja maszyna i namówić, żeby pozwolił mi ją pilotować!

Mistrz Jedi napotkał spojrzenie Shmi: rozumiał, co czuje i bez słowa czekał na jej reakcję.

– Nie chcę, żebyś się ścigał, Annie – powiedziała cicho matka. Pokręciła smutno głową, jakby dla podkreślenia wagi swoich słów. –

To okropne; umieram za każdym razem, kiedy Watto cię do tego zmusza. Za każdym razem. Anakin przygryzł wargę.

Mamo, ale ja uwielbiam się ścigać! A oni potrzebują mojej pomocy. – Wskazał ręką na Qui-Gona. – Mają kłopoty. Nagroda z zapasem wystarczy na zapłacenie za części.

Jar Jar poparł go skinieniem głowy: – My wdepnąć paskudnie.

Qui-Gon stanął przed Anakinem i popatrzył na niego z góry. – Twoja matka ma rację. Skończmy te dyskusję – rzekł. Wytrzymał spojrzenie chłopca, po czym odwrócił się do Shmi. – Czy zna pani kogoś, kto byłby przyjazny Republice i mógł nam pomóc?

Shmi zamyśliła się, ale w końcu pokręciła przecząco głową.

– Musimy im pomóc, mamo – nalegał Anakin. Wiedział, że ma rację, że jego przeznaczeniem jest pomóc rycerzowi i jego towarzyszom. – A pamiętasz, co mówiłaś? Że największym problemem w całym kosmosie jest to, że nikt nikomu nie pomaga. Shmi westchnęła. – Anakinie, nie... – Tak powiedziałaś, mamo. – Anakin nie ustępował.

Tym razem matka nie powiedziała ani słowa, tylko zmarszczyła brwi. – Jestem pewna, że Qui-Gon nie chce wystawiać pani syna na niebezpieczeństwo – odezwała się nieoczekiwanie Padmé. Nie podobało jej się, że ich obecność doprowadziła do konfrontacji między matką i synem i usiłowała załagodzić sytuację. – Poradzimy sobie... Shmi spojrzała jej w oczy i pokręciła wolno głową.

– Nie, Annie ma rację. Nie ma innego wyjścia. Może mi się to nie podobać, ale on jest wam w stanie pomóc. – Umilkła, by po chwili dodać: – Może tak właśnie miało się stać.

Zabrzmiało to jak nieunikniona konkluzja, której do tej pory nie zauważała, jak gdyby nagle odkryła prawdę, której, choć bolesna, nie sposób było podważyć.

Twarz Anakina rozjaśniła się.

– Czy to znaczy, że się zgadzasz? – Klasnął w ręce. – Zgadzasz się!

Noc spowiła rozległy Coruscant i ukryła lśniące iglice pod czarnym aksamitem. W oknach płonęły światła, niczym przebite szpilką

otworki w materii. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się zabudowania miejskie – stalowe igły, zdobione refleksyjnym szkłem. Dawno miasto wchłonęło planetę i dziś istniało już tylko ono środek galaktyki, serce Republiki.

Republiki, której niektórzy wróżyli rychły i ostateczny upadek; Republiki, którą niektórzy pogardzali.

Darth Sidious stał na tarasie, z którego rozciągał się widok na Coruscant. W czarnych szatach wyglądał jak prawdziwe dziecko nocy. Patrzył na miasto, na jego światła, na sporadyczny ruch powietrzny. Zdawało się, że zapomniał o swym pomocniku: Darth Maul stał w milczeniu u jego boku. Myślał o Sithach i historii ich bractwa.

Pojawili się na scenie przed blisko dwoma tysiącami lat jako kult wyznający Ciemną Stronę Mocy. W pełni zgadzali się ze stwierdzeniem, że władza, z której dobrowolnie się rezygnuje, to władza stracona. Bractwo Sithów zostało założone przez zbuntowanego rycerza Jedi, samotnego odszczepieńca, który tym się, różnił od swych towarzyszy, iż od początku wiedział, że prawdziwa Moc nie leży po stronie światła, lecz kryje się w mroku. Kiedy nie zdołał przekonać do swych poglądów Rady, odszedł z zakonu. Zachował całą wiedzę i wszystkie umiejętności i w duchu poprzysiągł zemstę tym, którzy go upokorzyli.

Z początku musiał działać samotnie, wkrótce jednak znaleźli się inni, którzy podzielali jego zdanie i poszli w jego ślady, gdy poznawał Ciemną Stronę Mocy. Następnym Sithów zwerbowano do bractwa i po niedługim czasie liczył on już z górą pięćdziesięciu członków. Gardząc ideami współpracy i porozumienia, oparłszy się na założeniu, że zdobycie siły dowolnymi sposobami prowadzi do pełni władzy, Sithowie zaczęli budować swą moc w opozycji do Jedi. Nie chcieli nikomu służyć – chcieli rządzić:

Wojna z Jedi była okrutna i niemożliwa do wygrania. Zbuntowany Jedi, założyciel bractwa i jego oficjalny przywódca, nie zamierzał z nikim dzielić się władzą. Nic więc dziwnego, że jego uczniowie niemal od samego początku zaczęli knuć intrygi przeciw niemu i przeciw sobie nawzajem, toteż gdy doszło do wojny, nastąpiła nie tylko konfrontacja z Jedi, ale i ostre starcia pomiędzy Sithami.

Aż wreszcie lordowie Sithów sami się zniszczyli: najpierw zgładzono przywódcę, później zaś pozostali powybijali się wzajemnie. Nieliczni, którzy ocalili z krwawej jatki, zostali natychmiast wyłapani i zlikwidowani przez czujnych Jedi. W kilka tygodni było po Sithach. Jeden jednak przeżył.

Darth Maul nie lubił czekać; nie opanował jeszcze cnoty cierpliwości w takim stopniu, jak jego mistrz – na to potrzeba czasu i praktyki. A to właśnie cierpliwość okazała się dla bractwa Sithów zbawienna i miała mu właśnie przynieść ostateczne zwycięstwo nad Jedi.

Sith, który przeżył śmierć, wszystkich towarzyszy, doskonale to rozumiał; wykształcił w sobie tę cechę, gdy inni woleli ją odrzucić: stał się przebiegły, nauczył się działać podstępem i z ukrycia tak jak Jedi, którymi pozostali pogardzali. Kiedy Sithowie pożarli się między sobą jak kriki, nie mieszał się do walki, a gdy rzeź dobiegła końca, zaczął się ukrywać. Nie spieszył się – czekał na swoją szansę.

Kiedy powszechnie uznano, że związek Sithów uległ zagładzie, on wyszedł z ukrycia. Początkowo był sam, ale starzał się i wiedział, że jest ostatnim przedstawicielem swojego rodzaju, zaczął więc szukać następcy. Znalazłszy odpowiedniego kandydata wyszkolił go tak, by i on mógł w swoim czasie zostać mistrzem, znaleźć ucznia – i tak dalej. Nigdy jednak nie mogło żyć więcej, niż dwóch Sithów jednocześnie; nie było mowy o powrocie do błędów dawnego zakonu, do bratobójczych walk o władzę. Wspólnym ich wrogiem byli Jedi, a nie inni Sithowie, i właśnie wojna z Jedi powinna stać się ich ostatecznym celem.

Sith, który doprowadził do odrodzenia zakonu, sam sobie nadał imię Dartha Bane'a.

Od czasu rzekomej zagłady Sithów minęło już całe tysiąclecie, aż wreszcie nadeszła chwila, na którą tak czekali.

– Tatooine jest słabo zaludniona. – Chrapliwy głos ucznia przerwał mu rozmyślenia. Darth Sidious spojrział na hologram. – Rządzą na niej Huttowie. Republika praktycznie tam nie istnieje. Jeśli trop nie był – fałszywy, mistrzu, znajdę ich szybko i bez przeszkód.

Żółte źrenice błyszcząły w przypominającej barwną mozaikę

twarży Dartha Maula, zdradzając podniecenie i wyczekiwanie. Darth Sidious był zadowolony.

– Najpierw należy się pozbyć Jedi – powiedział. – Później bez kłopotu zabierzesz królową na Naboo, gdzie podpisze traktat.

– Wreszcie odkryjemy się przed Jedi – rzekł z satysfakcją jego uczeń. – Zemścimy się.

– Przeszedłeś dobrą szkołę, młodzieńcze – uspokoił go Darth Sidious.

– Jedi nie będą w stanie ci sprostać. Jest już za późno żeby zdołali nas powstrzymać; wszystko idzie zgodnie z planem:

Wkrótce zawładnę całą Republiką.

Zapadła cisza i Sith wsłuchał się w siebie: gdzieś w piersi wezbrała mu czarna fala gorąca, które zdawało się pożerać go z rozkoszą.

Qui-Gon Jinn stał w drzwiach sypialni Anakina Skywalkera.

Matka chłopca wraz z Padmé zajmowały drugą sypialnię, a Jar Jar Binks zwinął się w kuchni na podłodze w kłębek i chrapał donośnie.

Jedi nie mógł spać; nie potrafił przestać myśleć o chłopcu było w nim coś niezwykłego. Patrzył, jak jego pierś unosi się i opada w rytm oddechu. Powiedział Shmi, że Anakin jest niezwykłą osobą, a ona się z nim zgodziła. Wiedziała więc, czuła to samo, co on. Anakin Skywalker nie był zwyczajnym chłopcem.

Qui-Gon spojrział w okno. Był środek nocy, gdy burza ustąpiła, wiatr zelżał i zapanowała kojąca cisza. Zadumał się nad własnym życiem. Wiedział, co sądzą na jego temat członkowie Rady: że potrafi być uparty, czasem wręcz nierozsądny; że jest silny, ale trwoni siłę na sprawy, które nie zasługują na jego uwagę. Tylko że praw nie ustanowiono wyłącznie po to, by regulowały czyjeś zachowanie – przede wszystkim pomagały zrozumieć Moc. Czy w takim razie źle postępował naginając je w sytuacjach, gdy jego sumienie podpowiadało mu, że powinien tak uczynić?

Złożył ramiona na piersi. Moc była pojęciem złożonym, trudnym do ogarnięcia. Wyrastała z równowagi wszechrzeczy i każde zakłócenie jej przepływu groziło zachwianiem owej równowagi, Jedi

zaś próbowali jej nie naruszyć, działać zgodnie z jej rytmem. Zrozumienie wielowymiarowej istoty Mocy, należyte jej opanowanie, stanowiło zadanie, na które życia mogłoby nie starczyć. Qui-Gon zdawał sobie sprawę z własnej słabości: zanadto zbliżył się do żywej Mocy, zamiast skoncentrować się na jej jednoczącym aspekcie. Często łąpał się na tym, że szuka kontaktu z istotami pochodzącymi z teraźniejszości, żyjącymi tu i teraz. Mniej troszczył się o przeszłość i przyszłość, o stworzenia, które kiedyś zamieszkiwały lub miały zamieszkiwać tę samą przestrzeń.

Żywa Moc przepęniała go, dawała mu siłę serca, umysłu i ducha.

Dlatego właśnie rozumiał istotę Anakina Skywalkera w sposób, jaki nie podobałby się innym rycerzom, i wiedział, że chłopiec przedstawia sobą obietnicę, jakiej nie wolno zlekceważyć. Obi-Wan gotów byłby postrzegać Anakina i Jar Jara identycznie – jako bezużyteczne brzemie, bezsensownie angażujące uwagę. Kenobi miał rację, twierdząc, że należy skupić się na szerszym obrazie, na Mocy, która potrafi wszystko łączyć. Brakowało mu za to intuicji Qui-Gona; nie przejął od mistrza współczucia i zainteresowania losem wszystkich żywych istot. Nie widział tego, co dostrzegał Qui-Gon. Mistrz Jedi westchnął: nie traktował tych uwag jak krytyki, lecz tylko jak bezstronne spostrzeżenie. Kto niby miałby ocenić, który z nich dwóch lepiej interpretuje wymagania Mocy? Czasem jednak stawali przeciwko sobie i wcale nierzadko zdarzało się, że Rada przychyliła się do stanowiska Obi-Wana. Qui-Gon wiedział, że sytuacja ta jeszcze się powtórzy. I to nie raz. Ale świadomość ta nie powstrzyma go od zrobienia tego, co wiedział, że uczynić należy: musiał poznać prawdę o tym chłopcu, odkryć jego miejsce w schemacie Mocy, zarówno tej żywej, jak i bardziej ogólnej, jednoczącej. Musiał dowiedzieć się, co los zgotował Anakinowi Skywalkerowi. Parę minut później wyciągnął się wygodnie na podłodze i zasnął kamiennym snem.

ROZDZIAŁ

11

Nowy dzień wstał jasny i czysty; dwa słońca Tatooine płonęły jasno na bezchmurnym niebie. Burza przeniosła się w inne okolice i pośrodku pustyni pozostały tylko góry, skalne ostańce i zabudowania Mos Espy. Anakin wstał i ubrał się zanim goście zdążyli się obudzić, chcąc jak najprędzej pobiec do sklepu i przedstawić Watto plan związany z najbliższymi wyścigami. Qui-Gon przestrzegał go przed wykazywaniem nadmiernego entuzjazmu i prosił, żeby pozostawił mu targowanie się z Toydarianinem, ale podniecony Anakin nie słuchał go zbyt uważnie. Jedi zdawał sobie sprawę, że to od niego będzie zależało, jaka mikstura sprytu i dyplomacji okaże się skuteczna w rozmowach z Watto.

Chciwość kupca była kluczem do sukcesu, kluczem zdolnym otworzyć wszystkie drzwi, które Watto chciałby przed intruzami zatrzasnąć. Opuścili dzielnicę niewolników i trafili do sklepu Toydarianina. Anakin prowadził, Qui-Gon z Padmé szli tuż za nim, a Jar Jar i R2-D2 zamykali pochód. Mimo wczesnej pory miasto budziło się do życia: sklepikarze odgarniali nawiane przez noc góry piasku, rozkładali stragany, na nowo zawieszali markizy, naprawiali płoty i uszkodzone wozy; eopie i ronto pracowały ciężko w zastępstwie mniej wydajnych robotów; z magazynów i składów wieziono już nowy towar; port kosmiczny działał pełną parą.

Qui-Gon pozwolił Anakinowi pierwszemu wejść do sklepu i wprowadzić Watto w sprawę planowanego wyścigu, sam zaś udał się z przyjaciółmi do straganu po drugiej stronie ulicy, przekonał

sprzedawcę, że warto się rozstać z garścią kleistych owoców i spokojnie czekał. Jedząc, wrócili na placyk przed sklepem. Jar Jar, wciąż podenerwowany nowym otoczeniem, przycupnął na skrzyni nieopodal wejścia, plecami do ściany i rozglądał się na wszystkie strony, jakby w oczekiwaniu katastrofy. R2-D2 podjechał do niego i popiskiwał uspokajająco.

Qui-Gon przykazał Padmé mieć baczenie na Gunganina; nie chciał, żeby Jar Jar znów wpakował się w tarapaty. Zamierzał właśnie wejść do sklepu, gdy dziewczyna położyła mu dłoń na ramieniu.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – zapytała z powątpiewaniem. Zmarszczyła brwi. – Czy powinniśmy powierzyć nasz los chłopcu, którego właściwie nie znamy? Królowej by się to nie spodobało.

Qui-Gon odważnie spojrzał jej w oczy. – Królowa nie musi o niczym wiedzieć.

– W każdym razie mnie się to nie podoba – stwierdziła twardo Padmé. Jedi posłał jej pytające spojrzenie, ale odwrócił się bez słowa. W sklepie zastał Anakina i Watto pogrążonych w ożywionej rozmowie: Toydarianin unosił się w powietrzu kilkanaście centymetrów od twarzy chłopca, a jego skrzydełka rozmazywały się w błękitną mgiełkę. Gestykulował gorączkowo. – Patta go bolla! – krzyknął po huttańsku, a jego pulchne ciało podrygiwało przy każdym słowie. Chłopiec zamrugał odruchowo, ale nie ustępował: – No batta!

– Peedunkel! – Watto poruszał się jednocześnie do góry i w dół, w prawo i w lewo.

– Banyo, banyo! – przekrzykiwał go Anakin.

Qui-Gon wynurzył się z cienia przy wejściu i stanął tak, żeby obaj dobrze go widzieli. Toydarianin natychmiast stracił zainteresowanie chłopcem i nerwowo poruszając szczękami, śmignął w stronę rycerza.

– Chłopak twierdzi, że zamierzasz sponsorować jego start w jutrzejszym wyścigu! – wrzasnął. – Nie stać cię na części! Skąd w takim razie będziesz miał pieniądze na jego start, co? Chyba nie zamierzasz płacić republikańskimi kredytami! – Słowom tym towarzyszył chrapliwy śmiech Toydarianina, ale uwagi Qui-Gona nie umknął cię zaciekawienia w jego oczach.

– Dam w zastaw mój statek – powiedział wprost i spod poncho wydobył malutki holoprojektor. Włączył go i w powietrzu przed Watto pojawił się trójwymiarowy obraz statku królowej Amidali. Zaintrygowany Toydarianin podfrunął bliżej.

– Niezły, całkiem niezły. – Pomarszczona, niebieska trąba drgnęła niespokojnie. – Nubian.

– Jest w dobrym stanie, jeśli nie liczyć części, których potrzebujemy na wymianę. – Qui-Gon odczekał jeszcze chwilę, a potem zgasił projektor i schował go pod poncho.

– Ale na czym ma startować? – zapytał poirytowany Watto.

– W ostatnim wyścigu rozbił mój ścigacz i nie zdąży go naprawić przed Boontą.

Qui-Gon przeniósł spojrzenie na zmieszanego Anakina.

– To naprawdę nie była moja wina – wyjaśnił chłopiec. Sebulba zepchnął mnie strumieniem z dysz. Udało mi się nawet ocalić ścigacz... No, w większej części.

Watto parsknął śmiechem.

– Rzeczywiście, udało mu się! Ten chłopak umie latać, co do tego nie ma dwóch zdań! – Pokręcił głową. – Ale wciąż...

– Wygrałem kiedyś ścigacz – wtrącił Qui-Gon i ponownie ściągnął na siebie uwagę Toydarianina. – Najszybszy, jaki istnieje.

Nie patrzył na Anakina, ale z powodzeniem mógł sobie wyobrazić wyraz twarzy chłopca.

– Mam nadzieję, że nie zabiłeś przy okazji nikogo z moich znajomych! – warknął Watto i ponownie wybuchnął śmiechem i chwilę trwało, zanim się uspokoił.

– Czyli tak: ty dajesz maszynę i wpisowe ja pilota. Jak rozumiem, wygraną dzielimy się po połowie, prawda?

– Po połowie? – powtórzył Qui-Gon. – W takim razie proponuję, żebyś to ty pokrył koszt wpisowego. Jeżeli wygramy, dostaniesz całą sumę, pomniejszoną o koszt potrzebnych nam części; jeśli zaś przegramy – oddam ci mój statek.

Nie ulegało wątpliwości, że udało mu się zaskoczyć Watto.

Toydarianin zamyślił się, pocierając dłonią trąbę: oferta była aż nazbyt korzystna, więc budziła w nim podejrzenia. Qui-Gon kątem

oka wychwycił nerwowe spojrzenie Anakina.

– Tak czy inaczej, dobrze na tym wyjdiesz – zauważył Jedi. Watto uderzył pięścią w otwartą dłoń.

– Umowa stoi! – wykrzyknął i chichocząc zwrócił się do chłopca: – Twój przyjaciel zrobił kiepski interes, mały! Naucz go lepiej, jak się handluje. Toydarianin wciąż jeszcze się śmiał, gdy Qui-Gon wyszedł ze sklepu.

Mistrz Jedi zebrał Padmé, Jar Jara i robota, po czym zostawił dla Anakina wiadomość, żeby zaraz po zakończeniu pracy wrócił do domu i przygotował ścigacz. Na szczęście Watto miał głowę zaprzątniętą w znacznie większym stopniu wyścigami, niż prowadzeniem interesów, więc chłopiec został szybko zwolniony. Kupiec przypomniał mu na odchodne, żeby sprawdził, czy ścigacz w ogóle nadaje się do wyścigów, a nie jest tylko jakimś kosmicznym śmieciem, którego start naraziłby go na kpiny.

Dzięki temu niewiele brakowało, by Anakin uprzedził Qui-Gona i innych i trafił do domu przed nimi. Kiedy się spotkali, czym prędzej zaprowadził ich na złomowisko i pokazał im ścigacz: maszyna miała kształt wąskiego, przeciętego wzdłuż cylindra z umocowanym na płaskim dnie sterem. W górnej powierzchni kadłuba znajdowało się zagłębienie mieszczące kabinę, po bokach zaś płyty sterujące – Dwa radon-ulzery, smukłe silniki myśliwskie opatrzone statecznikami, zamocowano na końcach steeltonowych łączników. Całość przypominała drobnego owada, podczepionego do dwóch banthów. Uruchomili antygravitery i przeciągnęli zaopatrzone w olbrzymie silniki ścigacz na podwórko za domem Skywalkerów. Chłopiec od razu wziął się do pracy, a Padmé, Jar Jar i R2-D2 służyli mu pomocą i słowami zachęty. Qui-Gon tymczasem wszedł na ganek, prowadzący do tylnego wejścia domu Anakina, rozejrzał się, czy nikt go nie obserwuje i uruchomił komunikator. Połączył się z Obi-Wanem, który zgłosił się natychmiast, chcąc usłyszeć najświeższe wieści. Qui-Gon w krótkich słowach przedstawił mu sytuację. – Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, jutro po południu dostaniemy generator

hipemapędu i ruszymy w drogę – powiedział na zakończenie, Obi-Wan nie od razu odpowiedział, a jego milczenie było nader wymowne. – A jeżeli plan zawiedzie, mistrzu? Wtedy możemy utknąć tu na dłużej. Qui-Gon powiódł wzrokiem po ubogich zabudowaniach i widniejących za nimi dachach Mos Espy, skąpanych w blasku słońca.

– Statek pozbawiony napędu i tak: donikąd nas nie zawiezie rzekł.
– Nie mamy wyboru.

Wyłączył i schował nadajnik.

– Poza tym jest jeszcze chłopiec – szepnął sam do siebie, nie chcąc bliżej precyzować tej myśli.

Shmi Skywalker wyszła na ganek i podeszła do Qui-Gona.

Przez chwilę oboje obserwowali krzątające się na podwórzu postaci.

– Powinna być pani dumna z syna – powiedział Qui-Gon. Potrafi dawać nie oczekując w zamian nagrody.

Shmi pokiwała głową i pozwoliła sobie na przelotny uśmiech. – Nie zna chciwości; jeśli jest w czymś nienasycony, to tylko w marzeniach. Ma...

– Szczególną moc.

Kobieta posłała mu ostrożne spojrzenie.

– Tak.

– Widzi rzeczy, zanim się jeszcze wydarzą – ciągnął rycerz.

– Dlatego właśnie sprawia wrażenie, jakby miał niezwykły refleks. To cecha Jedi.

Matka Anakina patrzyła wprost na Qui-Gona; nie mógł nie zauważyć błysku nadziei w jej spojrzeniu.

– Zasługuje na coś lepszego, niż żywot niewolnika – powiedziała cicho. – Moc jest w nim niezwykle silna, to nie ulega wątpliwości Kto był jego ojcem?

Cisza, która zapadła po tych słowach, przeciągnęła się tak długo, że Jedi zrozumiał, iż zadał pytanie, na które kobieta nie była gotowa odpowiedzieć. Dał jej więc czas, by sobie z tym poradziła; nie naciskał, chcąc by wiedziała, że wcale nie musi odpowiadać.

– Nie ma żadnego ojca – odparła w końcu i pokręciła wolno głową. – Byłam z Anakinem w ciąży, urodziłam go, wychowałam. Nic

więcej nie mogę powiedzieć. – Musnęła rękę Qui-Gona, chcąc zwrócić na siebie jego uwagę. Ich oczy się spotkały. Czy możesz mu pomóc?

Qui-Gon nie odpowiedział, lecz zamyślił się głęboko. Czuł łączącą go z Anakinem więź, której nie umiał wyjaśnić. Gdzieś w głębi duszy przeczuwał, że przeznaczone mu jest zrobić coś dla chłopca, że koniecznie musi spróbować... Ale przecież młodych Jedi rozpoznawano w pierwszych sześciu miesiącach życia, po czym od razu zaczynało się szkolenie: tak było z nim samym, z Obi-Wanem, ze wszystkimi, których znał czy o których słyszał. Bez wyjątku. Czy możesz mu pomóc? Nie wiedział, czy to możliwe.

– Nie wiem – odparł łagodnie, choć zdecydowanie. – Nie przybyłem tu po to, by wyzwalać niewolników. Gdyby urodził się w Republice, szybko byśmy go znaleźli i mógłby zostać Jedi. Ma w sobie to coś... Nie jestem pewien, co mógłbym dla niego zrobić.

Shmi Skywalker pokiwała ze zrozumieniem głową, jednakże na jej twarzy, spod maski rezygnacji, błysnął promyczek nadziei.

Anakin instalował właśnie przewody w przekaźnikach mocy, gdy na podwórku zjawiała się grupa jego przyjaciół: starsi chłopcy – Kitster i Seek, mała Amee oraz Wald, Rodianin. Młody Skywalker oderwał się na chwilę od pracy, żeby przedstawić im Padmé, Jar Jara i R2-D2.

– Ojejku, prawdziwy robot astromechaniczny! – zachwycił się Kitster i gwizdnął z podziwu. – Ale masz farta!

Anakin wzruszył ramionami.

– To jeszcze nic – stwierdził z dumą. – Jutro startuję w wyścigu Boonta. Kitster rozdziawił usta i odgarnął niesforny kosmyk z czoła. – Co takiego? Na tym czymś?

– Ten złom jeszcze nigdy nie wzbił się w powietrze – rzekł Wald i szturchnął Amee porozumiewawczo. – To śmieszne, Annie.

– Tyle lat już przy nim dłubiesz – zauważyła Amee z niesmakiem. Pokręciła główką. – Nie polecą.

Anakin zamierzał powiedzieć coś na swoją obronę, ale uznał, że lepiej będzie milczeć: niech sobie myślą, co chcą, już on im pokaże.

– Chodźcie, zagramy w piłkę – zaproponował znudzony Seek,

zbierając się do odejścia. – Jak się będziesz tak upierał, Annie, to się kiedyś doigrasz. Seek; Wald i Ameer pobiegli w swoją stronę, naśmiewając się z Anakina, ale Kitster był jego najbliższym przyjacielem i wiedział, że jak mały Skywalker mówi, że coś zrobi, to należy go traktować poważnie. Został więc z Anakinem. – Oni się nie znają – powiedział cicho.

Anakin uśmiechnął się do niego w podzięcie, gdy wtem zauważył, że Jar Jar grzebie coś przy energozłączu lewej turbiny, odpowiedzialnym za synchronizację pracy silników. Uśmiech znikł z jego twarzy.

– Hej, Jar Jar! – krzyknął. – Zostaw silniki w spokoju! Pochylony nad sterującą płytką Gunganin, przyłapany na gorącym uczynku, podniósł wzrok.

– Moja?

Anakin oparł ręce na biodrach.

– Jeżeli wepchniesz rękę w wiązkę, zdrętwieje ci na ładnych parę godzin. Jar Jar skrzywił się, cofnął dłonie i splótł je za plecami, po czym przytknął dziób do płytki. Niemal natychmiast strzeliła iskra, a Binks odskoczył jak oparzony i złapał się za pysk, wlepiwszy w chłopca pełne niedowierzania spojrzenie.

– Zdrętwiał! Moja nie czuć! – wymamrotał Jar Jar. Język wysunął mu się bezwładnie z dzioba. – Język gruby! To bolało!

Anakin tylko pokręcił głową i wrócił do instalowania uzwojenia. Kitster przyglądał mu się w napięciu, bez słowa.

– Nawet nie wiesz, czy uda ci się go uruchomić – rzekł wreszcie marszcząc brwi.

– Uda się – odparł Anakin nie podnosząc głowy. Qui-Gon stanął obok niego.

– Chyba najwyższy czas się o tym przekonać – stwierdził i podał chłopcu pękaty cylinder. – Weź ten akumulator. Zaopatrzyłem się w niego dziś rano; Watto z pewnością mniej go potrzebuje, niż ty. – Jedi uśmiechnął się kącikiem ust, na wpół rozbawiony, na wpół zażenowany sytuacją.

Anakin doskonale znał wartość daru, choć nie miał ani ochoty, ani zamiaru wypytywać Qui-Gona jak wszedł w jego posiadanie.

Rozpromienił się cały. – Tak jest! – wykrzyknął i wskoczył do kabiny. Wcisnął akumulator na miejsce w pulpicie i przesunął włącznik w pozycję „ON”. Nałożył stary, wgnieciony kask i rękawice.

Jar Jar, który cały czas kręcił się w pobliżu jednego z silników, włożył właśnie rękę w wylot dopalacza i nie mógł jej wyjąć. Przerażony zaczął podskakiwać w miejscu, kłapiąc odrętwiałym dziobem. W ostatniej chwili Padmé zwróciła na niego uwagę, jak wymachuje rozpaczliwie wolną ręką i wyciągnęła go spod dysz silników na ułamek sekundy przed tym, jak Anakin uruchomił zapłon.

Z dopalaczy buchnął ogień i oba radon-ulzery zagrzmiały basowo, coraz głośniej i coraz wyższym tonem, aż Anakin odpuścił przepustnicę i odgłos ustabilizował się na poziomie gardłowego dudnienia. Widzowie podnieśli radosną wrzawę, a pilot pomachał im w odpowiedzi. Shmi w milczeniu stała na ganku, zapatrzona w bezkresną dal.

O zmierzchu blask słońc Tatooine znaczył niebo złotem i szkarłatem, wypełniając horyzont powolnym, wdzięcznym przyływem. Powoli nadciągała noc, nieboskłon ciemniał i pierwsze gwiazdy rozbłysły w górze niczym kryształowe ostrza. Planeta zamierała.

Ostatnie promienie słońc zamigotały na kadłubie małego transportowca, który z Morza Wydm zmierzał wprost do Mos Espy. Miał tępy dziób, odgięte w tył skrzydła i zakrzywione do wewnątrz stateczniki. Trzymał się nisko nad ziemią, przeskakiwał nad kamiennymi iglicami i występami, zanurzał się w doliny. Przypominał skradającego się drapieżnika, nocnego łowcę. I szukał ofiary.

Przebywszy morze piasku wylądował na szerokim skalnym płaskowyżu, skąd rozpościerał się wspaniały widok we wszystkich kierunkach. Spłoszone jego przybyciem dzikie banthy rozpierzchły się w popłochu, trąbiąc z niezadowoleniem i potrząsając kudłatymi, zbrojnymi w rogi łbami. Stateczek znieruchomiał, silniki umilkły i na chwilę zapadła cisza.

Wtedy to otworzył się właz na rufie, wysunęły sięgające ziemi

schodki i stanął na nich Darth Maul. Pozbył się czarnych szat i miał teraz na sobie luźny, dobry na pustynne warunki płaszcz z wysokim kołnierzem, przepasany w talii. Za pasem, w dogodnym miejscu, tkwił miecz świetlny. Karłowate rogi, doskonale widoczne teraz, gdy Maul nie nosił kaptura, tworzyły groteskową koronę nad jego czerwono-czarną twarzą. Nie zwracając uwagi na banthy podszedł do skraju skalnej półki, sięgnął po nocną elektrolometkę i zaczął przeczesywać horyzont.

Piasek, skały, pustkowia. Tu jedno miasto, tam drugie... jeszcze jedno. Opuścił lornetkę. Światła zaznaczały się wyraźnie w pogłębiającym się mroku. Jeśli były inne miasta na Tatooine, to albo znajdowały się po drugiej stronie Morza Wydm, skąd właśnie przyleciał, albo za horyzontem, o wiele, wiele dalej, gdzie być może będzie musiał udać się później.

Ale Maul wiedział, że Jedi są tutaj. Przypominająca mozaikę twarz nie zdradzała żadnych uczuć, ale w żółtych oczach pojawił się zachłanny błysk: już niedługo. Już wkrótce.

Podniósł rękę i zerknął na umocowany do przedramienia panel kontrolny. Wystukał parametry, które chciał zmienić i podał kod identyfikujący poszukiwanego przeciwnika; obecność rycerzy Jedi powinna szczególnie mocno zakłócać pole Mocy. Po krótkiej chwili odwrócił się w stronę statku, skąd jeden po drugim wylatywały właśnie kuliste robosondy, kierując się ku miastom, które przed chwilą obserwował.

Darth Maul odprowadził je wzrokiem w ciemność. Uśmiechnął się lekko.

Wkrótce.

Wrócił na statek, żeby śledzić sygnały z sond.



Mrok otulał Mos Espę coraz ciaśniej. Anakin siedział na barierce ganku, na tyłach domu, a Qui-Gon badał właśnie głębokie rozcięcie na jego ręce. Młody Skywalker skaleczył się pracując przy ścigaczu, ale – jak to chłopcy – do tej pory nawet tego nie zauważył.

Zerknął przelotnie na ranę, do której oczyszczenia zabierał się

właśnie Jedi, po czym przeniósł wzrok na niebo.

– Nie wierć się, Annie – zbeształ go Qui-Gon.

Chłopiec go nie słuchał.

– Tyle ich jest! – powiedział. – Czy wszystkie mają swoje układy planetarne?

– Większość tak. – Qui-Gon sięgnął po czystą szmatkę. – A czy ktoś odwiedził je wszystkie?

Mężczyzna zaśmiał się cicho. – Wątpię Anakin pokiwał głową.

– Chcę być pierwszym, który zobaczy je wszystkie z bliska... Aj!

Qui-Gon wytarł z ręki chłopca plamkę krwi i posypał ranę środkiem odkażającym.

– No, będzie jak nowa – oznajmił.

– Annie! – rozległ się dobiegający z wnętrza domu głos matki chłopca. – Czas spać!

Qui-Gon wyjął z komunikatora moduł pamięci i rozsmarował na niej próbkę krwi Anakina. Chłopiec przyglądał mu się ciekawie. – Co robisz?

– Sprawdzam, czy nie ma zakażenia – odparł Jedi nie podnosząc głowy. Anakin zmarszczył brwi. – Nigdy nie widziałem...

– Annie! – zawołała ponownie Shmi, tym razem bardziej natarczywie. – Trzeci raz nie będę powtarzać!

– Idź już – ponaglił go Qui-Gon i wskazał ręką drzwi. – Jutro twój wielki dzień. Dobranoc.

– Schował szmatkę do kieszeni.

Anakin wahał się jeszcze przez chwilę, patrząc w napięciu na mistrza Jedi, ale potem zerwał się z miejsca i popędził do domu.

Qui-Gon odczekał moment, upewnił się, że jest sam, a potem wetknął kostkę w szczelinę w nadajniku. Włączył komunikator i wywołał Obi-Wana. – Słucham, mistrzu? – zgłosił się Kenobi, jak zwykle czujny, mimo późnej pory.

– Przesyłam ci próbkę krwi – powiedział Qui-Gon i jeszcze raz rozejrzał się czujnie. – Zrób test na zawartość midichlorianów.

Uruchomił przekaz danych uzyskanych z krwi Anakina i czekał. Słyszał, jak bije mu serce, szybko i mocno. Jeśli się nie mylił...

– Mistrzu – głos Obi-Wana wyrwał go z zamyślenia – coś jest nie w

porządku z tą próbką.

Qui-Gon odetchnął głęboko. – Jaki odczyt, Obi-Wanie?

– Stężenie midichlorianów: dwadzieścia tysięcy – oznajmił w napięciu młody Jedi. – Nikt nie ma tak wysokiego wyniku, nawet sam mistrz Yoda. Nikt. Qui-Gon bez słowa zapatrzył się w mrok, oszołomiony znaczeniem swego odkrycia. Powoli podążył wzrokiem do baraku, w którym spał Anakin, i zeszywniał.

Shmi Skywalker stała w drzwiach i patrzyła na niego. Ich oczy spotkały się i przez moment miał wrażenie; że w tejże chwili odstąpiła się przed nim cała przyszłość. Zaraz potem kobieta odwróciła się zawstydzona i zniknęła we wnętrzu domu.

Qui-Gon jeszcze przez chwilę nic nie mówił, po czym przypomniał sobie, że wciąż ma włączony nadajnik.

– Dobranoc, Obi-Wanie – powiedział i pstryknął wyłącznikiem.



Dochodziła północ. Anakin, nie mogąc zasnąć, wstał i po cichutku wymknął się na podwórko, żeby po raz ostatni sprawdzić ścigacz, stery, okablowanie, przekaźniki, zasilacz – wszystko, co tylko przyszło mu do głowy. Stał teraz i patrzył na maszynę, rozważając w duchu czy czegoś nie przeoczył. Nie mógł sobie pozwolić na błąd; chciał mieć pewność, że zrobił co w jego mocy.

Żeby wygrać jutrzejszy wyścig. Musiał zwyciężyć, po prostu musiał.

Patrzył, jak R2-D2, krząta się przy ścigaczu i szerokimi maźnięciami maluje korpus maszyny, przyświecając sobie zainstalowaną nad czujnikami optycznymi lampką i słuchając dobrych rad niez mordowanego C-3PO. Po południu, idąc za radą Padmé, Anakin włączył androida, bo, jak powiedziała z uśmiechem, im więcej rąk do pracy, tym lepiej. C-3PO nie był wiele wart jako robotnik, ale jego wokoder z pewnością się nie męczył. W każdym razie R2-D2 chyba cieszył się z jego towarzystwa i cały czas odpowiadał mu piskami i gwizdami, uwijając się przy maszynie – co zresztą czynił chętnie, radośnie i niez mordowanie. Niczym się nie przejmował. Anakin mu zazdrościł: automaty albo były dobrze

zrobione, albo nie; w przeciwieństwie do ludzi nie męczyły się, nie znały uczucia rozczarowania, strachu...

Czym prędzej odpędził te myśli i zagapił się w rozgwieżdżone niebo. Usiadł i oparł się o skrzynię z częściami zapasowymi. Obok, na ziemi, położył gogle i kask. Włożył rękę do kieszeni i bezwiednie obracał w palcach japorowy wisiołek, nad którym pracował od jakiegoś czasu. Chciał go podarować Padmé. Myśli chłopca błądziły swobodnie.

Nie umiał tego wyjaśnić, ale czuł, że nadchodzący dzień odmieni jego życie. Podpowiadał mu to instynkt, wrodzona umiejętność dostrzegania rzeczy niewidzialnych dla innych, przewidywania wydarzeń. Przyszłość nadciągała niczym wezbrana fala, szybko, nie dając mu czasu do namysłu, nieunikniona jak wschód słońca.

Jaka będzie? Pytanie zdawało się zatrzymywać gdzieś na krawędzi świadomości, jakby nie chciało się do końca ujawnić. Przyniesie zmianę, ale jaką? Qui-Gon i jego towarzysze byli źródłem owej zmiany, lecz Anakin podejrzewał, że nawet sam rycerz nie zna jej skutków.

Miał nadzieję, że przyszłość przyniesie wolność jemu i jego matce; może oboje rozpoczną nowe życie... Jeśli wygra wyścig Boonta, wszystko będzie możliwe. Absolutnie wszystko.

Myśl ta wciąż zaprzętała całkowicie zmęczony umysł Anakina, gdy chłopiec zapadł w sen.

ROZDZIAŁ

12

Anakin Skywalker śnił tej nocy sen, w którym nie potrafił określić własnego wieku: był nadal młody, choć nie tak młody jak w rzeczywistości, a zarazem bardzo stary. W jego głowie przetaczały się wizje tak straszne, że nie odważył się ich w pełni rozważyć. Wolał, by pozostały na skraju świadomości, dusząc się na wolnym ogniu ambicji i nadziei. Znajdował się w innym miejscu i czasie, na planecie, której nigdy nie widział, w okolicy, której nie umiał rozpoznać. Krajobraz wokół niego rysował się niewyraźnie niczym cień, był zarazem płaski i nierówny i zmieniał się z prędkością godną mirażu na pustyniach Tatooine.

Senny obraz zadrżał, kiedy Anakin usłyszał wzywające go z oddali głosy. Zwrócił się ku nim, nie chcąc stawiać czoła czarnej fali, która lada chwila miała go ogarnąć. Pragnął wyrwać się z otchłani, która budziła takie sny. – Mam nadzieję, że już kończysz – powiedziała Padmé, stojąc na czele czarnej fali, która okazała się być ogromną armią, maszerującą wprost na niego.

R2-D2 zagwizdał i zaświergotał, a C-3PO przyłączył się do niego, pospiesznie zapewniając, że wszystko przygotowane. Anakin znów poruszył się przez sen.

Czyjaś dłoń dotknęła jego policzka, pogładziła go i zły sen się rozwiął. Anakin obudził się, zamrugał, przetarł oczy, ziewnął i przewrócił się na bok. Nie siedział już oparty o skrzynię na podwórku, lecz leżał we własnym łóżku. Dotykająca go dłoń cofnęła się i Anakin ujrzał przed sobą Padmé. Wydała mu się piękna jak nigdy, aż coś

ścisnęło go w gardle. A jednak patrzył na nią z mieszanymi uczuciami: stała się centralną postacią w jego śnie, inną niż teraz; starszą, bardziej smutną... Ale było w niej coś jeszcze.

– Widziałem cię we śnie – powiedział, przełknąwszy z wysiłkiem ślinę. – Prowadziłaś wielką armię do bitwy.

Dziewczyna obrzuciła go zdumionym spojrzeniem i uśmiechnęła się.

– Mam nadzieję, że to nieprawda – odparła lekko, niedbale.

Coś w jej głosie zaniepokoiło Anakina. – Nie znoszę walki. Matka chce, żebyś już wstał. Niedługo wychodzimy.

Anakin, na dobre rozbudzony, wygramolił się z łóżka, podszedł do drzwi i wyjrzał na przypominającą mrowisko dzielnicę. Niewolnicy zaczęli swoją poranną krzątalinę. Bezchmurne niebo zwiastowało znakomitą pogodę na wyścigi w święto Boonta:

Świeżo pomalowany ścigacz unosił się w powietrzu na antygraviterach. R2-D2 krzątał się wokół niego z pędzlem i puszką farby, dokonując ostatnich poprawek. C-3PO, wciąż prawie pozbawiony zewnętrznego pokrycia, kręcił się za nim, wytykał pominięte miejsca na kadłubie, nieproszony wygłaszał własne opinie i udzielał dobrych rad.

Anakin odwrócił się na dźwięk głośniego kichnięcia eopie i ujrzał Kitstera, jadącego na grzbiecie jednego z pary zwierząt, które miały zaciągnąć ścigacz na arenę. Śniada twarz chłopca pałała podnieceniem. Pomachał radośnie do Anakina, kiedy ten się zbliżył. Młody Skywalker pomachał mu w odpowiedzi.

– Zaprzągaj, Kitster! – krzyknął i odwrócił się do Padmé. – Gdzie jest Qui-Gon?

– Poszedł już z Jar Jarem na arenę – odrzekła skinąwszy dłonią. – Chcą porozmawiać z Watto.

Anakin biegiem wrócił do swojego pokoju, żeby się umyć i ubrać.

Qui-Gon Jinn przechadzał się po głównym hangarze, na pozór nie zwracając uwagi na toczące się dookoła przygotowania do wyścigu. Hangar był miejscem, w którym przez cały rok trzymano ścigacze i

wyposażenie dodatkowe, natomiast w dni zawodów stawał się dodatkowo garażem dla maszyn i ich pilotów.

Część ścigaczy trafiła już na stanowiska obsługi, a dziesiątki przybyłych ze wszystkich zakątków galaktyki obcych grzebało przy silnikach i kapsułach, słuchając wykrzykiwanych poleceń pilotów i szefów serwisu. Szczęk i zgrzyt metalu wypełniał olbrzymie pomieszczenie ogłuszającym zgiełkiem, uniemożliwiając porozumiewanie się inaczej, niż krzykiem.

Jar Jar trzymał Qui-Gona za rękę, kiedy ten rozmawiał z Watto.

Binks jak zwykle wiercił się i rozglądał niespokojnie, wykręcał głowę na wszystkie strony, tak że zdawało się, że lada moment ją straci. Toydarianin zaś szybował w powietrzu nie bacząc na hałas i ruch, pochłonięty nie kończącą się dyskusją z Jedi.

– Mam nadzieję, przybyszu, że rozumiemy się dobrze i nasza umowa wciąż obowiązuje – powtórzył przynajmniej po raz trzeci w ciągu ostatnich dziesięciu minut, potrząsając wymownie głową. – Jak tylko wyścig się skończy, chcę zobaczyć twój statek.

Nie krył się wcale z tym, że jego zdaniem przejęcie transportowca jest tylko kwestią czasu. Odkąd Qui-Gon odszukał go przy okienku, gdzie przyjmowano zakłady, ani przez moment nie dał do zrozumienia, że w to wątpi. – Cierpliwości, przyjacielu – zaproponował Qui-Gon. Wzruszył ramionami. – Przed zachodem słońca ty odbierzesz wygraną, a my znajdziemy się daleko stąd.

– Chyba jednak nie, skoro wasz statek będzie już należał do mnie! – prychnął Watto i wybuchnął śmiechem, po czym nagle spoważniał i spojrzał Jedi w oczy. – Ostrzegam cię: ze mną nie ma żartów.

Qui-Gon szedł wolno przed siebie, nie patrząc w stronę Toydarianina. – Uważasz, że Anakin przegra?

Watto podfrunął do niego od przodu, zastępując mu drogę i zmuszając go do zatrzymania się. Gestem wskazał zaparkowany nieopodal pomarańczowy ścigacz z przerobionymi silnikami, które po aktywacji energozłącza układały się w charakterystyczny kształt litery „X”. Z boku siedział Dug, który dwa dni wcześniej rzucił się na Jar Jara, Sebulba, wodząc wzrokiem za Gunganinem, Jedi i Watto. Chude kończyny podciągnął pod siebie w geście, który wydał się Qui-Gonowi

dziwnie złowrogi. Dwóch smukłych Twileków masowało mu kark i ramiona. Podobni do ludzi Twilekowie pochodzili z planety Ryloth. Mieli spiczaste zęby, gładką, błękitną skórę i dwa ogony, które wdzięcznie opadały im z bezwłosych głów na plecy. Obrzucili Qui-Gona szybkim, ciekawym spojrzeniem, po czym zaraz wrócili do pracy.

– Nie zrozum mnie źle – rzekł Watto i potrząsnął śmiesznie głową.
– Wierzę w umiejętności chłopca, które wystawiają znakomite świadectwo waszej rasie. Ale i tak myślę, że to Sebulba wygra.

Qui-Gon udał, że bacznie przygląda się Dugowi. – Dlaczego?

– Bo zawsze wygrywa! – Toydarianin, zachwycony własną przebiegłością, wybuchnął śmiechem. – Stawiam pokaźną sumkę na Sebulbę! – Przyjmuję zakład – powiedział Qui-Gon.

Watto natychmiast umilkł i wzdrygnął się, jakby prysnął na niego gorący olej z patelni.

– Co takiego? – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – Co to ma znaczyć? Jedi postąpił krok naprzód, zmuszając niebieskiego stwora do cofnięcia się.

– Postawię swój ścigacz, ale jeśli wygram... – Qui-Gon zawiesił głos. – Jeśli wygram, zabiorę chłopca i jego matkę Watto zatkało.

– Ścigacz za niewolników! To nie do przyjęcia! – Bzycząc zaczął nerwowo podfruwać to tu, to tam. – No, może za jednego. Za matkę, bo chłopiec nie jest na sprzedaż.

Qui-Gon zmarszczył brwi.

– To jeszcze dziecko, nie może być dużo wart. Watto zdecydowanie pokręcił głową.

– Nawet za najszybszy ścigacz, jaki istnieje?

Watto był nieugięty.

– Albo oboje, albo nie mamy o czym mówić.

Znaleźli się nie opodal wejścia do hangaru, gdzie panował mniejszy hałas. Widownia areny wznosiła się przed nimi wprost w rozpalone niebo: trybuny zakrzywiały się łagodnie, odsłaniając łoże Huttów, stanowisko komentatora, urządzenia do nadzorowania wyścigu i stragany z jedzeniem. Arena zaczynała się z wolna wypełniać; zanosilo się na to, że wszyscy mieszkańcy Mos Espy

przyjdą popatrzeć, zamknawszy sklepy i kramy w mieście – szykowało się święto. Jaskrawe proporczyki i flagi łopotały na wietrze, a ściągające do hangaru ścigacze mieniły się w słońcu.

Qui-Gon dostrzegł wśród tłumu Anakina, który jechał z Padmé na grzbiecie eopie zaprzęzonego do jednego z potężnych radon-ulzerów. Zaraz za nim pojawił się Kitster, również na eopie, ciągnąc drugi silnik. Eopie wyglądały niezgrabnie: były wysokie, miały wydłużone pyski, grubą skórę i krótką sierść, która zapewniała im znakomitą ochronę przed panującym na Tatooine upałem. R2-D2 i C-3PO w towarzystwie Shmi zamykały pochód, holując kapsułę załogową – ścigacza. Jedi specjalnie odwrócił się w ich stronę, żeby patrzeć, jak się zbliżają i zwrócić na nich uwagę Watto.

Toydarianinowi oczy się zaświeciły. Przeniósł wzrok na Qui-Gona i prychnął.

– Żaden ścigacz nie jest wart dwojga niewolników, nie ma mowy! Albo jeden – albo nic!

Qui-Gon założył ręce na piersi. – W takim razie biore chłopca.

Watto zachnął się, pokręcił głową i zatrzęsł się od przepelniającego go determinacji.

– Nie, nie... – zaprotestował, a potem wyciągnął z kieszeni sześcienną kostkę. Zaczął ją przerzucać z ręki do ręki, jakby parzyła go w dłonie. – Niech los zadecyduje. Jeśli wypadnie niebieski, dostajesz chłopca; jeśli czerwony – matkę. – I rzucił kostkę na podłogę hangaru.

W tymże momencie Qui-Gon wykonał dyskretny gest, przywołując nabyte wśród Jedi umiejętności w celu wywołania niewielkiego zakłócenia pola Mocy. Kostka podskoczyła, poturlała się i znieruchomiła niebieską ścianką do góry. Niezadowolony Watto zamachał rękami. Ze złości oczy upodobniły mu się do wąskich szparek.

– Wygrałeś losowanie, przybyszu! – Wykrzywił twarz w grymasie mającym udawać uśmiech. – Ale wyścigu i tak nie wygrasz, więc to chyba nie gra roli!

– Zobaczmy – odparł spokojnie Qui-Gon.

Anakin wraz z towarzyszami wjeżdżali właśnie do hangaru.

Watto odwrócił się plecami do rycerza i warknął pod adresem chłopca: – Lepiej pilnuj swojego przyjaciela, żeby się już więcej nie zakładał. Bo inaczej wygram w końcu i jego samego!

Jeden z eopie obwąchał go ciekawie, ale Watto posłał mu taką serię huttańskich przekleństw, że spłoszone zwierzę cofnęło łeb. Zatrzepotał gwałtownie skrzydełkami, posłał Qui-Gonowi pożegnalne, mordercze spojrzenie i odfrunął w głąb hangaru.

– O co mu chodziło? – zainteresował się Anakin, zatrzymując wierzchowca przy rycerzu. Popatrzył w ślad za oddalającym się Toydarianinem. Qui-Gon wzruszył ramionami. – Później ci powiem.

Kitster stanął tuż obok. Rozejrzał się po hangarze z zachwytem.

– To niesamowite! – powiedział. – Tym razem na pewno ci się uda, Annie!

Padmé spojrzała na chłopców podejrzliwie.

– Co mu się uda?

Kitster cały się rozpromienił.

– Dolecieć do mety, oczywiście!

Dziewczyna pobladła. Wbiła wzrok w Anakina, jakby chciała go przewiercić na wylot.

– Czy to znaczy, że nigdy dotąd nawet nie ukończyłeś wyścigu? – zapytała z niedowierzaniem w głosie.

Anakin się zaczerwienił.

– No... niezupełnie – wyjąkał, ale zaraz wróciła mu zwykła pewność siebie. – Ale Kitster ma rację: tym razem mi się uda.

Qui-Gon złapał wodze eopie i poklepał chłopca po nodze. – Jasne, że ci się uda – przytaknął.

Siedząca na grzbiecie zwierzęcia Padmé Naberrie patrzyła na niego bez słowa.

Tłumy w centrum Mos Espy rzedły z minuty na minutę, gdy publiczność gromadziła się na leżącej w pobliżu portu arenie. Większość sklepów i straganów zamknięto, te zaś, które jeszcze były otwarte, przygotowywały się do zakończenia pracy. Dokonywano ostatnich transakcji, a kupcy nerwowo zerkali w kierunku, w którym

zmierzali mieszkańcy miasta i goście. W całym tym zamieszaniu sonda Sitha nie zwracała niczyjej uwagi, szybując wolno nad ziemią. Jej sztuczne oko oglądało jeden sklep za drugim, twarz za twarzą, w poszukiwaniu zadanych obiektów.

Jeszcze przed południem miejsce na trybunach zajęło ponad sto tysięcy widzów: zbili się ciasno na ławkach, zapełnili szczelnie platformy widokowe, zagarnęli dla siebie całą dostępną przestrzeń. Stadion zmienił się w rozległe, ruchome morze barw i dźwięku pośrodku otaczającej Mos Espę martwej pustyni. Nad areną powiewały flagi i proporce z godłami zawodników i ich sponsorów, zdając się wskazywać faworytów i wywołując spontaniczne okrzyki entuzjazmu. Niektórych startujących reklamowały zespoły muzyczne, pojedyncze bębny zaś i rogi obdzielały hałasem wszystkich po równo. Między rzędami ławek przechadzali się handlarze, roznoszący wśród publiczności jadło i napoje ze stojących poniżej kramów. Narastało powszechne podniecenie. Nagle rozległ się ryk silników: to ścigacze zaczęły wynurzać się z hangaru po drugiej stronie linii startu. Kolejno ukazywały się publiczności, jedne holowane przez eopie, inne przez właścicieli, jeszcze inne szybujące na repulsorach – wszystkie wchodziły w skład długiego pochodu pilotów, maszyn i obsługi. Towarzyszyli im chorążowie z flagami reprezentującymi pilotów i właścicieli ścigaczy, tworzący kolorową wstęgę na czele procesji. Z nieba lał się żar bliźniaczych słońc Tatoonie.

Kiedy maszyny znalazły się już na torze, na wprost trybun, w królewskiej loży zrobiło się małe zamieszanie i na swoich miejscach pojawili się Jabba Gardulla. Wśliznąwszy się do klimatyzowanego wnętrza, przesunęli się po podłodze do przeznaczonych dla nich foteli, ustawionych wśród barwnych, jedwabnych draperii. Jabba wysunął się do przodu, na łukowato sklepiony balkon, gdzie mógł go podziwiać cały lud Mos Espy. Pozdrowił zebranych gestem pulchnej ręki i pławił się przez chwilę w ryku tłumu. Gardulla mruknęła coś na znak aprobaty i skinęła głową, zatkniętą jakby bez szyi na czubku krępego cielska. Za dwojgiem Huttów do loży wtoczyła się mieszana

grupa ludzi i obcych, którzy dostąpili tego zaszczytu, że są honorowymi gośćmi Jabby w dniu wyścigów. Na koniec weszła grupa skutych łańcuchami niewolnic różnych ras. Miały posłużyć ku rozrywce tych, którzy trafili tu z własnej woli.

Piloci ścigaczy ustawili się w szeregu, twarzą do łoży królewskiej, po czym na dany sygnał ukłonili się nisko, na znak szacunku wobec swego dobroczyńcy.

– Chowbaso! – zagrzemiał Jabba, a głośniki poniosły basowe dudnienie w dal. – Tam ka chee Boonta rulee ya, kee madd ahdrudda du wundee! Witajcie!

Odpowiedział mu wrzask tysięcy gardeł i entuzjastyczne wymachiwanie flagami. Jabba zaczął prezentację zawodników. Zagrały rogi. – Kubba tee. Sebulba tuta Pixelito!

Stojący obok Anakina Dug wstał, na tylne nogi i pomachał widzom. Rozległy się dźwięki muzyki – to grający dla Sebulby zespół włączył się do ogólnego aplauzu, a odpowiedzieli mu sympatycy Duga i wszyscy, którzy postawili na niego w zakładach.

Jabba przedstawił kolejno wszystkich: Gasgano, Bolesa Roorra, Bena Quadinarosa, Aldara Beedo, Ody’ego Mandrella, Xelbree, Marsa Guo, Clegga Holdfasta, Booziego Barantę, Wana Sandage’a... Anakin słuchał prezentacji i nerwowo przestępował z nogi na nogę, chcąc wreszcie zasiąść za sterami. Zerknąwszy przez ramię ujrzał Kitstera, który podłączał radon-ulzery do kapsuły i mocnymi szarpnięciami sprawdzał mocowanie.

– ... Mawhonic tuta Hok – dudnił głos Jabby. – Teerilto Pagalies tuta Moonus Mandel. Anakin Skywalker tuta Tatooine...

Tłum odpowiedział oklaskami i okrzykami, choć bez takiego zapału, jak w wypadku Sebulby, Gasgano i paru innych. Anakin pomachał widzom, ale myślami był już na równinach poza obrębem areny.

Odwrócił się i chciał podejść do ścigacza, gdy niespodziewanie stanęła przed nim matka. Miała spokojną, zdecydowaną twarz. Przykucnęła, objęła go i pocałowała, a potem odsunęła na odległość wyciągniętych ramion, żeby popatrzeć mu w oczy. Nie do końca udało jej się ukryć gryzącą ją w sercu troskę.

– Uważaj na siebie, Annie.

Chłopiec przełknął z wysiłkiem i pokiwał głową. – Będę uważał, mamu. Obiecuję.

Shmi uśmiechnęła się ciepło i zostawiła go samego. Anakin patrzył, jak Kitster i Jar Jar wyprzęgają eopie, żeby można było odprowadzić je właścicielowi. R2-D2 podjechał do niego i zapiszczał zachęcająco, C-3PO zaś ze śmiertelną powagą ostrzegł Anakina, żeby nie latał za szybko, a potem życzył mu powodzenia. Wszystko było gotowe.

Jar Jar poklepał go po plecach. Na jego twarzy konsternacja mieszała się z obawą.

– To wariactwo, Annie. Niech bogi być dobre, przyjacielu. Kątem oka Anakin dostrzegł Sebulbę, który odszedłszy od własnego pojazdu fachowym okiem oceniał ścigacz młodego Skywalkera. Obszedł dookoła maszynę, z niekłamaną ciekawością obejrzał radon-ulzery, aż w końcu, przystanąwszy przy lewym silniku, szybkim ruchem uderzył z całej siły w statecznik; po czym rozejrzał się, czy nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Padmé klękła przed Anakinem i pocałowała go w policzek. – W tobie cała nasza nadzieja – powiedziała cicho.

Anakin zacisnął dumnie szczęki.

– Nie zawiodę was.

Padmé długą chwilę nie odrywała od niego wzroku. Potem odeszła, a do Anakina zbliżył się Sebulba. Pochylił się i zbliżył ściągniętą, porośniętą krótką szczeciną twarz do twarzy chłopca.

– Tym razem ci się nie uda, ty niewolnicza szmato – zaświszczał cicho i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Nakarmią tobą banthy.

Anakin nawet nie drgnął. Wytrzymał spojrzenie Sebulby i odparł: – Nie liczyłbym na to, śluzowata gębo.

Ujrzawszy idącego w ich stronę Qui-Gona, Sebulba odskoczył i wrócił do swojej maszyny, uśmiechając się złośliwie. Znow zagrały rogi, odpowiedział im ryk tłumu i Jabba podpełzł do skraju łoży. Podniósł ręce.

– Kaa bazza kondee da tam hdudda! – zagrzemiał. – Niech rozpocznie się wyścig!

Widzowie odpowiedzieli jeszcze głośniejszą wrzawą. Qui-Gon pomógł Anakinowi wdrapać się do ścigacza. Chłopiec usadowił się wygodnie w fotelu, zapiął pasy, założył poobijany kask i spuścił gogle na oczy. – Jesteś gotów, Annie? – zapytał spokojnym głosem Jedi.

Chłopiec pokiwał w napięciu głową i spojrzął na rycerza. Qui-Gon nie odwrócił wzroku. – Pamiętaj, musisz się skoncentrować na bieżącej chwili. Staraj się czuć, nie myśleć. Zaufaj instynktowi. Położył chłopcu dłoń na ramieniu i uśmiechnął się. – Niech Moc będzie z tobą, Annie – dodał i zostawił Anakina samego.

Qui-Gon przepychał się pośpiesznie przez tłum, kierując się ku platformie widokowej, na której Shmi, Padmé i Jar Jar zajęli już miejsca. Tylko raz obejrzał się przez ramię na Anakina, który spokojnym gestem poprawił gogle. Jedi pokiwał z namysłem głową: chłopak da sobie radę.

Wszedł na platformę, która natychmiast zaczęła podjeżdżać do góry, na pozycję, jaką miała zajmować podczas wyścigu. Shmi posłała mu zatroskane spojrzenie.

– Poradzi sobie – uspokoił ją Qui-Gon i musnął jej rękę. Padmé z powątpiewaniem pokręciła głową.

– Wy, Jedi, jesteście tacy nierozważni – rzekła cicho. – Królowa...

– Królowa ufa mojemu rozsądkowi, młoda damo – przerwał jej rycerz. – Może i ty powinnaś tak uczynić.

Padmé spojrzała na niego gniewnie. – Zbyt wiele wymagasz.

Platforma została zablokowana na właściwym poziomie i wszystkie oczy zwróciły się na zawodników. Uruchomiono energozłącza, budząc do życia potężne pola elektromagnetyczne między ułożonymi współosiowo płytkami, dzięki którym dwie turbiny ścigacza pracowały jak jeden mechanizm. Na koniec odpalono główne silniki, których grzmot najpierw zmieszał się z aplauzem tłumów, a potem bez trudu wzbil się ponad wrzawę Chorążowie i mechanicy pośpiesznie usunęli się na boki, schodząc z wykreślonej pod olbrzymim łukiem linii, gdzie wyścig zaczynał się i kończył. Widniejące u góry czerwone światło powstrzymywało ścigacze, ale w

oczekiwaniu zielonego piloci już dodawali gazu; maszyny trzęsły się całe od przepelniającej je mocy; mocowania silników z trudem wytrzymywały narastające obciążenie. Stojący obok Qui-Gona Jar Jar zasłonił oczy rękoma.

– Moja nie patrzeć – oznajmił przerażony. – To będzie straszne! Mistrz Jedi nie potrafił zmusić się do tego, żeby przyznać mu rację, ale w głębi duszy czuł to samo.

Spokojnie, Anakinie – myślał. – Skoncentruj się. W tym momencie światło nad linią startu zmieniło się na zielone.

Wyścig się rozpoczął.

ROZDZIAŁ

13

Kiedy zapaliło się zielone światło, Anakin pchnął obie dźwignie napędu maksymalnie do przodu, żeby wydusić z radon-ulzerów całą moc. Ścigaczem szarpnęło, silniki ryknęły jak rozjuszone zwierzęta – i zgasły.

Chłopiec zamarł ze zgrozy. Ścigacze jeden po drugim startowały w ogłuszającym ryku motorów, rozmazując się natychmiast w smugi lśniącego metalu. Wzniesione ich przelotem fontanny piasku zaćmiewały niebo. W kilka sekund Anakin został na linii startu sam, jeśli nie liczyć Bena Quadigarosa, którego czterosilnikowy ścigacz również nie ruszył z miejsca.

Młody Skywalker usiłował opanować gorączkę myśli: musiał dać za dużo paliwa, jak na start z pozycji stojącej, Zmodyfikowane silniki nie miały szans poradzić sobie z takim obciążeniem w sytuacji, gdy maszyna stała nieruchomo. Szarpnął dźwignie do tyłu i przestawił je w położenie neutralne. Pstryknął przełącznikami, spuścił nadmiar paliwa i ponownie uszczelnił przewody. Odetchnął głęboko, po czym wcisnął guziki zapłonu. Rozruszniki drgnęły, zakreśliły się i potężne silniki główne z przypominającym grzmot odgłosem zbudziły się do życia. Anakin otworzył wlot paliwa, tym razem powoli, ostrożniej, chociaż zaczynał się już niecierpliwić. Wreszcie gładko pchnął dźwigni: silniki wystrzeliły do przodu, pociągając za sobą kapsułę załogową. Anakin rzucił się w pościg, koncentrując się wyłącznie na malejących w oddali punkcikach. Mknął nad równiną, a dźwięk silników wznosił się do coraz wyższych tonów, aż wreszcie ziemia pod ścigaczem

rozmyła się w jednolitą, jasną smugę. Początkowy odcinek toru był płaski i szeroki, toteż chłopiec spokojnie dodawał gazu.

Na horyzoncie pojawiły się pierwsze skały, kiedy wyraźnie dostrzegł lecące przodem maszyny: metalowe iskry śmigły ponad pustynią, plując ogniem i dymem z dysz. Zbliżał się do nich szybko; radon-ulzery grzmiały zgodnym rytmem. Zdawał sobie sprawę, że na prostej żaden ścigacz im nie sprosta. Poczuł falę podniecenia, gdy dogonił wreszcie ostatnich zawodników w stawce.

Pociągnął drażki do siebie, żeby mieć trochę miejsca na manewry, po czym wyprzedził dwie maszyny jakby stały w miejscu – raz skrzył ostro w prawo, raz w lewo, wykorzystując tę odrobinę przestrzeni, jaka je dzieliła. Znalazłszy się przed nimi znów pchnął ścigacz naprzód i pozwolił, by przeciążenie wgniotło go w fotel.

Następnym, którego dogonił, był Gasgano. Zbliżył się ostrożnie do troikeńskiego ścigacza z zadartym dziobem i przygotował do wyprzedzania. Niebawem czekał ich Łukowaty Kanion i Anakin zamierzał znaleźć się na czele stawki, kiedy przyjdzie do pokonywania krętego wąwozu. Ustawił się na ogonie Gasgano, chcąc skoczyć do przodu z prawej strony, ale Troiken dostrzegł go i bez namysłu zablokował.

Skywalker odczekał chwilę, a potem szarpnął maszynę w lewo i podjął kolejną próbę – ale Gasgano znów go uprzedził. Kołysali się tak na boki ponad pustynią, niczym krayt ścigający pustynnego szczura.

Przed nimi zamajaczyła krawędź niewysokiego urwiska.

Należało ją pokonać spadając z niskiego płaskowyżu, nad którym się znajdowali. Anakin zwolnił, chcąc sprawiać wrażenie, że zamierza zaatakować dopiero za uskokiem. Troiken zerknął za siebie, upewnił się, gdzie znajduje się rywal i pierwszy zanurkował w dół, ale Anakin tylko na to czekał: pchnął obie dźwignie napędu do końca i przemknął ponad ścigaczem Gasgano, zanim tamten zdążył zareagować.

Zbliżyli się do ciemnej szczeliny wlotowej Kanionu, w którą Anakin wszedł bezbłędnie. Znalazł się w cieniu ścian wąwozu. Połączone sprzęgiem silniki grały równo, a steeltonowe łączniki ciągnęły za sobą kapsułę, lekko tylko napinając się na ostrych

zakrętach. Chłopiec oszczędnymi, precyzyjnymi ruchami przesuwał drążki, odtwarzając z pamięci cały tor: każdy skręt, odchylenie i spadek terenu; wszystko było jasne i proste.

Wystrzelił z kanionu nad równinę. Na czele liczącej kilkanaście maszyn stawki Sebulba walczył o prowadzenie z Mawhonikiem. Charakterystyczny „X” silników Duga wznosił się i opadał, gdy pilot usiłował wypracować sobie dogodną pozycję, ale smukły ścigacz Mawhonica nie dawał się wyprzedzić. Nagle Sebulba przyspieszył i złożył maszynę w skręt, przechylając ją w lewo, ku pędzącemu tuż obok rywalowi. Mawhonic zareagował instynktownie, również odbił w lewo i zderzył się ze sterczącą z piasku skałą. Jego ścigacz zmienił się w ognistą kulę.

Następnym, który usiłował zagrozić pozycji Sebulby, był Xelbree. Chciał przeskoczyć nad Dugiem górą, podobnie jak wcześniej Anakin wyprzedził Gasgano, Sebulba wyczuł jednak jego zamiary i poderwał ścigacz, blokując mu przelot. Xelbree odbił więc w lewo, przyspieszył i zrównał się z nim, nie dając za wygraną. Kiedy już zdawało się, że Sebulba odpuści i pozwoli mu wyjść na czoło, kiedy Xelbree zaczął wysforowywać się przed niego, Dug otworzył boczną dyszę lewego silnika. Jęzor ognia strzelił z otworu, przeskoczył poziomo na kadłub drugiego ścigacza i wgryzł się w stalową osłonę silnika jak w plastik. Zaatakowany pilot próbował jeszcze odskoczyć, ale nie zdążył: płomień sięgnął przewodów paliwowych i uszkodzony silnik eksplodował. Drugi motor, wlokąc za sobą kapsułę pilota, roztrzaskał się o pobliskie urwisko.

Sebulba nawet nie zwolnił. Wyrównał lot i nie zagrożony objął prowadzenie.

Tłumnie zebrani na trybunach i na platformach widzowie z zapiętym tchem śledzili przebieg wyścigu, nie odrywając wzroku od trzymany w dłoniach ekranów. Automatyczne holokamery, rozmieszczone na trasie, przekazywały obraz z każdego jej odcinka: Zasiadający na wieży obserwacyjnej dwugłowy komentator, bez przerwy rozprawiający sam ze sobą, wykrzykiwał nazwiska

zawodników wedle zmieniającej się kolejności w czołówce. Qui-Gon dzielił ekran ze Shmi i Padmé, ale na wizji nie było ani śladu Anakina, a i komentator nie wymieniał imienia chłopca. Jego modulowany dwugłos wznosił się i opadał miarowo, w odpowiednich momentach podgrzewając dodatkowo atmosferę na stadionie.

Qui-Gon spojrzał ku równinie, wypatrując ruchomych punkcików. Stojący po jego prawej ręce Jar Jar przekomarzał się z kościstym, skwaszonym stworzeniem imieniem Fanta. Usiłował zerknąć obcemu przez ramię na monitor, zasypywał go pytaniami i na wszelkie sposoby usiłował się z nim zaprzyjaźnić, wychodząc z błędnego założenia, że skoro są trochę podobni, Poldt odwzajemni jego sympatię. Na próżno: Fanta nie chciał mieć z nim nic wspólnego i celowo zasłaniał ciałem ekran. Jar Jar zaczynał się już niecierpliwić. Qui-Gon przeniósł wzrok na boksy techniczne, gdzie Kitster, R2-D2 i C-3PO czekali na koniec wyścigu.

Watto, zajmujący prywatną lożę poniżej stanowiska Jabby, nieco z tyłu, śmiał się i żartował z przyjaciółmi. Podfruwał to tu, to tam i zerkał raz na jeden ekran, raz na drugi, zacierając nerwowo ręce. Napotkawszy spojrzenie Qui-Gona odpowiedział mu niegrzecznym gestem.

Na linii startowej Ben: Quadinaros wciąż walczył z silnikami ścigacza, które ani myślały zaskoczyć.

Qui-Gon zamknął oczy i spróbował odizolować się od otoczenia, wyłączyć docierające do jego uszu dźwięki i zjednoczyć się z Mocą. Dał się jej unieść i zaczął się rozglądać w poszukiwaniu Anakina. Trwał tak zasłuchany w sobie, gdy ryk tłumów przybrał na sile i w oddali zagrały silniki zbliżających się do stadionu maszyn. Na horyzoncie pojawiło się parę czarnych kropeczek. Quadinaros zdołał wreszcie zmusić maszynę do posłuszeństwa. Cztery ogromne, pękate silniki ryknęły groźnie, wprawiając ścigacz w drżenie, po czym pojazd skoczył do przodu, gdy tylko Ben pchnął dźwignie przepustnic. Chwilę później jednak energozłącza pękły, nie wytrzymawszy obciążenia, trzasnęły łączniki i silniki rozleciały się w czterech różnych kierunkach, po czym wybuchły w zderzeniu z wydmami i skalnymi ścianami. Tłum zamarł. Widzowie zasłonili oczy i zakryli

uszy, gdy kapsuła Quadinarosa spadła na tor niczym bezużyteczna sterta złomu.

Niemal dokładnie w tej samej chwili przez arenę przemknął Sebulba. Śmignął pod łukiem, gdzie znajdowała się meta wyścigu i rozpoczął drugie okrążenie. Zaraz za nimi pojawiły się dwa inne ścigacze, błyskając barwnymi kadłubami w świetle stojących w zenicie słońc.

Ani śladu Anakina.

Qui-Gon nie otwierał oczu, lecz wciąż szukał chłopca w głębi własnej świadomości. Shmi, i Padmé wymieniły zatroskane spojrzenia, a Jar Jar wciąż nie dawał spokoju Fancie, klepiąc go po plecach, chociaż Poldt krzywił się i odsuwał coraz bardziej.

Jeszcze trzy ścigacze pojawiły się na stadionie, przeleciały z rykiem i zniknęły z pola widzenia. Czwarty, prowadzony przez Ody'ego Mandrela, skręcił do boksu i zahamował z piskiem. Spowijał go dym z uszkodzonych silników. Automaty techniczne natychmiast zabrały się do naprawy, Ody zaś stał wyprostowany w kapsule i wymachiwał gadzimi łapami. Kiedy silniki ponownie uruchomiono, jeden z robotów, DUM-4, podszedłszy za blisko wlotu powietrza dał się wciągnąć do wnętrza turbiny, która przerobiła go na miazgę.

Tłum ponownie skupił się na ekranach.

I wtedy R2-D2, stojący wraz z C-3PO i Kitsterem na skraju boksu, zapiszczał z entuzjazmem. Qui-Gon otworzył oczy. – Leci! – krzyknął. Na rozpalonej żarem południa arenie pojawił się ścigacz Anakina, napędzany parą wściekle wyjących radon-ulzerów. W tłumie wybuchła radosna wrzawa, ale Qui-Gon tylko się uśmiechnął. Anakin zaczął przesuwać się w górę stawki.

Na początku drugiego okrążenia był szósty.

W miarę trwania wyścigu coraz lepiej wczuwał się w pracę maszyny, coraz silniej się z nią jednoczył, czuł drżenie silników i siły szarpiące każdą śrubą i nitem. Pęd powietrza otulał go szczelną bańką jednostajnego hałasu, wewnątrz której był tylko Anakin i maszyna, i gdzie liczyła się wyłącznie szybkość jego reakcji. Wyścig zawsze tak

na niego wpływał: ciało i umysł stawały się jednym z kapsułą i silnikami, aż chłopiec miał wrażenie, że sam stanowi część pojazdu. Z każdą chwilą symbiotyczna zależność pogłębiała się, dając Anakinowi zdolność pojmowania dalece wykraczającą poza wszelką wiedzę, jaką posiadał, przewyższającą naturalną moc zmysłów. Zupełnie jakby przenosił się w przyszłość, poza zasięg konkurentów.

Zbliżając się do Łukowatego Kanionu Anakin z zaciętą twarzą przyspieszył i zaczął dochodzić czołówkę. Wyprzedził Aldara Beedo, zaraz potem przemknął obok Clegga Holdfasta, zaś lecący z boku Ody Mandrei za bardzo przechylił maszynę i zahaczył silnikiem o zbocze piaszczystej wydmy. Jego ścigacz okręcił się wokół własnej osi, uderzył kapsułą w ziemię i eksplodował. Między Anakinem i Sebulbą zostało już tylko czterech zawodników i młody Skywalker widział wyraźnie ścigacz Duga.

A potem wydarzenia potoczyły się błyskawicznie, Zawodnicy przemknęli przez kanion i wynurzyli się z drugiej strony. Anakin wciąż zmniejszał dystans dzielący go od pozostałych. Ukrywającym się wśród skał Tuskenom – ten fragment toru nosił nawet nazwę Wirażu Tuskenów – dopisało szczęście: trafili Teemto Pagaliesia. Jego ścigacz po prostu wyparował. Anakin przeleciał przez miejsce, w którym przed chwilą zniknął jego rywal, wyprzedził Elana Maka i Habbę Kee i parzył, jak Mars Guo podchodzi ostrożnie Sebulbę; trzymał się na dystans, nieco niżej i czekał na okazję.

Anakin doganiał prowadzącą dwójkę: przeskakiwał nad wydmami zaścieniającymi obniżenie terenu i wolniutko dochodził Marsa Guo, gdy wtem Sebulba sięgnął do kabiny i cisnął wystrzępiony kawałek metalu wprost we wlot powietrza lewego silnika Marsa. Metal zazgrzytał o metal. Z uszkodzonej tur biny buchnęły kłęby dymy i języki ognia. Guo usiłował jeszcze zapanować nad ścigaczem, ale lewy silnik zakrztusił się i stracił moc, a maszyną zarzuciło w bok, prosto na Anakina. Pojazdy otarły się o siebie, coś zgrzytnęło i przednia krawędź pionowego statecznika Marsa wplątała się w steeltonowe mocowanie lewego silnika ścigacza Skywalkera.

Kapsuła pojazdu Anakina oderwała się od turbiny i zaczęła kołysać wahadłowo na końcu jedyne ocalałego łącznika. Silniki pracowały

równy i zgodnie, gdyż sprzęg pozostał nienaruszony, ale chłopiec stracił kontrolę nad maszyną. Wcisnął pedały sterów w podłogę, walcząc o wyhamowanie ruchów kapsuły. Oderwana linka szarpała się w podmuchu z dysz, lada moment grożąc wplątaniem w łopatki turbiny albo zaczepieniem o nierówność gruntu, co natychmiast ściągnęłoby pojazd na ziemię. Anakin zaczął macać na ślepo po podłodze kabiny w poszukiwaniu magnetycznego manipulatora. Wreszcie złapał narzędzie, włączył zasilanie i wyciągnął się jak mógł najdalej, próbując złapać targany podmuchami łącznik. Musiał przy tym nieco zwolnić, przez co natychmiast znalazł się znów za plecami Sebulby; co gorsza, w mgnieniu oka wyprzedzili go również Elan Mak, Habba Kee i Obitoki.

Spanikowany Anakin obejrzał się za siebie: reszta ścigaczy szybko go doganiała.

Wreszcie, po dobrych kilkunastu próbach, udało mu się skoncentrować na tyle, że zahaczył linkę wysięgnikiem i naprowadził ją z powrotem na zaczep. Zdążył sobie przy tym rozedrzeć rękaw kurtki, a pot ciekł mu po twarzy, ale wreszcie odrzucił manipulator i pchnął drążki napędu do oporu. Kapsuła trzymała się mocno i ścigacz jak rakieta skoczył naprzód.

Anakin najpierw dogonił Elana Maka i z łatwością go wyprzedził. Zbliżał się właśnie do Habby Kee, gdy Obitoki podjął próbę wyprzedzenia Sebulby. Dug odczekał, aż rywal się z nim zrówna, a potem zastosował wobec niego tę samą sztuczkę, która przyniosła zgubę Xelbree: uchylił dodatkowy wylot w lewej dyszy i plunął ogniem w prawy silnik Obitokiego. Paliwo w przewodach zapłonęło natychmiast i ścigacz Obitokiego zanurkował i wbił się dziobem w ziemię, rozsiewając po okolicy deszcz odłamków.

Habba Kee, lecący nisko nad ziemią tuż przed Anakinem, wpadł w tę chmurę. Oślepiony, szarpnął stery w niewłaściwą stronę i zahaczył o wystający z piasku element kadłuba rozbitej maszyny. Silniki Habby zerwały się z mocowań, splątały z kapsułą w bezładny kłęb i eksplodowały.

Anakin znalazł się w tym samym obłoku dymu i piasku i przez chwilę też nic nie widział. Jakiś metalowy odłamek zrykoszetował na

osłonie jego prawe go silnika i o włos minął głowę chłopca. Skywalker jednak nie ograniczał się do zwykłych zmysłów; wyczuwał zdarzenia w głębi umysłu, spokojny i opanowany przewidywał zbliżające się niebezpieczeństwo i delikatnie poruszał, drążkami napędu.

Znalazł się bezpośrednio za Sebulbą. Dogonił go w chwili, gdy znaleźli się na arenie, przemknęli pod łukiem i rozpoczęli trzecie, ostatnie okrążenie. Oczywiście wyobraźni widział obserwujących przebieg wyścigu Qui-Gona i Jar Jara, Kitstera, który machał do niego i pokrzykiwał radośnie, R2-D2 i C-3PO – pierwszy coś pogwizdywał, drugi trajkotał jak najęty – i Padmé, z piękną, choć teraz zatroskaną twarzą. Widział też matkę, która śledziła wyścig z przerażeniem w oczach. Widział ich wszystkich, jakby stał u ich boku, jakby opuścił własne ciało i oglądał zawody z pozycji widza... Odsunął od siebie ich twarze i skupił się na Sebulbie.

Lecieli właśnie Łukowatym Kanionem, gdy Dug postanowił raz na zawsze rozprawić się z młodym Skywalkerem. Znał rozmieszczenie wszystkich automatycznych kamer i wiedział jak uniknąć wykrycia. Podleciał więc do Anakina i uchylił boczną dyszę wydechową, próbując z nim tej samej sztuczki, dzięki której pozbył się już dwójki rywali. Jednakże Anakin, który już raz padł ofiarą takiego podstępu, miał się na baczności, poderwał więc ścigacz do góry i wyprowadził go poza zasięg płomieni. Kiedy zaś Sebulba w ślad za nim wzniósł się wyżej, Anakin opadł poniżej jego poziomu – niestety, zrobił to zbyt gwałtownie i na chwilę stracił panowanie nad pojazdem. Zboczył z toru i ściał cały rząd znaków ostrzegawczych, zanim udało mu się wyprowadzić ścigacz do góry i znów przyspieszyć. Radon-ulzery zagrały basowo – maszyną szarpnęło i Anakin przeskoczył nad Dugiem.

Zagłębili się w pierwszy skalny labirynt, pokonali Wiraż Tuskenów. Skywalker nie oddawał prowadzenia, a Sebulba siedział mu na ogonie. Pędzili z szybkością, która praktycznie uniemożliwiała panowanie nad ścigaczem, jakby ich bezpieczeństwo zupełnie przestało się liczyć.

Aż wreszcie ponownie wypadli na równinę. Sebulba dostrzegł

swoją szansę i pchnął ścigacz do przodu, chcąc za wszelką cenę wyjść na czoło. Anakin zablokował go, ale w tym samym momencie jeden ze stateczników lewego silnika zaczął mu dygotać, grożąc oderwaniem. Przez głowę przemknął mu widok Sebulby, który tuż przed startem majstrował coś przy silniku. Chłopiec przyhamował, odczepił statecznik do końca i przepiął go na awaryjne mocowanie. Musiał przy tym przepuścić Duga, który natychmiast go wyprzedził.

Czasu było już coraz mniej; meta zbliżała się nieubłaganie.

Anakin otworzył przepustnice do końca i ruszył w pogoń za rywalem. Widząc go Sebulba zakołysał ścigaczem, blokując mu przelot i przez dłuższą chwilę lecieli jeden za drugim. Skywalker próbował wszelkich możliwych sztuczek, ale trafił na zaprawionego w bojach weterana, który skutecznie kontrował. W ten sposób minęli Uskok Metta i opadli nad ostatni, płaski odcinek toru.

W końcu Anakin wychylił ścigacz w lewo, potem szybko w prawo, kiedy zaś Sebulba starał się go blokować, chłopiec zamarkował trzeci skręt, odczekał, aż Dug złoży się do bloku, a potem szarpnął silniej w prawo i zrównał się z rywalem.

Teraz szli łąb w łąb, widząc już rysujący się w oddali stadion i zdobiące go posągi. Sebulba zawył z wściekłości i skręcił, uderzając ścigaczem w bok maszyny Anakina. Rozeźlony do granic możliwości uporem chłopca zderzył się z nim raz, potem drugi i trzeci – i wtedy pojazdy szarpały się usterzeniem. Anakin rozpaczliwie szarpał przyrządy, usiłując oderwać się od Duga, ale odkształcony metal trzymał mocno. Sebulba zaśmiał się i nacisnął jeszcze mocniej, chcąc przyprzeć chłopca do ziemi; Skywalker na przemian pchał dźwignie przepustnic do przodu i ściągał je do siebie; silniki zawyły z wysiłku, stery jęknęły i odgięły się jeszcze bardziej, aż wreszcie usterzenie Anakina oderwało się do reszty – odpadł także główny statecznik poziomy. Ścigaczem targnęło, a kapsuła okręciła się wokół własnej osi z takim impetem, że gdyby Anakin nie przypiął się pasami, z pewnością wypadłby ze ścigacza. Sebulba jednak miał jeszcze mniej szczęścia. Kiedy ster maszyny Anakina odłamał się, ścigacz Duga śmignął do przodu. I Kapsuła naderwała liny mocujące ją do silników i Sebulba stracił panowanie nad pojazdem. Jeden z silników zahaczył

o stojący przed areną posąg i zmienił się w ognistą kulę; drugi uderzył w ziemię i spotkał go podobny koniec. Łączniki zerwały się całkowicie i kapsuła najpierw przeleciała przez obłok ognia i dymu po jednej z turbin, a potem kilkakrotnie podskoczyła na piasku, zanim ze zgrzytem stanęła. Sebulba z wrzaskiem wyskoczył ze środka, wynurzył się z kłębow dymu – i stwierdził, że pali się na nim ubranie.

Anakin Skywalker przemknął górą. Podmuch olbrzymich radonulzerów wzbil potężną trąbę powietrzną, która uderzyła w Duga chmurą piasku. Chłopiec przeleciał linię mety i w wieku dziewięciu lat stał się najmłodszym zwycięzcą wyścigu w święto Boonta.

ROZDZIAŁ

14

Platforma widokowa powoli zjeżdżała w dół. Stojący obok Padmé i Shmi Qui-Gon widział, jak tłum prze falą w stronę ścigacza zwycięzcy. Anakin z poślizgiem zatrzymał maszynę na samym środku toru, zgasił silniki i wygramolił się z kapsuły. Kitster dopadł go pierwszy i wyściskał z całej siły; R2-D2 i C-3PO kręciły się wokół chłopców, a kiedy w chwilę później rozentuzjzmowani widzowie dotarli na miejsce, podnieśli Anakina w górę i ze śpiewem na ustach ponieśli go przed siebie.

Qui-Gon posłał Shmi ciepły uśmiech i skinął głową na znak uznania dla jej syna; rzeczywiście, Anakin Skywalker był niezwykłą osobą.

Platforma łagodnie osiadła na najniższym poziomie i zajmujący ją kibice pospiesznie wypadli na tor. Jedi odczekał, aż jego towarzysze przyłączą się do świętujących, po czym zawrócił i ruszył po schodach do góry. W kilka chwil dotarł do loży Watto, skąd właśnie wychodziła grupa obcych. Śmiali się i żartowali w kilku różnych językach, chwając się pełnymi garściami banknotów i kredytów. Toydarianin zawisł w powietrzu przyoknie i przygnębiony obserwował wiwatujące tłumy.

Ujrawszy Qui-Gona, rzucił się prosto na niego, a przygnębienie ustąpiło na jego twarzy miejsca wściekłości.

– Ty! Oszukałeś mnie! – zahamował tuż przed obliczem Jedi; trząsał się cały ze złości. – Wiedziałeś, że chłopiec wygra! Nie wiem skąd, ale wiedziałeś!

Przegrałem wszystko! Qui-Gon uśmiechnął się łagodnie.

– Każdy, kto bawi się w hazard, musi kiedyś przegrać, przyjacielu. Dziś był twój zły dzień. – Jedi spoważniał i mówił dalej: – Natychmiast przynieś do głównego hangaru moduł hipernapędu. Później zajrzę do sklepu, to oddasz mi chłopca.

Watto doskoczył do niego, tak że zetknęli się nosami. – Nie dostaniesz go! To nie był uczciwy zakład! Qui-Gon zmroził go wzrokiem.

– Chcesz o tym pogadać z Huttami? Jestem pewien, że z miłą chęcią rozstrzygną nasz spór.

Toydarianin szarpnął się, jakby go coś użądliło.

– O nie! – odparł z nienawistnym błyskiem w oku. – Mam dość twoich sztuczek! Zabieraj chłopaka i zjedź mi z oczu!

Określił się w locie i wyfrunął z łoży. Rycerz odprowadził go wzrokiem, a potem ruszył schodami w dół, na tor. Jego umysł zaprzętały już dalsze plany.

Może gdyby nie był tak nimi zajęty, zwróciłby uwagę na sunącą jego śladem sithiańską robo sondę.

Po godzinie arena opustoszała: ścigacze zaparkowano lub odholowano do warsztatów. W głównym hangarze nie było już żywej duszy. Kilka robotów z obsługi technicznej zajmowało się jeszcze zbieraniem resztek maszyn, które rozbiły się tego dnia na torze: znosiły złom w jedno miejsce i wyprawiały się po następną partię. Z pilotów na stadionie został tylko Anakin, zajęty przeglądem uszkodzonej maszyny, brudny, obszarpany, z nastroszoną czupryną i plamami smaru na twarzy. Kurtkę miał w paru miejscach rozdarta, a tam, gdzie rozciął rękę podczas spotkania z Sebulbą, widniała krwawa plama. Zamyślony Qui-Gon obserwował go przy pracy. Stał z boku wraz ze Shmi i Padmé, podczas gdy Jar Jar i oba roboty towarzyszyli chłopcu. Czy to możliwe? – zastanawiał się Jedi chyba po raz setny. Widział już, jak chłopiec radzi sobie ze ścigaczem, jaką wykazuje przy tym dojrzałość, jaki ma refleks... Czy to możliwe?

Odsunął pytania na później: Rada o wszystkim zadecyduje.

Podszedł do chłopca i uklęknął przy nim.

– Kiepsko wyglądasz, Annie – rzekł, oparłszy dłonie na ramionach chłopca. – Ale świetnie się spisałeś. – Otarł mu smugę brudu z twarzy.
– No, tak już lepiej.

Zmierzwił i tak niesforne włosy Anakina i opatrzył mu rękę.

Shmi i Padmé dołączyły do nich; zaczęły przytulać Anakina, cmokać go w policzki, głaskać po czole.

– Rety... – westchnął zażenowany chłopiec. – Wystarczy już. Shmi uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– To wspaniałe, Annie, dokonałeś cudownej rzeczy. Wiesz o tym? Dałeś nadzieję tym, którzy jej nie mieli. Taka jestem z ciebie dumna.

– Tak wiele ci zawdzięczamy – dodała Padmé, spoglądając na niego z czułością. Anakin się zaczerwienił.

– Wszystko bym zrobił, żeby znów poczuć się tak przyjemnie, jak teraz – oznajmił.

Qui-Gon podszedł do zaprzęzonej w dwa eopie platformy antygravitacyjnej, na którą załadowano elementy hipernapędu: Watto dotrzymał słowa i dostarczył wygraną, choć nie bez narzekania i lekko tylko zawoalowanych gróźb. Jedi sprawdził pasy mocujące sprzęt do platformy, zerknął na rozpalone niebo i wrócił do pozostałych.

– Padmé, Jar Jar... – powiedział. – Czas na nas. Musimy zawieźć części na statek.

Pogrążeni w rozmowie podeszli do zaprzęgu. Padmé jeszcze raz przytuliła i pocałowała Anakina, a potem wskoczyła na grzbiet eopie za Qui-Gona i objęła go w talii. Jar Jar wdrapał się na drugie zwierzę, po czym od razu zjechał z drugiej strony na ziemię R2-D2 zapiszczał zachęcająco, widząc, że Gunganin szykuje się do drugiej próby – i tym razem się udało. Padły ostatnie słowa podziękowań i pożegnania. Anakin czuł się niezręcznie; wygląda jakby chciał coś powiedzieć Padmé, nawet podszedł i zerknął na nią wyczekująco, ale smutne spojrzenie było wszystkim, na co mógł się zdobyć.

Eopie ruszyły z miejsca. Anakin, Shmi i C-3PO pomachali odjeżdżającym na pożegnanie.

– Przed południem oddam eopie! – obiecał Qui-Gon, obejrzawszy

się przez ramię.

Padmé ani razu nie spojrzała za siebie.

Wyjechali z Mos Espy na pustynię. R2-D2 prowadził małą karawanę. Słońca coraz szybciej wspinały się ku zenitowi i rozgrzane powietrze wzbijało się drżącą falą znad piasku. Niemniej jednak podróż powrotna na statek przebiegała szybko i bez przeszkód.

Obi-Wan czekał już na nich. Zszedł po trapie, gdy tylko pojawili się w polu widzenia.

– Zaczynałem się martwić – oznajmił bez zbędnych wstępów.

Qui-Gon zeskoczył z wierzchowca i pomógł Padmé zejść. – Weź się za instalację generatora – polecił. – Ja wracam.

Mam jeszcze jedną sprawę do załatwienia.

– Sprawę? – Kenobi uniósł brew.

– To nie potrwa długo.

Obi-Wan spojrzał na niego uważnie i westchnął.

– Dlaczego mam wrażenie, że zaraz weźmiemy na pokład nowy balast? Qui-Gon złapał go za łokieć i odciągnął na bok.

– Chodzi o chłopaka, któremu zawdzięczamy zdobycie tych wszystkich części – wyjaśnił. – To jego krew analizowałeś wczoraj wieczorem. Obi-Wan popatrzył na niego twardo, bez słowa, po czym odszedł do swoich zajęć.

Na jednej z wydm ponad kotlinką, w której znajdował się statek, niewidoczna w oślepiającym świetle robosonda zawisała na chwilę nieruchomo, wysłała ostatni przekaz, a potem oddaliła się z maksymalną szybkością.

Anakin wrócił z matką i androidem do domu, wciąż ogarnięty euforią po niedawnym zwycięstwie, lecz zarazem smutny z powodu rozstania z Padmé. Nie zastanawiał się dotąd, co się z nią stanie po tym, jak on wygra Boontę; nie myślał o tym, że Qui-Gon dostanie generator i naprawi statek. Kiedy więc schyliła się, żeby pocałować go w policzek, pierwszy raz poważnie dopuścił do siebie myśl o rozłące. Czuł ścierające się w jego sercu uczucia i nagle zapragnął poprosić ją, żeby została z nim – nie zdołał jednak powiedzieć tego na głos. Bał

się, że zabrzmiałby głupio; w żadnym wypadku nie mogła zostać. Stał więc w milczeniu, niczym android bez wokodera, i patrzył, jak Padmé odjeżdża z Qui-Gonem. Wiedział, że prawdopodobnie nigdy już jej nie zobaczy i rozmyślał o tym, jak będzie żył, gdyby rzeczywiście tak miało być. Dotarłszy do domu nie mógł usiedzieć na miejscu. Zaprowadził C-3PO do pokoju, wyłączył go i wyszedł. Qui-Gon powiedział mu, że dziś już Watto da mu wolne, więc do powrotu Jedi miał wolną rękę. Nie myślał o tym, co będzie, jak Qui-Gon wróci z eopie. Szedł główną ulicą Mos Espy i machał wszystkim pozdrawiającym go mieszkańcom, pławiąc się w blasku chwały. Wciąż jakoś nie mógł do końca uwierzyć w swój sukces, choć zarazem miał wrażenie, jakby od dawna wiedział, że wygra. Spotkał Kitstera, zaraz potem Ameerę i Walda, a wkrótce otoczyło go kilkanaścioro przyjaciół.

Dochodzili właśnie do skrzyżowania, kiedy potężnie zbudowany rodiański młodzieniaszek zastąpił mu drogę. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i zarzucił Anakinowi oszustwo w wyścigu; było przecież niemożliwe, żeby niewolnik wygrał Boontę inaczej, niż oszukując.

W mgnieniu oka Anakin dopadł przeciwnika, przewrócił go i usiadł na nim. Zaczął go okładać pięściami z całej siły, tak szybko, jak tylko zdołał. Przepęniała go złość, lecz nie dbał o to, że jej przyczyna nie ma nic wspólnego z Rodianinem, za to wynika wyłącznie z utraty Padmé.

W którymś momencie zauważył pochylającego się nad nim Qui-Gona. Jedi rozdzielił walczących i zażądał wyjaśnień, więc rozzłoszczony Anakin opisał mu sytuację. Rozczarowany Qui-Gon spojrzał na niego badawczo, a potem przeniósł wzrok na Rodianina i spytał go, czy zmienił zdanie. Ten zaś popatrzył z pogardą na chłopca i odparł, że dalej uważa, iż Skywalker oszukiwał. Wówczas Jedi położył dłoń na ramieniu Anakina i odeszli kawałek w bok. Dopiero gdy znaleźli się poza zasięgiem słuchu zebranych, Qui-Gon przemówił wolno:

– Widzisz, Annie, bójka nie wpłynęła na zmianę jego opinii.

Zdanie innych może ci się nie podobać, ale to coś, co musisz się nauczyć tolerować.

Wrócili razem do domu chłopca. Po drodze Jedi opowiadał mu trochę o życiu i rządzących nim prawach, wciąż trzymając rękę na jego ramieniu. Anakin dobrze się z tym czuł. Znalazłszy się przed domem, Jedi sięgnął pod poncho i wydobyl skórzaną sakiewkę wypełnioną kredytami.

– To dla was – oznajmił. – Sprzedałem ścigacz. – Uśmiechnął się kącikiem ust. – Pewnemu dość niegrzecznemu i raczej upartemu Dugowi. Anakin wyszczerzył wesoło zęby i chwycił sakiewkę; bójka i jej przyczyny poszły w zapomnienie. Wbiegł pędem po schodach i wpadł do domu. – Mamo! Mamo! – krzyknął na widok Shmi. Qui-Gon szedł powoli za nim. – Posłuchaj: Qui-Gon sprzedał ścigacz! Patrz, ile mamy pieniędzy! Rzucił matce sakiewkę, ciesząc się jej zaskoczeniem.

– Annie, to cudowna wiadomość! – szepnęła Shmi, po czym przeniosła wzrok na Qui-Gona.

Patrząc jej w oczy, Jedi postąpił krok naprzód. – Annie został wyzwolony – oznajmił. Chłopiec wytrzeszczył oczy.

– Co takiego?

– Nie jesteś już niewolnikiem.

Twarz Shmi Skywalker zastygła w wyrazie niedowierzania. – Słyszałaś, mamo? – wrzasnął radośnie Anakin i podskoczył. To było niemożliwe, ale stało się! Naprawdę się stało! Z trudem się opanował. – Czy to część nagrody za zwycięstwo? Powiedz, proszę!

Qui-Gon odpowiedział uśmiechem na jego uśmiech.

– Powiedzmy, że Watto nauczył się dziś paru ważnych rzeczy o grze na wyścigach – odparł.

Shmi Skywalker wciąż jeszcze kręciła głową, oszołomiona nowiną, ale widok rozpromienionej twarzy Anakina wszystko jej wyjaśnił. Przytuliła syna. – Teraz możesz zrealizować swoje marzenia, Annie – wyszeptala i dotknęła jego policzka. – Jesteś wolny. Puściła chłopca i spojrzała z nadzieją na Qui-Gona.

– Zabierzesz go ze sobą? – zapytała. – Zostanie rycerzem Jedi?

Słyszając jej słowa Anakin uśmiechnął się jeszcze szerzej, okręcił na pięcie i popatrzył wyczekująco na Qui-Gona.

Jedi się zawahał.

– Nasze spotkanie nie było przypadkowe – powiedział. – Nic nie

dzieje się przypadkiem. Moc jest w tobie silna, Annie, ale Rada może cię nie zaakceptować.

Anakin usłyszał z jego słów to, co chciał, odcinając wiadomości mniej pożądane: oto w jednej chwili spełniały się jego sny. – Jedi! – westchnął z podziwem. – To znaczy, że wrócę z tobą na statek, i polecimy, i w ogóle? I znów spotka Padmé! Myśl ta uderzyła go niczym grom i napełniła taką niecierpliwością, że z najwyższym trudem udało mu się skupić na dalszych słowach Qui-Gona, który uklęknął przed nim.

– Nie będzie ci łatwo zostać Jedi, Anakinie – rzekł poważnie.

– To prawdziwe wyzwanie, a nawet jeśli mu sprostasz, czeka cię ciężkie życie.

Anakin bez namysłu pokręcił głową.

– Ale ja tego chcę! Zawsze o tym marzyłem! – Obejrzał się na matkę. – Mamo, mogę lecieć?

Qui-Gon dotknął jego ramienia i Anakin odwrócił się z powrotem w jego stronę.

– Droga stoi przed tobą otworem, Annie. To, czy na nią wkroczysz, zależy już tylko od ciebie.

Chłopiec i mężczyzna patrzyli sobie w oczy. W duszy Anakina szalała istna burza emocji. Bał się, że straci nad nimi kontrolę, ale przede wszystkim przepełniało go szczęście, że oto ma w zasięgu ręki szansę realizacji najskrytszych marzeń: może zostać Jedi i podróżować po całej galaktyce! Spojrzał na matkę, na jej zmęczoną, pogodzoną z losem twarz; wiedział, że – jak zawsze – chce dla niego wszystkiego, co najlepsze. Wrócił spojrzeniem do Qui-Gona.

– Chcę lecieć – oznajmił.

– No to się pakuj – odpowiedział mistrz Jedi. – Mamy mało czasu.

– Hurra! – krzyknął chłopiec, podskoczył ze szczęścia i rzucił się matce w objęcia. Uściskał ją ze wszystkich sił, a potem pomknął do swojego pokoju. W drzwiach uświadomił sobie, że o czymś chyba zapomniał.

Lodowaty dreszcz przebiegł mu po plecach, gdy odwrócił się do Qui-Gona. – A co z mamą? – zapytał, patrząc to na matkę, to na rycerza. – Też jest wolna? Lecisz z nami, mamo, prawda?

Qui-Gon i Shmi wymienili zmartwione spojrzenia; Anakin wiedział, co powie Jedi, zanim jeszcze ten się odezwał.

– Próbowałem i jej zwrócić wolność, Annie, ale Watto się nie zgodził. Na Tatooine posiadanie niewolników podnosi prestiż właściciela.

Coś ścisnęło chłopca w gardle.

– Ale za pieniądze ze sprzedaży...

– Jest ich o wiele za mało. – Qui-Gon pokręcił głową. Zapadła cisza. Shmi Skywalker usiadła na krześle obok syna, ujęła jego dłonie w swoje i przyciągnęła go do siebie. Spojrzała mu prosto w oczy.

– Annie, moje miejsce jest tutaj – powiedziała cicho. – Moja przyszłość to Tatooine. Czas, żebyś... żebyś mnie zostawił. Nie mogę lecieć z wami.

Chłopiec przełknął z wysiłkiem.

– No to zostanę z tobą. Nie chcę nic zmieniać.

Shmi uśmiechnęła się do niego, chcąc dodać mu odwagi i zmarszczyła brwi.

– Nie możesz powstrzymać zmian, tak jak nie możesz przykazać słońcom, żeby nie zachodziły. Posłuchaj własnych pragnień, Annie; wiesz, co jest słuszne, a co nie.

Anakin westchnął głęboko i spuścił wzrok. Całe szczęście gdzieś się ulotniło, podniecenie opadło, wszystko straciło sens. Poczł jednak, jak ręce matki zaciskają się na jego dłoniach i w jej dotyku znalazł siłę, której potrzebował, by zrobić to, co konieczne.

Ale i tak w oczach zaszklily mu się łzy, gdy podniósł głowę. – Będę za tobą tęsknił, mamó – szepnął.

Shmi kiwnęła głową.

– Kocham cię, Annie. – Puściła jego ręce. – A teraz się pospiesz.

Anakin jeszcze raz objął ją – szybko, mocno – i wybiegł z pokoju. Łzy płynęły mu po twarzy.

Znalazłszy się w sypialni zamarł, bez ruchu. Był oszołomiony: wyjeżdżał i nie miał pojęcia, kiedy wróci. Nigdy dotąd nie ruszał się z Mos Espy, nie znał nikogo, kto by tu nie mieszkał albo przynajmniej

nie handlował z tutejszymi kupcami. Marzył o tym, żeby zobaczyć inne planety, poznać życie ich mieszkańców, żeby zostać pilotem międzygwiazdowego liniowca – i żeby być rycerzem Jedi. Nie zmieniało to jednak faktu, że stanąwszy na progu tego nowego życia, czuł się nim przytłoczony.

Przyszedł mu na myśl stary pilot, który stwierdził, że wcale by się nie zdziwił, gdyby pewnego dnia Anakin Skywalker stał się kimś o wiele ważniejszym, niż zwykłym niewolnikiem. Anakin zaś niczego bardziej nie pragnął. Ale nigdy, przenigdy nie przyszło mu do głowy, że będzie musiał rozstać się z matką.

Otarł łzy, powstrzymał dalsze, cisnące mu się do oczu i usłyszał dobiegające przez drzwi głosy.

– Dziękuję – mówiła cicho Shmi.

– Będę się nim opiekował. Masz na to moje słowo – uspokajał ją Jedi. – Poradzisz sobie sama?

Anakin nie dosłyszał pierwszych słów jej odpowiedzi, potem jednak dodała:

– Tak krótko istniał w moim życiu...

Nie dokończyła zdania, a Anakin zmusił się, by nie podsłuchiwać dalej i zaczął upychać swoje rzeczy do plecaka. Nie miał ich wiele, więc i nie zajęło mu to dużo czasu. Rozejrzał się jeszcze po pokoju w poszukiwaniu czegoś, co mógłby przegapić i jego wzrok padł na C-3PO, siedzącego nieruchomo na warsztacie.

Włączył androida, który odchylił głowę i popatrzył na niego. – No, C-3PO, odlatuję stąd – oznajmił chłopiec poważnym tonem. – Jestem wolny.

Odlece stąd statkiem kosmicznym...

Nie wiedział, co jeszcze mógłby dodać.

– To pan mnie zbudował, panie Anakinie, i życzę panu powodzenia, aczkolwiek wolałbym być nieco mniej odsłonięty.

Chłopiec westchnął i pokiwał głową.

– Przykro mi, że nie zdążyłem cię dokończyć, C-3PO, nałożyć ci powłoki i tak dalej. Szkoda, że nie będę już mógł nad tobą pracować; świetny z ciebie przyjaciel. Dopilnuję, żeby mama cię nie sprzedała ani nic takiego. Żegnaj! Anakin porwał plecak i wybiegł z pokoju.

Ostatnie melancholijne słowa C-3PO, jakie usłyszał, brzmiały: – Sprzedać mnie?

Anakin pożegnał się z matką – wziął się już w garść – i wyszedł z Qui-Gonem. Decyzja została podjęta. Nie uszli jeszcze dwudziestu metrów, gdy podbiegł do nich Kitster, śledzący ich od momentu bójki.

– Dokąd się wybierasz, Annie? – zagadnął. Młody Skywalker odetchnął głęboko.

– Zostałem wyzwolony i odlatuję stąd z Qui-Gonem. Statkiem kosmicznym.

Kitsterowi oczy się rozszerzyły ze zdumienia; szczęka mu opadła. Anakin wygrzebał z kieszeni garść kredytów i podał je przyjacielowi. – Masz, to dla ciebie.

Kitster popatrzył w dół, po czym podniósł wzrok z powrotem na Anakina.

– Naprawdę musisz lecieć, Annie? Nie mógłbyś zostać? Annie, jesteś teraz bohaterem!

Chłopiec przełknął ślinę.

– Ja... – przeniósł wzrok w dal, za plecy Kitstera: matka stała w drzwiach, Qui-Gon czekał. – Nie mogę. – No dobrze. – Kitster skinął głową. – Dobrze – powtórzył Anakin.

– Dzięki za wszystko, Annie. – W oczach Kitstera zalśniły łzy. Wziął pieniądze. – Jesteś moim najlepszym przyjacielem. Anakin przygryzł wargę.

– Będę o tobie pamiętał – powiedział i objął go, po czym prędko odsunął się od niego i popędził za Qui-Gonem. Dobiegając do niego obejrzał się jeszcze raz przez ramię: ujrzawszy matkę znów się zawahał, dał porwać emocjom, a potem niedawna determinacja zniknęła bez śladu i pomknął do niej, Rozplakał się na dobre.

– Nie mogę tego zrobić, mamę – wyszeptał, tuląc się do niej. – Nie potrafię!

Gwałtowne łkanie wstrząsało nim całym; czuł, jak cały się od środka rozpada, aż wreszcie jedyne, na co mógł się zdobyć, to zatonać w matczynych ramionach. Shmi przycisnęła go do siebie, pocieszyła,

ale po chwili odsunęła na odległość wyprostowanych rąk i uklękła przed nim.

– Pamiętasz, Annie, jak wdrapywałeś się na wydnię, żeby spłoszyć banthy? – spytała poważnie. – Nie chciałeś, żeby je zastrzelili. Miałeś pięć lat; parę razy upadłeś na piasek, wyczerpany upałem i wysiłkiem. Wydawało ci się, że nie dasz rady, że to zbyt wiele, jak na twoje siły. Pamiętasz to? Anakin pokiwał głową.

– Teraz właśnie nadszedł taki moment, kiedy musisz zrobić coś, co wydaje ci się niemożliwe. Ale ja wiem, że jesteś silny, Annie. Wiem, że potrafisz tego dokonać.

Chłopiec przełknął łzy; uważał, że mama nie ma racji, że wcale nie jest taki silny, ale wiedział też, że podjęła już decyzję – musi odejść, bez względu na to, ile miałyby go to kosztować.

– Czy ja cię jeszcze kiedyś zobaczę? – zapytał zrozpaczony, artykułując wreszcie najgorsze obawy. – A co ci podpowiada serce? Pokręcił z powątpiewaniem głową – Nie wiem; chyba mówi, że tak.

– Wobec tego tak właśnie będzie, Annie.

Anakin odetchnął głęboko, żeby się uspokoić. Przestał już płakać i otarł łzy z twarzy.

– Zostanę Jedi – oznajmił cicho. – A potem wrócę tu i cię uwolnię, mamó. Obiecuję – Gdziekolwiek się znajdziesz, moja miłość będzie ci towarzyszyć. A teraz pokaż, jaki jesteś dzielny i nie odwracaj się więcej. – Kocham cię, mamó.

Shmi przytuliła go po raz ostatni, a potem odwróciła tak, że stanął przodem do Qui-Gona.

– Nie oglądaj się, Annie – szepnęła i popchnęła go leciutko. Ruszył zdecydowanym, szybkim krokiem, zarzucił plecak na ramię i wbił wzrok w dal, gdzieś za plecami Qui-Gona. Nie zwalniając minął mistrza Jedi, jeszcze raz przewyciężył łzy, a po kilku minutach matka i dom rodzinny zostali daleko z tyłu.



Najpierw udali się do sklepu Watto, żeby ten wypisał dokumenty, które miały świadczyć o wyzwoleniu Anakina. Komunikator, który chłopiec nosił wszczepiony pod skórą, został wyłączony – później

miał zostać usunięty operacyjnie. Watto wciąż jeszcze mamrotał coś o nieuczciwości tego Świata, gdy wychodzili ze sklepu.

Ulegając naleganiom Anakina odwiedzili następnie stragan Jiry, który i tak znajdował się nie opodal. Chłopiec, otrząsnąwszy się już z szoku, jakim było rozstanie z matką, podszedł odważnie wprost do kobiety i wręczył jej garść kredy tow.

– Jestem wolny, Jiro – powiedział, zaciskając szczęki. Wyjeżdżam. Kup sobie klimatyzator, który ci obiecałem, bo inaczej będę się o ciebie ciągle martwił.

Jira wytrzeszczyła oczy na widok pieniędzy. Pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Mogę cię przytulić, Annie? – zapytała i wyciągnęła ręce.

Objęła go i przymknęła oczy. – Będę za tobą tęsknić. W całej galaktyce nie ma lepszego chłopca od ciebie. – Wypuściła go z objęć. – Uważaj na siebie.

Anakin pobiegł za Qui-Gonem, któremu zależało na tym, żeby jak najszybciej wrócić na statek. Szli w milczeniu bocznymi uliczkami; chłopiec chłonał znajome widoki, których miał już nigdy nie zobaczyć, przypominał sobie, co tu przeżył, żegnał się z miastem...

Z zamyślenia wyrwał go dopiero gwałtowny ruch Qui-Gona:

Jedi zrobił błyskawiczny obrót i ciął mieczem świetlnym w cień między dwoma budynkami. Błyszczące ostrze uderzyło o metal i z blaszanym grzechotem kawałki blachy posypały się na ziemię. Qui-Gon wyłączył miecz i przyklęknął, żeby z bliska przyjrzeć się odłamkom, wśród których wciąż przeskakiwały iskry. Unosiła się nad nimi ostra woń ozonu i swąd spalonej izolacji.

– Co to takiego? – zdziwił się chłopiec, zerkając mężczyźnie przez ramię. Qui-Gon wstał.

– Robosonda, ale bardzo dziwna. Nigdy takiej nie widziałem.

– Zatroskany rozejrzał się po ulicy. – Chodźmy, Annie. Szybko oddalili się z tego miejsca.

ROZDZIAŁ

15

Pospiesznie opuścili Mos Espę; przemknęli zatłoczonymi ulicami ku rzadziej zaludnionym rejonom miasta, Qui-Gon zaś cały czas obserwował: oczami – okolicę i krajobraz Tatooine, umysłem – otaczające ich pole Mocy. Instynkt ostrzegł go przed śledzącą ich sondą, szkolenie Jedi pozwalało mu teraz wyczuć znacznie poważniejsze niebezpieczeństwo: czuł, że równowaga wszechrzeczy ulega zakłóceniu i coś narusza, zagraża harmonii Mocy, niczym wielki, czarny głaz, który lada moment stoczy się ze zbocza.

Znalazłszy się na otwartym terenie, Qui-Gon przyspieszył kroku. Widział już przed sobą statek królowej – ciemny kształt mający całkiem niedaleko, obiecując bezpieczne schronienie. Słyszał, że Anakin woła coś do niego, nie mogąc utrzymać ostrego tempa.

Obejrzał się przez ramię, żeby coś chłopcu odpowiedzieć i zachęcić go do jeszcze jednego wysiłku, gdy wtem ujrzał zmierzający ku nim śmigacz, prowadzony przez odzianą w czerń postać.

– Anakinie, na ziemię! – krzyknął Jedi i odwrócił się do przeciwnika.

Chłopiec padł na twarz i rozpląszczył się na piasku. Śmigacz minął go dosłownie o włos – pędził wprost na Qui-Gona, który dobył tymczasem miecza, włączył ostrze i chwyciwszy oburącz rękojeść, zasłonił się bronią. Przypominający kształtem siodło pojazd wyglądał na nieuzbrojony; jego zaletą była raczej zwrotność i szybkość, nie zaś siła ognia. Qui-Gon nie widział dotąd po dobrej maszyny, miał jednak wrażenie, że przypomina mu ona coś, co przed wiekami przeszło do

historii.

Wreszcie śmigacz zbliżył się na tyle, że prowadzący go człowiek wynurzył się z oślepiającej jasności. Powykrzywiane rogi sterczały mu nad czołem, pomalowanym, tak jak i reszta twarzy, w czarno-czerwone zygzaki. Mógłby uchodzić za człowieka, gdyby nie zakrzywione zęby i podobne do szparek oczy, które nadawały mu wygląd urodzonego drapieżnika. Z jego gardła dobył się skowyt przywodzący na myśl wycie polującej bestii.

Dźwięk ten jeszcze dobrze nie przebrzmiał, gdy napastnik rzucił się na Qui-Gona: skręcił ostro, zdusił silnik i zeskoczył z fotela – wszystko w jednym, płynnym ruchu. Przybysz również był uzbrojony w miecz świetlny, choć innego rodzaju; ostrze uderzyło w Jedi, nim jeszcze stopy kierowcy śmigacza dotknęły piasku. Qui-Gon, zaskoczony szybkością i zaciekłością napaści, z najwyższym trudem odbił cios. Ostrza zgrzytnęły chrapliwie, a obcy, podobny do odzianego w czerń powietrznego wiru, natychmiast ponowił atak. Jego twarz zastygła w morderczym grymasie.

Anakin poderwał się z ziemi i obserwował walczących, nie bardzo wiedząc, co mógłby zrobić. Broniący się Qui-Gon dostrzegł go kątem oka. – Annie! – krzyknął. – Uciekaj!

Znów walczyli w zwarcu i przeciwnik zmusił Jedi do cofnięcia się; uderzał błyskawicznie, z każdej pozycji. Nawet nie wiedząc nic o napastniku, Qui-Gon nie miał wątpliwości, że ma oto przed sobą kogoś, kto przeszedł takie samo szkolenie w walce, jak rycerze Jedi, co czyniło go naprawdę groźnym wrogiem. Co więcej, był młodszy, silniejszy i szybko zdobywał przewagę. Qui-Gon raz za razem blokował cięcia, ale nie potrafił znaleźć luki w jego obronie, która pozwoliłaby mu rozstrzygnąć starcie.

– Annie! – krzyknął ponownie, widząc, że chłopiec ani drgnie. – Biegnij na statek i każ im startować! Natychmiast!

Ujrzawszy, że Anakin rusza do statku, z impetem zaatakował przeciwnika.

Wystraszony, pełen wątpliwości Anakin biegiem wyminął

walczących i popędził na statek. Od lśniącej w popołudniowym słońcu maszyny dzieliło go niespełna trzysta metrów. Trap ładunkowy opuszczono, ani na nim jednak, ani nigdzie w okolicy nie było choćby śladu załogi i pasażerów. Złany potem Skywalker przyspieszył; serce waliło mu jak młotem, gdy dopadł rampy i bez tchu wbiegł na pokład.

Zaraz na wstępie natknął się na Padmé w towarzystwie śniadoskórego mężczyzny w mundurze. Na jego widok oczy dziewczyny rozszerzyły się ze zdumienia.

– Qui-Gon ma kłopoty! – wyrzucił z siebie Anakin. – Kazał natychmiast startować!

Mężczyzna przyglądał mu się badawczo. – Kim jesteś? – spytał ostro. Tymczasem jednak Padmé chwyciła Anakina za ramię i pociągnęła na dziób statku.

– To przyjaciel – uspokoiła mężczyznę. – Proszę się pospieszyć, kapitanie. Po drodze do kabiny Anakin próbował opowiedzieć pokrótce co się wydarzyło; Padmé popychała go przed sobą, przytakując od czasu do czasu i nalegając, żeby się pospieszył.

Na mostku zastali już dwóch ludzi siedzących przy pulpicie sterowniczym, którzy od razu zwrócili na nich uwagę. Jeden z nich miał na kurtce naszywki pilota, drugi zaś – tego Anakin był pewien, ujrawszy jego strój i fryzurę – był kolejnym rycerzem Jedi.

– Qui-Gon ma kłopoty – oznajmiła Padmé.

– Kazał startować – dodał Anakin.

Jedi natychmiast zerwał się na równe nogi. Był młodszy od Qui-Gona, nie miał zmarszczek i nosił włosy ścięte krótko poza cieniutkim warkoczykiem, opadającym na prawe ramię.

– Gdzie jest? – rzucił szybkie pytanie, ale nie czekając na odpowiedź rzucił się do iluminatora.

– Nic nie widzę – wtrącił pilot, zerkając mu przez ramię.

– Tam! – Jedi kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie na skraju pola widzenia. – Wzbij się w powietrze i podleć tam, ale już! Tylko nisko! Mężczyzna imieniem Ric wskoczył na fotel pilota, podczas gdy pozostali, w tym Anakin, rozpierzchli się w poszukiwaniu wolnych miejsc. Potężne repulsory obudziły się do życia z basowym

dudnieniem, trap się podniósł i statek wzniósłszy się nieco zwrócił dziób w pożądanym kierunku. – Tam! – Jedi wyciągnął rękę.

Teraz wszyscy już widzieli Qui-Gona, jak walczy z odzianą w czerń, demoniczną postacią. Na przemian nacierali i bronili się, przesuając się tam i z powrotem po piasku. Miecze świetlne, rozbłyskiwały przy każdym zderzeniu, zaś obu mężczyzn otulał obłok kurzu. Długie włosy Qui-Gona powiewały w powietrzu przy każdym gwałtowniejszym ruchu; jego przeciwnik miał zupełnie bezwłosą, gładką czaszkę, ozdobioną w dodatku krótkimi rogami. Ric podleciał do nich od razu, na wysokości, jaką zwykle obierały tylko motory grawitacyjne, i znalazł się za plecami, napastnika. Anakin wstrzymał oddech, widząc, jak blisko się znaleźli. Ric sięgnął do wyłącznika trapu i powoli go przesunął.

– Nie ruszać się – ostrzegł pasażerów i precyzyjnie odwrócił statek.

Szermierze zniknęli w kurzawie i oślepiającym blasku słońc i wszystkie oczy zwróciły się ku ekranom.

Nagle pojawił się na nich Qui-Gon: oddaliwszy się nieco od przeciwnika wskoczył na trap i jedną ręką złapał za wspornik. Ric syknął tylko z zadowoleniem, starając się nie poruszyć statku, ale w tym momencie z obłoku kurzu wynurzył się przeciwnik Jedi i wskoczył na rampę, mimo że statek już się wznosił. Zachwiał się, ale ze złowrogim błyskiem w oku utrzymał równowagę. Qui-Gon zaś bez namysłu zaatakował i przyparł przeciwnika do skraju trapu. Znajdowali się na wysokości dwudziestu metrów nad ziemią i pilot zatrzymał statek w miejscu, widząc, że walka jeszcze się nie zakończyła; bał się wzbić wyżej, dopóki ryzykował życiem Qui-Gona. Obraz szermierzy wypełnił pole widzenia kamery zainstalowanej przy wejściu. Stężałe w wysiłku twarze obu mężczyzn ociekały potem.

– Qui-Gon – do uszu Anakina dobiegł cichy głos drugiego rycerza, który jeszcze tylko chwilę śledził przebieg walki na ekranie, a potem wypadł z kabiny.

Qui-Gon cofnął się i zaatakował przeciwnika poziomym, oburęcznym cięciem. Rogaty obcy z trudem zablokował cios, ale do reszty stracił równowagę: siła uderzenia zmiotła go z rampy i spadł na piasek. Wylądował miękko, w przykłęku i natychmiast się

wyprostował, ale zdobycz mu się wymknęła. Mógł tylko patrzeć z wściekłością, jak trap się podnosi i statek królowej Amidali odlatuje z Tatooine.

Ledwie Qui-Gon zdążył wbiec po trapie do środka, a już wąż zatrzasnął się i statek zaczął przyspieszać. Jedi leżał na metalowej posadzce przy wejściu, posiniaczony, spocony i brudny. Oddychał głęboko i czekał, aż serce wróci do swojego zwykłego rytmu: ledwie uszedł z życiem, a to nie był powód do radości. Przeciwnik okazał się silny i wystawił go na ciężką próbę. Qui-Gon doszedł do wniosku, że się starzeje i że wcale mu się to nie podoba. Obi-Wan i Anakin pomogli mu wstać z podłogi. Trudno byłoby powiedzieć, na twarzy którego z nich odbiła się większa troska – Qui-Gon nie zdołał powstrzymać się od uśmiechu. Chłopiec przemówił pierwszy: – Nic ci się nie stało? Qui-Gon pokręcił głową i otrzepał się z piasku.

– Chyba nie. Ale to była niespodzianka, którą nieprędko zapomnę.

– Co to była za istota? – zapytał Obi-Wan i zmarszczył brwi.

Qui-Gonowi przyszło na myśl, że młody Jedi miałby ochotę wrócić na pustynię i dokończyć dzieła. Pokręcił głową.

– Nie jestem pewien – odrzekł. – Z kimkolwiek lub czymkolwiek jednak miałem do czynienia, przeszedł szkolenie Jedi. Przypuszczam, że chodziło mu o królową. – Myślisz, że będzie nas śledził? – wtrącił Anakin.

– Znalazłszy się w nadprzestrzeni będziemy bezpieczni powiedział Qui-Gon, unikając bezpośredniej odpowiedzi. – Nie wątpię jednak, że wie, dokąd lecimy. Skoro raz nas namierzył, znajdzie nas znowu.

Chłopiec wyraźnie się zaniepokoił. – A co my możemy zrobić?

Obi-Wan posłał mu spojrzenie, które nie mogło znaczyć nic innego, jak tylko „Co to znaczy «my»?”, ale chłopiec beznamiętnie wytrzymał jego wzrok.

– Będziemy cierpliwi – rzekł starszy Jedi. – Anakinie Skywalkerze, pozwól, że ci przedstawię Obi-Wana Kenobiego.

Chłopiec się rozpromienił.

– Miło mi pana poznać. Rety, pan też jest rycerzem Jedi, prawda?

Kenobi przeniósł wzrok na Qui-Gona i wzniosł oczy ku niebu. Wrócili do kabiny, gdzie Ric Olie rozpoczął już przygotowania do wejścia w nadprzestrzeń. Qui-Gon przedstawił Anakina zebrany, po czym stanął za plecami Rica.

Jestem gotowy – oznajmił pilot i uniósł wyczekująco brew. Qui-Gon odpowiedział mu skinieniem głowy.

– Miejmy nadzieję, że hipernapęd działa i to nie Watto będzie się śmiał ostatni.

Zgromadzeni za fotelem Rica pasażerowie przyglądali się, jak uruchamia jednostkę napędu nadświatlnego. Rozległ się krótki, ostry wizg i widniejące w iluminatorach gwiazdy zmieniły się w długie, jasne smugi. Statek gładko wszedł w nadprzestrzeń, zostawiając Tatooine za sobą.



Nad Naboo zapadła noc, ale panująca w Theed cisza nie była zwyczajnym milczeniem miasta pogrążonego we śnie. W ozdobnej sali tronowej, gdzie niegdyś niepodzielnie władała królowa Amidala, a teraz miał być sądzony gubernator Sio Bibble, zebrała się dziwaczna grupa istot. Rolę gospodarza grał wicekról Federacji Handlowej Nute Gunray, jego gośćmi zaś byli inni Neimoidianie z Runem Haako na czele, sam gubernator, garstka urzędników, pozostających w służbie królowej oraz liczny oddział robotów bojowych, uzbrojonych w miotacze i pilnujących więźniów.

Gunray zasiadał w mechanofotelu – maszynie kroczącej, której potężne, metalowe kończyny poruszały się reagując na dotyk jego palców. Mechanofotel zbliżył się właśnie do Sio Bibble'a i pozostałych Naboo i z satysfakcją obserwował lęk na ich obliczach.

Guernator jednak najwyraźniej się nie bał: zły i zdeterminowany nie spuścił bojaźliwie głowy, lecz patrzył Gunrayowi prosto w oczy. Neimoidianin odpowiedział mu równie wściekłym spojrzeniem; Sio Bibble zaczął go irytować.

– Kiedy zamierzacie wreszcie zakończyć ten bezcelowy strajk? – warknął Gunray i pochylił się w stronę gubernatora, jakby dla podkreślenia swego niezadowolenia. – Strajk zakończy się, wicekrólu,

gdy tylko królowa...

– Nie macie już królowej! A wasz lud głoduje! Bibble zeszywniał.

– Naboo nie dadzą się zastraszyć, nawet płacąc cenę życia niewinnych obywateli...

– Może czas już, żeby zaczął się pan martwić o siebie, gubernatorze! – przerwał mu Gunray. – Ma pan spore szanse zginąć wcześniej od swych poddanych. – Wicekról zatrzęsł się z gniewu i w mgnieniu oka ulotniły się resztki jego cierpliwości. – Dość tego! Zabrać go!

Droidy otoczyły Bibble'a, oddzielając go od towarzyszy.

– Inwazja nic wam nie da! – wykrzyknął gubernator przez ramię, gdy wyprowadzano go z sali. – Na Naboo panuje demokracja! To ludzie podjęli tę decyzję, wicekrólu: nie będą żyć pod rządami tyrana...

Głos Bibble'a ucichł, gdy za gubernatorem zamknęły się drzwi. Dworscy urzędnicy wyszli gęsiego za nim, bez słowa.

Neimoidianin odprowadził ich wzrokiem, a potem zwrócił się do OOM-9. Dowódca oddziału robotów podszedł do niego, żeby złożyć meldunek. – Moje oddziały zajęły pozycje na skraju bagien i są gotowe rozpocząć poszukiwania rzekomych podwodnych osiedli – oznajmił metalicznym, pozbawionym wyrazu głosem OOM-9. Nie uda im się długo przed nami chować. Nute Gunray potwierdził przyjęcie meldunku skinieniem głowy i gestem ręki odprawił dowódcę. Nie zamierzał zawracać sobie głowy dzikusami, którzy mieszkali na bagnach; wkrótce i tak ich zmiażdży. Całkowicie kontroluje przecież planetę.

Rozparł się wygodnie w mechanofotelu, czując, jak wraca dawny spokój. Pozostało już tylko czekać, aż Sithowie sprowadzą mu królową, z czym, rzecz jasna, nie będą mieli kłopotu.

Wiedział jednak, że nie będzie w pełni zadowolony, dopóki cała sprawa nie zostanie doprowadzona do końca.

Anakin Skywalker siedział skulony w kącie głównej kabiny, trząsł się z zimna i rozmyślał o tym, jak by tu się rozgrzać. Wszyscy spali;

jakiś czas temu on również zasnął, ale niespokojne sny nie dały mu długo pospać. Wokół panowała cisza, a on nie mógł się ruszyć, sparaliżowany czymś więcej, niż panujący na statku chłód.

Po jednej stronie miał wyciągniętego w fotelu i chrapiącego donośnie Jar Jara; Gunganin potrafił spać bez względu na okoliczności. Jeść zresztą również, jeśli już o tym mowa. Chłopiec uśmiechnął się słabo. R2-D2 stał tuż obok i od czasu do czasu mrugał światełkami.

Anakin wlepił wzrok w ciemność i siłą woli próbował zmusić się do ruchu, do przewyciężenia wszechogarniającego bezwładu. Nie potrafił jednak wyrzucić z pamięci ostatnich snów. Myślał o matce, o rodzinnym domu i czuł, jak świat wali mu się na głowę. Jakże za nią tęsknił! Zdawało mu się, że mniej będzie cierpiał, gdy znajdzie się z dala od niej, ale się mylił: wszystko mu o niej przypominało, a gdy próbował zamknąć przed wspomnieniami oczy, czekała na niego jej twarz – zmartwiona; zmęczona, zawieszona w mrokach myśli.

Łzy same napłynęły mu do oczu; może jednak źle zrobił, przyłączając się do Qui-Gona; może powinien wrócić... Ale to nie wchodziło w grę. Nie wiedział nawet, czy kiedykolwiek będzie mógł wrócić na Tatooine. Jakaś szczupła postać wśliznęła się cicho do kabiny. Anakin rozpoznał ją, gdy słaby blask iluminatora padł na jej łagodną twarz:

Padmé. Stała bez ruchu, jak wykuta z kamienia, włączywszy pstryknięciem palca zapis transmisji, w której Sio Bibble błagał królową Amidalę, by wróciła do domu, uratowała poddanych od śmierci głodowej i pomogła im, gdy najbardziej jej potrzebują. Wysłuchała całego nagrania, a potem wyłączyła odtwarzacz i po prostu stała tam ze spuszczoną głową. Co ona robi?

Nagle musiała chyba wyczuć obecność chłopca, bo odwróciła się w jego stronę. Na jej uroczej twarzyczce malowało się zmęczenie i smutek, gdy klęknęła obok Anakina. Zesztywniał, starając się ze wszystkich sił powstrzymać łzy ale nie zdołał przed nią ukryć ani tego, że płacze, ani przebiegających go dreszczy. – Nic ci nie jest, Annie? – spytała cicho.

– Strasznie mi zimno – wyszeptał z trudem w odpowiedzi.

Uśmiechnawszy się zdjęła grubą wierzchnią kurtkę, narzuciła mu ją na ramiona i opatuliła go nią dokładnie.

– Pochodzisz z gorącej planety, Annie. W kosmosie jest zimno. Anakin podziękował jej skinieniem głowy i otulił się ciaśniej kurtką. Otarł oczy. – Jesteś smutna – zauważył.

Jeśli Padmé zwróciła uwagę na ironiczny wydźwięk jego uwagi, nie dała tego po sobie poznać.

– Królowa się martwi – odrzekła. – Jej poddani cierpią i umierają. Musi przekonać Senat, żeby interweniował na Naboo, bo inaczej... – urwała w pół zdania, jakby bojąc się je skończyć. Nie wiem, co się stanie. Spojrzała gdzieś obok Anakina, w dał, w ciemność.

– Ja też nie wiem, co ze mną będzie – przyznał zatroskany Anakin. – Nie wiem, czy jeszcze kiedyś zobaczę.

Jemu też nie udało się dokończyć zdania, bo nagle ścisnęło go coś w gardle. Odetchnął głęboko, zmarszczył brwi, a potem wygrzebał coś z kieszeni. – Proszę – powiedział. – Zrobiłem go dla ciebie, żebyś o mnie pamiętała. Wyrzeźbiłem z kawałka japoru. Weź, przyniesie ci szczęście.

Podał Padmé ozdobny, drewniany wisiołek. Obejrzała go uważnie, pochyliwszy głowę, a potem założyła na szyję.

– Jest śliczny. Ale nie potrzebuję go, żeby o tobie pamiętać. – Uśmiechnęła się. – Jak mogłabym zapomnieć mojego przyszłego męża? – Zerknęła w dół i ujęła wisiołek w dłoń. – Wiele się zmieni, gdy dolecimy na Coruscant, Annie, ale nie moje uczucia wobec ciebie. Chłopiec kiwnął głową i przełknął.

– Wiem. Moje również nie, tylko po prostu tęsknię Głos mu się załamał i oczy znów zaszkliły się łzami. – Tęsknisz za mamą – dokończyła cicho Padmé.

Anakin znów pokiwał głową i otarł łzy, niezdolny wykrztusić słowa. Padmé Naberrie przytuliła go mocno.

ROZDZIAŁ

16

Zanim jeszcze przybysz potrafiłby uzasadnić swoje zdanie, wiedział, że Coruscant nie jest taka, jak inne planety. Nawet stare wilki kosmiczne zdumiewali się jego wyglądem: z orbity nie przypominał bowiem błękitnobiałych, zamieszkałych światów, jakich setki spotykano w galaktyce, lecz raczej olbrzymią metalową kulę.

Bo Coruscant rzeczywiście była olbrzymią metalową kulą, a dni, gdy znajdowało się na niej jakiegokolwiek ślady naturalnego środowiska, bezpowrotnie odeszły w przeszłość. Stolica Republiki rozrastała się przez kilkaset lat, nieustannie przybywało budowli, aż wreszcie miasto Coruscant wchłonęło całą planetę; zabudowano lasy, góry, jeziora i wszelką odkrytą powierzchnię, atmosfera została przefiltrowana i nasycona odpowiednią ilością tlenu, wodę zgromadzono w gigantycznych sztucznych zbiornikach, zaś miejscową florę i faunę można było podziwiać już tylko w muzeach i zamkniętych rezerwatach, objętych ścisłą kontrolą klimatyczną.

Wyglądając przez iluminator Anakin ujrzał planetę wieżowców, które strzelały w niebo niczym las włóczni lub armia nieruchomych olbrzymów i ciągnęły się aż po horyzont.

Chłopiec chłonął ten widok z nabożnym lękiem, szukając choćby najmniejszej luki w nieskończonym mieście, ale bez skutku. Ric Olie mrugnął do niego porozumiewawczo.

– Oto Coruscant, stolica Republiki – powiedział. – Planeta, która stała się jednym wielkim miastem. Warto je zobaczyć, ale mieszkać bym tu nie chciał.

– Jakie ono ogromne! – szepnął Anakin.

Zniżyli się już na wysokość, na jakiej kursowały miejskie pojazdy i teraz lawirowali między budynkami w ślad za magnetycznymi liniami naprowadzającymi. Ric objaśnił Anakinowi ich działanie, ale chłopiec słuchał go jednym uchem, nie mogąc oderwać wzroku od rozciągającego się w dole miasta. Jedi kręcili się niespokojnie po mostku, a Jar Jar przykucnął z boku i znad pulpitu wyglądał na zewnątrz; nie ulegało wątpliwości, że jest przerażony. Młody Skywalker rozumiał, jak bardzo Gunganinowi brakuje znajomego krajobrazu rodzimych mokradeł – sam też rozmyślał o tym, że znacznie bardziej podobało mu się na pustyni.

Statek zwolnił i skręcił, żeby wydostać się z korytarza powietrznego, kierując się wprost na lądowisko; unoszące się w powietrzu nie opodał grupy szczególnie wysokich budynków. Anakin przyglądał im się niepewnie – miały z pewnością po kilkaset pięter. Przełknął z trudem i odwrócił wzrok. Lądowaniu towarzyszyło stłumione dudnienie, gdy antygravitacyjne uchwyty zacisnęły się na kadłubie. Królowa czekała już przy wyjściu, w otoczeniu dworak i dowodzonych przez kapitana Panakę strażników. Skinęła głową Qui-Gonowi, dając mu do zrozumienia, że powinien ruszyć przodem. Anakin posłał Padmé szybki uśmiech i ruszył krok w krok za mistrzem Jedi. Podeszli do włazu.

Kłapa otworzyła się, trap został spuszczone i obaj Jedi w towarzystwie Anakina i Jar Jara, wyszli na zalane słońcem Coruscantu lądowisko. Przez pierwsze minuty chłopiec starał się po prostu ogarnąć oszałamiający widok, który po opuszczeniu statku robił o wiele większe wrażenie. Starał się patrzeć na trap i stojącego na niej Qui-Gona; bał się swobodnie rozglądać dookoła, żeby przypadkiem w euforii nie spaść.

Na drugim końcu trapu stało dwóch mężczyzn, noszących oficjalne szaty Senatu Republiki, w eskorcie republikańskich strażników. Jedi wyszli im na spotkanie i zgodnie z protokołem ukłonili się; Anakin i Jar Jar natychmiast poszli w ich ślady, choć tylko chłopiec zdawał sobie sprawę komu i dlaczego się kłaniają.

Na trapie pojawiła się królowa Amidala, odziana w złoto-czarne

szaty. Zdobione piórami nakrycie głowy dodawało jej wdzięku, gdy posuwistym krokiem schodziła na lądowisko. Otaczały ją służące, otulone szkarłatnymi płaszczami, z twarzami ukrytymi w cieniu obszernych kapturów. Ich eskortę stanowili gwardziści kapitana Panaki.

Amidala stanęła przed dwójką przybyszów i utkwiała wzrok w jednym z nich: miał spokojną twarz i zmęczone oczy – senator Palpatine, emisariusz królowej w Senacie, ukłonił się jej na powitanie. Dłonie skrył w rękawach błękitno-zielonej szaty.

– Z prawdziwą ulgą widzę Waszą Wysokość w dobrym zdrowiu – rzekł z uśmiechem i wyprostował się. – Pozwól, pani, że przedstawię ci Wielkiego Kanclerza Valoruma.

Valorum był wysokim, posiwiałym mężczyzną w bliżej nieokreślonym wieku: nie wyglądał ani na starca, ani na młodzieńca, choć zarazem miał w sobie coś z obu. Trzymał się prosto, głos miał donośny, ale twarz i niewiarygodnie błękitne oczy zdradzały zmęczenie i liczne zmartwienia.

– Witaj, Wasza Wysokość – powiedział, a słaby uśmiech z wysiłkiem zarysował się na jego poważnej twarzy. – To dla mnie niezwykle zaszczyt spotkać cię osobiście, pani. Muszę Waszej Wysokości powiedzieć, że wszyscy tu jesteśmy nad wyraz poruszeni i zaniepokojeni sytuacją Naboo. Zwołałem nadzwyczajną sesję Senatu, by Wasza Wysokość mogła przedstawić swoją prośbę o pomoc.

Królowa słuchała go z kamiennym wyrazem umalowanej na białą twarzy, wyniosła i majestatyczna.

– Dziękuję panu za troskę, kanclerzu – odrzekła cicho. Kątem oka Anakin dostrzegł Padmé, która posłała mu spod kaptura ukradkowe spojrzenie. Odwrócił się w jej stronę, a wtedy dziewczyna mrugnęła do niego porozumiewawczo. Poczuł, że oblewa się rumieńcem.

Palpatine stanął u boku królowej i gestem wskazał prom powietrzny, który czekał nie opodal.

– Pozostała jeszcze pewna kwestia proceduralna, ale jestem pewien, że sobie z nią poradzimy – stwierdził i poprowadził Amidale na prom. Dworki, Panaka i jego gwardziści szli za nimi.

Anakin chciał z Jar Jarem pójść w ich ślady, lecz zatrzymał się,

widząc, że rycerze Jedi wciąż stoją na uboczu w towarzystwie kanclerza. Spojrzał pytająco na Qui-Gona, nie bardzo wiedząc, czy ma iść za królową, w tejże jednak chwili Amidala dała znak ręką, żeby chłopiec i Gunganin przyłączyli się do jej orszaku. Ujrawszy przyzwalające skinienie głowy ze strony Qui-Gona, udał się za królową na prom.

Siedli wraz z Jar Jarem na ostatnich fotelach. Senator Palpatine, zajmujący miejsce z przodu kabiny, obrzucił ich sceptycznym spojrzeniem, po czym odwrócił, się do nich plecami.

– Moja źle się tu czuć, Annie – oznajmił szeptem Gunganin. Anakin skinął głową i zacisnął usta.

Pokonali w powietrzu niewielką odległość, po czym osiedli na kolejnym lądowisku, sąsiadującym z następnymi wieżowcami. Palpatine zaprowadził ich do swoich apartamentów, których część przygotowano na przyjęcie królowej z orszakiem. Anakinowi i Jar Jarowi przydzielono wspólny pokój i zostawiono ich samym sobie, żeby zdążyli się odświeżyć. Po pewnym czasie przyszła po nich służąca królowej – Anakin z przykrością odnotował, że nie była nią Padmé – i znaleźli się w poczekalni przed gabinetem Palpatinea. – Zaczekajcie tutaj – poleciła im dworka i wróciła do apartamentów.

Drzwi do gabinetu stały otworem, toteż młody Skywalker i Gunganin mogli swobodnie zajrzeć do wnętrza. Królowa już tam była, odziana w suknię z purpurowego aksamitu z długimi, obszernymi rękawami, zwieszającymi się z jej smukłych ramion. Jej głowę ozdabiała przypominająca wachlarz korona, zdobiona koralikami i wisiorami. Amidala siedziała przed Palpatinem, który coś jej tłumaczył, z boku zaś stały dworki, jak zwykle w płaszczach i z opuszczonymi kapturami. Anakin miał wrażenie, że żadna z dziewcząt nie jest Padmé i zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby jej poszukać, ale dał sobie z tym spokój: nie miał pojęcia, gdzie mogła przebywać.

Spotkanie, które z Jar Jarem obserwowali, miało raczej jednostronny przebieg: Palpatine chodził po pokoju, gestykulował z ożywieniem i cały czas mówił, królowa natomiast siedziała sztywna i niewzruszona. Anakin żałował, że nie słyszy słów senatora, a

zerknąwszy na Jar Jara doszedł do wniosku, że Gunganin myśli dokładnie tak samo.

Kiedy więc kapitan Panaka przeszedł obok nich, kierując się do gabinetu, i zasłonił na moment wejście do pokoju, Skywalker bez namysłu zerwał się z krzesła. Na migi dał Jar Jarowi znać, żeby się nie ruszał, po czym przyłożył ostrzegawczo palec do ust i stanął pod ścianą, tuż obok drzwi. Przez szparę udało mu się posłyszeć stłumione głosy Palpatine'a i królowej.

Senator zatrzymał się na wprost jej fotela i pokręcił głową.

– Republika nie jest już taka, jak niegdyś – powiedział. W Senacie nie brakuje chciwych, kłótliwych delegatów, którzy dbają wyłącznie o interes własny i ojczystego układu gwiazdowego. Wspólne dobro nikogo już nie interesuje; wszyscy zapomnieli o kulturze i została tylko polityka. – Palpatine westchnął. – To wstrętne, ale muszę być z Waszą Wysokością szczery: niewielka jest szansa, żeby Senat zdobył się na zdecydowaną reakcję w obliczu napaści na Naboo. Amidala nie od razu mu odpowiedziała.

– Wydaje mi się, że kanclerz Valorum jest dobrej myśli.

– Za pozwoleniem Waszej Wysokości – wtrącił Palpatine grzecznie, choć nie kryjąc smutku – kanclerz nie ma faktycznej władzy. Pogrzyżyły go bezpodstawne oskarżenia o korupcję i otacza go sfingowana aura skandalu. Wszystkim rządzą biurokraci.

Królowa wstała i stanęła przed nim dumnie. – Co więc nam pozostaje, senatorze?

Palpatine przez chwilę ważył odpowiedź w myślach, po czym odparł:

– Najlepszym wyjściem byłoby przeforsowanie wyborów nowego kanclerza, kogoś, kto zapanowałby nad biurokracją, wymusił egzekucję obowiązującego prawa i pozwolił nam dochodzić sprawiedliwości. – Odgarnął z czoła włosy i zamyślił się głęboko. – Mogłabyś, pani, zgłosić wotum nieufności dla kanclerza Valoruma.

Amidala nie wyglądała na przekonaną o racji senatora.

– Valorum zawsze udzielał nam szczerego poparcia. Czy nie ma innego sposobu?

– Moglibyśmy przekazać sprawę do sądu...

– Nie ma na to czasu – ucięła królowa ostro. – W sądzie decyzje zapadają jeszcze wolniej, niż na forum Senatu. Każdego dnia nasi ludzie umierają. Musimy działać, i to szybko; musimy powstrzymać Federację Handlową, zanim sytuacja ulegnie dalszemu pogorszeniu. Palpatine popatrzył na nią surowo.

– Jestem w tej kwestii realistą, Wasza Wysokość, i uważam, że przyjdzie nam pogodzić się z obecnością Federacji jako faktem dokonany... Przynajmniej na razie.

Królowa wolno pokręciła głową. – To nie do przyjęcia, senatorze.

Zapadła cisza, w której Amidala i Palpatine mierzyli się wzrokiem. Anakin zaczął tymczasem zastanawiać się, gdzie się podział Qui-Gon Jinn.

W przeciwieństwie, do większości budynków na Coruscant, Świątynia Jedi stała samotnie: olbrzymia piramida z mnóstwem strzelających w niebo iglic, znajdowała się na końcu szerokiej alei, z dala od bardziej masywnych i ostrzej zarysowanych wież miasta, gdzie trudniej byłoby znaleźć odosobnienie i oddać się medytacjom. Była domem dla rycerzy Jedi i ich uczniów; w jej komnatach poznawali Moc, zgłębiali jej wymogi, opanowywali jej możliwości i uczyli się służyć dobru, które reprezentowała.

Komnata Rady Jedi zajmowała niemal całą centralną część kompleksu.

Rada właśnie zebrała się na posiedzeniu za zamkniętymi drzwiami, dopuszczając do udziału w obradach zaledwie czternastu rycerzy.

Dwanaścioro z nich było stałymi członkami Rady. Przybyli z najdalszych zakątków galaktyki, by zgłębiać sztukę Jedi. Pozostali dwaj zaś byli tego wieczora gośćmi. Nazywali się Qui-Gon Jinn i Obi-Wan Kenobi. Fotele członków Rady tworzyły krąg, pośrodku którego stali Qui-Gon i Obi-Wan. Starszy z rycerzy relacjonował właśnie wydarzenia ostatnich tygodni, Kenobi zaś trzymał się nieco z tyłu i słuchał go uważnie. Zwieńczona wysoką, wspartą na smukłych filarach kopułą sala miała kształt koła. Ogromne okna wychodziły na

miasto i wpuszczały mnóstwo światła. Zarówno kształt pomieszczenia, jak i rozmieszczenie miejsc członków Rady, wyrażało wiarę w równość i przenikanie się wszystkich rzeczy. W świecie Jedi równowaga życia w Mocy stanowiła ścieżkę, wiodącą do zrozumienia i pokoju. Przemawiając, Qui-Gon obserwował bacznie twarze zgromadzonych. Znał tu wszystkich; większość z nich stanowili mistrzowie Jedi, tak jak i on sam. Najwyżsi rangą byli Yoda i Mace Windu, którzy zgłębili takie tajniki Mocy, jakich on zapewne nigdy nie zdoła poznać.

Qui-Gon Jinn stał w samym środku wyłożonej mozaiką, okrągłej mównicy. Jego wysoka sylwetka i głęboki głos absorbowwały bez reszty uwagę zebranych, kiedy przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą, bezustannie usiłując przewidzieć reakcję na jego słowa. Wszyscy śledzili go wzrokiem: dostojny Ki-Adi-Mundi, młoda i piękna Adi Gallia, smukły Depa Billaba, pomarszczony, blady Even Piell i pozostali – każdy z członków Rady był inny, każdy wносił do niej własny bezcenny wkład.

Qui-Gon wrócił oczyma do Yody i Mace Windu – tych, których przede wszystkim musiał przekonać, ponieważ cieszyli się największym szacunkiem zgromadzonych.

– Uważam więc, że napastnikiem, który zaatakował mnie na Tatooine, jest jeden z Sithów – rzekł na zakończenie.

Zapadła niemal namacalna cisza. Dopiero po chwili zaszeleściły szaty, wymieniono pierwsze spojrzenia, rozległy się pełne niedowierzania pomruki. – Sith? – powtórzył basowym głosem Mace Windu, potężnie zbudowany, śniadoskóry mężczyzna o łysej czaszce i przenikliwym spojrzeniu. Na jego niemłodej już twarzy nie było ani jednej zmarszczki.

– To niemożliwe! – wybuchnął Ki-Adi-Mundi, nie kryjąc przerażenia. – Sithowie zniknęli ze sceny tysiąc lat temu!

Drobny, pomarszczony Yoda poruszył się lekko w fotelu.

Niepozornie się prezentował w towarzystwie znacznie większych istot.

Przymknął oczy niczym najedzony dziki kot i zwrócił się do Qui-Gona: – Zagrożona jest Republika, jeśli Sithowie maczają w tym palce

– zauważył chrapliwie.

Znów rozległy się pomruki i Qui-Gon postanowił je przeczekać w milczeniu. Sądził, że udało im się unicestwić Sithów, że zgubiła ich własna żądza władzy. Czuł, że za jego plecami Obi-Wan niespokojnie przestępuje z nogi na nogę i z najwyższym trudem powstrzymuje się od mówienia. Mace Windu z marsem na czole odchylił się na oparcie fotela. – Trudno nam się z tym pogodzić, Qui-Gonie – powiedział.

– Nie rozumiem, jak Sithowie mieliby się odrodzić bez naszej wiedzy.

– Trudna do przeniknięcia Ciemna Strona jest – oznajmił Yoda z cichym prychnięciem. – Odkryć kto napastnikiem był musimy. – Być może znów się odsłonił, podsunął Ki-Adi-Mundi i skinął Qui-Gonowi głową.

– To prawda – przytaknął Mace Windu. – Ten atak wymierzono w konkretny cel, co do tego nie ma wątpliwości. Chodziło o królową, a ponieważ raz mu się nie udało, spróbuje ponownie.

Yoda wycelował kościstą rękę w Qui-Gona.

– Przy królowej Naboo pozostać powinieneś, Qui-Gonie rzekł. – Strzec jej musisz.

Pozostali wyrazili półgłosem swoją aprobatę dla decyzji Yody, nie kryjąc się z zaufaniem, jakie w nim pokładali. Qui-Gon wciąż milczał. – Dołożymy wszelkich starań, by rozwikłać tę zagadkę i odkryć tożsamość napastnika – dodał Mace Windu i podniósł rękę – Niech Moc będzie z tobą, Qui-Gon Jinnie. – Niech Moc będzie z tobą – zawtórował mu Yoda.

Obi-Wan odwrócił się ku wyjściu, ale zatrzymał się słysząc, że Qui-Gon nie idzie za nim. Wstrzymał oddech; wiedział, co teraz nastąpi. Yoda przekrzywił ciekawie głowę – Coś do powiedzenia masz jeszcze, Qui-Gon Jinnie?

– Za pozwoleniem, mistrzu... – Jedi popatrzył mu w oczy. – Podczas tej podróży natknąłem się na koncentrację Mocy.

Oczy Yody rozszerzyły się lekko. – Koncentrację, powiadasz?

– Czy jej źródłem był żywy organizm? – wtrącił szybko Mace Windu. – Chłopiec. – Qui-Gon pokiwał głową. – W jego krwi stwierdzono najwyższy poziom midichlorianów, o jakim kiedykolwiek

słyszałem u żywej istoty. Możliwe, że został poczęty bezpośrednio przez midichloriany.

Tym razem cisza, która zapadła, zdradzała kompletne zaskoczenie. Qui-Gon Jinn sugerował, że zdarzyła się rzecz niemożliwa, że chłopiec nie był owocem kontaktu dwojga ludzi, lecz tworem esencji wszelkiego życia, esencji Mocy – midichlorianów. To one bowiem zawierały i przenosiły zbiorową świadomość i inteligencję, tworząc połączenie między żywymi istotami i Mocą. Rada Jedi niepokoiła się jednak czymś więcej: wszyscy znali prorocstwo, którego źródła zginęły w pomroce dziejów, a które przepowiadało nadejście wybrańca. W jego krwi miało wystąpić niewiarygodne stężenie midichlorianów, jego przeznaczeniem zaś było na zawsze odmienić oblicze Mocy. Wreszcie Mace Windu przemówił, artykułując nurtujące wszystkich wątpliwości:

– Chodzi ci o przepowiednię, zwiastującą nadejście tego, który wprowadzi w mocy równowagę. Sądzisz, że to właśnie ten chłopiec. Qui-Gon się zawahał. – Nie przypuszczam...

– Właśnie że tak! – przerwał mu nagle Yoda. – Ujawniona twoja opinia została, Qui-Gonie!

Qui-Gon wziął głęboki wdech – Chcę, żeby poddano go próbie.

Ponownie w sali zapanowało milczenie, gdy członkowie Rady porozumiewali się bez słów, aż wreszcie wszystkie oczy zwróciły się na Qui-Gona. – Szkolenia Jedi dla niego chcesz? – upewnił się cicho Yoda.

– Znalazłem go z woli Mocy – nalegał Qui-Gon nie bacząc na konsekwencje. – To nie ulega wątpliwości; za dużo się wydarzyło, żeby mogło być inaczej!

Mace Windu podniósł dłoń i zamknął posiedzenie Rady. – Zatem przyprowadź go do nas – rzekł.

Yoda pokiwał głową i przymknął oczy.

– Poddany próbie zostanie.



– Czas na nas, Wasza Wysokość – rzekł senator Palpatine, zgarnąwszy z biurka stosik kart z danymi.

Amidala wstała, a Anakin pędem wrócił na miejsce obok Jar Jara, posyłając mu na wszelki wypadek jeszcze jedno ostrzegawcze spojrzenie. Gunganin poczuł się urażony.

– Moja nic nie mówić – zaprotestował.

W chwilę potem Palpatine, królowa i jej dworki wyszli z gabinetu i przeszli przez korytarz. Senator nie zaszczycił Anakina i Jar Jara ani jednym spojrzeniem i w mgnieniu oka zniknął za drzwiami, natomiast królowa ledwie zauważalnie zwolniła przy nich.

– Chodźcie z nami – zaproponowała szeptem spod kaptura Rabe. – Nie będziecie musieli podsłuchiwać pod drzwiami.

Anakin z Jar Jarem wymienili zaszokowane, zawstydzone spojrzenia, a potem wstali i ruszyli w ślad za królową.

ROZDZIAŁ

17

Królowa w towarzystwie służących wróciła do apartamentów, by ponownie się przebrać; pozostali musieli poczekać pod drzwiami. Tym razem Amidala chciała podkreślić strojem, że jest prawowitą władczynią Naboo: założyła wywątowany na ramionach płaszcz ze szkarłatnego aksamitu, oblamowany złotą koronką oraz koronę z materiału, z wykutą ze szczerzego złota płytką pośrodku. Zarówno suknia, jak i korona przydały jej majestatu, toteż gdy mijała oszołomionych Anakina i Jar Jara, przywodziła na myśl niebiańską istotę, która zeszła z chmur, by poobcować ze śmiertelnikami – wyniosła, nietykalna i niewiarygodnie piękna.

Wraz z nią zjawily się Eirtae i Rabe, które od przybycia na Coruscant nie odstępowały jej ani na krok. W milczeniu szły za Amidalą, Anakin zaś na próżno rozglądał się w poszukiwaniu Padmé.

– Niech pan prowadzi, senatorze – zwróciła się królowa do Palpatine’a i gestem zaprosiła Anakina, Jar Jara i Panakę, by jej towarzyszyli. Opuściwszy senatorskie apartamenty przemierzali liczne korytarze i komnaty, trafiając wreszcie do innego budynku. Mijane po drodze pomieszczenia były praktycznie puste, jeśli nie liczyć spotykanych od czasu do czasu strażników, toteż nikt nie zatrzymywał małego orszaku. Anakin zerkał ukradkiem na odległe sklepienia, wysokie okna i widoczne przez nie mrowie budowli. Zastanawiał się, jak musi wyglądać życie codzienne w takim miejscu, jak Coruscant.

Kiedy znaleźli się w sali Senatu, zyskał nowe powody do

rozmyślań.

Komnata przypominała okrągłą, masywną arenę z mnóstwem drzwi na różnych poziomach, w miejscach, gdzie kończyły się rampy prowadzące do łóż. W środku, na szczycie wysmukłej kolumny, znajdowała się platforma Wielkiego Kanclerza, na wprost osłonięta przed oczyma zebranych, na której obecny już w sali Valorum zasiadał w asyście wicekanclerza i pomocników. Wszędzie dookoła z gładkich ścian areny sterczały łoże senatorów: jedne tkwiły nieruchomo w miejscu, mocno zakotwiczone, a ich lokatorzy konferowali zapewne z asystentami i gośćmi, inne zaś unosiły się swobodnie w powietrzu tuż obok wejść. Kiedy senatorowi udzielono głosu, podpływał w łoże na środek pomieszczenia, zatrzymywał się obok kanclerskiej platformy i stamtąd wygłaszał mowę.

Anakin ogarnął to wszystko jednym spojrzeniem, odprowadzając wzrokiem Amidalę i Palpatine'a, którzy udali się do zacumowanej w uchwytnych łożach senatora Naboo. Z kopulastego sufitu zwieszały się proporce i zasłony, niczym kolorowe serpentyny, oświetlane rozproszonym blaskiem, który dobiegał ze wszystkich stron pomieszczenia. Androidy uwijały się po rampach przenosząc wiadomości od jednej delegacji do drugiej; ich ruchliwe, metalowe ciała upodabniały salę do wnętrza złożonego mechanizmu.

– Wasza Wysokość – mówił Palpatine cicho, pochyliwszy głowę ku Amidali – jeżeli Federacja zażąda oddalenia naszego wniosku, proszę, byś wystąpiła o zamknięcie sesji Senatu i wybór nowego Wielkiego Kanclerza. Amidala odpowiedziała nie odwracając się do niego:

– Żałuję, ale nie podzielam pańskiej wiary w skuteczność tego posunięcia, senatorze.

– Należy doprowadzić do nowych wyborów – upierał się Palpatine. – Mogę zapewnić Waszą Wysokość, że wielu senatorów chętnie nas poprze. – Zerknął w stronę zajmowanego przez Valoruma podwyższenia. – To nasza jedyna szansa.

Wśród zebranych rozległ się głośniejszy szmer, gdy u wejścia do łoż Naboo dostrzegli Amidalę w królewskich szatach i w koronie. Jeżeli nawet słyszała zmianę tonu prowadzonych wokół niej rozmów, nie dała nic po sobie poznać. Spojrzała na Palpatinea.

– Naprawdę nie wierzy pan, że kanclerz Valorum podda nasz wniosek pod głosowanie? – spytała cicho.

Zatroskany Palpatine pokręcił głową.

– Nie ma do tego głowy. Boi się; nie pomoże nam.

Rabe podała Anakinowi mały monitorem i dała im znać, że powinni się zatrzymać. W loży znaleźli się więc Palpatine, Amidala, jej dworki i kapitan Panaka. Anakin był rozczarowany, ale ucieszył się widząc, że na ekranie może śledzić przebieg rozmów w loży.

– Królowa poprosi Senat o pomoc, Jar Jarze – wyszeptał podniecony. – Co ty na to?

Gungan zmarszczył dziobaty pyszczek i pokręcił głową, aż uszy mu zatrzepotały.

– Moja być złej myśli, Annie. Za dużo ludzi, żeby oni się zgodzić na jedna rzecz.

Loża odłączyła się od zaczepów i podleciała nieco bliżej kanclerskiej platformy, oczekując zezwolenia na dalszy lot. Palpatine, Amidala i towarzyszący im Naboo zasiedli w fotelach. Valorum skinieniem głowy dał znak Palpatine'owi.

– Udzielam głosu senatorowi suwerennego układu Naboo – oznajmił.

Loża sfrunęła na środek areny. Palpatine wstał i ogarnął wzrokiem zgromadzenie, skupiając na sobie uwagę wszystkich.

– Wielki Kanclerzu, delegaci Senatu – zagrzmiął. Szmery ucichły. – Na mojej ojczystej planecie, Naboo, wydarzyła się tragedia. Zostaliśmy wciągnięci w konflikt, o którym wszyscy państwo wiecie. To, co zaczęło się od opodatkowania szlaków handlowych, przeobraziło się w bezprawną okupację pokojowo nastawionej planety. Federacja Handlowa ponosi pełną odpowiedzialność za krzywdę wyrządzoną Naboo i powinna udzielić wyjaśnień... Druga loża, opatrzona znakami Federacji Handlowej, zmierzała właśnie ku środkowi sali. Miejsca w niej zajmowali Lott Dod – senator z ramienia Federacji – oraz towarzyszący mu baronowie.

– To bzdura! – Lott Dod zerwał się z miejsca i wymachiwał rękami. Chudy i pomarszczony, przypominał chylące się pod smagnięciami wiatru drzewo. – Zgłaszam sprzeciw wobec insynuacji

senatora Palpatine'a i żądam odebrania mu głosu!

Valorum rzucił szybkie spojrzenie w jego kierunku i podniósł rękę.

– Nie udzielam w tej chwili głosu senatorowi Federacji Handlowej – rzekł spokojnie. – Proszę wrócić na miejsce.

Lott Dod chciał chyba jeszcze coś powiedzieć, ale usiadł bez słowa, gdy łoża wolno się cofnęła.

– W celu pełnego przedstawienia naszych racji – ciągnął Palpatine – przedstawiam państwu królową Amidalę, niedawno obraną władczynię Naboo, która przemówi w naszym imieniu.

Odsunął się na bok, Amidala zaś wstała z fotela. Jej pojawieniu się towarzyszyły skąpe oklaski, gdy podeszła do skraju łoży i zwróciła się do Valorum:

– Szanowni przedstawiciele Republiki, dostojni delegaci, panie kanclerzu, przybywam do was w wyjątkowo trudnej sytuacji. Pogwałcono prawa Republiki: Naboo została najechana przez armię robotów Federacji Handlowej... – Lott Dod nie mógł spokojnie usiedzieć na miejscu.

– Sprzeciw! – wykrzyknął. – To nonsens! A gdzie dowody?!

– I nie czekając na udzielenie głosu zwrócił się do wszystkich zgromadzonych: – Proponuję wysłanie komisji senackiej, która uda się na Naboo w celu zbadania prawdziwości tych oskarżeń.

Valorum pokręcił głową. – Sprzeciw oddalony.

Senator Federacji westchnął ciężko i wznosił bezradnie ręce, jakby dwa słowa kanclerza odebrały mu wszelką nadzieję w życiu. – Panie kanclerzu, nie może skazywać nas pan na potępienie, nie godząc się na wysłanie obserwatorów – powiedział. – To wbrew wszelkim procedurom!

Popatrzył po sali, czy ktoś udzieli mu poparcia. Odpowiedział mu pełen aprobaty pomruk i trzecia łoża przysunęła się do dwóch kołyszących się już przed kanclerzem. Valorum udzielił głosu Aksowi Moe, senatorowi Malastare. Krępy, powolny, wstał i oparł ciężkie łapy na biodrach. Trzy zakończone oczami wypustki falowały łagodnie.

– Senator Malastare zgadza się z szanownym delegatem Federacji Handlowej – zabrzmiał jego niski głos. – Jeżeli w sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, zażądano powołania komisji, należy to uczynić. Tak

stanowi prawo. Valorum się zawahał.

– Kłopot w tym... – Kanclerz zawiesił niepewnie głos i odwrócił, żeby skonsultować się z zastępcą, który, jak wynikało ze spisu delegatów, nazywał się Mas Amedda.

Anakin nigdy nie widział takiej istoty, jak Amedda: z wyglądu bardzo przypominała człowieka z ogromną głową Nadmiar miękkiej tkanki przechodził w parę opadających na ramiona macek oraz w sterczące nad czołem czułki. Rozgorzała dyskusja; Anakin i Jar Jar wymienili smętne spojrzenia, gdy z głośniczka przy monitorze dobiegł ich głos Palpatine'a:

– Oto pole do popisu dla biurokratów, prawdziwych władców Republiki, którzy w dodatku chodzą na smyczy Federacji szeptał senator do ucha królowej. Anakin widział, że pochyłili się ku sobie. – Tak oto ulotni się siła kanclerza.

Zasepiony Valorum tymczasem wrócił na podwyższenie.

– Doszliśmy do porozumienia: w tym wypadku priorytet ma paragraf 523A. – Skinął głową w stronę łoży Naboo. – Pani Amidalo, królowo Naboo, czy wycofa pani swój wniosek, w celu umożliwienia komisji senackiej zbadania zasadności oskarżeń?

Anakin patrzył, jak królowa sztywnieje z zaskoczenia. Kiedy przemówiła, z jej głosu przebijała złość i determinacja:

– Nie wycofam wniosku. Przybyłam tu, aby stanąć przed panem, kanclerzu, i usłyszeć decyzję rozstrzygającą konflikt. Nie po to wybrano mnie na królową, żebym patrzyła, jak mój lud cierpi i umiera, podczas gdy senacka komisja dyskutuje o inwazji. Jeżeli kanclerz nie jest w stanie podjąć stosownych działań; może czas zastanowić się nad wyborem nowego przywódcy Senatu. – Na chwilę zawiesiła głos. – Zgłaszam wniosek o uchwalenie wotum nieufności dla Wielkiego Kanclerza.

Natychmiast odpowiedziały jej dziesiątki głosów – niektóre wyrażały poparcie, inne sprzeciw; senatorowie i obserwatorzy zerwali się z miejsc, a pomruki szybko przerodziły się w gniewne okrzyki, dudniące echem pod kopułą sali. Oszołomiony Valorum stał i patrzył na Amidalę, jakby nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Królowa wytrzymała jego spojrzenie. Mas Amedda wyszedł przed kanclerza.

– Cisza! – krzyknął i pokiwał rozrośniętą głową – Proszę o ciszę!

Zgromadzeni umilkli i wrócili na miejsca. Anakin zauważył, że łoża Federacji Handlowej znalazła się tuż obok łoży zajmowanej przez delegację Naboo. Lott Dod i Palpatine spojrzeli po sobie, żaden się jednak nie odezwał. Tymczasem na środku sali pojawiła się inna łoża. Wicekanclerz udzielił głosu Edcelowi Bar Ganowi, senatorowi z Roony.

– Roona popiera wniosek o uchwalenie wotum nieufności wobec kanclerza Valoruma – zasyczał Bar Gan.

Mas Amedda był wyraźnie niezadowolony z takiego obrotu sprawy.

– Wniosek został poparty – ogłosił niechętnie, odwrócił się do Valoruma i osłoniwszy usta dłonią zaczął mu coś pospiesznie tłumaczyć. Kanclerz spojrzął na niego nieobecny wzrokiem. – Nie można zwlekać z procedurą – zagrział Aks Moe, czym zwrócił na siebie uwagę Mas Ameddy. – Zgłoszony wniosek powinien zostać natychmiast przegłosowany. Lott Dod ponownie zerwał się na równe nogi.

– Proponuję, żeby wniosek przesłać do komisji proceduralnej, która dokładnie go przestudiuje i wyda opinię...

Tym razem zagłuszył go chór wielu głosów:

– Gło-so-wa-nie! Gło-so-wa-nie!

Mas Amedda oparł dłonie na ramionach Valoruma, jakby siłą woli chciał go ściągnąć z powrotem z odległych krain, po których błędził umysł kanclerza. Cały czas coś mu wyjaśniał.

– Jak Wasza Wysokość widzi... – Anakin usłyszał głos Palpatine'a i przeniósł wzrok na ekran. – Poprą nas. Zapewniam cię, pani, że Valorum zostanie odwołany, na jego miejsce zaś wybierzemy nowego, silnego kanclerza, który nie dopuści do tego, by Senat zignorował tragedię Naboo...

Mas Amedda wrócił na podwyższenie i przemówił: – Wielki Kanclerz prosi o przerwę.

W całej sali rozległy się gniewne krzyki. Valorum bez słowa patrzył na Palpatine'a i Amidalę. Nawet stojąc przy drzwiach łoża Naboo Anakin widział wyraz jego twarzy: Wielki Kanclerz wyglądał,

jakby go zdradzono.

Niespełna godzinę później młody Skywalker wpadł przez otwarte drzwi do przedsiionka apartamentów królowej w poszukiwaniu Padmé, lecz zamiast niej stanął twarzą w twarz z Amidalą. Królowa stała pośrodku komnaty i patrzyła wprost na niego, promienna i samotna.

– Przepraszam – bąknął Anakin. – Wasza Wysokość. Skinęła bez słowa głową. Miała idealnie zarysowaną, białą twarz. – Szukam Padmé – wyjaśnił chłopiec. Stał jak wrośnięty w ziemię tuż za progiem, nie bardzo wiedząc, czy powinien wyjść, czy zostać. Rozejrzał się niepewnie. – Qui-Gon mówił, że weźmie mnie na spotkanie z Radą Jedi. Chciałem, żeby Padmé o tym wiedziała. Uśmiech przemknął przez oblicze Jej Wysokości.

– Padmé tu nie ma, Anakinie. Wysłałam ją, żeby coś dla mnie zrobiła.

– Ach...

– Ale przekażę jej wiadomość od ciebie.

Chłopiec uśmiechnął się radośnie.

– Może zostanę rycerzem Jedi! – wykrzyknął podekscytowany.

– Może tak. – Amidala skinęła głową.

– Padmé by się to chyba podobało.

– Ja też tak sądzę.

Anakin zaczął się Wycofywać.

– Nie chciałem... – urwał, nie mogąc znaleźć właściwego słowa.

– Powodzenia, Anakinie – rzekła królowa.

Młody Skywalker okręcił się na pięcie i wybiegł z komnaty.

Qui-Gonowi i Obi-Wanowi dzień minął szybko. Zachód słońca zastał ich na tarasie Świątyni Jedi, z którego rozciągał się wspaniały widok na Coruscant. Od dłuższego czasu żaden się nie odezwał. Kiedy Anakin wrócił z obrad Senatu, zabrali go z apartamentów Palpatine'a i zaprowadzili przed oblicze Rady; teraz zaś pozostało im tylko czekać na jej decyzję. Obi-Wana niespecjalnie zresztą ta decyzja

interesowała. Młody Jedi wstydział się za swojego mistrza, który wyraźnie kolejny raz przekroczył przyjęte ograniczenia. Owszem, Qui-Gon nie mylił się twierdząc, że we krwi chłopca poziom midichlorianów jest niezwykle wysoki – Obi-Wan sam przecież przeprowadził test. Jednakże z tego faktu nie wynikało jeszcze, że Anakin jest zapowiadany w prorocत्वach wybrańcem; Kenobi wątpił, czy ktoś taki w ogóle istniał. Stare przepowiedni i legendy, przekazywane z pokolenia na pokolenie jako dziedzictwo Jedi, liczyły się na setki. Tak czy inaczej, Qui-Gon znów opierał się głównie na własnych przeczuciach, te zaś liczyły się tylko wówczas, gdy wypływały z Mocy, a nie z emocji. Qui-Gon miał w zwyczaju stawać w obronie wszystkich stworzeń, które na swój własny, niewyjaśniony i zrozumiały tylko dla niego samego sposób uznał za znaczące dla ogólnego obrazu rzeczy.

Obi-Wan ukradkiem obserwował mistrza. Dlaczego tak się, upierał i bronił przegranych spraw? Rada stwierdzi zapewne, że chłopiec faktycznie ma w organizmie więcej midichlorianów niż przeciętny człowiek, ale z pewnością nie zgodzą się, by rozpoczął szkolenie Jedi. Reguły rządzące dopuszczeniem do szkolenia zostały dawno temu jasno określone, natomiast przyczyny, dla których je ustanowiono, były nie do podważenia: szkolenie rozpoczęte później niż w rok po narodzinach dziecka nie miało szans powodzenia. Mając lat dziewięć Anakin Skywalker był zwyczajnie za stary.

Ale Qui-Gon łatwo nie ustępował. Jeszcze raz stanie przed Radą – i znowu, jak tyle razy przedtem, przegra: starszyzna odmówi mu racji i jego pozycja jako mistrza Jedi ulegnie dalszemu obniżeniu.

Obi-Wan podszedł do niego i jeszcze chwilę odczekał w milczeniu, zanim zdecydował się przemówić:

– Chłopiec nie przejdzie próby przed Radą, mistrzu. Dobrze o tym wiesz. Jest za duży.

Qui-Gon, ze wzrokiem utkwionym w zachodni horyzont, odparł: – Anakin zostanie rycerzem Jedi. Obiecuję ci to.

Kenobi westchnął ciężko.

– Nie sprzeciwiaj się Radzie, mistrzu. Nie rób tego ponownie. Starszy mężczyzna znieruchomiał zupełnie; mogłoby się nawet

zdawać, że przestał oddychać, gdy odwrócił się do swego ucznia.

– Zrobię to, co muszę, Obi-Wanie. Chciałbyś, żebym postąpił inaczej? – Mistrzu, gdybyś przestrzegał kodeksu, dziś zasiadałbyś w Radzie. Zasłużyłeś na to. – Rozczarowanie Obi-Wana na moment dało o sobie znać pod postacią złości. Spojrzał Qui-Gonowi w oczy. – Nie poprą cię. Qui-Gon Jinn odpowiedział mu uśmiechem. – Wiele jeszcze musisz się nauczyć, młody padawanie.

Obi-Wan zacisnął usta, przełknął przygotowaną odpowiedź i odwrócił wzrok. Mistrz miał rację, ale chyba tym razem powinien posłuchać własnej rady.

Anakin stanął przed Radą Jedi. Zajął miejsce pośrodku tego samego kręgu, z którego kilka godzin wcześniej przemawiał Qui-Gon Jinn. Został sam z dwunastką członków Rady. Otoczony milczącymi mędrkami, wystraszony, niepewny, czego się od niego i oczekuje, czuł się bardzo słaby i odsłonięty Jedi zdawali się patrzeć gdzieś w dal, nie na chłopca, on jednak czuł, że przewiercają go wzrokiem na wylot.

Później zaczęli go wypytywać, nie bawiąc się w zbędne wstępy czy prezentacje, nie próbując umilić mu atmosfery czy odczuć, że jest mile widzianym gościem. Niektórych znał z nazwiska, ponieważ Qui-Gon opisał mu ich wcześniej, a Anakin łatwo dopasował twarze do nazwisk. Zadawali mu mnóstwo pytań, sprawdzali jego wiedzę i pamięć, szukając wskazówek, których istnienia mógł się tylko domyślać. Wiedzieli, że był niewolnikiem; znali jego dzieje na Tatooine, wiedzieli o matce, przyjaciółach, wyścigach, Watto – o wszystkim, co wydarzyło się w jego życiu i miało jakiegokolwiek znaczenie. Teraz zaś Mace Windu spojrział na zasłonięty przed wzrokiem chłopca ekran i kazał chłopcu, nazywać obrazy, które się na nim pojawiały. Obrazy rozbłyskiwały też w umyśle Anakina, z taką szybkością, że przypominała mu się rozmazana pustynia, widziana z mknącego pełnym pędem ścigacza. – Banth. Hipernapęd. Miotacz protonowy. – Obrazy pędziły jak oszalałe. – Krążownik Republiki. Rodiański kielich. Śmigacz Huttów. Ekran poczerniał. Mace podniósł wzrok na chłopca.

– Dobrze, całkiem dobrze, chłopcze – pochwalił go zasuszony obcy imieniem Yoda i posłał mu spojrzenie przymkniętych, jakby wiecznie zaspanych oczu. – Jak czujesz się?

– Zimno mi, proszę pana – przyznał Anakin.

– Przestraszony jesteś? Skywalker pokręcił głową. – Nie, proszę pana. – Boisz się porzucić dotychczasowe życie? – wtrącił śniady Mace Windu, pochyliwszy się lekko.

– Chyba nie – odrzekł Anakin i się zawahał. Coś mu w tej odpowiedzi nie pasowało.

Yoda mrugnął i nastroszył spiczaste uszy.

– Patrzyć w głąb ciebie umiemy – rzekł cicho.

– Pamiętaj o swoich uczuciach – powiedział Mace.

Starzec imieniem Ki-Adi-Mundi pogładził brodę. – Wciąż myślisz o matce.

Żołądek podszedł Anakinowi do gardła. Chłopiec przygryzł wargę. – Tęsknię za nią.

Yoda popatrzył po innych członkach Rady. – Stracić się ją boisz. Anakin się zarumienił.

– A co to ma do rzeczy? – zapytał bojaźliwie. Yoda znów spojrzał wprost na niego.

– Wszystko. Na Ciemną Stronę strach prowadzi. Do gniewu i nienawiści. Do cierpienia.

– Ale ja się nie boję! – rzucił rozdrażniony Anakin, chcąc jak najprędzej zakończyć tę dyskusję.

– Najgłębsze zaangażowanie Jedi wykazać musi. – Yoda zdawał się go nie słyszeć. – Spokojny umysł. Dużo strachu w tobie czuję, młody człowieku. Anakin odetchnął głęboko, a kiedy się odezwał, jego głos był znowu spokojny: – Nie boję się.

– W takim razie kontynuować będziemy – oznajmił Yoda po chwili i posypały się dalsze pytania.

ROZDZIAŁ

18

Jar Jar Binks, Gunganin i królowa Amidala, przedstawicielka narodu Naboo stali ramię w ramię przy sięgającym od podłogi do sufitu oknie w apartamencie królowej na Coruscant. Dziwną tworzyli parę: majestatyczna, wyniosła królowa i niezgrabny, nerwowy Gunganin. Podziwiali zachód słońca, który malował niebo złotem, odbijającym się następnie w metalowych i szklanych powierzchniach budowli, na kształt nagłych eksplozji światła.

Przed kilkoma godzinami, wraz z Anakinem i dworkami Amidali wrócili z obrad Senatu Republiki – przede wszystkim dlatego, że nic już nie mogli zrobić, w żaden sposób wpłynąć na bieg wypadków decydujących o przyszłości Naboo. Palpatine został jeszcze, by naradzić się z innymi senatorami nad wyborem nowego kanclerza. Towarzyszył mu kapitan Panaka, którego królowa poprosiła, by jak najszybciej przyniósł jej ewentualne nowiny. Na razie ani jeden, ani drugi nie wrócili, a tymczasem zniknął także Anakin, którego Qui-Gon zabrał do Świątyni Jedi na spotkanie z Radą. Padmé również nie pojawiła się od dłuższego już czasu.

Jar Jar kręcił się więc niespokojnie po apartamentach Palpatine’a niczym zabłąkany kaadu, aż wreszcie Amidala ulitowała się nad nim i go przygarnęła. Po powrocie przebrała się w mniej oficjalny, czarny strój, który podkreślał drobną budowę jej ciała. Głowę przyozdobiła koroną w kształcie odwróconego półksiężyca, z którego złoty medalion zwieszał się jej na czoło, ale widać było, że jest dobre parę centymetrów niższa od Gunganina.

Nie ulegało wątpliwości, że cierpi; smutny wyraz jej utkwionych w dal oczu sprawiał, że Jar Jar miał ochotę ją pocieszyć. Gdyby miał do czynienia z Anakinem czy Padmé, wystarczyłoby pewnie pogłodzić go – lub ją – po głowie, nie zamierzał jednak spoufalać się z królową. Nie było w pobliżu gwardzistów, ale Eirtae i Rabe, jak zwykle czujne, stały przy drzwiach... Poza tym strażnicy kręcili się pewnie gdzieś w pobliżu. Jar Jar wielu rzeczy nie zauważał, wieloma się nie przejmował i w gruncie rzeczy umiał cieszyć się życiem w sposób dość przypadkowy, ale głupi nie był.

Wreszcie uznał, że nie zniesie dłużej takiej sytuacji. Zaszurał nogami, i odchrząknął, zwracając na siebie uwagę królowej. Odwróciła ku niemu białą twarz, ozdobioną czerwonymi plamkami na policzkach i tegoż koloru smugą na dolnej wardze. Jej oblicze przypominało twarz lalki – było równie nieruchome i pozbawione wyrazu.

– Moja zastanawiać się czasem, po co bogi wymyślić ból rzekł Gunganin ze współczuciem w głosie.

– Wydaje mi się, że ma być dla nas motywacją do działania.

– Myśleć, że twoi ludzie zginąć? – zapytał Jar Jar, ruszając dziobem na wszystkie strony, jakby chciał poczuć smak złowrogich słów.

Królowa po namyśle pokręciła przecząco głową. – Nie wiem, Jar Jarze.

– Gunganie też oberwać, prawda?

– Mam nadzieję, że nie.

Jar Jar wyprostował się, a w jego oczach zapłonął dumny ogień.

– Gunganie nie umierać bez walki! My wojownicy! Mieć wielka armia! – Macie armię? – W głosie królowej dała się słyszeć nuta zaskoczenia. – Wielką armię, mnóstwo Gungan! Przychodzić z całej Naboo. To dlatego żadne stwory z bagien nas nie ruszać: za dużo Gungan. Poza tym tarcze. Nic się nie przedostać, a my jeszcze mieć kule energii. My strzelać nimi z procy, a one bić prądem i mazią. Paskudztwo. Gunganie nie poddać się maszynom ani nikomu! – Zamilkł i wzruszył niezręcznie ramionami. – Może to dlatego Naboo nas nie lubić.

Królowa wpatrywała się w niego z natężeniem, nagle skupiona, jakby obracała w myślach jakiś nieoczekiwany, nowy pomysł. Chciała chyba coś powiedzieć, kiedy do komnaty szybkim krokiem weszli Palpatine i Panaka. Niespokojnie, szybko pokłonili się królowej.

– Wasza Wysokość – zaczął podekscytowany Panaka – zgłoszono kandydaturę senatora Palpatine na stanowisko Wielkiego Kanclerza!

Palpatine uśmiechnął się z zadowoleniem i szacunkiem.

– To rzeczywiście niespodzianka – przyznał – ale miła. Przyrzekam Waszej Wysokości, że jeżeli zostanie wybrany, przywrócę w Republice zasady demokracji. Skończę z korupcją w senacie, a Federacja Handlowa utraci wpływy wśród biurokratów. Nasz lud zostanie wyzwolony spod jarzma tyranów, którzy dokonali bezprawnej, okrutnej inwazji...

– Kto jeszcze uzyskał nominację? – przerwała mu zniecierpliwiona Amidala. – Bail Antilles z Alderaana i Aks Moe z Malastare – odrzekł Panaka, unikając spojrzenia Palpatine'a.

Senator szybko odzyskał mowę po wtręcie ze strony królowej: – Wasza Wysokość, nie ulega wątpliwości, że w obecnej naszej sytuacji możemy liczyć na szerokie poparcie w jutrzejszym głosowaniu. – Zawiesił znacząco głos. – Obiecuję ci, pani, że zostanę kanclerzem.

Wieść ta nie wywarła chyba na królowej szczególnego wrażenia. Minąwszy Jar Jara podeszła do okna i patrzyła na szybko zapalające się po zmroku światła.

– Boję się, senatorze, że zanim uzyska pan kontrolę nad biurokratami, z naszych miast, ludzi i sposobu życia nie zostanie już nic, co moglibyśmy ocalić.

Palpatine wyglądał na zaskoczonego.

– Rozumiem troskę Waszej Wysokości, ale, niestety, Federacja zamknęła już naszą planetę w swych szponach. Nie uda się tak od razu rozluźnić ich chwytu.

– Może i tak. – Amidala odwróciła się od okna i spojrzała senatorowi w twarz. W jej oczach płonął gniew i determinacja. – Dopóki jednak Senat znajduje się na etapie zmian, nic więcej tu nie wskóram. – Podeszła bliżej. – Senatorze, Coruscant to pańskie pole działania; ja muszę wracać na swoje. Moje miejsce jest wśród moich

poddanych. Udaję się na Naboo. – Wasza Wysokość wraca! – Tym razem Palpatine aż pobladł na twarzy. Panaka tylko Patrzył: to na senatora, to na królową. – Ależ proszę Waszą Wysokość o odrobinę rozsądku! Znajdziesz się, pani, w ogromnym niebezpieczeństwie! Zmuszą Waszą Wysokość do podpisania traktatu! Królowa była chłodna i opanowana jak zwykle.

– Nie podpiszę żadnego traktatu, a spotka mnie tylko taki los, jak innych Naboo. Kapitanie! – rzuciła pod adresem Panaki.

Kapitan gwardii stanął na baczność. – Słucham, Wasza Wysokość?

– Proszę przygotować statek. Palpatine stanął przed nią, chcąc ją powstrzymać.

– Proszę, niech Wasza Wysokość zostanie na Coruscant, gdzie jest bezpieczna.

– Żadne miejsce nie jest bezpieczne, dopóki Senat nie potępi inwazji. – Głos królowej zadźwięczał donośnie niczym szlachetna stal.

– Na własne oczy ujrzałam, że Republika nie jest w stanie funkcjonować. Jeżeli wygra pan wybory, senatorze, to wiem, że zrobi pan co w pańskiej mocy, żeby powstrzymać Federację.

Mam nadzieję, że uda się panu przywrócić Republice zdrowy rozsądek i zdolność współczucia.

Wyminęła Palpatine'a i tanecznym krokiem opuściła apartament. Panaka i dworki wyszli zaraz za nią, a Jar Jar Binks powłócząc nogami podążył ich śladem, starając się ze wszystkich sił nie zwracać na siebie uwagi. Pozwolił sobie tylko na szybkie zerknięcie na twarz Palpatine'a.

Jakież było jego zdumienie, gdy dostrzegł na niej przelotny uśmiech.

W Świątyni Jedi Qui-Gon Jinn, Obi-Wan Kenobi i Anakin Skywalker stanęli przed dwunastoosobową Radą. Ściśnięci na mównicy oczekiwali decyzji dwunastki w sprawie chłopca. Wpadające z zewnątrz światło dnia bladło, gdy zmierzch zmaływał barwy zachodu słońca. Nadciągała noc. – Chłopca sprawdziliśmy – rzekł cicho Yoda. Oczy miał przymrużone, uszy wystawił ciekawie do

przodu. – Rację miałeś, Qui-Gonie.

Mace Windu skinął potakująco głową, choć jego twarz pozostała bez wyrazu.

– Komórki jego ciała rzeczywiście zawierają bardzo dużo midichlorianów – rzekł, kładąc nacisk na słowo „bardzo”. – Moc jest w nim silna – zgodził się Ki-Adi-Mundi.

Na dźwięk ich słów Qui-Gon poczuł fale satysfakcji; nie mylił się, nalegając na uwolnienie chłopca i przywożąc go tutaj.

– W takim razie powinien przyjąć szkolenie – oznajmił triumfalnie. Zapadła niezręczna cisza; członkowie Rady spojrzeli po sobie.

– Nie – powiedział Mace Windu. – Nie odbędzie przeszkolenia. Na twarzy Anakina odmalowała się rozpacz, a w jego oczach błysnęły łzy, gdy podniósł wzrok na Qui-Gona.

– Nie? – powtórzył Jedi; prawie odebrało mu mowę. Usiłował zignorować wyraz twarzy Obi-Wana, bliski sakramentalnemu „a nie mówiłem?” Mace Windu pokiwał głową.

– Jest za duży. Zbyt wiele narosło w nim gniewu.

Qui-Gon był wściekły, ale zdołał nad sobą zapanować. Ta decyzja nie miała sensu; nie mógł pozwolić, by zachowano ją w mocy.

– Ale to on jest wybrańcem! – rzekł z przekonaniem. – Nie możecie tego nie dostrzec!

Yoda przechylił z namysłem głowę.

– Zasłonięta przyszłość chłopca jest. Maskuje młodość ją. Qui-Gon popatrzył po twarzach pozostałych Jedi, ale nie znalazł w nich zrozumienia. Wyprostował się i skinieniem głowy zaakceptował decyzję Rady. – Dobrze – powiedział. – W takim razie sam będę go szkolił.

Biorę Anakina Skywalkera na swojego ucznia, padawana.

Kątem oka dostrzegł szok malujący się na twarzy Obi-Wana, ale i płomyk nadziei w oczach chłopca. Nie zareagował; nie chciał teraz odwracać wzroku. – Ucznia masz już, Qui-Gonie – zauważył ostrzejszym tonem Yoda. – Wziąć drugiego nie możesz. – To zabronione – poparł go ponuro Mace Windu. – Obi-Wan jest już gotów – stwierdził Qui-Gon.

– Jestem! – przytaknął z zapalem Kenobi, bezskutecznie usiłując

ukryć zaskoczenie i rozczarowanie wywołane nieoczekiwaną decyzją mistrza. – Jestem gotów przejść próby!

Yoda przeniósł na niego spojrzenie półprzymkniętych oczu. – Tak szybko gotów jesteś? O byciu gotowym co ty wiesz? Qui-Gon i Obi-Wan wymienili szybkie, nieprzyjazne spojrzenia – w ich oczach czaiła się wzajemna wrogość. Dzieląca ich przepaść poszerzała się tak szybko, że nikt już nie pokusiłby się o wykreślenie jej mapy.

Starszy z rycerzy odetchnął głęboko i zwrócił się do Rady: – Obi-Wan jest uparty i musi się jeszcze dużo nauczyć o żywej Mocy, ale sporo już umie, a niewiele może się już nauczyć ode mnie.

Yoda pokręcił głową.

– Kto jest gotów, sami zdecydujemy, Qui-Gonie. Uczyć się Obi-Wan musi. – Nie pora na dyskusje – uciął te rozważania Mace Windu. Jutro w senacie odbędą się wybory nowego Wielkiego Kanclerza. Doniesiono nam, że królowa Amidala wraca do domu, co grozi zaognieniem stosunków z Federacją i może doprowadzić do rozszerzenia się konfliktu. Ci, którzy za to wszystko odpowiadają, z pewnością będą działać szybko w nowych okolicznościach. – Wywabieni z ukrycia napastnicy zostaną – wyszeptał Yoda.

– Wydarzenia toczą się zbyt szybko, żebyśmy mogli sobie pozwolić na takie odwrócenie uwagi – dodał Ki-Adi-Mundi.

Mace Windu popatrzył po zgromadzonych, a potem zwrócił się do Qui-Gona:

– Udacie się z królową na Naboo i odkryjecie tożsamość wojownika, z którym walczyłeś. Musimy wiedzieć, czy rzeczywiście jest Sithem. To klucz do całej tajemnicy.

Yoda skinął głową w sposób, który wykluczał wszelkie dalsze kłótnie. – Młodego Skywalkera los później rozstrzygnięty będzie.

Qui-Gon jeszcze raz wziął głęboki wdech, starając się nie okazać rozczarowania rozwojem sytuacji. Anakin nie przejdzie szkolenia, mimo że on sam zaoferował się, że przyjmie go pod opiekę jako padawana. Co gorsza, czyniąc tak uraził Obi-Wana, nieumyślnie, ale boleśnie; rana na duszy zagoi się, lecz nie nastąpi to prędko – zraniona duma potrzebuje czasu. A czasu nie mieli. Skłonił się przed Radą.

– Przywiozłem Anakina na Coruscant – rzekł. – Musi więc pozostać pod moją opieką. Nie ma się gdzie podziać.

– Jesteś jego opiekunem, Qui-Gonie. – Mace Windu pokiwał głową. – Nikt tego nie kwestionuje.

– Lecz nie ucz go! – przykazał ponownie Yoda. – Zabierz go, ale nie ucz! Słowa Yody zabolowały Qui-Gona, ale nic nie powiedział.

– Chrońcie królową – przypomniał Mace Windu. – Nie wtrącajcie się jednak do wojny, póki nie uzyskamy poparcia Senatu.

Zapadło długie milczenie. Członkowie Rady nie odrywali wzroku od stojącego na środku rycerza. Qui-Gon myślał, co jeszcze mógłby powiedzieć, jakich argumentów użyć... Zmierzch na dobre już ustąpił miejsca nocy. Światła miasta mrugały niczym czujne oczy.

– Niech Moc będzie z tobą – rzekł wreszcie Yoda, dając mu znak, że audyencja dobiegła końca.

Wiedząc już o rychłym odlocie królowej na Naboo, Jedi i Anakin udali się bezpośrednio na lądowisko, gdzie stał zacumowany jej statek. Podczas lotu promem panowała pełna napięcia cisza: rycerze nie odzywali się do siebie, a chłopiec czuł się nad wyraz niezręcznie, wpatrywał się więc głównie we własne stopy i rozmyślał o tym, co mógłby zrobić, żeby Qui-Gon i Obi-Wan przestali się na siebie złościć.

Na lądowisku zastali już kręcącego się przy statku R2-D2.

Przywitał Anakina wesołym gwizdem, a potem zszedł na skraj trapu, żeby zerknąć na przemykające dołem pojazdy. W pewnym momencie wychylił się za daleko i spadł z rampy. Chłopcu zaparło dech w piersi, ale w chwilę później robot pojawił się z powrotem, napędzany wbudowanymi silniczkami odrzutowymi. Wylądował na trapie i wydał z siebie długą serię pisków i świstów. Anakin nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

Qui-Gon i Obi-Wan stali na końcu trapu i prowadzili ożywioną dyskusję. Wiatr świszczący w tworzonych przez; wysokie budynki wąwozach unosił słowa rycerzy w dal i Anakin nie słyszał, co mówią. Dyskretnie przysunął się więc bliżej.

– To nie brak szacunku, mistrzu! – mówił zapalczywie Obi-Wan. –

To prawda!

– Może z twojego punktu widzenia! – odparł starszy Jedi z wyrazem gniewu na twarzy.

– Chłopiec jest niebezpieczny – Kenobi ciągnął głosem o ton niższym. – Wszyscy to wyczuwają. Co się z tobą dzieje?

– Jego los nie jest przesądzony, ale on sam nikomu nie zagraża – poprawił go Qui-Gon. – Rada zadecyduje o przyszłości Anakina i to powinno ci wystarczyć! – Odwrócił się plecami do Obi-Wana, jakby uznał rozmowę za skończoną. – Wskakuj na pokład!

Obi-Wan wbiegł po trapie na pokład. R2-D2 pojechał za nim, wciąż wesoło pogwizdując, a Qui-Gon popatrzył na Anakina. Chłopiec podszedł do niego.

– Mistrzu Qui-Gonie... – rzekł niepewnie, pełen wątpliwości i poczucia winy. – Nie chcę wam sprawiać kłopotu.

Qui-Gon położył mu rękę na ramieniu.

– Nie sprawisz, Annie. – Obejrzał się na statek, a potem uklęknął przed chłopcem. – Nie wolno mi cię szkolić, chcę więc, byś patrzył co robisz i wszystko zapamiętywał. Pamiętaj, koncentracja określa rzeczywistość. Trzymaj się mnie, a nic ci się złego nie stanie. Chłopiec pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Mogę o coś zapytać? – Teraz Jedi skinął głową. – Co to są midichloriany? Wiatr powiał mocniej, mierzwiąc długie włosy Qui-Gona.

– Midichloriany to mikroskopijne formy życia, istniejące w komórkach wszystkich żywych istot i zdolne do komunikacji z Mocą. – Żyją we mnie?

– W twoich komórkach – wyjaśnił Jedi. – W symbiozie z twoim organizmem. – Sym... Co?

– Symbioza. Mówimy o niej, gdy dwie formy życia egzystują blisko siebie, współpracują i obie czerpią z tego korzyści. Bez nich życie nie mogłoby istnieć i nie zdawalibyśmy sobie sprawy z istnienia Mocy. Midichloriany cały czas przemawiają do nas, przekazują nam wolę Mocy. – Naprawdę? Qui-Gon uniósł brwi.

– Kiedy nauczysz się, jak uciszyć własny umysł, usłyszysz ich głos. Anakin zamyślił się i zmarszczył brwi. – Nie rozumiem.

Jedi się uśmiechnął. W jego oczach mignęła obietnica tajemnicy.

– Potrzeba dużo czasu i odpowiedniego treningu, żeby to zrozumieć, Annie.

Na lądowisku pojawiły się kolejne dwa promy. Przybyła nimi królowa z dworkami i dowodzoną przez Panakę eskortą. Jar Jar ostatni zeskoczył z trapu. Amidala miała na sobie zwykły podróżny płaszcz w kolorze purpury, który układał się na jej ciele w miękkie fałdy. Oblamowany złotem kaptur ujmował jej bladą twarz w ramy, upodabniając ją do kamei. Qui-Gon wstał, gdy królowa ruszyła w jego stronę.

– Wasza Wysokość. – Jedi skłonił się z szacunkiem. – Z przyjemnością będziemy ci dalej służyć i cię chronić.

– Przyjmuję waszą pomoc. – Amidala skinęła głową. – Senator Palpatine obawia się, że Federacja może chcieć mnie zgładzić. – Obiecuję ci, pani, że nie dopuścimy do tego.

Królowa w towarzystwie służących, Panaki i gwardzistów udała się na statek, a Jar Jar podbiegł do Anakina i uściskał go z całej siły. – My jechać do domu, Annie! – wykrzyknął i rozpromienił się w uśmiechu. Chłopiec odwzajemnił uścisk.

Chwilę później wszyscy już znaleźli się na pokładzie i statek opuścił Coruscant.

W Theed, stolicy Naboo, zapadła już noc. Ulice były puste i ciche, czasem tylko przeszedł gdzieś patrol robotów niszczycieli Federacji Handlowej i zaskowyczał wiatr. W sali tronowej Nute Gunray i Rune Haako stali przed złowrogim hologramem Dartha Sidiousa, który wypełniał róg pomieszczenia. Odziana w czerń postać gestykulowała dobitnie.

– Królowa wraca na Naboo – oznajmił lord Sithów. – Kiedy już się u was zjawi, zmusicie ją do podpisania traktatu.

Neimoidianie wymienili wylężnione spojrzenia.

– Tak, panie – przytaknął bez entuzjazmu Gunray.

– Wicekrólu, czy planeta jest bezpieczna? – Hologram migotał w rytm ruchów Sitha.

– Tak, panie – tym razem w głosie Nute’a było więcej zdecydowania.

– Zdobyliśmy ostatnie punkty oporu, obsadzone głównie przez prymitywne formy życia. W pełni kontrolujemy Naboo.

Mówca bez twarzy skinął głową.

– To dobrze. Dopilnuję, by w senacie nic się nie zmieniło. Wysłałam do was Dartha Maula, który zajmie się Jedi.

– Tak, panie. – Te dwa słowa upodabniały całą rozmowę do litanii.

Hologram rozwiął się w powietrzu, lecz Neimoidianie stali jak wrośnięci w ziemię.

– Sith przybędzie do nas? – wyszeptał z niedowierzaniem Rune Haako. Nute Gunray milczał.

ROZDZIAŁ

19

Statek wyszedł z nadprzestrzeni i zbliżał się do układu Naboo, gdy Qui-Gon Jinn udał się na spotkanie z królową. Przystanął po drodze, by rzucić okiem na Anakina Skywalkera.

Chłopiec stał przy pulpicie pilota, obok Rica Olie, który wskazywał kolejne elementy panelu i tłumaczył mu ich zastosowanie. Anakin, całkowicie skupiony, zdumiewająco szybko przyswajał sobie nowe informacje. – A to? – Wyciągnął rękę i wskazał jeden z suwaków.

– Przedni statecznik – odparł Olie i spojrzał na niego wyczekująco.

– Tymi dozuje się moc, prawda? – Anakin pokazał grupę dźwigni, usytuowanych pod prawą dłonią pilota.

Ogorzałą twarz Rica rozpromienił uśmiech. – Szybko się orientujesz.

Szybciej niż ktokolwiek, kogo bym znał, dodał w myślach Qui-Gon. To dlatego Anakin był niezwykłą osobą. Takie obserwacje podkreślały, że nie przypadkiem miał najwyższe stężenie midichlorianów. Był wybrańcem. Jedi westchnął ciężko. Dlaczego Rada nie chciała tego przyjąć do wiadomości? Czemu się bali zaryzykować, skoro znaki były tak oczywiste? Rozumiał ich sposób myślenia, co wcale mu nie pomagało.

Źle się stało, że Anakin ma już dziewięć lat, ale to jeszcze nie powód, żeby bezpowrotnie przekreślać jego szanse. Martwił ich nie wiek chłopca, lecz konflikt, który wyczuli w jego duszy:

Anakin zmagał się z samotnością, z oddzieleniem od matki, przyjaciół, domu rodzinnego... Przede wszystkim od matki. Wiedział,

co może się wydarzyć, ale niepewność przyszłości targała nim i szukała ujścia na zewnątrz, niczym przetrzymywany w klatce dziki zwierz. Rada Jedi zdawała sobie sprawę, że nie da się pohamować tych uczuć działaniem z zewnątrz, że trzeba postawić im tamę od środka. Uznała jednak, że Anakin jest już na to za duży; doszła do wniosku, że jego poglądy i sposób myślenia ukształtowały się już na tyle wyraziście, że nie uda się ich zmienić bez szkodliwych skutków ubocznych. Chłopiec był niewolnikiem własnych wewnętrznych sprzeczności, a Ciemna Strona Mocy chętnie wykorzystałaby taką możliwość. Qui-Gon pokręcił głową. To prawda: z przyjęciem Anakina na ucznia wiązało się ryzyko, ale przecież niewiele godnych uwagi rzeczy udawało się w życiu osiągnąć bez ryzyka. Zakon Jedi od zarania opierał się na ścisłym przestrzeganiu procedur doboru i szkolenia młodych adeptów, ale i w nim zdarzały się wyjątki. Nie mógł znieść świadomości, że Rada odmówiła rozpatrzenia sytuacji Anakina jako tej, w której wyjątek powinien znaleźć zastosowanie.

Pozostało mu wierzyć, że ma rację: po powrocie Rada ponownie rozpatrzy wniosek o przyjęcie Anakina w szeregi nowicjuszy i może zmieni zdanie. A jeżeli nie... To Qui-Gon sam będzie musiał przekonać starszyznę. Odwrócił się i zszedł na niższy pokład, na którym znajdowały się apartamenty królowej. Wszyscy pozostali uczestnicy narady czekali już na niego. Obi-Wan skinął mu głową na powitanie, Panaka stał nachmurzony obok niego, Jar Jar oparł się o ścianę, jakby chciał się w nią wtopić, Amidala siedziała na tronie, Eirtae zaś i Rabe stanęły po obu jej bokach. Qui-Gon skłonił się przed nią i zajął miejsce obok kapitana straży. Biała twarz królowej nie wyrażała żadnych uczuć, lecz w jej słowach dźwięczał gniew:

– Kiedy wylądujemy, zamierzam bezzwłocznie przeciwstawić się inwazji. Moi poddani dość już wycierpieli.

– Kiedy wylądujemy, żołnierze Federacji aresztują Waszą Wysokość i zmuszą do podpisania ugody! – Kapitan Panaka z najwyższym trudem panował nad sobą.

Qui-Gon pokiwał z namysłem głową, zastanawiając się zarazem, co planuje Amidala.

– Zgadzam się z kapitanem – oznajmił. – Nie jestem jednak

pewien, jakie są zamiary Waszej Wysokości.

Amidaza nawet nie drgnęła, niczym wykuty z kamienia posąg. – Naboo odbiorą to, co do nich należy.

– Jest nas tylko dwunastu! – wykrzyknął Panaka. – Wasza Wysokość – dodał poniewczasie. – Nie mamy armii!

Królowa przeniosła wzrok na Qui-Gona.

– Jedi nie mogą walczyć za ciebie, pani. Możemy jedynie cię chronić.

Tym razem spojrzenie Amidali spoczęło na Jar Jarze, który wbił wzrok we własne palce u nóg. – Jar Jar Binksie!

Zaskoczony Jar Jar zeszywniał. – Ja, Wasza Wysokość?

– Tak – przytaknęła królowa. – Potrzebuję twojej pomocy.

W głębi bagien Naboo, na skraju jeziora, pod którego powierzchnią wybudowano Otoh Gungę, gungańską stolicę, stanęli uciekinierzy przybyli na statku królowej. Czekali na powrót Jar Jar Binksa. Amidala, jej dworki, dwaj rycerze Jedi, kapitan Panaka, Anakin, R2-D2, Ric Olie, garstka pilotów i gwardzistów tłoczyli się bez słowa na brzegu, pogrążeni we mgle. Wciąż tylko królowa wiedziała, co zamierza dalej uczynić; jedyne, co ujawniła osobom, które miały prawo dociekać prawdy, to że chciała nawiązać kontakt z Gunganami i że uczyni Jar Jara swym emisariuszem. Uparła się, żeby lądować na bagnach, mimo że zarówno kapitan straży, jak i obaj Jedi sprzeciwiali się temu pomysłowi.

Na orbicie Naboo krążył tylko jeden statek – pozostałość po zmasowanej blokadzie Federacji. Na jego pokładzie znajdował się sztab operacyjny, odpowiedzialny za kierowanie działaniami okupującej planetę armii robotów. Kiedy Panaka zwrócił uwagę na brak pozostałych okrętów, Qui-Gon oschle zauważył, że blokada przestaje być potrzebna z chwilą, gdy okupant kontroluje port.

Anakin trzymał się z R2-D2 na uboczu i dyskretnie obserwował towarzyszy. Jar Jar już dość dawno zanurkował pod wodę i wszyscy – poza królową – zaczęli się niecierpliwić. Amidala stała w otoczeniu służących, otulona urzędową szatą, cicha i niewzruszona. Padmé,

Eirtae i Rabe przebrały się w bardziej praktyczne spodnie, tuniki, wysokie buty i obszerne płaszcze; za pasy zatknęły miotacze. Anakin nigdy przedtem nie widział Padmé w takim rynsztunku, teraz zaś złapał się na tym, że zastanawia się, jaki byłby z niej żołnierz.

Jak gdyby zdając sobie sprawę, że o niej myśli, Padmé zostawiła dworki same i podeszła do niego.

– Jak się masz, Annie? – zagadnęła cicho, patrząc mu w oczy. Wzruszył ramionami.

– W porządku. Stęskniłem się za tobą.

– Cieszę się, że cię widzę. Przykro mi, że nie mieliśmy okazji wcześniej porozmawiać, ale byłam bardzo zajęta.

Od czasu opuszczenia Tatooine nie zamienili ze sobą więcej, niż parę zdań, a od odlotu z Coruscantu nawet jej nie widział. Nie podobało mu się to, ale postanowił jej nic nie mówić.

– Ja nie... – zająknął się i spuścił oczy. – Postanowili, że nie będą mnie szkolić tak jak Jedi.

I opowiedział jej całą historię, ze szczegółami opisując wystąpienie przed Radą. Padmé wysłuchała go uważnie, potem musnęła palcami jego policzek. – Mogą jeszcze zmienić zdanie, Annie. Nie trać nadziei. – Pochyliła się nad nim. – Muszę ci coś powiedzieć: królowa podjęła trudną, bolesną decyzję, decyzję, która na zawsze odmieni Naboo. Jesteśmy ludem spokojnym i nie wierzymy w skuteczność wojen, ale czasem nie ma wyboru: albo się dostosujesz, albo zginiesz. Królowa dobrze o tym wie. Dlatego właśnie postanowiła przeciwstawić się armii Federacji Handlowej. Naboo będą walczyć o wolność. – Będzie bitwa? – zapytał prędko chłopiec, nie mogąc ukryć, podniecenia. – Boję się, że tak. – Padmé skinęła głową. – Będziesz w niej brała udział? Uśmiechnęła się smutno. – Nie mam wyboru, Annie.

Qui-Gon i Obi-Wan stali nieco na uboczu. Wciąż nie odzywali się do siebie, przynajmniej dopóki nie było to absolutnie konieczne. Słowa, które wypowiadali podczas lotu z Coruscaritu, były przeznaczone niemal wyłącznie dla innych pasażerów. Wzajemna niechęć rycerzy, wywołana decyzją Qui-Gona o zaopiekowaniu się

Anakinem, nie słabła. Chłopiec próbował raz zagadać do Obi-Wana, przeprosić go za to, co się wydarzyło, ale młody Jedi nie chciał go słuchać.

Teraz jednak sytuacja zaczynała mu ciążyć. Zbyt długo byli sobie z Qui-Gonem bardzo bliscy, żeby chwilowe nieporozumienie położyło kres trwającej dwadzieścia z górą lat przyjaźni. Traktował starszego rycerza jak ojca; jedyne, jakiego znał; był zły, że Qui-Gon odprawił go tak łatwo, tak nieoczekiwanie, żeby zająć się chłopcem, ale wiedział również, jak bardzo mistrz potrafił poświęcić się sprawie, w którą wierzył. Obi-Wan nie przypominał sobie, żeby odkąd znał Qui-Gona, mistrz obstawał przy czymś tak zdecydowanie, jak teraz przy szkoleniu chłopca. Nie znaczyło to wcale, że lekceważył swego dotychczasowego ucznia: po prostu wierzył w przeznaczenie Anakina. Kenobi go rozumiał. Kto wie, może tym razem Qui-Gon się nie mylił? Może przyjęcie Anakina Skywalkera w szeregi Jedi było czymś, o co warto walczyć?

– Dużo rozmyślałem – rzekł zniechęcony Qui-Gon, cicho, nie patrząc na Obi-Wana. – Stąpamy po śliskim gruncie. Jeżeli królowa chce rozpętać wojnę, nie możemy dać się w nią wciągnąć. Nie wolno nam nawet pomóc jej przekonać Gungim, żeby ramię w ramię z Naboo stawili czoło Federacji, jeśli po to właśnie tu przybyła. Jedi nie mają prawa stawać po czyjejkolwiek stronie. – Wolno nam jednak bronić królowej – zauważył Kenobi. Tym razem Qui-Gon poszukał wzrokiem jego oczu. – Stąpamy po kruchym lodzie.

– Mistrzu, źle się zachowałem na Coruscant i wstydzę się tego. Nie chciałem okazać ci braku szacunku. Nie chcę stawać ci na drodze w sprawie chłopca.

– Nie stanąłeś – uspokoił go Qui-Gon z łagodnym uśmiechem. – Byłeś ze mną szczery, a szczerść nie może być zła. Nie kłamałem, mówiąc Radzie, że jesteś gotów. Nauczyłem cię wszystkiego, co w mojej mocy. Będiesz znakomitym rycerzem Jedi, padawanie, a ja będę z ciebie dumny. Podali sobie ręce i przepaść, która się między nimi rozwarła, w mgnieniu oka zniknęła.

W kilka chwil później Jar Jar Binks z pluskiem wynurzył się z jeziora, wyszedł na brzeg i otrząsnął się, ochlapując wszystkich dookoła. Woda ciekła mu ze zwieszonych smętnie uszu i zakrzywionego dzioba, gdy pokręcił zrezygnowany głową.

– Nikogo nie ma! Wszyscy zniknąć! – oznajmił i poruszył oczami. – Jakaś walka, może maszyny. Bardzo źle. Otoh Gunga puste, wszyscy Gunganie zniknąć. Wszyscy!

– Myślisz, że zabrano ich do obozów? – wtrącił Panaka.

– Raczej wymordowano – zauważył z niesmakiem Obi-Wan. Jar Jar jednak jeszcze raz pokręcił głową.

– Chyba nie. Gunganie mądrzy, ukryć się. Jak kłopoty, oni iść w święte miejsce. Maszyny ich tam nie znaleźć.

– Święte miejsce? – Qui-Gon wystąpił przed zgromadzonych. – Możesz nas tam zaprowadzić, Jar Jarze?

Gunganin westchnął ciężko, jakby zamierzał powiedzieć:

„Masz ci los! Znowu!”, a potem dał im znak, żeby szli za nim.

Jakiś czas szli przez bagno, najpierw brzegiem jeziora, później przez las, w którym rosły potężne drzewa i wysoka trawa cały czas wiodła ich grobla, łącząca niewielkie kopczyki. Gdzieś z oddali dolatywało buczenie STAP-ów Federacji: poszukiwania pasażerów transportowca rozpoczęły się na dobre. Jar Jar rozglądał się z lękiem, prowadząc ich przez mokradła, ale ani na chwilę nie zwalniał kroku.

Wreszcie stanęli na polance, porośniętej bagiennym sitowiem i kępami drzew, które zdawały się tworzyć nieprzeniknioną zapórę Binks przystanął, powęszył chwilę w powietrzu i kiwnął głową.

– To tu – oznajmił.

Zadarł głowę i wydał z siebie dziwny świergot, który odbił się niesamowitym pogłosem i zadźwięczał w ciszy donośnie. Czekali, wpatrzeni w mgły. Nagle z oparów wynurzył się oddział jeźdźców kaadu, pod wodzą kapitana Tarpalsa. W dłoniach trzymali gotowe do użycia elektropałki i włócznie energetyczne.

– Hej tam, kapitan Tarpals! – powitał ich wesoło Jar Jar.

– Binks! – wykrzyknął zdumiony dowódca. – To znowu ty!

Jar Jar nonszalancko wzruszył ramionami. – Przychodzić spotkać się z Bossem. Tarpals wzniósł oczy ku niebu.

– Zły czas, Binks. Zły może dla was wszystkich.

Jeźdźcy otoczyli królową z orszakiem i Tarpals poprowadził ich w głąb moczarów. Utworzone przez splecione gałęzie sklepienie stało się tak gęste, że stracili z oczu niebo, a światło słońca prawie tu nie docierało. Gdzieniedzie spod zarośli prześwitywały fragmenty antycznych posągów, rozsypujące się fasady domów i postumenty. Pnącza oplatały ruiny, zwieszając się z konarów, które same tworzyły gęsto splecione sieci.

Przedarłszy się przez kępę wysokiej, ostrej trawy, znaleźli się na polance pełnej gungańskich uciekinierów: mężczyźni, kobiety i dzieci w różnym wieku i o różnym wyglądzie skupili się na suchej, wyniesionej ponad poziom bagna platformie. Niektórzy zabrali z domu najpotrzebniejsze rzeczy. Tarpals przeprowadził orszak obok nich do miejsca, w którym moczary z wolna usiłowały zawładnąć prastarą świątynią. Tylko schody pozostały nietknięte, bo sufity dawno się zawaliły; potężne głowy i ręce kamiennych rzeźb wyzierały tu i ówdzie z gęstwiny – palce zaciskały się na broni, ślepe oczy patrzyły w dal. Z drugiej strony ruin pojawił się Boss Nass w towarzystwie kilkorga starszych Gungan. Stanęli na szczycie kamiennej, na wpół zatopionej głowy i czekali, aż Amidala z orszakiem podejść po groblach i wysepkach bliżej. – Jar Jar Binks, co ty tu robić? – zabulgotał wściekle gungański przywódca. – Mieć ich zabrać i nie wracać! Twoja się doigrać! Kto ty przyprowadzić do świętego miejsca?

Królowa wysunęła się naprzód i dumnie uniosła głowę. – Jestem Amidala, królowa Naboo.

– Naboo! – zaryczał Boss Nass. – Nie lubić Naboo! Wy sprowadzić maszyny! One rozwalić nasze domy, wypędzić nas! Wycelował wyprostowane ramię w królową. – Wy złe! Móc wszystkie umrzeć!

Nagle Anakin zauważył, że Gunganie otoczyli ich ze wszystkich stron: jedni pieszo, inni na kaadu, a wszyscy uzbrojeni. Gwardziści Panaki i sam kapitan rozglądali się nerwowo dookoła, a ich dłonie odruchowo błędziły w pobliżu miotaczy. Jedi stanęli po dwóch stronach Amidali i jej dworek, ale nie wykonywali żadnych niespokojnych gestów.

– Chcemy zawrzeć z wami przymierze – oznajmiła Amidala.

– My nic nie zawierają z Naboo! – odparł gniewnie Boss Nassa.

Nagle Padmé odłączyła się od grupy dworek i stanęła przed Gunganinem, zasłaniając królową.

– Świetnie się spisałaś, Sabe – powiedziała cicho. – Ale teraz muszę działać osobiście – dodała i odwróciła się do Boss Nassa. – Ktoś ty? – warknął Gunganin.

Stojący obok Anakina R2-D2 zapiszczał cicho: pierwszy domyślił się, co jest grane.

Padmé wyprostowała się dumnie.

– To ja jestem królową Amidalą – rzekła donośnym, czystym głosem. – Sabe, który wchodzi w skład mojej straży przybocznej, czasem mnie zastępuje. Przepraszam za ten podstęp, sądzę jednak, że w obecnej sytuacji był on uzasadniony. – Odwróciła się na moment w stronę Jedi i poszukała wzrokiem Amikina. – Panowie, przepraszam, że wprowadziłam was w błąd. Znowu spojrzała na Boss Nassa, który podejrzliwie marszczył czoło, najwidoczniej nic nie rozumiejąc z całego tego przedstawienia.

– Wasza Dostojność – mówiła dalej królowa – nasze narody nie zawsze żyły w zgodzie, ale nigdy nie było między nami wojny. Aż do teraz. Armia Federacji Handlowej, zbrojna w czołgi i „maszyny”, zniszczyła wszystko, co z takim trudem zdołaliśmy zbudować. Gunganie muszą się ukrywać, a Naboo trafili do obozów jenieckich. Jeżeli nie zaczniemy działać, stracimy na zawsze wszystko, co jest nam drogie. – Wyciągnęła przed siebie ręce. – Proszę o pomoc, Wasza Dostojność. Nie, nie proszę: błagam.

Nagle uklękła na jedno kolano przed zszokowanym przywódcą Gungan. Z piersi poddanych Amidali dobyło się zdumione westchnienie. – Jesteśmy waszymi pokornymi sługami, Wasza Dostojność – powiedziała Padmé głośno, tak żeby wszyscy dobrze ją usłyszeli. – Nasz los jest w waszych rękach. Proszę, pomóżcie nam.

Dała znak ręką i kolejno wszyscy – jej dworki, Panaka, piloci i gwardziści – uklęknęli obok niej. Anakin i Jedi dołączyli do nich ostatni. Kątem oka chłopiec dostrzegł zdumionego ponad wszelkie wyobrażenie Jar Jara, który stał bezradny pośród klęczącej grupy.

Zapadła cisza, którą po dłuższej chwili przerwał głęboki, basowy śmiech Boss Nassa.

– Ho, ho, ho! Podobać się! Dobrze! Wy nie myśleć, że być lepsze od Gungan! – Podszedł do królowej i wyciągnął rękę. Powstań, królowo Amidol! My rozmawiać, dobrze? Może my tak zostać przyjaciele!

Lord Sithów pojawił się pod postacią hologramu, gdy jego przyboczny szedł w towarzystwie Neimoidian z sali tronowej na plac. – Rozesłaliśmy patrole – powiedział Nute Gunray na zakończenie raportu. – Zlokalizowaliśmy na bagnach ich statek. Wkrótce dostaniemy ich samych, panie. Darth Sidious nie odpowiedział od razu i Gunray zaczął się już obawiać, że nie został wysłuchany.

– To nieoczekiwane posunięcie ze strony królowej – rzekła mroczna postać głosem tak cichym, że Neimoidianie ledwie go usłyszeli. – Bardzo agresywne. Zachowaj czujność, Maulu.

– Dobrze, mistrzu – odparł drugi Sith, a w jego oczach mignęły złowrogie błyski.

– Cierpliwości – zamruczał Darth Sidious, cofnąwszy twarz głębiej w Cień pod kapturem. – Pozwólcie im wykonać pierwszy ruch.

Darth Maul i obaj Neimoidianie ruszyli dalej, gdy hologram rozpląnął się w nicłość.

Boss Nass okazał się osobą niezwykle zmienną i kapryśną, toteż w jego stosunku do Naboo zaszła zmiana doprawdy zdumiewająca. Z chwilą, gdy zrozumiał, że królowa nie stara mu się narzucić swojej wyższości, lecz naprawdę prosi o pomoc, szybko się zgodził. Rzecz jasna fakt, że oboje szczerze nie znosili robotów niszczycieli Federacji, przyspieszył rokowania. Przyznał, że zbyt pochopnie założył, iż banda „maszyn” nie znajdzie Gungan na bagnach. Przed dwoma dniami, o świcie” wojsko Federacji zaatakowało Otoh Gungę i zmusiło mieszkańców miasta do ucieczki. Boss Nass nie zamierzał im tego puścić płazem: jeżeli udałoby się opracować plan wygnania najeźdźców, armia Gungan chętnie weźmie udział w jego realizacji.

Zabrał Amidalę i jej poddanych na skraj mokradeł, gdzie rozpościerała się trawiasta równina, podchodząca od północy aż po

samo Theed. Ewentualny atak należało wyprowadzić właśnie z tego miejsca, królowa zaś miała bardzo konkretny plan owego ataku. Najpierw należało wysłać kapitana Panakę na zwiady.

Stali więc na skraju morza traw i czekali na powrót Panaki, gdy Boss Nass zwrócił się do Jar Jara:

– Twoja świetnie się spisać, Jar Jar Binks! – zadudnił i objął szczuplejszego Gunganina ramieniem. – Zjednoczyć Gungan i Naboo! Odważna sprawa. Jar Jar przestąpił z nogi na nogę. Zawstydził się. – Nie mieć o czym mówić, nic takiego.

– Nie, twoja wielki wojownik – zaprotestował Boss Nass i niemal wydusił resztki powietrza z płuc Binksa. – Ale nie, nie, nie – opierał się Jar Jar zakłopotany.

– I my zrobić cię generałem w armii Gungan – dokończył triumfalnie wódz.

– Co? – Jar Jar był przerażony. – Generał? Moja generał?

Nie, nie, nie! – Zatkano go, a potem wywrócił oczami i zemdłał. Język wysunął mu się z dzioba.

Padmé uczestniczyła w naradzie z Jedi i dowódcami gungańskiej armii – do których grona dołączono właśnie Jar Jara – toteż Anakin, pozostawiony samemu sobie, podszedł do grupy Gungan oczekujących powrotu Panaki. Jedni patrolowali bagno z grzbietów kaadu, inni z kryjówek na drzewach i starych posągach wypatrywali kapitana przez makrolometki, pilnując przy okazji, by nie zaskoczył ich patrol wojsk Federacji. Skywalker przystanął u podnóża jednej z kolumn świątynnych. Nie potrafił przejść do porządku dziennego nad ujawnieniem prawdziwej tożsamości Padmé; wszyscy oczywiście byli zaskoczeni, ale Anakin chyba zdziwił się najbardziej. Nie bardzo wiedział, co do niej czuje, wiedząc już, że jest królową, a nie zwyczajną dziewczyną. Mówił, że pewnego dnia się z nią ożeni, wierzył w to, ale jak niewolnik mógłby pojąć królową za żonę? Chciał z nią porozmawiać, ale na razie nie mogło być o tym mowy.

Wiedział, że wszystko się zmieni, ale żałował, że tak się musi stać. Wcale nie przestał jej lubić i, prawdę mówiąc, nic go nie obchodziło czy jest królową, czy nie.

Popatrzył na nią, na towarzyszących jej Jedi i zastanowił się nad

tym, jak różnie wyglądało ich – i jego – życie tutaj i na Tatooine. Nic nie szło po ich myśli i wciąż nie wiedział, czy zostawienie matki i udanie się w podróż okaże się dobrym wyjściem.

Gunganin stojący na posągu powyżej Anakina chrząknął. – Lecą! – krzyknął, nie odrywając lornetki od oczu.

Anakin odkrzyknął coś radośnie do niego i popędził do Padmé, Jedi i gungańskich dowódców.

– Wrócili!

Wszyscy odwrócili się, by patrzeć, jak czwórka śmigach pokonuje ostatnią połąć równin i hamuje w cieniu bagiennych zarośli. Z maszyn wysypało się kilkudziesięciu żołnierzy i pilotów Naboo, z Panaką na czele. Kapitan natychmiast udał się do królowej.

– Chyba udało nam się uniknąć wykrycia, Wasza Wysokość – zameldował otrzepując mundur z kurzu.

– Jak wygląda sytuacja? – spytała Amidala. Wszyscy stłoczyli się wokół nich.

Panaka pokręcił głową.

– Większość Naboo trafiła do obozów jenieckich. Kilkuset oficerów i gwardzistów zawiązało podziemny ruch oporu; sprowadziłem wszystkich dowódców, których zdołałem.

– Świetnie – rzekła Padmé i z uznaniem kiwnęła głową w stronę Boss Nassa. – Gunganie mają liczniejszą armię, niż moglibyśmy przypuszczać. – Wielka, wielka armia! – przytaknął basowo wódz. Panaka westchnął ciężko.

– Będzie nam bardzo potrzebna, bo armia Federacji też jest większa, niż sądziliśmy. Większa i silniejsza. – Spojrzał zatroskany na królową. – Moim zdaniem nie uda nam się wygrać tej bitwy, Wasza Wysokość.

Stojący nieco dalej od kapitana Jar Jar spojrział na Anakina i wznosił oczy ku niebu.

Padmé jednak nie zrażała się łatwo.

– Nie zamierzam jej wygrać, kapitanie. Bitwa ma tylko odwrócić uwagę Federacji od Theed. Gunganie odciągną armię robotów, my zaś przedostaniemy się do pałacu, żeby pojmać wicekróla. Federacja Handlowa nie będzie mogła funkcjonować, kiedy zabraknie jej

przywódcy; Neimoidianie nie potrafią samodzielnie myśleć, więc bez wicekróla na czele przestaną być groźni. – Czekaając, aż ktoś wyrazi swoją opinię o jej pomysśle, automatycznie przeniosła wzrok na Qui-Gona. – Co o tym myślisz, mistrzu?

– To dobry plan – przyznał Jedi. – Prawdopodobnie najlepsze posunięcie, jakie Wasza Wysokość może wykonać, aczkolwiek wiąże się z nim ogromne ryzyko. Nawet pod nieobecność armii wicekról będzie miał dobrą straż. Wielu Gungan może zginąć. Boss Nass prychnął pogardliwie. – Ich broń nie przebijać naszych tarcz! My walczyć!

Jar Jar znów posłał Anakinowi wymowne spojrzenie, ale tym razem Boss Nass zauważył to i skarcił nowego generała wzrokiem.

– Moglibyśmy zmniejszyć straty wśród Gungan, jeżeli uda nam się opanować hangar, a nasi piloci unieszkodliwią stacjonujący na orbicie okręt dowództwa – rozmyślała na głos Amidala. Wówczas armia robotów stanie się zupełnie bezużyteczna. Wszyscy zgodnie pokiwali głowami.

– Gdyby jednak wicekról zdołał się nam wymknąć, wróci z nową armią – zauważył kwaśno Obi-Wan. – Wasza sytuacja niewiele się zmieni. Bez względu na to, co się wydarzy, należy przede wszystkim pojmać wicekróla. – Rzeczywiście – przyznała Padmé. – Wszystko zależy od powodzenia tego przedsięwzięcia: obetnij głowę, a wąż zginie. Bez wicekróla Federacja nie przetrwa długo.

Dyskusja zeszła na inne tematy; omawiano szczegóły taktyczne, podział kompetencji dowódczych... Anakin słuchał jeszcze przez chwilę, a potem przepchnął się do Qui-Gona i pociągnął go za rękaw. – A co ze mną? – spytał cicho. Mistrz Jedi pogładził go po głowie. Uśmiechnął się.

– Trzymaj się blisko mnie, Annie. Słuchaj mnie, a nic ci się nie stanie. Troska o własną skórę nie było dokładnie tym, co chłopiec miał na myśli, ale postanowił nie wdawać się w dalszą dyskusję: dopóki będzie z Qui-Gonem, najciekawsze go nie minie.

W sali tronowej theedańskiego pałacu hologram Dartha Sidiousa

unosił się groźnie przed Darthem Maulem, dowódcą robotów OOM-9 i dwójką Neimoidian. Jedwabisty, cichy głos Sitha sączył się spod kaptura: – Nasza młoda królowa nie przestaje mnie zaskakiwać – szepnął z namysłem Darth Sidious. – Jest jeszcze głupsza, niż sądziłem.

– Wysyłamy całe wojsko mi spotkanie jej armii – zapewnił go pospiesznie Nute Gunray. – Zbierają się na mokradłach. To prymitywny lud, są nie groźni, panie. Nie przypuszczam, żeby długo stawiali nam opór.

– Wzmocniłem strażę we wszystkich obozach – oznajmił OOM-9.

Darth Maul zapatrzył się w dal, a potem pokręcił rogową głowę.

– Wyczuwam, że kryje się w tym coś, o czym nie wiemy, mistrzu. Być może Jedi chcą wykorzystać królową do własnych celów.

– Jedi nie mogą się w nic mieszać – uspokoił go Sidious.

Rozłożył ręce. – Wolno im tylko chronić królową. Nawet Qui-Gon Jinn nie złamie tej zasady, a to działa na naszą korzyść.

Darth Maul prychnął tylko, nie mogąc się doczekać, kiedy wkroczy do akcji.

– Czy w takim razie wyrażasz zgodę na dalsze działania, panie? – spytał z wahaniem Nute Gunray, starając się nie patrzeć w tchnące obłędem oczy młodszego Sitha.

– Tak – odparł cicho Darth Sidious. – Macie ich unicestwić, wicekrólu. Wszystkich.

ROZDZIAŁ

20

W południe łąki ciągnące się na południe od Theed i sięgające zamieszkanym przez Gungan mokradeł były puste. Wiatr ucichł zupełnie, a na bezchmurnym niebie pyszniło się palące słońce. Rozgrzane powietrze drżało leciutko ponad trawami. Panowała taka cisza, że świergot ptaków i bzyczenie owadów niosły się na kilkadziesiąt metrów.

I właśnie wtedy transportery Federacji z pękatymi dziobami i potężnie opancerzone czołgi zalały łąki falą lśniącego metalu.

Na bagnach również było cicho. Pod sklepieniem liści i pnączy trwał wieczny zmierzch, niczym nie zmacone jeziora lśniły niczym lustra, zarośla ani drgnęły w bezwietrznym powietrzu. Tu i ówdzie jakiś owad bezgłośnie przeskoczył z miejsca na miejsce, budząc rozchodzące się koła na powierzchni wody; źdźbła traw uginały się pod nim jak delikatne trampoliny. Ptaki śmigwały niby barwne smugi, przenosząc się z gałęzi na gałąź; drobne ssaki ostrożnie zakradały się na skraj zbiorników, żeby się napić.

Nagle woda zmaćla się, pojawiły się zmarszczki, pękły bańki powietrza i spod powierzchni wynurzyła się armia Gungan. Głowy stworów wyskakiwały niczym korki z butelek: jedna, dwie, dziesięć – ich liczba szła w tysiące. Na równinie i wśród bagien małe stworzonka w panice rzuciły się do kryjówek, ptaki umykały, owady przysiadły na ziemi.

Dosiadający kaadu Gunganie wynurzyli się z ukrycia w zbrojach i ze wzniesioną do ataku bronią: w dłoniach trzymali włócznie

energetyczne o długim drzewcu, proce z metalowymi uchwytami i tarcze do obrony w zwarciu. Woda ociekała z gładkich ciał kaadu, które natychmiast wyszukiwały skrawki suchego łądu i otrząsały się z resztek wilgoci. Dotarwszy do skraju bagien, jeźdźcy zaczęli formować oddziały. Ich szeregi ciągnęły się w dal, jak okiem sięgnąć.

Gdy tylko pierwsza fala żołnierzy opuściła bagno, woda znów się wzburzyła i tym razem wynurzyły się fambaa – ogromne jaszczury o długich szyjach i potężnych, łuskowatych cielskach. Do grzbietów miały przytroczone generatory, które, po uruchomieniu i połączeniu w sieć, miały utworzyć pole siłowe, chroniące żołnierzy przed atakami wojsk Federacji. Fambaa pełzły ciężko, przygniecione ciężarem ładunku; kręciły niespokojnie łbami, gdy ich jeźdźcy szturchali je, nadając im właściwy kierunek.

Jar Jar Binks jechał na czele swego nowego oddziału i rozmyślał, co właściwie powinien robić: przypuszczał, że przede wszystkim nie wychylać się; inni generałowie, a także podwładni Jar Jara, niedwuznacznie sugerowali, że takie rozwiązanie najbardziej by im odpowiadało. Boss Nass mógł twierdzić, że postępuje sprytnie nadając Jar Jarowi rangę generała, ale oficerowie liniowi nie podzielali jego entuzjazmu. Generał Ceel, głównodowodzący armii, na wieść o nowej pozycji Jar Jara chrząknął tylko nieprzyjaźnie, po czym kazał mu dawać dobry przykład swoim ludziom i zginąć piękną śmiercią Jar Jar starał się więc do czasu wymarszu pozostawać w cieniu innych, potem zaś wysunął się na czoło przydzielonej mu formacji. Ledwie zdążył ujechać ze sto metrów, gdy spadł z grzbietu swojego kaadu. Nikt nie zwrócił na niego uwagi i nie zatrzymał się, by mu pomóc, toteż teraz Binks jechał gdzieś w samym środku oddziału, którym dowodził.

– Straszne, bardzo straszne – mamrotał pod nosem, przedzierając się przez mgłę.

Powoli, ale systematycznie armia Gungan wydostawała się z bagien i wynurzała na łąki, gdzie czekali już żołnierze Federacji.

Anakin Skywalker znajdował się w Theed. Przykucnął w cieniu

budynku znajdującego się dokładnie naprzeciwko głównego hangaru gwiazdnej floty Naboo. Tu również panowała cisza, odkąd znakomita większość robotów została skierowana do bitwy z gungańskim wojskiem; pozostałe roboty kręciły się w rzadkich patrolach po mieście i pełniły straż na rogatkach. Nie zmieniało to faktu, że na placu przed hangarem tłoczyły się czołgi, samej zaś floty pilnował silny oddział robotów bojowych. Zanosilo się na to, że przechwycenie myśliwców wcale nie będzie łatwe.

Anakin obejrzał się przez ramię. Padmé, znów przebrana za dworę, przycupnęła wraz z Eirtae obok rycerzy Jedi, czekając, aż Panaka wyda rozkaz zajęcia pozycji po przeciwnej stronie placu. Sabe, fałszywa królowa, wraz z resztą dworek przywdziała polowy mundur, luźny, z mocnego materiału; dziewczyny przypięły też do pasów miotacze. R2-D2 milczał i tylko błyskał lampkami, trzymając się blisko grupy dwudziestu uzbrojonych pilotów i gwardzistów. Chłopiec nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jest ich żałośnie mało, jeśli chcą zwyciężyć – ale na nic więcej nie mogli liczyć.

Całe szczęście, że przynajmniej Qui-Gon i Obi-Wan znów ze sobą rozmawiali. Zaczęło się podczas wędrówki do miasta – to jeden rzucił kilka słów, to drugi, wymienili ostrożnie parę uwag, badali teren. Anakin przysłuchiwał się im uważnie, bardziej wyczulony na niuanse ich konwersacji niż przeciętni słuchacze; w tonie ich głosów słyszał to, czego nie wyrażali słowami. Wreszcie po jakimś czasie, gdy słowa zmniejszyły dzielącą ich pustkę, Jedi poczuli się znów swobodniej i pojawiły się pierwsze uśmiechy – ukradkowe, prawie smutne, ale przyjazne. Jedi łączyły więzy niemal rodzinne i nie chcieli zaprzepaścić przyjaźni wskutek jednego nieporozumienia. Anakin ucieszył się z tego, tym bardziej że sam stał się przyczyną owego nieporozumienia. Miał również okazję porozmawiać chwilę z Padmé, gdy przez las od wschodu zbliżali się do Theed. Jeden jej uśmiech wystarczył, by wszystkie jego wątpliwości i lęki rozwiały się bez śladu. – Przykro mi, że nie mogłam ci wcześniej nic powiedzieć – powiedziała. – Wiem, że się tego nie spodziewałeś. – Nie ma sprawy – odparł dzielnie i wzruszył ramionami:

– Pewnie wiedząc, że jestem królową, inaczej mnie już traktujesz,

co?

– Może. Ale to chyba nic nie szkodzi. Bylebyś ty mnie dalej lubiła, bo ja nie przestałem lubić ciebie.

Anakin spojrzał na nią z nadzieją w oczach.

– Pewnie, Annie. To, że powiedziałam ci, kim naprawdę jestem, nie znaczy jeszcze, że moje uczucia wobec ciebie się zmieniły. Wcześniej byłam tą samą osobą, chociaż ty nie wiedziałeś o mnie wszystkiego.

– Chyba tak – przyznał chłopiec po namyśle. Rozpromienił się. – W takim razie moje uczucia też nie powinny się zmienić.

Odeszła wtedy, posyłając mu na pożegnanie szczery uśmiech.

Poczuł się nagle tak, jakby miał dziesięć metrów wzrostu.

Sytuacja się więc wyjaśniła, przynajmniej jeśli chodzi o Jedi i Padmé, ale Anakina opadły nowe wątpliwości. Co będzie, jeśli komuś z nich podczas walki stanie się krzywda? Zostanie ranny, albo nawet. Nie umiał się zmusić do tego, by dokończyć tę myśl. Nic się nikomu nie stanie i już. On na to nie pozwoli. Jeszcze raz zerknął na swych przyjaciół i obiecał sobie w duchu, że bez względu na okoliczności dopilnuje, żeby byli cali i zdrowi: to będzie jego zadanie w tej wojnie. Złożywszy samemu sobie taką przysięgę zacisnął z determinacją usta.

– Kiedy wejdziemy do środka, znajdź sobie jakąś bezpieczną kryjówkę i poczekaj, aż wszystko się skończy – rzekł nagle Qui-Gon, nachyliwszy się nad nim. Zupełnie, jakby czytał w jego myślach. – W porządku – odparł chłopiec. – Nie wychodź z niej – podkreślił Jedi.

Panaka z żołnierzami zajęli już wyznaczoną pozycję: roboty i czołgi znajdują się pod krzyżowym ostrzałem, gdy wszyscy jednocześnie otworzą ogień. Padmé maleńką latarką dała kapitanowi umówiony sygnał.

Wszyscy wokół Anakina dobyli broni. Pstryknęły bezpieczniki.

Żołnierze Panaki zaczęli strzelać do robotów; miotacze cięły metalowe ciała robotów na kawałki, ale te, które nie znalazły się pod ostrzałem, natychmiast odpowiedziały ogniem. Roboty skoncentrowały się na ludziach kapitana, zostawiając Padmé i jej grupę samym sobie. Qui-Gon wstał. – Trzymaj się blisko mnie – powtórzył Anakinowi.

W chwilę później chłopiec wraz z rycerzami, Padmé, Eirtae, R2-D2 i garstką pilotów pomknęli ku otwartym wrotom hangaru.

Jar Jar siedział na grzbiecie kaadu. Odzyskał już pewność siebie i wrócił na czoło oddziału. Gungańska armia rozciągnęła się po całej trawiastej równinie: ani po prawej, ani po lewej stronie nie widział końca szeregów żołnierzy. Ptakopodobne wierzchowce z pochylonymi łbami wyszukiwały sobie bezpieczną ścieżkę wśród traw, jeźdźcy zaś podskakiwali w rytm ich ruchów. Mieli na sobie skórzane, wzmacniane metalem hełmy i pancerze; małe, okrągłe tarcze tkwiły przypięte do łąków siodeł, z których sterczały trójpalczaste zasilacze, uzupełniające zasilanie pola siłowego. Fambaa, z generatorami na plecach, rozstawiono w równych odstępach wśród żołnierzy, by po włączeniu pole objęło jak najwięcej Gungan. Niczym czołgi pełzały masywne jaszczury pośród zwinnych kaadu, a drzenie traw znaczyło ślad ich przejścia. Na czele armii jechał generał Ceel z oddziałem straży przybocznej, za nimi zaś podążali chorążowie z flagami Otoh Gungi i innych gungańskich miast. Ciemna fala wspięła się na szczyt niewielkiego wzniesienia i generał Ceel uniósł dłoń; by zatrzymać wojsko.

Po przeciwnej stronie płytkiego zagłębienia terenu, na skraju następnego wzgórza, stanęła armia Federacji Handlowej. Pierwsze szeregi składały się głównie ze STAP-ów i roboczołgów, a rozciągały się na długości ponad kilometra; ich pancerze i broń lśniły w słońcu. Za nimi zajęły pozycje olbrzymie transportery, unoszące się tuż nad ziemią. Pękate dzioby były wycelowane w stronę Gungan, ale grodzie na razie pozostawały zamknięte. Załogę czołgów i STAP-ów stanowiły roboty bojowe: pozbawione twarzy, puste metalowe skorupy, nieczułe na ból, wyzbyte z emocji, zaprogramowane tak, by walczyć do końca.

Jar Jar z nabożnym lękiem obserwował armię przeciwnika.

W zasięgu wzroku nie było ani jednej żywej istoty, ani jednego stworzenia z krwi i kości, żadnego, które reagowałoby na bitewny zgiełk tak, jak Gunganie. Przebiegł go dreszcz, gdy uświadomił sobie, co to znaczy. Fambaa zajęły już wyznaczone pozycje i Ceel wydał

rozkaz włączenia generatorów. Olbrzymie turbiny ożyły, zabuczały i z generatorów trysnęły snopy czerwonego światła, łącząc się z talerzowatymi antenami na grzbietach sąsiednich jaszczurów. Rubinowy promień rozszerzał się, rozrastał, aż wreszcie otulił całą gungańską armię, a wówczas zmienił barwę na złotą. Wojsko za jego zasłoną upodobniło się do pustynnego mirażu, jak gdyby Gunganie zanurzyli się w przejrzystym, złocistym morzu.

Federacja natychmiast postanowiła sprawdzić skuteczność tarcz. Na rozkaz OOM-9, który z kolei zareagował na polecenie wydane z centrum dowodzenia na orbitującym wokół Naboo okręcie, czołgi otworzyły ogień. Laserowe działa słały salwę za salwą, rozpalone wiązki uderzały w energetyczną tarczę i rozpływały się bezskutecznie po jej powierzchni, niezdolne ją przebić. Ukryci za tarczą Gunganie czekali cierpliwie, z bronią gotową do strzału, ufni w moc pola siłowego. Jar Jar Binks kulił się i mrużył ze strachu oczy, mamrocząc pod nosem wszelkie możliwe pacierze, które miałyby zapobiec nieuchronnej – w jego mniemaniu – zagładzie. Działa Federacji nie milkły ani na moment; grzmot eksplozji był ogłuszający, ich blask oślepiał, ale tarcza wytrzymała.

Wreszcie czołgi wstrzymały ogień, widząc, że mimo najszczerszych wysiłków nie przebijają się przez pole siłowe. Gunganie poczęli wznosić radosne okrzyki, klaskać i triumfalnie wymachiwać bronią.

Roboczołgi i STAP-y cofnęły się, a ich miejsce zajęły potężne transporterzy. Okrągłe, wybrzuszone luki otworzyły się, odsłaniając zamontowane w środku stelaże, które wysunęły się ze środka na długich płozach. Na nich, podwieszane do zaczepów, spoczywały roboty bojowe w równo poukładanych rzędach. Wysunięte na pełną długość stelaże oddzieliły się od transporterów i łąka przed pojazdami zarośla się tysiącami droidów.

Generał Ceel i grupa towarzyszących mu dowódców wymienili niespokojne spojrzenia.

Roboty poczęły zjeżdżać z taśm stelaży, przyjmować pozycję stojącą, prostować ramiona i nogi. Zdjęły z pleców miotacze, stanowiące standardowe wyposażenie takich jednostek, po czym, na rozkaz OOM-9, równym krokiem ruszyły na spotkanie Gungan.

Wypełniały równinę po horyzont. Gungańskie pole siłowe miało za zadanie odpychać duże, powolne obiekty o masie i gęstości odpowiadającej ciężkim pojazdom oraz odbijać przedmioty małe i szybkie, generujące duże ilości ciepła – takie jak pociski i promienie laserów. Nie mogło jednak powstrzymać małych, powolnych robotów, nawet w tak zmasowanej ilości, jaka teraz zapełniła trawiastą nieckę. Jar Jar Binks zaczął żałować, że nie znajduje się w zupełnie innym miejscu; armia Gungan, która naprawdę była ogromna, zaczynała wyglądać niepozornie w obliczu masy posuwającego się ku niej metalu.

Gunganie jednak przygotowali się do bitwy i sama liczebność przeciwnika nie mogła zmusić ich do odwrotu. Teraz uruchamiali włócznie energetyczne, sięgali po proce i szykowali się do odparcia ataku. U stóp wzgórza, na którym oczekiwali natarcia, pierwsze szeregi automatów osiągnęły granicę pola siłowego i zaczęły przechodzić na drugą stronę; tarcza im nie przeszkodziła. Uniósłszy miotacze do ramion, roboty otworzyły ogień.

Przy wtórze zawrota ogromnych, krętych rogów, Gunganie rzucili się na wroga. Na droidy posypała się ulewa włócznie, których ostrza i drzewce eksplodowały przy trafieniu w cel i rozrywały metalowe korpusy i członki; kule energii, miotane z proc, powodowały dalsze szkody; moździerze biły w sam środek fali atakujących, czyniąc w niej pokaźne wyrwy. Automaty zwolniły na chwilę, ale zaraz odzyskały pierwotny impet i ruszyły naprzód. Na miejsce tych, które padły, pchały się setki nowych: nie bacząc na nic przekraczały zaporę i wchodziły w zasięg gungatlskiej broni.

Otoczony przez oficerów generał Ceel zagrzewał żołnierzy do walki. Rozkazał zacieśnić linie obronne wokół podtrzymujących generatory jaszczurów, wiedząc, że naruszenie pola siłowego spowoduje natychmiastowy atak czołgów.

Szeregi robotów Federacji, o korpusach odbijających słońce i ogień z broni, zwały się w boju z gungańskimi wojownikami o pomarańczowej skórze. Powstrzymując się od zamknięcia oczu w obliczu nieuniknionego niebezpieczeństwa, Jar Jar Binks wbił pięty w boki kaadu i na czele swych pod władnych zaszarżował na wroga.

We względnie spokojnej sali tronowej pałacu w Theed, a więc w miejscu, w którym, jak sądzili, żadne niebezpieczeństwo im nie grozi, Nute Gunray i Rune Haako śledzili na olbrzymim ekranie bitwę, która rozgrywała się w hangarze. Rycerze Jedi wdarli się do środka w asyście pilotów i żołnierzy Naboo i za pomocą mieczy świetlnych urządzili rzeź próbujących ich powstrzymać robotów.

– Jak oni dostali się do miasta? – wyszeptał przerażony Haako.

– Nie wiem. – Wicekról pokręcił głową. – Myślałem, że bitwa będzie się toczyć daleko stąd. – Nie wierzył własnym oczom. – Są za blisko! Odwrócili się jak jeden mąż, gdy do sali wszedł Darth Maul, uzbrojony w miecz świetlny o przedłużonej rękojeści. W jego tatuowanej, czerwono-czarnej twarzy lśniły złe, żółte oczy, płaszcz zaś powiewał za nim niby czarne skrzydła.

Gunray i Haako cofnęli się odruchowo, nie chcąc stawać mu na drodze. – Lordzie Maul – przywitał go Gunray i skłonił lekko głowę Sith obrzucił go pogardliwym spojrzeniem.

– Mówiłem, że chodzi o coś więcej! – Wyraz jego oczu przywodził na myśl szaleńca. – Jedi nie przypadkiem przybyli do Theed, wicekrólu. Mają plan i zamierzają nas pokonać! – Plan? – powtórzył z niepokojem Neimoidianin.

– Plan, który zawiedzie, o czym mogę was zapewnić. Długo na to czekałem, długo ćwiczyłem. Jedi pożąłują, że postanowili tu wrócić.

W jego głosie zabrzmiała przerażająca nuta. Darth Maul wyraźnie nie mógł się doczekać spotkania z rycerzami: zginał i prostował ręce, wodził dłońmi po rękojeści miecza. Neimoidianie nie zazdrościli tym, których szukał. – Czekaście tu, aż wrócę – rozkazał nieoczekiwanie i wyminął ich, kierując się do wyjścia.

– Dokąd idziesz, panie? – zapytał wystraszony Gunray, widząc, że Sith zamierza wziąć śmigacz.

– A jak pan sądzi, wicekrólu? – Maul wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Do głównego hangaru, żeby raz na zawsze uwolnić was od tych przeklętych Jedi.

ROZDZIAŁ

21

Anakin wpadł za Jedi i Padmé do hangaru, mając za plecami R2-D2 i żołnierzy królowej. Roboty bojowe natychmiast zwróciły się w ich stronę, ale miecze świetlne i miotacze posiekały kilka pierwszych, zanim reszta zdążyła się zorientować w sytuacji. Automaty zaczęły się wycofywać i wzywać pomocy z zewnątrz, ale ludzie Panaki ostrzeliwali maszyny na placu i przez chwilę Jedi i Naboo mieli hangar tylko dla siebie.

Pamiętając nakaz Qui-Gona, Skywalker zanurkował pod najbliższy myśliwiec, unikając rozbłyskujących wszędzie wokół promieni laserów. – Do statków! – krzyknęła Padmé do pilotów i na czele żołnierzy rzuciła się w pogoń za uciekającymi niedobitkami robotów. Przykucała, robiła uniki i krótkimi, precyzyjnymi ruchami celowała, trafiając z miotacza raz za razem, bezbłędnie. Jedi walczyli wysunięci o krok przed nią: blokowali ostrzami mieczy wymierzone w nich strzały i bez namysłu cięli na pół roboty, które nierozważnie stanęły im na drodze. Anakin nie mógł jednak oderwać oczu od królowej, nie tylko dlatego, że nigdy nie widział jej w takiej sytuacji – nawet nie wiedział, że taka Padmé istnieje. Poruszała się niczym wytrawny wojownik; nie przypominała już delikatnej dziewczyny, lecz przeobraziła się w śmiertelnie niebezpiecznego żołnierza.

Nagle przypomniał sobie sen, w którym, w innym czasie i miejscu, stała na czele armii. Teraz już nie uważał, że to niemożliwe.

Piloci i jednostki typu R2 wypuszczone ze schowków w hangarze, rozproszywszy się po całym pomieszczeniu, zaczęli zajmować miejsca

na pokładzie myśliwców. Droidy sadowiły się w swoich gniazdach, a mężczyźni wskakiwali do kabin, uruchamiali stery i odpalali silniki. Ryk turbin wypełnił hangar, wzniósł się ponad odgłosy ostrzału i narastał do ogłuszającego crescendo. Myśliwce jeden po drugim unosiły się nad ziemię i zajmowały pozycje startowe.

Kobieta w mundurze pilota przebiegła obok chłopca i wskoczyła do maszyny, pod którą ten się ukrywał.

– Lepiej stąd zmykaj, mały! – krzyknęła już z kabiny. – Znajdź sobie nową kryjówkę, bo ta zaraz ci ucieknie!

Anakin zgarbił się i odskoczył. Wymierzone w statki strzały z miotacza przecięły powietrze nad jego głową. Myśliwiec, spod którego uciekł, wzniósł się w powietrze i odwrócił dziobem do wrót hangaru. Inne maszyny zrywały się już z rykiem do lotu.

Jedi i Naboo systematycznie zmuszali pilnujące floty roboty do cofania się, Anakin zaś w pośpiechu rozglądał się za nowym, bezpiecznym schronieniem, gdy wtem siedzący już w gnieździe innego myśliwca R2-D2 zapiszczał do niego. Kręcił kopułką i migał dramatycznie lampkami. Chłopiec przemknął przez hangar, omijając zaścietające podłogę części uszkodzonych robotów, przypadł do maszyny i wskoczył na fotel pilota.

Wyjrzawszy na zewnątrz ujrzał, jak ostatnie dwa myśliwce opuszczają hangar. Pierwszemu się udało, drugi jednak został trafiony strzałem z czołgu, tak że wpadł w korkociąg i wbił się w ziemię. Ekspłodował, a Anakin skulił się i pochylił głowę.

Panaka, Sabe i żołnierze, którzy do tej pory trzymali w szachu zgromadzone na placu siły wroga, ostrzeliwując się wpadli do środka. Złapane w krzyżowy ogień pozostałe roboty w hangarze szybko zostały zniszczone, po czym obaj Jedi, Panaka i Padmé w paru słowach naradzili się co dalej. Żołnierze zaczęli wycofywać się ku wyjściu, które znajdowało się w bezpośrednim sąsiedztwie kryjówki Anakina.

– Dokąd biegniecie? – Chłopiec wystawił głowę z kabiny.

– Annie, zostań tu! – krzyknął Qui-Gon z rozwianymi włosami, dając mu znak, żeby się schował. – Nie ruszaj się z miejsca!

Młody Skywalker zignorował jego słowa i stanął wyprostowany w

kabinie. – Nie! Chcę iść z wami i z Padmé!

– Masz zostać w kabinie! – rozkazał mu jeszcze raz rycerz; tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Anakin zamarł bez ruchu, niezdecydowany, podczas gdy oddział minął go w pełnym pędzie, z bronią gotową do strzału. Nie chciał tu zostać; nie zamierzał dopuścić do tego, żeby Qui-Gon i Padmé uciekli bez niego, tym bardziej że zamknięty w Pustym hangarze nijak nie mógłby im pomóc. Walczył jeszcze ze sobą, gdy żołnierze zwolnili kroku. Przez drzwi, ku którym zmierzali, weszła do hangaru postać w ciemnym, powiewającym płaszczu. Anakinowi zaparło dech w piersi, gdy rozpoznał napastnika: był nim ten sam lord Sithów, który zaatakował ich na Tatooine. Qui-Gon mówił mu potem, że to groźny przeciwnik, wróg całego zakonu Jedi. Wynurzył się z cienia niczym olbrzymia pantera piaskowa. Jego wytatuowana na czarno i czerwono twarz upodobniła się do upiornej maski, a żółte oczy błyszczały gniewem. Zablokował uciekinierom drogę odwrotu i czekał, aż Jedi i ich żołnierze podejną bliżej. W wyciągniętych przed siebie rękach trzymał wyłączony na razie miecz świetlny. Gwardziści Panaki cofnęli się na ten widok, potem, na rozkaz Qui-Gona, odsunęła się również Padmé i jej dworki, choć nie tak szybko i bardzo niechętnie.

Wreszcie tylko Qui-Gon Jinn i Obi-Wan Kenobi stanęli twarzą w twarz z Sithem. Jednocześnie zrzucili z ramion płaszcze i włączyli miecze świetlne. Ich rogaty przeciwnik także odpiął płaszcz, a potem uniósł przed sobą długą rękojeść miecza, jak gdyby prezentował ją podczas przeglądu. Dwa płonące ostrza strzeliły z obu jej końców i Sith trzymał w ręku morderczy, zaopatrzony w podwójne ostrze miecz. Po jego twarzy przebiegł uśmiezek, gdy machnął niedbale bronią, zapraszając Jedi, by pierwsi zaatakowali.

Qui-Gon i Obi-Wan rozsunęli się na boki, chcąc zająć go z dwóch stron, i wolno ruszyli do przodu.

Na równinie na południe od Theed walka rozgorzała na dobre. Gunganie starli się z robotami. Federacji w zwarciu i pole bitwy zmieniło się w płataninę metalu i płazich ciał. Generatory pola wciąż

działały i powstrzymywały czołgi Federacji od otwarcia ognia; tylko automaty przedarły się przez ochronną barierę, ale miały ogromną przewagę liczebną i generał Ceel musiał rzucić do boju wszystkie rezerwy.

Jar Jar Binks znalazł się w samym środku dzikiego wiru.

Uderzał złamaną włócznią jak maczugą, obracał się, potykał; zadawał ciosy; w pewnym momencie zaplątał się w uzwojenie robota, któremu przed chwilą obciął głowę i włókł za sobą sam jego korpus. Pozbawiony głowy robot wciąż pozostawał pod kontrolą autopilota i na oślep strzelał z miotacza, gdy Jar Jar ciągnął go to w jedną stronę, to w drugą. Częściej trafiał w inne roboty, niż w Gungan, wycinając szeroką lukę w szeregach sprzymierzeńców. – Ty zły! Ty zły! – pokrzykiwał nieustannie, wymachując złamanym drzewcem i usiłując uwolnić się od bezgłowego kompana.

Kiedy wreszcie mu się to udało i wdeptał resztki robota w ziemię, znalazł się sam na otwartej przestrzeni – i Gunganie, i ich przeciwnicy bali się do niego zbliżyć. Przez jedną krótką, straszną chwilę Jar Jar nie bardzo wiedział, gdzie się obrócić.

A potem od strony najbliższych Gungan dobiegł triumfalny wrzask:

– Jar Jar Binks! Jar Jar Binks!

– Kto, ja? – sapnął zmieszany bohater.

Zachęceni okrzykiem wojownicy skupili się wokół niego i runęli na wroga, wyprowadzając zwariowany, niespodziewany kontratak.

Jednakże Federacja Handlowa, w przeciwieństwie do mieszkańców bagien, miała jeszcze w zanadrzu inną broń. W odpowiedzi na rozkazy z orbity, OOM-9 wypuścił z transporterów batalion robotów niszczycieli. Zjechały po trapach na trawę, przejechały po strzaskanych robotach bojowych i przedarły się przez gungańskie pole siłowe, po czym przełączyły się w tryb bojowy i ruszyły naprzód wśród tłumu, regularnie ostrzeliwując się z podwójnych miotaczy. Gunganie i kaadu padali na ziemię jak ścięci, ale ich miejsce zajmowali nowi wojownicy. Roboty musiały zwolnić, gdy żołnierze do upadłego walczyli o każdą piędź ziemi.

Bitwa trwała, a szala zwycięstwa przechylała się to w jedną, to w

drugą stronę.

Młody Skywalker obiecał sobie, że za wszelką cenę będzie chronił Qui-Gon Jinnę i Padmé Naberrie. Od początku zdawał sobie sprawę, że trudno będzie mu dochować tej obietnicy; w głębi duszy, sam przed sobą, gotów był nawet przyznać, że sam pomysł złożenia takiej przysięgi był głupi. Anakin był jednak młody, odważny i szedł dotąd przez życie mniej więcej na własnych warunkach, bo w przeciwnym wypadku los dawno by go już złamał. Nie przyszło mu to łatwo, zwłaszcza jako niewolnikowi. Przeżył głównie dlatego, że w największych opałach umiał cieszyć się drobnymi zwycięstwami i wierzył, iż pewnego dnia zrzuci ciężące mu od chwili urodzin jarzmo. Jego wiara w siebie została nagrodzona; jego życie zmieniło się raz na zawsze, gdy przed paroma dniami wygrał Boontę na Tatooine.

Nie powinno zatem dziwić, że uznał, iż może mieć wpływ na życie rycerza Jedi i królowej Naboo, chociaż na razie nie bardzo wiedział jaki. Nie bał się takiej odpowiedzialności; ambitne zadanie wcale go nie przerażało.

Tym razem jednak jego wola została wystawiona na poważną próbę.

Qui-Gon i Obi-Wan starli się z wrogiem w błysku mieczy, które zderzywszy się zaskwierczały jak diamentowa piła przeryniająca metal. Walczyli teraz na środku hangaru, robili wypady, parowali cięcia, atakowali, ripostowali w okrutnym tańcu, w którym nie miało być litości dla przegranych. Sith był szybki, zwinny i swobodnie radził sobie z parą przeciwników: odbijał ich ciosy podwójnym ostrzem i opierał się ich atakom. Anakin widział, że jest znakomitym wojownikiem – może nawet lepszym od dwójki mężczyzn, którzy stawili mu czoło. W dodatku odznaczał się niepokojącą pewnością siebie; nie da się łatwo pokonać.

Padmé i jej poddani znaleźli się tymczasem w jeszcze gorszych opałach. Po drugiej stronie hangaru, w miejscu, gdzie wrota otwierały się na plac, pojawiły się trzy automaty, które właśnie rozkładały ramiona i przyjmowały postawę bojową. R2-D2 dostrzegł je pierwszy

i krótkim piskiem ostrzegł chłopca, który oderwał wzrok od Jedi i Sitha. Roboty posuwały się już naprzód, ostrzeliwując Naboo z laserów. Kilku żołnierzy padło, natomiast Sabe, trafiona rykoszetem, osunęła się w ramiona Panaki. Padmé i jej straż stawili zdecydowany opór, ale z wolna musieli wycofywać się w poszukiwaniu kryjówki.

– Musimy im pomóc, R2 – oznajmił Anakin i wstał z fotela.

Chciał natychmiast coś zrobić, cokolwiek. Zaczął rozglądać się w poszukiwaniu broni, ale na próżno.

R2-D2 uprzedził go jednak: podłączył się już do komputera pokładowego myśliwca i odpalił silniki. Ich ryk wystraszył Anakina i chłopiec opadł z powrotem na, siedzenie.

Statek wolniutko uniósł się w powietrze i opuścił stanowisko postojowe. – Świetnie, R2! – krzyknął zaaferowany Anakin i odruchowo złapał za stery. – Zaraz, co my tu mamy.

Obrócił myśliwiec dziobem do walczących i desperacko przyglądał się pulpitem w poszukiwaniu systemu sterowania uzbrojeniem. Wiedział co nieco o myśliwcach – na Tatooine widział niejednego wrak – ale maszyny Naboo, a zwłaszcza ich broń, stanowiły dla niego zagadkę. Znał się głównie na silnikach i systemach naprowadzających, a i to głównie w wypadku ścigaczy, śmigaczy i starych transportowców.

– Który to, no który? – mrucał pod nosem, nie mogąc zdecydować się na żaden przycisk, przełącznik ani dźwignię.

Podniósłszy na ułamek sekundy wzrok, ujrzał jak jeden z żołnierzy pada na ziemię. Hełm spadł mu z głowy, a miotacz wypadł z martwych dłoni. Promienie laserów osmały stalowe wsporniki i ściany w pobliżu broniącej się grupki Naboo, roboty zaś nie ustawały w ataku.

Zdesperowany Anakin pstryknięciem uruchomił w końcu rząd przełączników na czerwonym panelu. Statkiem zatrzęsło – poruszył stateczniki. – Oj, to nie te – mruknął i przełączył je w poprzednie położenie. Jego wzrok padł na cztery czarne guziki, wciśnięte głęboko w otwory i otoczone zielonymi obwódkami. – Może te.

Wcisnął guziki. Zamontowane na dziobie myśliwca lasery plunęły ogniem i rozniosły roboty niszczyciele na strzępy. Trzy automaty

zmieniły się w dymiącą kupę złomu.

– Tak jest! – krzyknął uradowany. – Miotacze!

Z tyłu R2-D2 zawtórował mu wesołym popiskiwaniami. Pozostałe automaty zwróciły się teraz w ich stronę. Rozproszyły się po całym hangarze, żeby stanowić trudniejszy cel, a za ich plecami Padmé, jej dworki, Panaka i niedobitki żołnierzy Naboo pomknęli ku drzwiom wiodącym do pałacu. Anakin patrzył znad krawędzi kabiny, jak znikają mu z oczu. – Powodzenia – wyszeptał.

Roboty niszczyciele zbliżały się coraz szybciej, bez przerwy strzelając z miotaczy. Pociski wybuchały wszędzie dookoła, a drobny myśliwiec drżał cały. Przez chwilę Anakin widział, jak Sith napiera na rycerzy Jedi i spycha ich do drzwi, prowadzących do sąsiedniego pomieszczenia. Jego furia i wytrzymałość były przerażające.

Szermierze zniknęli za drzwiami i chłopiec został sam na sam z droidami. Strzał z lasera dosięgnął dzioba statku. Myśliwcem zatrzęsło i Anakin odruchowo zacisnął dłonie na sterach. Sam również strzelał z laserów, ale roboty stanęły za bardzo z boku, więc tylko osmalił ściany pomieszczenia. Schował się poniżej krawędzi kabiny i znów spojrzał na pulpity. – Tarcze! – syknął przez zaciśnięte zęby, zmuszając się do skupienia mimo rozbiłyskujących mu nad głową promieni. – Zawsze po prawej. Tarcze są zawsze z prawej strony!

Przerzucił kilka najbardziej podejrzanych przełączników i rozległ się grzmot dopalacza. Pstryknął więc kolejnym, potem jeszcze jednym, aż poczuł, jak drążek sterowy podskakuje mu w dłoni. Myśliwiec obrócił się i wyleciał przez otwarte wrota hangaru.

Owiewka kabiny zasunęła się gładko. – Co się dzieje, R2? – krzyknął Anakin. Z głośników dobiegły nerwowe popiskiwanie i gwizdy robota. – Wiem, że coś włączyłem! Nie, nic nie robię! – Chłopiec wstrzymał oddech, wsłuchując się w popiskiwanie R2 i odczytał jego komunikat na ekranie. – Lecimy na autopilocie? To go wyłącz!

Zwinna, pomalowana na żółto maszyna wzbiła się ponad atmosferę planety i coraz bardziej się od niej oddalała. Naboo przypominała teraz zielono-błękitny klejnot, niknący z wolna w kosmicznej pustce. Przed dziobem pojawiło się kilka srebrzystych

punkcików. Rosły w oczach.

– Dokąd lecimy, R2?! – jęknął. Wciąż nie potrafił rozszyfrować oznaczeń na pulpicie.

W głośnikach trzasnęło i nagle Anakin usłyszał głosy Rica Olie i innych pilotów, którzy przed nim opuścili hangar.

– Tu dowódca Bravo – głos Rica wzbił się ponad szum zakłóceń. – Bravo dwa, przechwycić myśliwce wroga. Bravo trzy, zaatakuj stację przekaźnikową. – Przyjąłem – odparł jeden z pilotów.

Anakin widział ich już: srebrne kropki przeobraziły się w rozpoznawalne statki: myśliwce Naboo, rozproszone na tle czarnej pustki, zbliżały się do większego, masywnego okrętu Federacji. – Myśliwce przed nami – ostrzegł wszystkich Olie.

W tymże momencie R2-D2 zapiszczał do Anakina. Odczytawszy komunikat, chłopiec poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

– Co to znaczy, że autopilot szuka innych statków? Jakich statków?! – Jego wzrok padł na lecące przodem myśliwce Naboo. – Chyba nie tych? R2-D2 gwizdnął krótko na potwierdzenie. Anakin osunął się w fotelu. – Autopilot nas tam zabierze? Do nich? Do walki?! Wyłącz go, R2! Droid ponownie pisnął i zagwizdał.

– Nie mogę przejść na ręczne sterowanie! – wykrzyknął zrozpaczony Anakin. – Nie wiem jak! Przełącz jakieś przewody; czy co! Pośpiesz się, R2! Młody Skywalker patrzył bezradnie, jak jego myśliwiec leci wprost na spotkanie roju maszyn Federacji, i zastanawiał się, co u licha mógłby zrobić, żeby zawrócić.

ROZDZIAŁ

22

Qui-Gon Jinn należał do najlepszych szermierzy w zakonie Jedi. Mistrz, który go wyszkolił, uważał go za najlepszego ze swoich uczniów, a przez ponad czterysta lat w zakonie miał ich niemało. Qui-Gon walczył w wielu wojnach, rozgrywających się w całej galaktyce; nieraz stawał w obliczu niebezpieczeństw, którym inni nie zdołaliby sprostać; wychodził obronną ręką ze starć, które wystawiały jego umiejętności na srogą próbę.

Tego dnia jednak spotkał godnego wroga. Sith, któremu wraz z Obi-Wanem stawili czoło, lepiej władał bronią, a przy tym był młodszy i silniejszy od dobiegającego sześćdziesiątki Qui-Gona. Jedi miał najlepsze lata za sobą i siły z wolna go opuszczały; opierał się demonicznemu wrogowi tylko dzięki ogromnemu doświadczeniu i wrodzonej intuicji.

Obi-Wan wniósł do walki młodość i wytrzymałość, ale do tej pory brał udział zaledwie w paru turniejach i nie był zahartowany w prawdziwej walce. Wspólnie udawało im się powstrzymać lorda Sith, lecz próby ataku do niczego nie prowadziły.

Darth Maul osiągnął szczyt swych możliwości, a przy tym kierowała nim niemal religijna nienawiść i pogarda, jaką żywił wobec Jedi, odwiecznych wrogów Sithów. Całe życie poświęcił przygotowaniom do tej jednej chwili, kiedy będzie miał okazję stanąć do walki z Jedi – los okazał się nad wyraz łaskawy, podsuwając mu dwóch rycerzy jednocześnie. Nie bał się tej walki; nie mógł przegrać. W jego skupionej postawie, w oczach szaleńca i wyrazie tatuowanej

twarży Qui-Gon bez cienia wątpliwości rozpoznał metodę Jedi: pełną koncentrację na chwili obecnej, na tym, co teraz liczy się najbardziej. Sith stanowił żywy przykład tego, jak należy wykorzystywać Moc, jak powinno się w nią wsłuchiwać, o czym tyle razy Qui-Gon przypominał Obi-Wanowi. Walczyli więc w błysku ostrzy; wykorzystując wszystkie nabyte z upływem lat umiejętności. Rycerze Jedi nieustannie usiłowali zepchnąć Sitha do obrony – i częściowo im się to udawało: przeciwnik ustępował i cofał się pod ścianę, coraz dalej od grupy Naboo i stojących nie opodal myśliwców. Qui-Gon zdawał sobie jednak sprawę, że choć postronny obserwator mógłby odnieść wrażenie, że Sith odsuwa się przed nawałą ich ataków, w rzeczywistości to on właśnie kontrolował przebieg starcia. Obracał się w miejscu, skakał, robił piruety i salta ze zdumiewającą swobodą i z każdym krokiem pociągał ich za sobą tam, dokąd chciał. Niezwykle zwinny przeciwnik trzymał obu Jedi na dystans, skutecznie kontratakował i czekał, aż któryś z nich się odsłoni. Na początku Qui-Gon mocno go naciskał; rozumiał, z jak niebezpiecznym wrogiem przyszło im się spotkać i chciał szybko zakończyć walkę, atakował więc zaciekle i z determinacją. Obi-Wan dotrzymywał mu kroku. Walczyli już wcześniej ramię w ramię i każdy z nich wiedział, czego może się po drugim spodziewać. Qui-Gon uczył Kenobiego, a choć ten jeszcze mu nie dorównał, nie ulegało wątpliwości, że pewnego dnia przewyższy mistrza.

Dlatego też natychmiast natarli na Sitha – i prędko przekonali się, że nie mają co liczyć na szybkie rozstrzygnięcie. Uporządkowali więc szyki i atakowali spokojnie, współpracując i szukając luki w obronie wroga. Sith jednak był za sprytny, żeby się odsłonić i pojedynek trwał.

Wciąż walcząc wybiegli z hangaru i trafili do małej siłowni.

Metalowe chodniki krzyżowały się w powietrzu ponad ogromną studnią, w której znajdował się podwójny generator, odpowiedzialny za zasilanie całego portu. Łoskot ciężkiej maszynerii wypełniał rozległe pomieszczenie; sączące się z zewnątrz światło rozpraszało się na chmurach pary i budziło liczne cienie. Jedi i Sith wpadli na pomost nad generatorami i teraz stalowa rama dźwięczała tupotem

ich butów i skwierczeniem mieczy.

Samotni, ukryci przed całym Theed i jego mieszkańcami, z nowym animuszem rzucili się na siebie.

Sith przeskoczył z chodnika, na którym walczyli, na wyższy. Jego twarz błyszczała od potu i nieukrywanej radości, jaką czerpał z pojedynku. Jedi wskoczyli za nim – jeden z przodu, drugi z tyłu – i wzięli go w dwa ognie. Walka trwała; miecze rozbłyskiwały, zderzały się i bezlitośnie krzeszały iskry z ochronnej balustrady.

Darth Maul wychwycił moment, gdy Obi-Wan zachwiał się na nogach i jednym mocnym kopniakiem zrzucił go z pomostu. Korzystając z chwili jego nieuwagi, Qui-Gon natarł na niego i także zepchnął Sitha w dół. Maul wylądował na chodniku kilka poziomów niżej od Obi-Wana. Siła nieoczekiwanego uderzenia oszołomiła go na moment, toteż Qui-Gon skoczył za nim, widząc w tym swoją szansę na rozstrzygnięcie walki, ale Sith szybko zerwał się na nogi i odskoczył, przenosząc starcie dalej od generatorów. Zanim Obi-Wan doszedł do siebie, Qui-Gon pędził już za Darthem Maulem po jego pomocy, kierując się ku niedużym drzwiom po drugiej stronie pomieszczenia. Biegł szybko, bo choć trudy starcia dały mu się już we znaki, nie chciał, żeby zepchnięty wreszcie naprawdę do defensywy Sith miał czas zebrać siły.

– Qui-Gon! – krzyknął Kenobi i pobiegł za nimi, ale mistrz nie zwolnił kroku.

Jeden po drugim wpadli w korytarz ciągnący się za niskimi drzwiczkami, zanim jeszcze zdali sobie sprawę z tego, gdzie zabrnęli: w kilku miejscach z boków strzeliły lasery, ich promienie odbiły się od przeciwnych ścian i świetliste bariery podzieliły korytarz w pięciu punktach. Ponieważ włączyły się w ułamek sekundy po tym, jak walczący znaleźli się w korytarzu, Maul dobiegł najdalej i został uwieczony między czwartą i piątą świetlną zaporą; Qui-Gon znalazł się jedną barierę od niego, natomiast Obi-Wan zatrzymał się przy samych drzwiach.

Przeciwnicy znieruchomieli, porażeni błyskiem i buczeniem laserów. Rozejrzeli się w poszukiwaniu wyjścia: z pułapki, ale na próżno. Qui-Gon szybkim rzutem oka ocenił sytuację: znaleźli się w

korytarzu serwisowym, wiodącym do kadzi, w której przetapiano odpadki z elektrowni. Tunel zabezpieczono przed najściem intruzów, instalując laserowe bariery. Przy obu jego końcach powinny znajdować się wyłączniki laserów, teraz jednak było już za późno, żeby ich szukać.

Jedi spojrzeli na oddzielonego kilkoma ognistymi ścianami Sitha, który uśmiechnął się do nich złowieszczo, jakby uspokajał ich, że niedługo znów staną twarzą w twarz.

Qui-Gon posłał porozumiewawcze spojrzenie Obi-Wanowi, po czym przykucnął, żeby chwilę pomedytować. Czekał.

Padmé Naberrie, królowa Naboo, w towarzystwie swych dworek, kapitana Panaki i jego żołnierzy, biegła korytarzami wiodącymi z hangaru do pałacu. W każdym budynku po drodze, w każdym tunelu toczyli potyczki z robotami, które pozostawiono na straży w Theed. Spotykali je pojedynczo i całymi oddziałami, i za każdym razem nie mieli innego wyjścia, jak tylko przebić się prędko przez blokadę, nie dając się przy tym wciągnąć w dłuższą strzelaninę. Dlatego też zrezygnowali z najkrótszej drogi na rzecz dłuższej, ale mniej uczęszczanej, na której prawdopodobieństwo napotkania robotów bojowych było mniejsze. Z początku zresztą próbowali kierować się bezpośrednio do pałacu, by jak najszybciej uciec przed toczącą się w hangarze bitwą. Liczyli na szybkość i zaskoczenie, kiedy zaś nie udało im się przebić, Panaka zaczął prowadzić ostrożniej: wybierał podziemne tunele, sekretne przejścia i napowietrzne łączniki, które pozwalały uniknąć spotkania z patrolami na ulicach. Kiedy ich odkryto; walczyli krótko, zdecydowanie, zdobywali teren i posuwali się dalej.

Okazało się w końcu, że dotarli do pałacu o wiele szybciej, aniżeli Padmé odważyłaby się przypuszczać. Trafili do wnętrza wieży strażniczej, skąd udali się prosto do sali tronowej, gdy wtem zza rogu wyjechał patrol automatów. Roboty otworzyły ogień i ludzie Padmé zostali zmuszeni do ukrycia się we wnękach i za futrynami drzwi. Oni również zaczęli strzelać, ale rozległo się wycie syren i robotów

przybywało z każdą chwilą.

– Kapitanie! – odezwała się Padmé, przekrzykując huk wystrzałów.
– Nie mamy na to czasu!

Panaka rozejrzał się pospiesznie.

– Spróbujmy na zewnątrz! – odkrzyknął i strzelił z miotacza w okno. Rama i wypełniająca ją transpastał wyleciała z łoskotem, a królowa z Panaką i garstką strażników, pod osłoną ognia pozostałych żołnierzy i dworek, wyskoczyli przez okno.

Znaleźli się na szerokim gzymsie sześć pięter ponad dudniącym wodospadem i basenem, z którego woda przelewała się do ozdobnych oczek na terenie królewskich ogrodów. Padmé przycisnęła się do ściany i wzrokiem poszukała drogi ucieczki, ludzie Panaki zaś sięgnęli po liny z kotwiczkami, przypięli ich końce do luf miotaczy i wycelowali broń w półkę położoną kilka pięter wyżej na ścianie budynku. Strzelili równocześnie: liny rozwinęły się w mgnieniu oka niczym atakujące węże, a stalowe ostrza wbiły się w kamień.

Padmé i towarzyszący jej Naboo uruchomili mechanizmy wjazdowe i zaczęli posuwać się w górę ściany. Z korytarza, w którym służące królowej i gwardziści kapitana bronili się przed atakiem robotów, strzelanina stawała się coraz bardziej zaciekle, ale Padmé starała się o tym nie myśleć, skupiona na tym, by posuwać się naprzód.

Znalazłszy się na wyższym gzymsie odpięli liny, a Panaka strzałem z miotacza rozbił kolejne okno. Wskoczyli do środka, na rozsypane na podłodze odłamki transpastali i permabetonu, i znaleźli się bardzo blisko sali tronowej – wystarczyło pokonać kilkadziesiąt metrów korytarza i wejść na następne piętro. Padmé żywiej zabiło serce: jeszcze dostanie neimoidiańskiego wicekróla w swoje ręce! Będzie jej jeńcem!

Ledwie jednak myśl ta przemknęła jej przez głowę, gdy na zakręcie korytarza pojawiły się dwa roboty, przechodząc natychmiast w tryb bojowy. W kilka sekund później identyczna para wynurzyła się po przeciwnej stronie, z bronią gotową do strzału. Metalicznym, pozbawionym wyrazu głosem pierwszy z droidów kazał Naboo rzucić broń.

Padmé się zawahała. Jedyna droga ucieczki wiodła z powrotem przez okno, ale tam znaleźliby się bezradni na gzymsie. Mogli próbować się przebić, ale o ile w starciu z robotami bojowymi mieli jakie takie szanse, o tyle roboty niszczyciele były zbyt poważnym przeciwnikiem.

Kiedy królowa ze smutkiem uświadomiła sobie, że tym razem nie wygra, wpadła nagle na genialny pomysł, który dawał jeszcze nadzieję na zwycięstwo. Podniosła ręce nad głowę i odrzuciła miotacz.

– Rzućcie broń – rozkazała Panace i jego żołnierzom. – Tę rundę przegraliśmy.

Kapitan zbladł.

– Ależ Wasza Wysokość, nie możemy.

– Kapitanie! – Padmé spojrzała mu w oczy. – Kazałam Wam rzucić broń! Panaka doszedł chyba do wniosku, że królowa postradała zmysły, ale wypuścił miotacz z ręki i dał znak swoim ludziom, żeby uczynili to samo. Roboty zbliżyły się i otoczyły więźniów, zanim jednak to się stało, Padmé zdążyła nadać krótki meldunek przez komunikator.

Więcej wiary, kapitanie – rzuciła do oszołomionego Panaki spokojnie, ukrywszy komunikator przed niepowołanymi spojrzzeniami.

Armii mieszkańców bagien nie wiodło się najlepiej; podobnie jak Naboo, Gunganie nie byli w stanie stawić czoła robotom niszczycielom, które powoli, lecz nieustępliwie spychały ich do tyłu. W niektórych miejscach linie obronne zaczynały się kruszyć.

Jar Jar Binks znalazł się w takim właśnie punkcie. Przez pewien czas broniona przez niego pozycja trzymała się pewnie. Jego żołnierze, zachęteni niezrównanym męstwem dowódcy, z odwrotu przeszli do kontrataku. Zapuscili się jednak za daleko i natarcie załamało się w obliczu przeważającej siły wroga.

Teraz jego podwładni zostali zmuszeni do odwrotu i wycofania się pod osłonę słabnącego pola siłowego. Armia gungańska desperacko starała się dokonać przegrupowania.

Jar Jar, który dawno już stracił swojego kaadu, uciekał przed napierającymi robotami. Dogonił właśnie wóz wiozący kilkanaście pocisków energetycznych, używanych w gungańskich katapultach i chwyciwszy za tylną klapę usiłował wdrapać się na górę. Wóz jednak podskakiwał i chygotał się nieustannie na nierównym podłożu, toteż w pewnej chwili Jar Jar przypadkiem zwolnił zapadkę. Klapa się otworzyła, kule wytoczyły się z wozu i poturlały jedna przez drugą. Jar Jar zdołał uskoczyć im z drogi, toteż żadna go nie trafiła, ale mniej zwinne roboty nie miały tyle szczęścia: pociski wybuchały w kontakcie z metalowymi korpusami i droidy jeden po drugim padały na ziemię, tworząc bezładne sterty osmalonego metalu.

– To dobre! – wykrzyknął uradowany Jar Jar, patrząc, jak roboty desperacko starają się wykręcić na bok, byle nie wejść na toczący się ku nim dywan kulistych pocisków.

Dookoła sprawy przybierały jednak coraz gorszy obrót. Roboty niszczyciele przełamały obronę Gungan, dotarły do generatorów pola siłowego i strzelały salwami prosto w umocowane na grzbietach fambaa maszyny. Jaszczury padały na kolana, generatory strzelały iskrami i słupami dymu, aż w końcu pole zaczęło blednąć. OOM-9, śledzący przebieg bitwy przez elektrolometkę, natychmiast zameldował o tym neimoidiańskim dowódcem. Czołgi Federacji ponownie ruszyły do przodu i otworzyły ogień.

Ujrzawszy, że generatory tracą moc, generał Ceel zrozumiał, iż Gunganie przegrali bitwę. Zrobili co mogli dla Naboo i ich królowej, ale przegrali. Wydał rozkaz odwrotu. Zagrały rogi i cała armia zaczęła się wycofywać. Jar Jar zdobył tymczasem nowego wierzchowca i pędził na złamanie karku ku zbawczym mokradłom. Znalazł się jednak w samym środku grupy ścigających Gungan maszyn. Nagle kaadu palli pod nim, a Binksa rzuciło na wieżyczkę najbliższego czołgu. Chwycił się jej rozpaczliwie i dał się powieźć w bój. Obsługujące czołg automaty szybko zdały sobie sprawę z jego obecności i kierowca usiłował go zrzucić, kręcąc wieżyczką na wszystkie strony, ale Jar Jar zacisnął ręce na lufie i nie dawał się ruszyć z miejsca. – Pomocy! – krzyczał – Pomocy!

Dosiadający kaadu kapitan Tarpals zrównał się z roboczołgiem i

kazał Jar Jarowi przeskoczyć na grzbiet swojego wierzchowca. Zabłąkany pocisk zrykoszetował napowierzchni pojazdu, o włos mijając Binksa, który starał się przewyciężyć strach i zmusić do skoku. W pancerzu czołgu otwierały się właśnie włazy, w których pojawiały się głowy robotów. Na widok gotowej do strzału broni Jar Jarowi oczy rozszerzyły się z przerażenia.

Skoczył i wylądował niezdarnie za plecami Tarpalsa, który przyszedł mu z pomocą. Kaadu zachwiał się pod dodatkowym ciężarem, ale zaraz odzyskał równowagę i pobiegł przed siebie.

Wszędzie dookoła eksplodowały pociski, a płaty darni i grudy ziemi fruwały w powietrzu. Jar Jar zamknął więc oczy, objął kapitana ramionami i czekał, aż nadejdzie koniec.

Anakin Skywalker znalazł się w samym środku potyczki, toczonej przez myśliwce Naboo i maszyny Federacji. Nadal próbował wyłączyć autopilota; na razie udawało mu się unikać starcia z nieprzyjacielem – głównie dlatego, że jego myśliwiec robił uniki i zachowywał się w nieprzewidziany sposób za każdym razem, gdy tylko zanadto zbliżył się do przeciwnika. Dookoła wybuchały trafione maszyny, niektóre tak blisko, że ich odłamki śmigły tuż nad kabiną Anakina.

– Rety, ale było blisko! – wysapał, uruchamiając kolejne przełączniki na pulpicie. Myśliwiec szarpał się, nurkował i podrywał w odpowiedzi na nieprzemyślane manewry pilota. Stopniowo jednak chłopiec poznawał przyrządy, metodą prób i błędów odkrywał przeznaczenie poszczególnych przycisków i dźwigni. Kłopot w tym, że spust działek laserowych zablokował się i bron nijak nie dawała się uruchomić.

Na dźwięk głośniego gwizdu R2-D2 Anakin podniósł głowę znad tablicy i ujrzał zbliżające się od dziobu dwa myśliwce Federacji. – R2, wyłącz...

Robot nie dał mu dokończyć zdania, lecz wtrącił serię rozpaczliwych. świstów.

– Ręczne sterowanie? – Anakin nie posiadał się ze zdumienia. Złapał stery, dodał mocy i szarpnął drążek w lewo. Ku jego zdumieniu

myśliwiec zareagował ostrym wychyłem, dzięki czemu minęli wrogie maszyny i wpadli w sam środek roju walczących.

– Nareszcie! Mogę nim sterować! – Anakin szalał z radości. – Udało ci się, R2!

Robot zapiszczał coś krótko. Chłopiec uniósł w zdumieniu brwi, odczytawszy jego komunikat na ekranie.

– Chcesz wracać na Naboo? Nie ma mowy!. Qui-Gon kazał mi nie ruszać się z kabiny i zamierzam go posłuchać! Trzymaj się mocno!

Entuzjazm zepchnął zdrowy rozsądek w cień i Anakin skierował maszynę w sam środek strzelaniny. Wrodzony instynkt pilota przejął nad nim kontrolę; młody Skywalker poczuł się tak, jakby wrócił na Tatooine i znów startował w wyścigach: stał się jednym ze statkiem i dał się wciągnąć w walkę o zwycięstwo. Zapomniał już, że obiecał sobie pilnować Qui-Gona i Padmé – znajdowali się za daleko, żeby zawracać sobie nimi teraz głowę. Liczyło się tylko to, że udało mu się wzlecieć w kosmos, przejąć myśliwiec i uzyskać szansę realizacji najskrytszych marzeń.

W jego polu widzenia pojawił się kolejny wrogi statek.

– Trzymaj się, R2 – powtórzył. – Zamierzam go rozwalić. Dopiero gdy namierzył cel i ustawił się w pozycji strzeleckiej, ponieważ nie przypominał sobie, że nie może odpalić laserów. Zaczął gorączkowo szukać przycisku zwalniającego blokadę.

– Który to, R2? – krzyknął. – Jak się strzela?!

Droid zapiszczał donośnie.

– Który? No który?!

Wcisnął wskazany guzik, ale zamiast strzelić; przyspieszył i wyprzedził maszynę wroga.

– Jejku! – sapnął przerażony, bo teraz to myśliwiec Federacji siedział mu na ogonie i szykował się do oddania salwy. Anakin szarpnął stery i śmignął tuż obok okrętu Federacji, robiąc całą serię uników.

– To nie była blokada! – krzyknął do interkomu. – Włączyłem dopalacze! R2-D2 odpowiedział mu pokornym gwizdnięciem, a tymczasem nieprzyjacielski myśliwiec znów niebezpiecznie się zbliżył. Anakin złożył maszynę w prawy zakręt i zwrócił w stronę kotłujących

się maszyn, a potem odchylił stateczniki w przeciwnych kierunkach i wprowadził statek w korkociąg. R2-D2 wydał z siebie rozpaczliwy wizg.

– Wiem, że mamy kłopoty! – odkrzyknął mu Anakin. – Trzymaj się! Możemy się z tego wyplątać tylko tak, jak się wplątaliśmy!

I pomknął w stronę orbitalnej stacji kontrolnej. Nieprzyjaciel ruszył za nim, ostrzeliwując go z laserów i niewiele brakowało, by trafił. Anakin odczekał jeszcze ułamek sekundy, aż wymalowane na mostku godło Federacji urosło do gigantycznych rozmiarów, a potem wrzucił wsteczny ciąg i znów odbił ostro w prawo.

Jego myśliwiec niemal zawisł nieruchomo i przez jedną przerażającą chwilę zdawało się, że spadnie jak kamień w dół, ale zaraz wyrównał lot. Nieprzyjaciel nie zdążył zareagować na tak gwałtowny manewr, przeleciał bokiem i wbił się w burtę olbrzymiego okrętu.

Anakin ponownie włączył silniki i zawrócił w poszukiwaniu następnych wrogów. W górze mignęła mu grupa myśliwców Naboo, bez wytchnienia ostrzeliwujących okręt flagowy Federacji. – Bravo trzy! – rozległ się w interkombie głos Rica Olie. Bierz środkowy mostek!

– Przyjąłem – odparł pilot i czwórka myśliwców zanurkowała w stronę okrętu wroga. Otworzyli ogień z dział laserowych, ale potężne pole siłowe bez trudu sobie z nimi poradziło. Dwie maszyny zostały trafione ogniem obrony przeciwlotniczej i zmieniły się w kule ognia. Dwie pozostałe zdążyły odskoczyć.

– Mają za silne pole! – krzyknął wściekły pilot jednego z ocalałych myśliwców. – Nie przebijemy się!

Anakin znów znalazł się w opałach – kolejny pilot myśliwca Federacji odkrył jego istnienie i ruszył za nim w pogoń. Chłopiec pchnął drążki do oporu i opadł tuż ponad kadłub okrętu flagowego, kryjąc się w cieniu jego wieżyczek, anten i wypukłości. Strzały bez przerwy rykoszetowały o włos od jego głowy.

Wiem, że to nie zawody ścigaczy! – odkrzyknął gniewnie, gdy robot zapiszczał coś z dezaprobatą, choć w głębi duszy czuł się jak na wyścigach. Przepelniała go radość i uniesienie, gdy przemykał

myśliwcem wzdłuż kadłuba większego okrętu; szybkość i bliskość walki sprawiły, że adrenalina burzyła mu się w żyłach. Za żadne skarby świata nie chciałby teraz być w innym miejscu.

Nagle jednak szczęście przestało mu sprzyjać. Zbliżał się właśnie do rufy okrętu, gdy został poważnie trafiony z lasera. Myśliwiec wpadł w przyprawiający o mdłości korkociąg, R2-D2 zapiszczał rozpaczliwie, a Anakin desperacko starał się zapanować nad maszyną.

– Niech to banthy zeżrą! – syknął pod nosem, mocując się ze sterami. Leciał prosto w stronę kadłuba olbrzymiego okrętu, zmniejszył więc moc i przeszedł w łagodny ślizg, za późno jednak, by zawrócić. Skierował więc maszynę wprost w ziejący w burcie okrętu otwór. Znów zagrały działa laserowe, gdy obrona przeciwlotnicza usiłowała go zestrzelić, ale w ułamku sekundy przemknął obok nich i wpadł do przestronnego głównego hangaru. Włączył wsteczny ciąg i omijając rozrzucone wszędzie transportery, czołgi, myśliwce i sterty zaopatrzenia rozglądał się za miejscem do lądowania. R2-D2 zagwizdał donośnie.

– Próbuję się zatrzymać! – odparł Anakin; – Cały czas! Myśliwiec uderzył o podłogę i odbił się od niej. Silniki wciąż hamowały go z pełną mocą, ale zamykająca hangar gródź zbliżała się niebezpiecznie szybko. Chłopiec pchnął więc statek na ziemię. Łoskot przeniknął go do szpiku kości, ale utrzymał myśliwiec przy ziemi i ze zgrzytem przejechał jeszcze kilkanaście metrów. Wreszcie statek zwolnił, zrobił półobrót i znieruchomiał. Silniki umilkły. R2-D2 gwizdnął z ulgą.

– Już dobrze, wszystko w porządku – uspokajał Anakin samego siebie. – Siedzimy. Włącz silniki i uciekajmy stąd! – Zanurkował, żeby przestawić przepustnice na przewodach paliwowych i obrzucił pulpity niewesołym spojrzeniem. – Wskaźniki są czerwone, R2. Przegrzaliśmy wszystkie układy. Zaczął grzebać przy układzie chłodzenia, gdy nagle usłyszał ostrzegawczy pisk robota. Wyjrzał na zewnątrz ponad krawędzią kabiny. – O rety! – mruknął cicho.

Dziesiątki robotów bojowych zbliżało się do statku z bronią w rękach. Odcięły mu jedyną drogę odwrotu.

ROZDZIAŁ

23

Obi-Wan Kenobi krążył niespokojnie po pierwszym odcinku korytarza serwisowego jak drapieżnik w klatce. Był zły na siebie, że dał się oddzielić od Qui-Gona i wściekły na niego, że zamiast zaczekać, pobiegł przodem i do tego dopuścił. W głębi duszy sam przed sobą musiał przyznać, że się martwi: dawno powinni byli zwyciężyć Sitha. Z każdym innym już by sobie poradzili, ale ten przeciwnik przerastał o głowę wszystkich, których zdarzyło im się spotkać. Odpowiadał nieustępliwie ciosem za cios i upływający czas wcale nie przybliżył ich do wygranej.

Spojrzał w korytarz, starając się ocenić dystans, jaki będzie miał do pokonania, gdy lasery zostaną wyłączone. Widział, jak zgasły na ułamek sekundy, gdy biegł jeszcze za Qui-Gonem, a potem natychmiast rozbłysły ponownie. Będzie musiał się spieszyć, i to bardzo. Nie mógł znieść myśli, że mistrz miałby sam zmierzyć się z tym wytatuowanym szaleńcem.

Uwięziony pomiędzy dwoma laserowymi barierami Qui-Gon Jinn klęczał pochylony nad mieczem, pogrążony w medytacyjnym transie, zwrócony twarzą w stronę Sitha i kadzi. Zbierał siły przed ostatnim atakiem, starając się dostroić do Mocy. Obi-Wanowi nie podobało się zmęczenie, które umiał wyczytać w zgarbieniu pleców i pochyleniu ramion swojego mistrza. Qui-Gon był wprawdzie najlepszym szermierzem, jakiego zdarzyło mu się oglądać, ale wiek robił swoje.

Sith tymczasem opatrywał sobie rany, wyzierające spod osmalonej, gdzieniegdzie pociętej tuniki. Cofnął się na skraj

ostatniego sektora korytarza i niemal nie spuszczał wzroku z Qui-Gona. Położył miecz na podłodze. Zauważywszy, że Obi-Wan go obserwuje, uśmiechnął się lekceważąco. Lasery dzielące korytarz na pięć części zgasły.

Obi-Wan rzucił się naprzód ze wzniesionym do ciosu mieczem. Qui-Gon również poderwał się na nogi i pędził na spotkanie lorda Sith. Spadł na niego z impetem i wypchnął go z korytarza na okalającą kadź wąską półkę. Obi-Wan przyspieszył z krzykiem, jakby dźwięk jego głosu mógł zatrzymać przeciwnika, gdy wtem usłyszał buczenie kondensatorów i laserów, które budziły się do życia. Nadal znajdował się zbyt daleko od końca korytarza – udało mu się minąć wszystkie bariery – oprócz ostatniej, która osadziła go w miejscu o krok od wyjścia.

Ściskając oburącz miecz patrzył więc bezradny, jak Qui-Gon Jinn i Darth Maul walczą na wąskim pomoście, biegnącym dookoła kadzi do topienia metalu. Dzielił go od nich strumień elektronów, ale równie dobrze mógłby teraz znajdować się za permabetonową ścianą o grubości trzech metrów. Rozejrzał się w poszukiwaniu wyłącznika, ale i tym razem nie dopisało mu szczęście. Mógł więc tylko patrzeć i modlić się, żeby Qui-Gon nie uległ przeciwnikowi. Wszystko wskazywało na to, że Jedi faktycznie zwycięży.

Podczas medytacji znalazł w sobie rezerwy sił i atakował teraz z zaciekłością, która wyraźnie speszyła Sitha. Szybkimi, silnymi ciosami wbijał się w obronę przeciwnika, z rozmysłem wchodził do zwarcia, nie pozwalając Sithowi wykorzystać zalet podwójnego ostrza broni. Zepchnął Dartha Maula na skraj pomostu i wciąż go naciskał, zmuszał do obrony, nie dawał wytchnienia; nie był już może młody, ale wciąż należało się z nim liczyć. Na szalonej, wytatuowanej w zygzaki twarzy Sitha pojawił się wyraz niepewności. Znakomicie, mistrzu, pomyślał Obi-Wan, chcąc dodać mu otuchy. Przewidywał cięcia Qui-Gona, zanim jeszcze tamten je wyprowadził, jakby sam je zadawał.

Darth Maul przeskoczył z nienacka ponad kadzią. Zyskał w ten sposób chwilę wytchnienia, choć ledwie zdążył przyjąć postawę obronną, Qui-Gon spadł na niego niczym jastrzęb i już zadawał kolejne ciosy. Samotna walka zaczynała jednak wyczerpywać jego

siły: cięcia nie były już tak szybkie, jak na początku, a po ściągniętej ze zmęczenia twarzy ściekały strużki potu. Z wolna Sith zaczynał coraz skuteczniej odpowiadać na jego uderzenia, przechodził z rozpaczliwej obrony do coraz odważniejszego ataku. – Szybciej! – syknął bezgłośnie Obi-Wan, chcąc siłą woli zmusić lasery do milczenia.

Odpowiadając ciosem na cios, Qui-Gon i Darth Maul przesuwali się po obręczy kadzi raz w jedną stronę, raz w drugą, w boju, który zdawał się trwać wiecznie i w którym na pierwszy rzut oka nie mogło być zwycięzcy. Nagle Sith sparował cięcie w dół, obrócił się wokół własnej osi i stanawszy plecami do Jedi zrobił błyskawiczny wypad w tył, na ślepo. Qui-Gon zbyt późno zorientował się w niebezpieczeństwie i ostrze miecza Maula weszło mu w pierś, przepalając strój, ciało i kości.

Obi-Wanowi wydało się, że słyszy krzyk Qui-Gona, ale to on sam krzyczał z rozpacz, bo jego mistrz nie wydał z siebie ani jednego dźwięku; zeszywniał i cofnął się o krok, gdy Sith wyszarpnął miecz z jego piersi. Przez chwilę jeszcze stał nieruchomo, opierał się siłą śmiertelnego ciosu; ale potem oczy zaszyły mu mgłą, ramiona opadły, a dumne rysy twarzy zmiękły, jakby Jedi nagle poczuł się zmęczony. Opadł na kolana, jego miecz zaś potoczył się na kamienną posadzkę.

Znieruchomiał już, gdy lasery nagle zgasły i rozplomieniony gniewem Obi-Wan Kenobi rzucił się mu na ratunek.

Nute Gunray i Rune Haako w towarzystwie czterech członków Rady Okupacyjnej Federacji Handlowej powitali w sali tronowej kapitana Panakę, jedną z dworek Amidali i sześciu żołnierzy, którzy do końca bronili się przed złapaniem. Eskortę więźniów stanowiło dziesięć robotów bojowych. Wicekról od razu rozpoznał Panakę, nie był jednak pewien, kim jest służąca Amidali. Chodziło mu przede wszystkim o królową, a mimo iż dziewczyna bez wątplenia bardzo ją przypominała, to jednak...

Zdziwił się, ale naprawdę miał przed sobą władczynię Naboo – bez makijażu, bez urzędowych szat, bez atrybutów władzy królewskiej

wyglądała jeszcze młodziej niż zwykle, jednakże spojrzenie lodowatych oczu nie zmieniło się ani na jotę.

Przeniósłszy wzrok na Haako dostrzegł na jego twarzy ten sam wyraz zmieszania i zaskoczenia.

– Wasza Wysokość – rzekł, gdy dziewczynę przyprowadzono bliżej.

– Wicekrólu – odparła, potwierdzając tym samym swoją tożsamość.

Wątpliwości zostały więc rozwiane i Gunray przyjął pozę zwycięzcy, który rozmawia z wziętym do niewoli przeciwnikiem.

– Małe powstanie Waszej Wysokości dobiega końca. Ta żałosna zbieranina wojowników, którą wystawiono przeciw naszym wojskom na południe od miasta, została rozbita. Z Jedi rozprawimy się lada moment, Wasza Wysokość jest zaś moim więźniem.

– Czyżby? – spytała cicho Padmé.

Sposób, w jaki to powiedziała, zaniepokoił Neimoidianina.

W tym jednym słowie było coś wyzywającego, jakby kusiła go, by otwarcie się jej sprzeciwił. Nawet Panaka posłał jej zdumione spojrzenie. – Owszem – przytaknął, zastanawiając się nagle, czy aby czegoś nie przeoczył. – Czas najwyższy, byś położyła kres bezcelowej debacie, którą wszczęłaś na forum Senatu, pani. Proszę natychmiast podpisać traktat. Za drzwiami zrobiło się jakieś zamieszanie, rozległy się strzały, zgrzyty metalu i w jednej chwili Amidala pojawiła się na zewnątrz, w otoczeniu grupy wiernych żołnierzy, którzy właśnie rozbili oddziałek robotów.

– Nie zamierzam nic podpisywać, wicekrólu! – oznajmiła i zaczęła się oddalać. – Już pan przegrał!

Przez chwilę oszołomiony Gunray był niezdolny do wykonania choćby najmniejszego ruchu. Druga królowa? Tym razem prawdziwa: w oficjalnych szatach, z pomalowaną na biało twarzą i ten nie znoszący sprzeciwu głos, który tak dobrze nauczył się rozpoznawać.

– Wy tam! – zwrócił się do sześciu robotów pilnujących Panaki i fałszywej królowej. – Za nią! – Machnął ręką w kierunku znikającej w korytarzu Amidali. – I sprowadźcie ją tutaj. Prawdziwą królową, nie jakiegoś sobowtóra! Roboty wypadły z sali i ruszyły w pościg. W

środku zostali tylko Neimoidianie i cztery ostatnie roboty. Gunray odwrócił się do dworki.

– Wasza królowa nie zdołała mi się wymknąć! – warknął, zły, że dał się oszukać.

Odwaga dziewczyny ulotniła się bez śladu. Służąca spuściła głowę i powłócząc nogami podeszła do tronu, po czym osunęła się nań i oklapła smętnie. Nute Gunray z miejsca o niej zapomniał i przeniósł wzrok na pozostałych Naboo, chcąc jak najszybciej odesłać ich do obozów.

W sekundę później dziewczyna zerwała się żwawo na nogi przygnębienie zniknęło z jej twarzy; w rękach trzymała miotacze, wydobyte ze schowków w oparciach tronu. Rzuciła jeden z nich kapitanowi Panace, a z drugiego otworzyła ogień do czterech pozostałych automatów. Skupione na pilnowaniu gwardzistów roboty dały się zaskoczyć, toteż kapitan i Padmé wyeliminowali ich kilkoma celnymi strzałami, które poniosły się echem po sali tronowej. Wykrzykując żołnierzom polecenia, dworka – jeśli faktycznie była dworką, ale w to Gunray zaczynał już wątpić – skoczyła do drzwi, żeby je zatrzaskać. Zasuwy zaskoczyły, a dziewczyna grzmotną ręką ręką miotacza w zamek. Dopiero wówczas zwróciła uwagę na Neimoidian, którzy zbili się w stadko na środku sali, strzelając oczami na prawo i lewo w poszukiwaniu pomocy, która nie mogła nadejść. Wszystkie roboty leżały strzaskane na ziemi, a żołnierze Naboo zabrali ich miotacze. Dziewczyna podeszła do Gunraya. – Zaczniemy od początku, wicekrólu.

– Wasza Wysokość – rzekł niechętnie. Zbyt późno dostrzegł prawdę Królowa skinęła głową.

– To koniec waszej okupacji Naboo.

– Wasza Wysokość żartuje – upierał się przy swoim Gunray.

– Macie za mało ludzi. Wkrótce setki robotów dotrą tu, by nas uwolnić. – Nie skończył jeszcze mówić, a już zza drzwi doleciał łoskot ciężkich, metalowych gaśnic i chrzęst prostujących się ciał automatów. Wicekról pozwolił sobie na pełen satysfakcji uśmiešek. – Widzicie, Wasza Wysokość? Już przybyły nam na ratunek. Królowa obrzuciła go nieprzyjaznym spojrzeniem.

– Zanim przebiją się przez drzwi, zdążymy wynegocjować nowy traktat, wicekrólu. A pan go podpisze.

Laserowa zaporą znikła i Obi-Wan wypadł z tunelu do komory z kadzią. Porzuciwszy wszelką troskę o własne bezpieczeństwo, dopadł Dartha Maula z takim impetem, że niewiele brakowało, a obaj spadliby z gzymsu. Ciął mieczem jak opętany, jakby jego życie zupełnie się nie liczyło; wzrok przesłoniła mu czerwona mgiełka złości i smutku, że nie zdołał zapobiec porażce Qui-Gona.

Zaskoczony Sith dał się początkowo odepchnąć i bronił się tylko, cofając pod ścianę. Tam dopiero stawił młodemu Jedi zdecydowany opór i próbował zachować wygodny do obrony dystans. Miecze świetlne zderzały się zgrzytliwie, a echo niosło ten dźwięk po całym pomieszczeniu. Darth Maul zrobił jeden wypad, potem drugi, uskoczył i przeszedł do ofensywy, usiłując ciąć jednym z dwóch ostrzy w nogi Obi-Wana. Kenobi, mimo że nie tak doświadczony, jak Qui-Gon, był jednak szybszy i przewidując wszystkie ciosy przeciwnika skutecznie ich unikał.

Przemierzyli pół obwodu gzymsu, zagłębiali się we wnęki i zaułki, skryte w cieniu boczne korytarze i uskakiwali za obudowy przewodów. Obi-Wan dwukrotnie pośliznął się i przewrócił. Za pierwszym razem Sith natarł na niego z taką siłą, że ostrze jego miecza osmałiło tunikę młodego rycerza. Tylko dzięki wymierzonemu w tors Maula pchnięciu Obi-Wan zyskał dość czasu, by odturlać się na bok i wstać z podłogi.

Przesunęli się znów w pobliże tunelu serwisowego, mijając po drodze znieruchomiłego Qui-Gona i zapędzili się w plątaninę rur Klimatyzacyjnych. Z uszkodzonych przewodów trysnęła para, w powietrzu zaś unosiła się po chwili ostra woń palonej izolacji. Darth Maul, czerpiąc siłę wprost z Mocy, zaczął ciskać w Obi-Wana różnymi ciężkimi przedmiotami, które akurat znalazły się w pobliżu. Chciał wytrącić go z równowagi, przeszkodzić mu w płynnym, nieustannym ataku. Kenobi odpowiedział mu tym samym i improwizowane, zabójcze pociski zaczęły gęsto śmigać w powietrzu. Obaj walczący

odbijali je ciosami mieczy; rykoszetujący o kamień metal dźwięczał jazgotliwie w przestronnym wnętrzu.

Pojedynek trwał i chwilowo miał wyrównany przebieg, ale to Darth Maul był silniejszym z dwójki walczących, a w dodatku powodowało nim szaleństwo, z którym determinacja Obi-Wana nie mogła się równać. Jedi zaczynał się męczyć; krok po kroku oddawał pole i czuł, że słabnie. Zaczął się bać, uświadomiwszy sobie, co oznaczałaby jego przegrana.

Nigdy! – Powiedział sobie w duchu i wspomniął słowa Qui-Gona: Nie koncentruj się na własnym lęku. Skup się na chwili obecnej. Ze wszystkich sił starał się tak właśnie uczynić, uciszyć sprzeczne emocje, które tak mu ciążyły. – Pamiętaj o żywej Mocy, młody padawanie. Bądź silny. Czując, że zwycięstwo mu się wymyka, a sił z każdą chwilą ubywa, Obi-Wan rzucił się do ostatniego ataku. Odepchnął Sitha serią ciosów i zmusił go do zablokowania miecza w pozycji poziomej, a potem zrobił zwód w prawo i ciął z taką siłą, że odłamał jedno z ostrzy broni Maula.

Ryknął triumfalnie i zadał kończący cios prosto w głowę przeciwnika. Chybił całkowicie.

Sith przewidział jego manewr i w odpowiednim momencie uskoczył przed mieczem Obi-Wana, po czym odczepił uszkodzoną połówkę własnej broni i uderzył z całej siły. Kenobi zachwiał się, Maul zaś, nie dając mu złapać równowagi, ponowił atak. Tym razem Obi-Wan przewrócił się, wypuścił miecz z ręki i spadł z gzymsu. Przez ułamek sekundy spadał wprost do kadzi, a potem desperacko wyciągnął ręce i chwycił metalową poprzeczkę, umieszczoną tuż pod krawędzią zbiornika.

Zawisł bezradny w dole i patrzył na triumfującego Sitha.

Zerknąwszy na otaczające myśliwiec roboty, Anakin znów ukrył się w kabinie przed ich wzrokiem. Gdyby mógł, najchętniej wtopiłby się w kadłub i siłą woli przeniknął przez podłogę hangaru, byle znaleźć się w jakimś bezpieczniejszym miejscu.

– Nie jest dobrze! – stwierdził.

Pot perlił mu się na czole, gdy rozmyślał co dalej robić. Był jeszcze chłopcem, ale miał doświadczenie w radzeniu sobie z kłopotami i umiał zachować zimną krew. Żeby tylko coś wymyślić!

Szybkim rzutem oka ocenił główny pulpit i panele pomocnicze: wszędzie czerwone lampki. Nie ma co na nie liczyć.

– R2 – szepnął. – Układy przegrzane: Możesz coś zrobić? Gdzieś blisko rozległy się kroki.

– Gdzie jest pilot? – spytał metalicznym głosem któryś z automatów. R2-D2 zapiszczał coś odważnie w odpowiedzi. – Ty jesteś pilotem?

Mały robot gwizdnął potakująco. Na moment zapadła cisza.

– Proszę okazać dokumenty – rozkazał dowódca strażników, wróciwszy do ustalonej procedury.

Anakin słyszał pstryknięcia przełączników i buczenie uruchamianych obwodów; R2-D2 robił wszystko, żeby ocalić im skórę. Stary, dobry R2. Robot pisnął coś i na oczach chłopca lampki na panelach zamigały zielono.

– Świetnie, R2! – syknął cicho. – Wszystko działa! Uruchomił zapłon. Ryknęły silniki, a Anakin wskoczył na fotel i złapał za stery.

Na jego widok dowódca strażników uniósł broń do strzału.

– Natychmiast opuść kabinę. W przeciwnym wypadku unieszkodliwimy maszynę.

– Nie ma mowy! – Anakin uruchomił ochronne pola. – Tarcze włączone! Zwolnił podnośniki antygravitacyjne i szarpnął stery. Myśliwiec poderwał się z podłogi i odepchnął robota, którego podwładni od razu zaczęli strzelać, ale promienie laserów rozpraszają się nieszkodliwie na tarczy maszyny. R2-D2 zapiszczał z triumfem.

– Działka odblokowane! – krzyknął uradowany Anakin. Teraz im pokażemy!

Wcisnął spust laserów i przytrzymał go dłużej, obracając statek wokół własnej osi. Działka ścinały nieprzygotowane na atak automaty, zanim robotom przyszło do głowy, że mogłyby się gdzieś schronić. Anakin nie posiadał się z radości, że znów kontroluje sytuację. Wyczyścił hangar z robotów i zniszczył większość znajdujących się w nim statków i towarów. Niedobitki automatów

wycofały się do bezpiecznych kryjówek.

Nagle na końcu długiego korytarza coś się poruszyło, coś na kształt cienia, choć bardziej materialne. Wrodzone instynkty obudziły się w Anakinie ze zdwojoną mocą. Nie wiedział, czy ma przed sobą broń, jakąś maszynę czy coś jeszcze innego, ale nie miało to znaczenia: znów był na wyścigach i walczył z Sebulbą, widział to, co pozostawało ukryte przed wzrokiem innych i reagował bez namysłu. Teraz też uczynił podobnie: odpowiedział na nalegania głosu, który w teraźniejszości szeptał mu o przyszłych wydarzeniach. Lewa ręka, jakby wiedzona niezależnym impulsem, odsunęła się od spustu laserów i przeczuciła dwustopniowy przełącznik. Dwie torpedy śmignęły w korytarz na spotkanie cienia. Wyminęły roboty, sterty skrzyń, kilka pojazdów i zniknęły w głębi szerokiego szybu wentylacyjnego. Anakin jęknął. – Cholera! W nic nie trafiłem!

Nie namyślając się dłużej obrócił myśliwiec i pchnął przepustnice. Silniki zagrały zgodnym rykiem, a statek przemknął nad podłogą hangaru, roztrącił stojące mu na drodze roboty i wystrzelił w kosmos. Okręt posłał za nim salwę ognia z dział przeciwlotniczych:

Darth Maul podszedł wolno do brzegu kadzi. Po twarzy ściekał mu pot, żółte oczy płonęły radością: walka dobiegła końca. Drugi Jedi zaraz zginie. Sith uśmiechnął się i przełożył z ręki do ręki ułamany miecz świetlny. Chciał jak najdłużej cieszyć się chwilą.

Nie spuszczając z niego wzroku, Obi-Wan zajrzał w głąb własnej istoty, by połączyć się w jedno z Mocą, którą tak usilnie starał się zrozumieć. Uspokoił się, ukoił drżenie serca, wyzbył się gniewu i strachu i odwołał się do ostatnich rezerw siły, jakie jeszcze tkwiły w jego organizmie. Wyznaczywszy sobie jasny cel, z czystym sercem wyskoczył z kadzi i stanął na jej krawędzi. Natchniony Mocą bez trudu pokonał tę odległość i wykonawszy salto w powietrzu miękko wylądował za plecami Maula. Lądując przywołał do wyciągniętej ręki miecz Qui-Gona.

Darth Maul odwrócił się w miejscu, żeby stawić mu czoło; na jego twarzy odmalowało się zdumienie i wściekłość, ale zanim zdążył

zareagować, Obi-Wan ciął go w pierś. Trafiony Sith zawył z bólu i niedowierzania. Kenobi odwrócił się, wyłączył miecz i patrzył, jak jego niedawny wróg spada do kadzi.

– Jejku, to lepsze niż ścigacze! – wykrzyknął Anakin pod adresem R2-D2. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i lecąc zygzakiem starał się uniknąć trafienia z laserów okrętu flagowego.

Za jego plecami robot astromechaniczny świergotał i popiskiwał, jakby przepaliły mu się wszystkie obwody, ale chłopiec go nie słuchał; skręcał i szarpał myśliwcem na boki, kierując się ku Naboo, jak najdalej od okrętu Federacji.

Z głośników dobiegł zaskoczony głos jednego z pilotów królowej:

– Halo, dowódca Bravo, co się dzieje z tą stacją dowodzenia? Ułamek sekundy później kabinę Anakina zalała powódź oślepiająco białego światła. Zerknąwszy przez ramię ujrzał, jak statkiem, z którego dopiero co uciekł, wstrząsa seria wybuchów. Olbrzymie odłamki odrywały się od kadłuba i koziółkowały w przestrzeni kosmicznej.

– Rozpada się od środka! – wykrzyknął głos w interkomie.

– To nie my, Bravo dwa – wtrącił Ric Olie. – Nie trafiliśmy ani razu.

Okręt Federacji rzeczywiście rozlatywał się coraz szybciej; eksplozje targały nim, ogień go pochłaniał, aż wreszcie cała stacja zmieniła się w jedną wielką kulę ognia.

Szczałki statku śmignęły nad kabiną Anakina i błysk eksplozji przybladł. – Tam! – krzyknął nagle Bravo dwa. – Przy głównym hangarze! To ktoś z naszych! To on musiał trafić!

Anakin się skrzywił; miał nadzieję, że uda mu się wrócić na planetę i uniknąć składania Qui-Gonowi wyjaśnień, co też porabiał na orbicie Naboo. Niestety, nic z tego; R2-D2 zbeształ go po swojemu.

– Wiem o tym, wiem – mruknął przygnębiony chłopiec, zastanawiając się, jakiej to biedy napytał sobie tym razem.

Strzały miotaczy łomotały o drzwi sali tronowej w pałacu królowej

Amidali. Kapitan Panaka i jego ludzie zajęli dogodne pozycje po bokach, gotowi ostrzelać roboty, gdy tylko te przebiją się do środka. Nute. Gunray miał ochotę znaleźć się poza zasięgiem ich broni, ale królowa nieustępliwie stała przed nim twarzą w twarz i celowała mu z miotacza w brzuch. Wolał nie prowokować nerwowych działań z jej strony, stał więc jak wrośnięty w ziemię, wraz z przedstawicielami Rady Okupacyjnej.

Nagle wszystko ucichło. Zza drzwi nie dobiegały żadne odgłosy – ani strzałów, ani ruchu robotów.

Panaka spojrzał niepewnie na królową. – Co się dzieje?

Amidala, nie odrywając wzroku od wicekróla, pokręciła głową. – Sprawdźcie łączność i włączcie ekrany.

Dowódca straży wypełnił jej polecenie. Oczy zebranych skupiły się na nim, gdy wyostrzył obraz z zewnętrznych kamer.

Na łące na południe od Theed gungańska armia została pokonana. Część Gungan uciekła na kaadu i schowała się na bagnach, część zaszyła się wśród wzgórz na wschodzie, ale wszystkich tropiły już, roboty na STAP-ach i czołgi Federacji. Małe były szanse, by mogli przez dłuższy czas się ukrywać. Większość żołnierzy generała Ceela, pośród nich także Jar Jar Binks, trafiła do niewoli. Stał teraz w grupie oficerów, do której trafił także główny dowódca armii. Wszędzie dookoła roboty pędziły przed sobą gungańskich wojowników. – Bardzo źle – zauważył Jar Jar ponuro. Równie zasepiony generał pokiwał głową. – Mieć nadzieję, że królowej się to przydać.

Binks westchnął. I Anniemu, i Quiggonowi, Obi-Oan, R2 i wszystkim pozostałym – pomyślał. Zastanawiał się, co się z nimi stało: czy też ich pojmano? Nagle przypomniał mu się Boss Nass, któremu wcale się to nie spodoba. Jar Jar miał nadzieję, że nie uznają go za winnego porażki, ale nie mógł wykluczyć takiej możliwości.

Nagle wszystkie roboty zaczęły dygotać, jeździć w kółko i kołysać się, jakby nastąpiło krótkie spięcie i zablokowały im się przekładnie. Czołgi wyhamowały gwałtownie, STAP-y – zaryły w ziemię. Zapanował całkowity bezruch.

Jar Jar i generał wymienili zdziwione spojrzenia: armia droidów znieruchomiała. Jak okiem sięgnąć, wszystkie roboty stały beczynn timer. Jeńcy gapili się bezradnie na metalowych strażników, aż wreszcie, na polecenie generała, Jar Jar podszedł do najbliższego z nich i pchnął go palcem. Ten przewrócił się sztywno na ziemię i legł nieruchomo.

– Wariactwo – wyszeptał Jar Jar. Nie miał zielonego pojęcia, co się, u licha, dzieje.

Obi-Wan nie rozważał zbyt długo kwestii kosztów, jakimi okupione zostało zwycięstwo nad Darthem Maulem, lecz czym prędzej skoczył do Qui-Gona.

Uklęknął przy nim, i położył sobie jego głowę na kolanach.

– Mistrzu! – wyszeptał. Qui-Gon otworzył oczy.

– Za późno, mój młody padawanie.

– Nie! – Obi-Wan pokręcił zapalczywie głową.

– Musisz teraz być gotowy, bez względu na to, co twierdzi Rada. Musisz zostać nauczycielem. – Grymas bólu wykrzywił twarz starszego rycerza, ale spojrzenie ciemnych oczu wciąż spoczywało na Kenobim. – Obiecuj mi, Obi-Wanie, że zajmiesz się szkoleniem chłopca.

Młodszy Jedi odruchowo, bez namysłu kiwnął głową, gotów uczynić wszystko, co tylko mogłoby zmniejszyć cierpienie Qui-Gona.

– Dobrze, mistrzu.

Oddech Qui-Gona stał się płytszy, szybszy.

– Jest wybrańcem, Obi-Wanie. Wprowadzi równowagę w Mocy. Nauczaj go dobrze.

Spojrzał ostatni raz na Kenobiego i oczy mu się zaszklily.

Przestał oddychać. Resztki sił i życia opuściły jego ciało.

– Mistrzu – powtórzył Obi-Wan i przycisnął nieruchomego Qui-Gona do piersi. Zapłakał cicho. – Mistrzu.

ROZDZIAŁ

24

Trzy dni później Obi-Wan Kenobi znalazł się w małej kaplicy w theedańskiej świątyni, gdzie odprawiano uroczystości żałobne po śmierci bohaterów i wspominano ich dokonania. Ciało Qui-Gona, wystawione na katafalku na placu przed kaplicą, oczekiwało kremacji. Urzędnicy i szarzy obywatele, przedstawiciele zarówno Naboo, jak i Gungan, gromadzili się już, by oddać mu cześć.

W życiu tych, którzy walczyli o wolność Naboo, wiele się zmieniło. Po unieszkodliwieniu armii robotów Federacja Handlowa straciła kontrolę nad planetą; wszystkie transportery, czołgi, STAP-y, cała broń i zaopatrzenie trafiły w ręce Republiki. Wicekról Nute Gunray, jego adiutant Rune Haako i pozostali członkowie Rady Okupacyjnej zostali odesłani na Coruscant, gdzie miał się odbyć ich proces. Senator Palpatine, wybrany na stanowisko Wielkiego Kanclerza Republiki, obiecał, że wymiar sprawiedliwości szybko rozpatrzy sprawę i ukarze winnych.

Amidala ostatni raz przechytryła Neimoidian, udając że się poddaje, dzięki czemu spotkała się z wicekrólem i uniemożliwiła mu ucieczkę. Przez komunikator wydała Sabe rozkaz, by wycofała się z toczącej się kilka pięter niżej strzelaniny i tajnym przejściem udała do królewskich apartamentów, a potem pokazała się wicekrólowi. Było to zagranie ryzykowne, bo Sabe mogła nie zdążyć do sali tronowej; Amidala zamierzała w takiej sytuacji sama skorzystać z sekretnego przejścia i wywalczyć sobie drogę do wolności. Młody wiek królowej nie wiązał się bynajmniej z brakiem odwagi, a Amidala wykazała się

ponadto niezwykłym intelektem i przenikliwością już od pierwszego spotkania z Jedi. Obi-Wan sądził, że będzie dobrą władczynią.

Ale to dziewięcioletniemu chłopcu zawdzięczali ocalenie. Nie bardzo wiedząc, co robi, Anakin Skywalker przeprowadził myśliwiec przez obronę i tarcze Federacji, wylądował w samym środku neimoidiańskiego okrętu flagowego i ostrzelał torpedami reaktor, czym wywołał reakcję łańcuchową, która doprowadziła do zniszczenia orbitalnej stacji kontrolnej. Właśnie zniszczenie głównego nadajnika spowodowało, że armia robotów zamarła w bezruchu na równinie. Anakin twierdził, że nie miał żadnego gotowego planu ataku, a kiedy odpalił torpedy, nie planował trafić w żaden reaktor; po wysłuchaniu chłopca i zadaniu mu wielu dodatkowych pytań Obi-Wan uznał, że kierowało nim coś więcej, niż logiczne rozumowanie. Niezwykle wysokie stężenie midichlorianów pozwalało mu osiągnąć stopień zespolenia z Mocą, do jakiego nie są zdolni nawet tacy mistrzowie zakonu, jak sam Yoda. Qui-Gon się nie mylił: Anakin Skywalker rzeczywiście był wybrańcem.

Obi-Wan przechadzał się w tę i z powrotem po pokoju. Przebrał się przed pogrzebem w luźną, piaskowego koloru pelerynę Jedi, a do pasa przypiął miecz świetlny Qui-Gona, który teraz stał się jego własnym. Członkowie Rady Jedi przybyli na Naboo; by uczestniczyć w uroczystościach żałobnych i jeszcze raz przesłuchać Anakina. Teraz właśnie z nim rozmawiali, starając się uwzględnić przed podjęciem decyzji wydarzenia, które zaszły ostatnio na Naboo. Obi-Wan, miał nadzieję, że zmienią zdanie; nie wyobrażał sobie, żeby mogło stać się inaczej.

Zatrzymał się wpół kroku i zapatrzył w dal. Przyszedł mu na myśl Qui-Gon Jinn, jego mistrz, nauczyciel i przyjaciel, którego zawiódł, ale którego dzieło będzie kontynuował. Odda mu cześć wypełniając daną mu obietnicę, że bez względu na okoliczności zajmie się szkoleniem chłopca.

Posłuchaj sam siebie – pomyślał i uśmiechnął się smutno. – Mówisz już tak samo jak on.

W otwartych nagle drzwiach stanął Yoda. Powłócząc nogami, wsparty na lasce wszedł do pokoju. Jak zwykle, miał przymrużone

oczy i zamyśloną twarz.

– Mistrzu – powiedział Obi-Wan i ukłonił mu się z szacunkiem. Yoda skinął głową.

– Rangę rycerza Jedi Rada ci nadaje. Decyzję co do losów chłopca podjęła również, Obi-Wanie – rzekł uroczyście.

– Przejdzie szkolenie? Yoda nastawił ciekawie uszy i uchylił lekko powieki. – Niecierpliwy jesteś. Takiś pewien Rady decyzji?

Obi-Wan chciał coś powiedzieć, ale tylko ugryzł się w język. Czekał, Yoda zaś bacznie go obserwował.

– Wielkim wojownikiem Qui-Gon był – zbulgotał Yoda smutno. – O wiele więcej osiągnąć mógł, gdyby pochopny taki nie był. Wolniej iść przez życie musisz, Obi-Wanie.

– Pierwszy dostrzegł i zrozumiał w chłopcu to, czemu wszyscy zaprzeczali.

– Obi-Wan nie ustępował.

Yoda jednak pokręcił tylko głową.

– Szybko tak nie osądzaj. Nie wszystkim zrozumienie jest; nie wszystko naraz odsłonić się udaje. Lata trwa, zanim Jedi zostaniesz, ale więcej jeszcze, zanim z Mocą się zjednoczysz.

Przesunął się pod okno i stanął w plamie złocistego światła.

Słońce chyliło się ku zachodowi; nadchodził czas pożegnania Qui-Gona. – Decyzję Rada podjęła – oznajmił cicho Yoda, patrząc w dal. – Uczyć chłopca należy.

Obi-Wan poczuł przyptyw ulgi i radości i pozwolił sobie na uśmiech, który nie uszedł uwagi Yody.

– Zadowolony jesteś? Pewien, że słuszne to? – Na pomarszczonej twarzy mistrza odmalowała się troska. – Niepewna przyszłość chłopca pozostaje, Obi-Wanie. Błędem szkolenie jest.

– Ale przecież Rada...

– Tak, podjęła decyzję. – Oczy Yody znów uchyliły się nieco szerzej. – Nie zgodzić się z nią muszę.

Zapadła cisza, w której Jedi patrzyli sobie w oczy, wsłuchani w dźwięki towarzyszące przygotowaniom do pogrzebu Qui-Gona. Obi-Wan nie wiedział co powiedzieć. Najwidoczniej Rada doszła do porozumienia wbrew zaleceniom Yody – sam ten fakt był już

wystarczająco niezwykły. A skoro mistrz uznał za stosowne przedstawić mu te wątpliwości, to rzeczywiście los młodego Skywalkera musiał go martwić.

– Wezmę chłopca pod opiekę jako mojego padawana, mistrzu – rzekł ostrożnie Obi-Wan. – Będę go szkolił najlepiej, jak potrafię, ale nie zapomnę o tym, co od ciebie usłyszałem. Zachowam ostrożność, zapamiętam twoje ostrzeżenie i będę bacznie nadzorował jego postępy w nauce.

Yoda patrzył na niego chwilę w milczeniu, po czym skinął głową.

– Swoją obietnicę pamiętaj więc, młody Jedi – rzekł wreszcie. – Wystarczy to.

Obi-Wan skłonił się na znak zrozumienia – Nie zapomnę jej. Razem wyszli na zalany światłem plac.

Zapalono stos pogrzebowy i rozszerzające się płomienie otoczyły ciało Qui-Gon Jinn. Ci, którym pozwolono oddać mu cześć, stanęli wokół katafalku: znalazła się wśród nich królowa Amidala, jej służące, Wielki Kanclerz Palpatine, gubernator Sio Bibble, kapitan Panaka i licząca stu żołnierzy gwardia honorowa. Po przeciwnej stronie miejsca zajęli Boss Nass, Jar Jar Binks i dwudziestka gungańskich wojowników. Koło zamykali członkowie Rady Jedi z Yodą i Mace Windu na czele oraz grupa rycerzy, którzy najdłużej i najlepiej znali Qui-Gona.

Anakin Skywalker stał obok Obi-Wana i walczył z napływającymi mu do oczu łzami.

Długi grzmot bębnow towarzyszył płomieniom, które spopielaly zwłoki Qui-Gona. Kiedy ogień pochłoniął go ostatecznie, wypuszczono stado białych gołębi, które wzbiły się w czerwone od zachodzącego słońca niebo. Zatrzepotały skrzydłami i zniknęły w półmroku.

Obi-Wan złapał się na snuciu wspomnień. Od dziecka uczył się u innych Jedi, naj dłużej u Qui-Gon Jinn, którego teraz zabrakło. Pewien etap zamknął się i Kenobi rozpoczynał nowe życie: nie był już padawanem, lecz prawdziwym rycerzem Jedi. Wszystko, co wydarzyło się do tej pory, znalazło się za zamkniętymi na wieki

drzwiami. Trudno było mu się z tym pogodzić, chociaż zarazem czuł dziwną ulgę.

Spojrzał w dół, na stojącego obok Anakina. Chłopiec patrzył w ogień i szlochał cicho. Obi-Wan położył mu rękę na ramieniu. – Zjednoczył się z Mocą, Anakinie. Musisz pozwolić mu odejść.

Chłopiec pokręcił głową. – Brakuje mi go.

– Mnie też. Nigdy go nie zapomnę, ale on już nie wróci. Anakin otarł łzy z twarzy. – Co teraz ze mną będzie? Dłoń Obi-Wana zacisnęła się na jego barku.

– Ja cię będę szkolił, tak jak robiłby to Qui-Gon. Jestem twoim mistrzem, Anakinie. Będziesz się uczył pod moim okiem i pewnego dnia, obiecuję ci to, zostaniesz rycerzem Jedi.

Chłopiec niemal niedostrzegalnie się wyprostował, a zamyślony Obi-Wan pokiwał głową. Qui-Gon, gdziekolwiek był, pewnie się teraz uśmiechał. Po drugiej stronie stosu Mace Windu stał obok Yody i patrzył, jak Obi-Wan rozmawia z Anakinem.

– Jedno życie w zakonie kończy się, drugie się zaczyna powiedział cicho, jak gdyby sam do siebie.

Yoda zgarbił się, oparł na powykęcanej lasce i pokręcił głową. – Nie taki pewien tego jestem jak Qui-Gon. Stroskany chłopiec jest. Trudnych wyborów cieniem spowity.

Mace Windu skinął głową; znał zdanie Yody, ale decyzja Rady była nieodwracalna.

– Obi-Wan dobrze go wyszkoli – powiedział zmieniając temat. – Qui-Gon miał rację: jest do tego gotowy.

Obaj wiedzieli, czego dokonał młody padawan w walce z Sithem, po tym, jak Qui-Gon został śmiertelnie ranny. Taki akt wymagał niezwyklej odwagi i siły woli; tylko rycerz Jedi, w pełnej zgodzie z Mocą mógł pokonać takiego przeciwnika. Jego czyn przeszedł najśmielsze oczekiwania Rady. – Swą gotowość tym razem wykazał – przyznał ponuro Yoda. – By szkolić chłopca gotowym może nie być.

– Zwycięstwo w walce nad Sithem dowodzi, że jest – upierał się przewodniczący Rady, nie spuszczając wzroku z Anakina i Obi-Wana. – A co do tego nie ma wątpliwości: ten, komu stawiał czoło, był Sithem. Yoda mrugnął.

– Zawsze dwóch jest, nie mniej i nie więcej. Mistrz jest i uczeń.
Mace Windu pokiwał głową.

– Który w takim razie zginął: uczeń czy mistrz?

Spojrzeni po sobie, lecz żaden nie umiał odpowiedzieć na to pytanie.

Tej samej nocy Darth Sidious stał samotnie na balkonie ponad miastem, niczym cień w powodzi migoczących świateł. Na jego twarzy gościł złowrogi wyraz: Darth Sidious rozpamiętywał stratę ucznia. Przygotowanie Maula do roli lorda Sith zajęło mu wiele lat. Maul przewyższał umiejętnościami rycerzy Jedi, z którymi się spotkał i powinien ich być bez trudu pokonać, ale zwyczajnie nie miał szczęścia. Jego śmierć była wynikiem tak niekorzystnego zbiegu okoliczności, jakiemu czasem nawet Ciemna Strona nie mogła się przeciwstawić. Przynajmniej nie tak szybko.

Zmarszczył brwi: należało znaleźć następcę Dartha Maula.

Musi wychować sobie nowego ucznia, a to wymaga zachodu.

Oparł dłonie na balustradzie tarasu. Jedno nie ulegało wątpliwości: ci, którzy doprowadzili do jego śmierci, odpowiadają za to; on, Darth Sidious, nie zapomina o tych, którzy stanęli mu na drodze; Wszyscy tego pożałują. W jego oczach pojawił się błysk ożywienia: w końcu i tak udało mu się osiągnąć główny cel, a to usprawiedliwiało nawet stratę Maula i teraz będzie czekał na swoją szansę, budując podwaliny pod przyszłe zwycięstwo. Na jego wąskich wargach wykwitł przelotny uśmiech. Dzień zapłaty nie był wcale taki odległy.

Następnego dnia w Theed odbyła się wspaniała parada z okazji zwycięstwa nad najeźdźcami z Federacji Handlowej oraz na cześć nowo zawartego przymierza Gungan i Naboo, a także wszystkich tych, którzy walczyli o wolność planety. Tłumy wyszły na ulice, by oklaskiwać i witać śpiewem gungańskich jeźdźców na kaadu i żołnierzy na śmigaczach. Fambaa kroczyły dostojnie, odziane w jedwabie i haftowane uprząże i bez przerwy kręciły głowami,

rozglądając się na boki. Tu i ówdzie unosił się w powietrzu zdobyczny czołg federacji z zatkniętymi we włazy i w lufę flagami. Na czele Gunganjechali generał Ceel i jar Jar – tym razem Binkswi udało się przez całą defiladę nie spaść z grzbietu kaadu, choć na najbliższych sąsiadach sprawiał wrażenie, że kosztuje go to wiele wysiłku.

Kapitan Panaka i strażnicy królowej stali u szczytu schodów na głównym placu i obserwowali zbliżający się pochód. Kapitan z dumą prezentował swój świeżo odprasowany mundur z wypolerowanymi epoletami.

Anakin Skywalker i Obi-Wan Kenobi stali tuż obok królowej. Chłopiec czuł się tu bardzo nie na miejscu, chociaż parada strasznie mu się podobała i było mu miło, że urządzono ją między innymi na jego cześć. Myślni jednak błędził gdzie indziej.

Myślał o Qui-Gonie, który po śmierci zespolił się z Mocą.

I o Padmé, która prawie się do niego nie odzywała, odkąd Rada Jedi wyraziła zgodę na jego szkolenie.

I o domu rodzinnym, do którego mógł już nigdy nie wrócić. I o matce – żałował, że nie może go teraz zobaczyć. Przywdział szaty padawana Jedi, ucznia, który ma w przyszłości zostać rycerzem zakonu. Miał też krótko, po padawańsku, przycięte włosy.

Osiągnął znacznie więcej, niż marzyło mu się, gdy udawał się z Qui-Gonem na Coruscant. Powinien być więc szczęśliwy i zadowolony – i był, ale szczęście i satysfakcję mącił mu smutek, z którym nie umiał walczyć, żal po stracie Qui-Gona i matki. Stracił ich w różny sposób, ale oboje zniknęli już z jego życia. Qui-Gon zapewnił mu stabilizację w najtrudniejszych po rozstaniu z matką chwilach; po jego śmierci chłopiec poczuł się oderwany od korzeni. Nikt nie potrafił dać mu takiego oparcia, jak Qui-Gon – ani Obi-Wan, ani Padmé. Może kiedyś, w przyszłości to się zmieni. Czuł, że oboje odegrają w jego życiu ważną rolę i na zawsze go odmienią, ale teraz, kiedy najbardziej ich potrzebował, był sam.

Uśmiechał się więc, ale duszę przepełniała mu tęsknota i poczucie pustki.

Jak gdyby wyczuwając jego niepokój, Obi-Wan położył mu dłoń na ramieniu.

– Zaczynasz nowe życie, Anakinie.

Chłopiec odpowiedział mu uśmiechem, ale nic nie powiedział.

Obi-Wan przeniósł wzrok na maszerujące przed nimi tłumy. – Qui-Gon zawsze gardził uroczystościami, ale rozumiał, że są potrzebne. Ciekaw jestem, co by powiedział o tej paradzie.

Anakin wzruszył ramionami. Jedi się uśmiechnął. – Byłby dumny widząc, że jesteś jej częścią.

– Naprawdę tak sądzisz? – Chłopiec podniósł na niego wzrok.

– Tak. Twoja matka też byłaby z ciebie dumna.

Anakin zacisnął szczęki i spuścił oczy.

– Szkoda, że jej tu nie ma. Tęsknię za nią.

Obi-Wan ścisnął mocniej jego ramię...

– Jeszcze się z nią spotkasz, zobaczysz. Ale będziesz wtedy już rycerzem Jedi.

Pochód wił się jak wąż przez główny plac, do miejsca, z którego obserwowała ją królowa i zaproszeni goście: dworki, gubernator Sio Bibble, Wielki Kanclerz Palpatine, gungański wódz Boss Nass i dwunastu członków Rady Jedi. R2-D2 stał stopień niżej od dworek, obok Anakina i Obi-Wana: kręcił głową na wszystkie strony i migał lampkami, a jego czujniki chłoneły wszystko, co działo się dookoła.

Robot zapiszczał na chłopca, a ten dotknął lekko jego metalowej kopułki. Boss Nass wystąpił do przodu i uniósł nad głowę Kulę Pokoju. – Świetne przyjęcie! – donośny głos Jar Jara wzbił się ponad okrzyki i oklaski. – Gunganie i Naboo, przyjaciele na zawsze, nie?

Jego entuzjazm okazał się zaraźliwy i mimo ponurego nastroju Anakin musiał się uśmiechnąć. Gunganin tańczył i podskakiwał radośnie; uszy majtały mu się na boki, a niezgrabne kończyny podrygiwały, gdy wspinał się po schodach. Anakinowi przyszło na myśl, że Jar Jar nigdy nie pozwoliłby, żeby złe myśli go przygnębiały. Może tego właśnie powinien się od niego nauczyć. – My wielcy bohaterowie, Annie! – prychnął wesoło Jar Jar, wzniósł ręce nad głowę i wyszczerzył wszystkie zęby w uśmiechu.

Chłopiec zawtórował mu śmiechem: chyba rzeczywiście byli bohaterami. W dole, w szerokiej alei, niczym wielobarwny wąż wił się uroczysty pochód, który zaprowadził ich w to miejsce i czas.



TERRY BROOKS

Terry Brooks to amerykański pisarz znany ze swoich bestsellerowych powieści fantasy – jego książki były bardzo popularne już na przełomie lat 70. i 80. Pisarz został poproszony o napisanie nowelizacji kilku kultowych filmów. Brooks jest autorem znanej na całym świecie serii „*Kroniki Shannary*”, składającej się między innymi z książek „*Pieśń Shannary*” oraz „*Kamienie elfów Shannary*”, jak również powieści „*Gwiezdne wojny. Część I: Mroczne Widmo*” oraz serii „*Magiczne królestwo*”.

Studiował filologię angielską na uniwersytecie Hamilton College. Po ukończeniu kierunku udał się na studia prawnicze na Washington and Lee University w stanie Virginia. Zanim stał się znanym na całym świecie pisarzem, pracował jako prawnik – okazało się jednak, że jego epickie powieści fantasy przyciągają tak ogromną liczbę fanów, że pisarz mógł bez żalu zrezygnować z kariery prawniczej na rzecz tego, co lubi najbardziej – pisania.

Spis Treści

KARTA TYTUŁOWA

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

O AUTORZE